

Marcin Bruczkowski
Monika Borek

Radio Yokohama

ラジオ
横浜



ラジオ横浜

Monika Borek

Radio Yokohama

Tej papugi już nie ma! Przestała istnieć! Odeszła na spotkanie ze swoim stwórcą! To zdechła papuga! Sztywniak! Opuściło ją życie, teraz spoczywa w spokoju! Gdyby nie przybił jej pan do grzęd, wachałaby kwiatki od spodu! Strzeliła w kalendarz i śpiewa teraz w anielskim chórze! To jest ex-papuga!

Latający Cyrk Monty Pythona

Jego wzrok padł na najwyższe piętro graniczącego z kamieniołomem do-mu. Jak błyska światło, tak rozwarły się tam skrzydła jakiegoś okna: jakiś człowiek, słaby i nikły w tym oddaleniu i na tej wysokości, wychylił się, jednym rzutem daleko przez okno i wyciągnął jeszcze dalej ramiona. Kto to był? Przyjaciół? Dobry człowiek? Ktoś, kto współczuł? Ktoś, kto chciał po-móc? Byłże to ktoś jeden? Czy byli to wszyscy?

Franz Kafka, „Proces”

Pamięci Adama Kostewicza (1964-2006), mojego przyjaciela.

Marcin Bruckowski

Zbigniewowi Borkowi - bez którego nie powstałaby nie tylko ta książka, ale i autorka.

Monika Borek

Rozdział Pierwszy

w którym palec tkwi w paszczy krokodyla, a Amanda na sofie.

Poniedziałek, 31 maja 1999

- Czy wie pan, do czego służy krokodyl?

Cisza.

Przyjrzałem się krytycznie nieznajomemu przycupnię-

temu na brzegu mojego fotela. Młody. Niski. Włos jeżowaty i czarny, kości policzkowe szerokie, jakby ciut... azjatyckie? Gdzieś go już widziałem, słowo daję. Poza tym, na oko, mało rozgarnięty. I chyba nie zrozumiał.

Powtórzyłem pytanie w dialekcie wyspiarskim: Zero reakcji. Nie licząc lekko opadłej zuchwy i ogólnego wyrazu przerażenia we wzniesionych teraz na mnie jasnoniebieskich, a więc zdecydowanie niewyspiarskich oczach.

Postanowiłem wrócić do angielskiego. Wiadomo, że w Japonii bladokórzy mówią po angielsku albo po portugalsku.

Ten na Latynosa zdecydowanie nie wyglądał. I bardzo dobrze, bo nie mam pojęcia, jak jest po portugalsku „krokodyl”.

Odchrząknąłem.

-Jeżeli pan nie wie - powiedziałem twardo - to proszę uprzejmie wyciągnąć swój gajdziński paluch z paszczy krokodyla.

Młody gajdzin powiódł wzrokiem za moim i z pewnym zdzi-wieniem odkrył swój palec — tkwiący w pysku małego pluszo-wego krokodyla, przymocowanego do jednego z suwaków.

Wycofał pośpiesznie rękę, jakby krokodyl miał go zaraz ugryźć, i zerwał się z fotela, który pomknął na kółkach w stronę szafki z ekspresem do kawy.

Złapałem fotel stopą i usiadłem, starając się zachować spokój.

Stanowczym gestem postawiłem swój kubek na właściwym miejscu, po uprzednim

odsunięciu leżącej tam, nie wiedzieć czemu, trąbki rowerowej. Z zieloną gruszką.

- Więc? - Podniosłem brwi wyczekująco.

- Nazywam się Andrew Allen. Znaczy, Allen to nazwisko. Bo Japończycy zwykle myślą, że na odwrót. Jestem...

- Lektorem. Z Kanady.

- Skąd pan wie...?

- Nie wiem, tylko słyszę. Mówisz jak Amerykanin, ale bez ak-centu stanowego. Więc Kanadyjczyk. Ale nie bełkoczesz, jak reszta twojego zacnego skądinąd narodu. Więc lektor. I widziałem cię tu już kiedyś, jestem pewien. Tylko po drugiej stronie szyby, oczywiście. Co prowadzi nas do interesującego zagadnienia. Co...

- ...robię po tej stronie szyby?

Zmarszczyłem brwi, żeby nie było wątpliwości, kto komu tu może przerywać.

-

Właśnie. Co robisz po tej stronie szyby. W MOJEJ reżyserce.

Andrzej (tak go nazwałem w myślach, bo angielskie "Andrew" ja koś mi do niego nie pasowało) westchnął głęboko i zaczął tłumaczyć: - Bo ja przyszedłem na sesję jak co poniedziałek. Miałem na grywać reklamę. No i kazali mi iść do studia C. No to poszedłem.

Tylko się chyba trochę zgubiłem w tym labiryncie korytarzyków i schodów... To nie jest studio C, prawda? Teraz tak pomyślałem...

No więc czekałem, ale zamiast inżyniera, tego co zawsze, przy szedł taki stary, zmarszczony Japończyk, w garniturze i kapciach, i kazał mi iść do reżyserki, i więcej się nie spóźniać, i siadać za konsoletą i nagrywać tę młodą panią... - ostrożnie pokazał brodą.

Za szybą, w sali studyjnej oświetlonej awaryjną lampką nad drzwiami, siedziała na wysokim stołku dziewczyna. Japonka? Sła-bo ją widziałem - lampa rzuciła tylko zebra słabych prążków światła... Ubrana miejscowo - czarny T-shirt i jeansy. Jedyne, co ją różniło od tłumów w Shinjuku, to ozdobna chusta na włosach, związana z tyłu jak koński ogon. No tak, arrrtystka...

Na chwilę podniosła głowę znad gitary. Nie, jednak nie Japonka.

Trochę za ciemna karnacja i za okrągłe oczy. Filipinka? Nieważne.

Ważne, że śpiewała. Do mikrofonu. Ustawionego... w złą stronę.

To znaczy nagrywającego ścianę, a nie jej głos.

Oparłem łokcie o brzeg stołu mikerskiego i wraziłem rozca-pierzone palce we włosy. Czasem pomaga. Szczególnie kiedy jest to jeden z TYCH dni.

- Czy ktoś może mi wyjaśnić, co tu się dzieje? - zapytałem Nie-dobry Świat. - Co ty tu w ogóle robisz? Czy ty ją nagrywasz? Czy jesteś realizatorem? Dźwiękowcem? Inżynierem akustykiem? Dlaczego nie ma odsłuchu? He? Dlaczego nie ma odsłuchu, ja się pytam?!

- Bo ja nie wiedziałem... - wyszeptał Andrzej.

- Wiewióra - mruknąłem.

Młody posłusznie zidentyfikował suwak opatrzony maleńką maskotką z puszystym ogonkiem i podciągnął o kilka kresek.

Rozległy się ostatnie akordy gitary i mocno stłumiony (no tak - mikrofon w złą stronę) głos:

-Jak... poszło?

Kiwnąłem głową Andrzejowi. Niech mówi, skoro taki mądry.

Nachylił się do gęsiej szyjki mikrofonu.

- Znakomicie, panno... Anuradh...?

- Prosiłam, żeby mówić do mnie Amanda - odpowiedziały monitory.

- Tak, przepraszam bardzo... oczywiście. Amanda. No więc...

odjazdowo! Tak, świetne ujęcie! To teraz... errr... Może jeszcze raz? - Andrzej spojrzał na mnie szybko.

Pokręciłem głową przecząco, wznosząc oczy do nieba. Czyli wyłożonego kremowymi, piankowymi piramidkami sufitu.

- Znaczy... właściwie już dość! — zawołał posłusznie Andrzej.

-Jest pani odjazdowa! Pora na małą przerwę... Może pół godzin ki? W korytarzyku jest maszyna z napojami... Proszę uważać, tam jest taki niespodziewany stopień! A za zakrętem dwa, ale do gó ry! Wiem, bo sam się...

Wyszła, zamykając starannie ciężkie drzwi.

Nie patrząc, sięgnąłem za siebie i wymacałem pudełko z wizytówkami. Wstałem i wręczyłem swoją kulturalnie, oburącz, na znak, że uprzejmościom stało się zadość, a teraz pora zabrać się do roboty.

- Martin Bos - przeczytał na głos. Pewnie na wypadek, gdybym zapomniał, jak się nazywam.
— Starszy realizator dźwięku...

- Brawo, młody Andrzeju Allenie. Tak, Bos to ja. Szczególnie w TYM studiu. Ale możesz mi mówić Martin. A teraz...

- Mam sobie pójść? - zapytał z nadzieją w głosie.

- Tak. Nie. Zaczekaj... Nie mów, że załadowałeś nową taśmę do ADAT-a1? No... fakt, załadowałeś. Ścieżki uzbroiłeś? Ano, uzbroiłeś. Jak widać. Ale w tym fachu nie idzie o to, żeby było wi-dać, prawda? Jeżeli rzeczywiście udało ci się coś nagrać, to już posłuchajmy. Siadaj. O, tu.

Wydłubałem stopą spod stołu mikerskiego zapasowy stołek na kółkach, używany przez młodszego realizatora, jeśli takiego akurat miałem na sesji. Czyli ostatnio dwa lata temu. Cóż. Recesja.

- Wduś orangutana - zarządziłem,

Patrzyłem w sufit, z palcami splecionymi na karku, czekając, aż Andrzej znajdzie przycisk ozdobiony malutką, pomarańczową maskotką.

Rozległy się czyste (w miarę, ale potem i tak nagramy instrument osobno) akordy gitarowego intro (brzmiącego jakoś dziwnie znajomo) i chwilę później głos, przywodzący na myśl las i górską ścieżkę. I ciężki plecak na plecach. A drugi, mniejszy, na brzuchu.

Przymknąłem oczy i, wsłuchując się w głos tej małej, ADAT - urządzenie do nagrywania dźwięku. Zob. też słownik, str. 363.

wróciłem na chwilę do czasów, gdy były to dźwięki wakacyjnej wędrówki donikąd...

- Dość. - Wcisnąłem paszczę anakondy, czyli przycisk „Stop”.

- Więc jednak coś nagrałeś. Jakim cudem...

Nie dokończyłem, bo do reżyserki wpadła, kłaniając się przed framugą drzwi, ruda grzywa, a pod nią John. Dziś cały na bojowo -

koszula w barwach kamuflażowych plus spodnie z absurdalną liczbą kieszeni.

- Martin! Sensacja! Rozumiesz? Sen-sa-cja!!! Nagrałem, uwa-

żasz, stukanie ducha! Prawdziwe tym razem! Rewelacja! O, moja trąbka. Wiedziałem, że gdzieś tu się zapodziała. Kocham tę trąbkę.

A to kto? - Przybrał pozę dramatyczną, na znak, że właśnie zauważył obecność młodego.

- Andrew. Andrew Allen. - Dokonałem znużonej prezentacji. -

Lektor. Z Kanady. Andrew, poznaj Johna Guthrie. Z Australii, jak niewątpliwie słyszysz. John jest DJ-em w rozgłośni na piątym piętrze.

Akustykiem też bywa w wolnych chwilach. Takim prawdziwym, z dy-plomem, wiesz? I latami doświadczenia, zanim zaczął DJ-ować...

- Cześć, Andrew, tak się cieszę! -John momentalnie objął młodego gajdzina jednym ramieniem i, zanim ten zdążył zaprotestować, zaaplikował silny półścisk, na modłę australijską. - Słysza-

łem, że stary Hayakawa przyuczył cię do zawodu. W rekordowym czasie! - Rozrechotał się aż do czkawki. - Przez po... hep!... myłkę!

Czekaliśmy grzecznie, aż w końcu otarł łzę i wsadził głowę pod stół mikserski. Nie znalazłszy tam stołka, podciągnął nogawki bojówek i usiadł po turecku na podłodze, czekając jeszcze kilka razy i patrząc na mnie wyczekująco.

- Jaką pomyłkę? — zapytałem, bo wyraźnie tego ode mnie oczekiwał.

John zadarł głowę i zagwizdał. Zrozumiałem. Mnie wiele nie trzeba.

- Andrew? - zagailem. - Sprawdź, proszę, czy nie ma cię w ko rytarzyku. Uważaj, tam jest stopień. Niespodziewany. A za zakrętem dwa, ale do góry..

- Wiem, wiem - wymamrotał z lekką irytacją młody i wyszedł.

- No, dawaj — powiedziałem do Johna. — Przestań się wygłupiać i powiedz, o co chodzi. Z

tą pomyłką.

- Nie uwierzysz, stary, po prostu nie uwierzysz... Słuchaj: szefowa naraiła nam jakąś młodą piosenkarkę. Malajkę. Taką, co ma z siedem nazwisk. W innych aspektach też nic jej nie brakuje. Widziałeś zresztą. Ponoć wygrała jakiś konkurs młodych talentów w Malezji, a że mieszka w Japonii, to...

- Pierwsza płyta?

- Jak zwykle. Mamy zrobić do końca sierpnia.

-KIM?

- Kim zrobić? A... właśnie. Matthew Sugimoto miał ją nagrywać. Pamiętasz gościa? Niezły realizator jak na człowieka z zewnątrz. Rok temu robił u nas demo tej japońskiej *tarento*... Jak ona się nazywała? Cośtam-ko „uwaga ja fałszuję” Matsuda? Pamiętasz tę sesję?

- Pamiętam. Niestety.

- Doskonale. No i tak: Matthew dziś rano miał przyjść... Ale się nie stawiał. Więc stary Hayakawa, uważasz, przychodzi do studia i znajduje kogo? Twojego młodego przyjaciela! Tego Allena Andrew - Andrew Allena - poprawilem.

- Andrew Allena. To lektor od *language'a*, szedł na nagranie reklam do C, zgubił się oczywiście, trafił do A... I teraz nadchodzi najlepsza część. Uważaj. Hayakawa, jak to Japończyk, bladych twarzy zbytnio nie rozróżnia. Nie krzyw się - ciebie też kiedyś pomylili z Rodem Stewartem. Była heca? Była. Autograf musiałeś dawać rozchichotanym groupies? Musiałeś. Widzisz? Na dodatek Hayakawa spotkał tego Matthew raz w życiu, rok temu. Więc zastaje w studiu młodego gajdzina bez brody i innych znaków szczególnych, przygląda mu się i stwierdza, że to musi być właśnie Matthew w swojej własnej osobie. No, może trochę młodziej wyglądający, ale pewnie ryż i zielona herbata mu służą... I co? Nie myśląc wiele, opieprza go za spóźnienie, po czym odsyła do twojej reżyserki! Rozumiesz??? Dobrze, nie?!

-Nie.

- Oj! Uważam, że to dowcip stulecia. Zaraz opowiem to na antenie! Może wreszcie jakiś słuchacz zadzwoni?

- Ani mi się waż. I co dalej? Matthew Sugimoto przyjdzie jutro z producentem i zaczną ją nagrywać?

- Niestety. Matthew chwilowo został wyłączony z obiegu. Wiza mu się skończyła. Mimo nazwiska. Urodzony w USA, tamtejszy paszport, tutaj żyje na gajdzinkarcie, jak my. Ale my

jesteśmy etatowi, a on musi uciekać co jakiś czas. — Wzruszył ramionami. -

Nie wiem, czy wróci. Szefowa ma do niego kontakt. Ja nie.

- To kto nagra Malajkę? Ty?

- Spadaj. Ja mam co robić. Zapomniałeś, że zostało nam tylko dwóch DJ-ów? Ja i Takeda? Którego bardziej nie ma, niż jest, bo pracuje tylko w środy? I jeszcze mastering nagrań robię, też zapomniałeś. I na ducha poluję. I pomagam Woźnemu załatać dach nad poczekalnią studia C. Nie, NIC więcej nie biorę. Ale... Czeka, czekaj... Wiem! Eureka! TY ją nagrasz,

- Sam spadaj. Ja mam kapelę japońską. Zaczynają jutro. Top priorytet, rozumiesz? Sama szefowa dzwoniła. Pierwszy raz od pół

roku zresztą.

- No to niech młody nagrywa. - John wzruszył ramionami, podniósł się z podłogi, usiadł na zwolnionym przez Andrzeja stołku i zaczął studiować swoją trąbkę z zieloną gruszką, badając palcem krzywiznę jej chromowanej gardzieli.

Oczywiście po to, żeby nie widzieć mojego wyrazu twarzy.

Znam drania nie od dzisiaj.

-Johnie Guthrie... — zacząłem słodkim głosem.

- NO CO??? Nagrał ją dziś, nie? Dawaj orangutana.

Nie czekając na moje pozwolenie, dziabnął palcem odpowied-niego zwierzaka.

Słuchaliśmy przez pół minuty, aż do końca pierwszego nagrania.

- Taaak... naprawdę niezły głos - mruknął. - Będą z niej lu dzie. Tylko cisza jakoś źle brzmi...

- Zamknął na chwilę oczy. -

Aha, mam: klima ci szumi w kabinie do nagrywania wokalu. Zadzwoń po technicznego. Spojrzałem z wyrzutem.

- Nic nie szumi. A jak szumi, to poniżej progu słyszalności.

- Nie mojego. - Pogroził mi palcem John. - No, ale tak w ogóle całkiem, całkiem, prawda? Poziomy przyzwoite. Przesterów nie ma.

Nagrywanie chłopię umie włączyć i wyłączyć. Resztę ty mu ustawisz. Szefowa będzie wniebowzięta.

- Lepiej by się tu wreszcie pojawiła i sypnęła kasą, zamiast być wniebowziętą - mruknąłem pod nosem. - Podłogę by naprawiła w korytarzu, skrzypi jak szalona... - Wstałem i przeszedłem się po mojej reżyserce, żeby zademonstrować, że nie tylko w korytarzu.

Zatrzymałem się przed rudą eksplozją owłosienia, pochyloną ciągle nad trąbką. Z zieloną gruszką.

- John, posłuchaj mnie uważnie. Czeladnika mogę przyjąć, jak mi przyślą kogoś po reżyserii dźwięku. A przynajmniej w trakcie studiów. Andrew jest LEKTOREM, na wszystkich bogów Azji!

OK, może obeznanym ze studiem, ale NIE Z TEJ STRONY

SZYBY! A widziałeś, co on zrobił z mikrofonem? No dobra, to neumann U87, kształt symetryczny, więc dla nowicjusza wcale nie musi być oczywiste, gdzie jest przód. Każdy z nas kiedyś, la ta temu, ustawił go w złą stronę. Ale chodzi właśnie o te LATA!

Mamy nagrać tę twoją dziewczynę do końca sierpnia, tak? Nie mamy lat!!! Co przywodzi na myśl nader istotną kwestię: kto jest jej producentem, że zapytam przy okazji? Hę? Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

Nie dane mi było się dowiedzieć, bo John wzdrygnął się, aż podskoczył na stołku, spojrzał oczyma duszy na swój wewnętrzny zegarek i dał drapak, kłaniając się w biegu futrynie.

Jasne. Zaraz wchodzi na antenę - pomyślałem, łapiąc stopą stołek, zanim dojechał do półki z taśmami. — Podczas gdy ja zostaję z problemem. Jak zawsze.

社長

Nic tak nie naciąga jak herbata.

Jak zwykł mówić mój dziadek.

Wyjąłem z granatowego kubka z ogromnym, białym napisem (szef) liptonowską skarpetkę, wycisnąłem łyżeczką i, nadawszy jej ruch wirowy, posłałem w stronę kubła pod stołem z faksem. Nie trafiłem, bo na drodze stał stołek.

Stołek młodszego realizatora - myślałem, wycierając płytki PCV

starym szalikiem z logo jakiejś japońskiej drużyny baseballowej, słu-

żącym od niepamiętnych czasów za ścierkę studyjną. — Dobrze było mieć młodszego realizatora. Wypełniał taki wszystkie tabelki z lista-mi ścieżek, taśmy ładował i opisywał... Do archiwum biegał... Mikrofony ustawiał, pod czujnym okiem Bosa oczywiście... I herbaty zrobił w czasie nocnych nasiadówek Tak, to były czasy. Człowiek mógł

się skupić na czymś ambitniejszym. Dźwięk dopieścić. Poszukać brzmienia, tego jednego... Marzenie i pysk, jak mawiał mój dziadek.

A teraz na drugiego realizatora nie ma pieniędzy. Bo nie ma. Bo tak mówi szefowa. Bo recesja. Bo tak.

I co?

I trzeba mitrzyć czas na głupoty, które mógłby zrobić ktokolwiek. Student pierwszego roku inżynierii nagrań. Albo nawet nie student. Do wypełniania tabelki nie trzeba znać teorii propagacji dźwięku. Mógłby to robić nawet nasz Woźny. Albo sekretarka z rozgłośni. Zaraz, nie ma już sekretarki. No to jeden z lektorów...

Niesamowite, jak herbata rozjaśnia umysł. Szczególnie pita na modłę japońską, czyli z odpowiednio melodyjnym przysiorbem.

Odstawiłem kubek na stałe miejsce, odcisnięte w miękkim, skajowym obiciu, wyściełającym brzeg stołu miksterskiego. Obiciu słu-

żącym do wygodnego opierania łokci realizatora. Przed fotelem były nawet dwa wytarte punkty w tym skajowym pasie. Od moich łokci, spoczywających tam przez te wszystkie lata nocnych nasiadówek... A po lewej — dwa mniejsze, ledwie już widoczne wytarcia.

Pozostałość po kilku kolejnych pomocnikach z dawnych lat.

Czas na decyzję.

Wyszedłem na korytarz, zamykając za sobą ciężkie drzwi.

Krok, krok, krok, lekki, prawie taneczny skręt w prawo, krok, krok i zgrabny przeskok na drugą stronę korytarzyka. Udało się.

Podłoga nie skrzypnęła ani razu.

Teraz schodek w dół, krok, krok, krok, w lewo, w lewo, prosto i dwa schodki do góry.

Siedział pod ścianą.

Wyglądał, jakby chciał zabrać swoje zabawki i wynieść się z tej piaskownicy.

Cóż, ja też czasami tak się czuję.

Oparłem się o ścianę.

Ciekawe, do czego służył kiedyś ten pokój (właściwie nie tyle pokój, co trapezoidalne rozszerzenie w korytarzu). Jeśli się weźmie pod uwagę, czym była niegdyś ta część budynku, lepiej nie pytać.

Długie, drewniane deski na podłodze, uginające się pod każdym krokiem. I skrzypiące, dranie. A pod samą ścianą - przechodzące w przycięty skrawek maty tatami. Sypialnia tu była czy co?

Kremowe, papierowe tapety na ścianach. Dlaczego wszystkie studia świata wykończone są w kolorze kremowo—beżowym?

Zakurzona żarówka pod sufitem, z długim sznurkiem do ga-szenia. Jak w japońskiej sypialni, ale bez tej kwadratowej obudowy z plastiku i pleksi, udającej papierowy lampion na drewnianej ramie.

Żarówka, bo ukochane przez Japończyków świedówki są oczywiście w studiach zakazane - bżyczą i brumią.

Młody gapił się w ścianę.

Ściana jak ściana.

Na dole trochę odklejona tapeta. Wyżej - rząd gniazdek elek-trycznych, każde z lewą dziurką zbrązowiałą od nadmiernego po-boru prądu. Jeszcze wyżej - grafitu, pozostawione po kolejnych muzykach, przychodzących do tego korytarzyka poburzyć na życie i okrutny los artysty.

ここはどこ？ わたしはだれ？

The House of the Rising Gaijin Kenji, ty świni

*Jestem bezwartościowym strzępem opakowania po strunach Nienawidzi perkusistów
Nnnnie bbbboję sssię dddducha Dom wariatów*

New you live in Japan

Udzielam lekcji gry na nerwach. Wieczory.

Lasciate ogni speranza, voi ch'recordate (???) I cała reszta.

Nad napisami, pod niskim drewnianym sufitem - ołtarzyk buddyjski ze stosikiem lekko nadgniłych mandarynek. Zapomniałem już, dla którego to bożka. Pewnie bożka akustyków.

Po lewej, na brzegu korytarza wylotowego — papierowa palma, I pożółkły ze starości plakat z jakimś dawno zapomnianym, japońskim idolem, czule przyciskającym do piersi saksofon firmy Yanagisawa.

Westchnąłem.

- Andrzej? -

No?

- Jak ci się nagrywało?

- Dobrze.

- Masz na myśli „nieźle”.

- Nieźle.

- Ale mogłoby być lepiej?

- Mogłoby być dużo lepiej. Mikrofon dziwnie brzmiał.

- Tak. Jest metoda, żeby brzmiał lepiej. Nazywamy ją „obrót”. O sto osiemdziesiąt stopni. Ale to detal techniczny. Dla akustyków.

- Właśnie.

- Dużo lat siedziałeś za mikrofonem? Znaczy... jako lektor?

- Odkąd tu przyjechałem... Dwa lata. Miałem uczyć angielskiego w szkole średniej i nawet zacząłem, ale potem trafiła się ta fu-cha, no i wiesz... Studio... Jakaś magia... Zawsze chciałem usiąść po drugiej stronie szyby, za stołem mikserskim, no i...

- E tam. Żadna magia. Praca jak każda inna. To co? Chciałbyś zostać realizatorem nagrań?

MŁODSZYM realizatorem? To zna czy... czeladnikiem terminującym na młodszego realizatora?

-Ja...

- Dobra. Staw się jutro o dziesiątej rano. Jak się spóźnisz, uszy poobrywam. I nie musisz już przychodzić pod krawatem. Po tej stronie szyby panuje inna moda. Nawet w Japonii. Aha, jeśli się pojawisz za wcześnie, niczego nie dotykaj. A już na pewno nie mikrofonów.

- Tak jest, Bos-san!

- Wystarczy Bos...

To miał być Wczesny Wieczór. Przy telewizji, której oczywiście zasadniczo nie oglądam, bo nie mam czasu na takie bzdury. A już na pewno nie w czasie sesji nagraniowej. Sesja zacznie się jutro.

Pierwszego czerwca. Może wreszcie jakiś obiecujący zespół? Może wejdzie na Top20... Może przyjdą do mnie dziennikarze z cza-sopism branżowych: — Jak osiągnął pan to niezwykle brzmienie we wstępie do tytułowego utworu...? Czy zdradzi nam pan tajemnicę...?

Tak, lubię ten dzień przed początkiem sesji. Jakby lekkie swę-

dzenie opuszków palców. Potem będą szalone noce, wyrywanie włosów z głowy, morze herbaty, arinamin2 i parę stanów przed-zawałowych. Dni i tygodnie, kiedy świat kurczy się do rozmiarów studia... i nic poza nim nie istnieje.

Ale to potem. Na razie jest przyjemne swędzenie antycypacji.

Zjechałem windą na drugie piętro i przeszedłem korytarzykiem do schodów na pierwsze, kiedy zaskoczyło.

2 Japoński odpowiednik red bulla.

Amanda.

Jasny gwint.

Młody wysłał ją na sofę.

Na wszystkich bogów Azji... Ile ona tam siedzi? Godzinę? Pół-torej?! Ładny początek współpracy z klientem...

Popędziłem schodami na górę, przypomniałem sobie, że kończą się ślepym murem, zbiegłem znowu na drugie, sprint korytarzykiem, zakręt, wskok na schodek, kolejna prosta, winda. Wcisnąłem się do niej z trudem, bo była w większości wypełniona stojakami na ubrania i parasole. Tak, John się odgrażał, że wywali stojaki ze studia radiowego, jako że goście raczej mu się nie zda-rzają. Fajnie, że wyrzucił je do windy.

Dojechałem, wybiegłem, zakręt, schodek, maszyna z napojami...

Sofa.

Dziewczyna spała.

Usiłując uspokoić oddech, przyjrzałem się jej wreszcie dokładnie. Tym razem nie podświetlonej od tyłu słabą lampką nad drzwiami studia (młody pewnie nie wiedział, gdzie jest panel kontrolny oświetlenia), tylko w pełnej krasie nagiej żarówki pod sufitem, z obowiązkowym sznurkiem; żarówki dzielnie wspomagaanej przez bladoniebieskie światło maszyny z napojami.

Młodziutka.

Dwadzieścia pięć-sześć lat? W Europie daliby jej góra szesnaście.

Ładnie wyglądała, śpiąc.

Ciemne powieki z nieprawdopodobnymi rzęsami, sięgającymi nieomal kości policzkowych. Uroda trochę azjatycka, trochę tro-pikalna. Takie mocno opalone dziecię białej plaży na samotnej wyspie pośrodku oceanu, a trochę klasyczna Cyganka. To ostatnie skojarzenie nasunęło mi się w związku z czarną, ozdobną chustą, przykrywającą włosy, związaną z tyłu jak koński ogon i przerzuconą teraz przez lewe ramię.

Spała na zielonej sofie, z głową opartą o maszynę z napojami.

Obok niej siedział futerał z gitarą, pionowo, jak drugi człowiek.

Obejmowała go opiekuńczo ramieniem.

Chrząknąłem.

Nic.

— Pewnie jest pani bardzo zmęczona... - powiedziałem cicho.

Wzdrygnęła się i otworzyła oczy. Duże, bardziej okrągłe od ja pońskich.

— Tak, widzę, że jest pani zmęczona... W takim razie proponuję skorzystać... - Wskazałem maszynę. - Serwuje niezłą kawę.

Mrożoną, o ile akurat działa.

Zamrugła oczami.

—Tak, tak, już wypiliśmy trzy...

—No to pora na czwartą. A potem... Zobaczymy. Albo będzie pani zbyt zmęczona procesem twórczym, albo jednak będziemy kontynuować wędrówkę po magicznych ogrodach muzyki. Ja...

Zaraz... Ale jestem roztargniony... Przecież się nie przedstawiłem!

Martin Bos, przez jedno „s”, ale to przecież bez różnicy... - Wręczyłem jej wizytówkę.

—Amanda. - Wstała i wyciągnęła swoją z zewnętrznej kieszeni futerału gitary.

—Tak... Bardzo pożyteczny pseudonim, zważywszy na to...

Anuradha S. Binte Mohamed Idros. Malezja, prawda?

Kiwnęła głową.

—Zgadza się. Choć właściwie... Japonia. Ale to szczegół.

—Szczegóły to nasza specjalność, pani Amando - stwierdziłem stanowczo.

—Panno.

—Przepraszam. Panno. Tak, uwielbiamy wtykać nasz gajdziński nos w szczegóły i detale. Taka natura pracy reżysera. Niemniej je-

żeli już zdecydowała się panna ukrywać przed publicznością swoje prawdziwe nazwisko, nie pozostaje mi nic innego, jak uszanować panny wolę. - Wykonałem szarmancki ukłon, niekoniecznie z tej części świata.

Moje małe przedstawienie zadziało, bo roześmiała się. Ładny głos.

— Uśmiech! Znacznie lepiej. To co, wracamy do studia?

Poszliśmy.

Chciałem jej ponieść gitarę, ale grzecznie odmówiła.

Tego wieczoru nagraliśmy tylko jeden numer. Właściwie pięć, bo panna Amanda wykazywała odrobinę niepokojące zamiłowanie do improwizacji, czyli wykonywania numeru za każdym razem inaczej. Od słów po niektóre akordy. Świetna sprawa na scenie (Cohen podczas koncertów nigdy nie zaśpiewał żadnej piosenki dwa razy tak samo), ale nie w studiu, gdzie trzeba często wyciąć kawałek jednej ścieżki i wkleić w drugą. I NIE jest wskazane odkryć przy okazji, że ta druga ewoluowała z walczyka do ballady.

Oczywiście nic jej nie powiedziałem. Nie wolno krytykować w pierwszym dniu sesji - grunt to zbudować u artysty trochę wiary w siebie i zachęcić do dalszej pracy.

Trudno powiedzieć, czy mi się udało. Nie do końca ją wyczuwałem tego pierwszego wieczoru. Kilka razy zagrała z polotem.

Mikrofony łapały coś obiecującego. Więcej nie próbowałem z niej wycisnąć, przekonany, że jutro pojawi się producent i powie, że ma Zupełnie Inną Wizję Artystyczną.

Tak czy inaczej zapowiadała się niezła płyta, nawet jeśli dla jej nagrania miałem oduczyć się spać. Nie wspominając o oglądaniu telewizji.

Skończyliśmy wcześniej, przed dziesiątą.

- Czy panna Amanda jest już zakwaterowana w części hotelowej? - zapytałem, wyłączając po kolei przedwzmacniacze, efekty i inne moduły. O, właśnie: jutro zaczniemy edukację Andrzeja od prawidłowej kolejności włączania i wyłączania sprzętu. To nie wymaga doktoratu z akustyki. Jasny gwint, powinienem go zapytać, czy umie obsługiwać komputer, który powinien się tu w końcu pojawić... Ale kto dziś tego nie umie?

- Errr... Słucham? Przepraszam, zamyśliłem się... Czy można prosić o powtórzenie?

- Odpowiedziałam panu, że tak. Dostałam pokój. Tylko nie jestem pewna, czy tam trafię.

- Nie ma sprawy, odprowadzę pannę Amandę, a jutro narysuję mapkę. Ja mieszkam na tyłach. Wszyscy tutaj mieszkamy, przynajmniej w czasie sesji. Albo w części hotelowej, albo w mieszka-niach w tylnej części budynku, za podwórkiem. No, chodźmy. To był męczący dzień.

Właściwie wygodniej było w metrze niż na tej sofie. Ale siedzę posłusznie i czekam. Maszyna z napojami uraczyła mnie zbawienną, choć nie do końca mrożoną kawą. Delektuję się czwartą z kolei, gdy przebiegający (dlaczego tutaj wszyscy biegają?) młody

cudzoziemiec odwraca się nagle i zatrzymuje.

- Ta pani chyba jest - mówi do kogoś, kogo nie widzę zza maszyny. Hmm, trafnie to ujął, CHYBA jestem. Już zaczyna łąm w to wątpić. Mniej więcej godzinę temu. Lub dwie.

Delikatne szuranie kapciami.

- Co pani tutaj robi? - pyta wiekowy właściciel kapci z lekką pretensją w głosie, nawet nie wręczwszy swojej wizytówki.

(Garnitur? W studiu nagrań?)

Cóż, też się zastanawiam, co tu robię, ale jakoś nie wydaje mi się to właściwą odpowiedzią. Wybieram wersję bezpieczną -

stanowczą, lecz jednosłowną:

— Czekam.

- Szukaliśmy pani. Pani Arona... Anurad. .? Yhkm,,

—Amanda - śpieszę mu z pomocą. - Proszę mówić do mnie Amanda.

—Dobrze, pani... panno Amando... - Prawie niepostrzeżenie mierzy mnie wzrokiem. - Proszę za... mmm... za tym młodym panem do studia A.

Podążając za „młodym panem”, zauważam kątem oka, że ten starszy składa na sześć kartkę z wypisanym (nieprawidłowo zresztą) moim imieniem i ostrożnie wkłada ją do kosza na śmieci.

Sofa. Znow sofa. Można by niezły tekst z tego zrobić, do tej melodii, którą ułożyłam tydzień temu w Chiba Monorail. Jak to szło? a C D F, a C E... D czy D7?

Ech.

Po wstępnym nagraniu dwóch kawałków zostałam wysłana na zasłużoną przerwę, zostawiając młodego realizatora w studiu razem z jego maskotkami. Swoją drogą, nie wiedziałam, że dźwiękowcy to tacy gadżeciarze. . Jak dzieci, słowo daję.

Nie jestem wcale pewna, jak poszło;, słyszałam tylko niepewne okrzyki: *Świetnie!* Yyy.. *To co, jeszcze raz...?* Skoro świetnie, to po co jeszcze raz? Nie bardzo rozumiem.

Wychodząc, zauważyłam, że się rozmnożył - teraz siedziało ich dwóch. Ochrciłam ich w

myślach: „Lost” (Zagubiony) i „Cloudy” (Zachmurzony).

Ile można czekać? Może o mnie zapomnieli...? Może nie zrozumiałam aluzji? Może powinnam iść do domu i nie wracać? Ten Cloudy naprawdę nie wyglądał, jakby było „odjazdowo”. . Może Jack nie ma racji? Może się jednak nie nadaję?

Rzucam tęskne spojrzenie mojej kochanej Takamine, ale nie mam odwagi nawet dotknąć strun. Jeszcze wzbudzę jakieś vibracje i ktoś wypadnie z jakiegoś studia i...

Gitara patrzy na mnie z wyrzutem.

To może jeszcze kawy.. ?

- Zmęczona? - Huczy mi nad głową, aż podskakuję. Ooo, przysnęło mi się? Niemożliwe... - To proponuję skorzystać z dobrodziejstw tego oto urządzenia. — Cloudy wskazuje nosem maszynę, o którą wciąż opieram zaspaną głowę. - Serwuje świetną kawę. Mrrożoną. Serio - dodaje teatralnym szeptem z taką miną, że mam ochotę się roześmiać.

- Tak... tak, wiem. Przepraszam, ja tylko...

- No, to kawa rrraz. A później... hflinim, pomyślmy. Jest pani zbyt strudzona wspinaniem się po szczeblach muzycznej kariery czy kontynuujemy wędrowkę po magicznych ścieżkach dźwięku? Zaraz, zaraz... Wylazł ze mnie gajdzin nieopłierzony.

Przecież jeszcze się nie przedstawiłem! Martin Bos, przez jedno „s”. . — Kłaniając się jak Japończyk, co śmieszenie kontrastuje z jego bardzo nietutejszą fizjonomią, wręcza mi wizytówkę, trzymaną trzema palcami każdej dłoni, jak należy. No, no.

—Amanda. - Podaję mu swoją, wstając.

—Skrót rzeczywiście użyteczny, zważywszy na stojące tu Anuradha... Binte... Mohamed... Idros... Errr... Malezja?

O kurczę, światowiec po prostu.

—Zgadza się. Choć właściwie,, teraz Japonia, ale nie wnikaj-my w szczegóły.

—Wnikanie, czyli wtykanie gajdzińskiego nochala we wszystkie możliwe szczegóły, to nasza specjalność, pani Amando. Niemniej, skoro...

—Panno — poprawiam go cicho, niepewna, czy to wypada, I chyba słusznie, bo facet się marszczy.

—Panno. Niemniej, SKORO zdecydowała panna ukryć przed szeroką publicznością swą zawikłaną tożsamość, nie pozostaje mi nic innego, jak skłonić czoło przed jej tajemnicą. — I rzeczywiście się kłania, tylko tak dziwnie - z dłonią na piersi, odstawiając prawą nogę pół kroku w tył.

Parskam śmiechem.

— I mamy uśmiech! Znacznie lepiej. To jak, wracamy? — Mar

na zapraszającym gestem otwiera drzwi

A przez chwilę myślałam, że nigdy go nie polubię.

Leżę na *futonie* zbyt cienkim, żeby nazwać go wygodnym, i rozkoszuję się przestrzenią.

OK, uściślijmy - dotykam palcami stóp jednej ściany, a po wyciągnięciu rąk ponad głowę — drugiej.

Ale jakoś tak.. przytulnie tu. Pokój nie do końca hotelowy, bo kwadratowy. W tanich hotelikach pokoje są zawsze wąskie jak trumny. Tutaj prawie jak w *apato*, tradycyjnym japońskim mieszkaniu: ascetyczny pokój o rozmiarze cztery i pół maty...

Tak, nawet jest mata na podłodze. Pode mną nowsza, jeszcze zielonkawa, pachnąca subtelnie japońskim domem. Dookoła starsze, już nawet nie złote, tylko szare. O, i *kotatsu* 3 też jest. Spokojnie tu. Mimo że to nadal, jakby nie było, radio.

Zamykam oczy. W głowie galopuje stado goryli. W dodatku strasznie niezdecydowanych — każdy z nich wyrzaskuje co innego. Ale pytam ich wciąż cierpliwie, jak mi dziś poszło, bo sa-ma nie mam pojęcia. Nie wiem, co udało się nagrać. I ile razy.

Czasem w połowie frazy potrafił mi huknąć w słuchawkach głos Martina:

- Oookiej! Jeszcze raz od *same sun in hell and* coś tam coś tam...

- Jeszcze raz, dobra?

- To co, dla odmiany - jeszcze raz...?

Oczywiście po żadnym z tych jesczerazów nie powiedział, CO mu się nie podobało, więc starałam się zgadnąć, zmienić przejście, dodać akord, poprawić intro...

Po czym słyszałam coraz bardziej zmęczone (a może zniechęcone?): -Oookiej... Jeszcze raz.

Co jest z tymi powtórkami? To jakieś hobby czy co? Miałam wrażenie, że Martin tam, za szybą, znów robi się Cloudy.

Chyba mnie nie polubił. A może tak po prostu ma, praca to praca. Zresztą, czym tu się przejmować, z jego punktu widzenia jestem kolejną nowicjuską, śmieszną w swojej zieloności.

Rzucam okiem na Takamine.

- Dzielna byłaś, malutka - szepczę do niej, gładząc futerał.

Tylko dwa podstrojenia w trakcie, naprawdę nieźle trzymała.

Gdyby w studiu było nieco cieplej czy wilgotniej, pewnie nie byłoby tak różowo. Na szczęście klima działa tam bezbłędnie.

Wyczułam to od razu, przekraczając magiczną granicę między 3 Niski, kwadratowy stolik. Zob. też słownik, str. 367.

reżyserką (gdzie realizator jest panem i władcą) a studiem z barowym stołeczkiem (gdzie panuję niepodzielnie ja, przynajmniej w czasie nagrania... a może tylko wydaje mi się, że nad czymś panuję - nie wiem; stado galopujących goryli też nie wie...).

Po bardzo, bardzo wielu jesczerazach usłyszałam w końcu chrząknięcie, poprzedzające:

—Tooo... tyle na dziś? Czy może... jeszcze raz?

—Możemy kontynuować jutro — odpowiadam bardziej niepewnie niż pewnie.

—Załatwione. - W głosie Martina, profesjonalnie obojętnym, słyszę jednak coś na kształt ulgi. - Herbata?

Zdejmuję z głowy słuchawki, rozgrzane jak lampa *kotatsu*.

Uff. Martin wstawia głowę przez obite gąbką drzwi.

—I jak? Więcej było widać, gdy już zapaliliśmy światło? -

Chichocze jak japońska nastolatka. - Bo mój szanowny czeladnik wolał panią.. znaczy, pannę, oglądać w cieniu mroków. Ty-le że teksty wtedy również toną w mrokach, nieprawdaż? Po-móc? - Wyciąga rękę w kierunku Takamine, spakowanej już razem z nutami, ale przecząco kręcąc głową.

—Dziękuję, ja sama... Nie, nie, naprawdę dam radę. To trochę moja maskotka. . - Czuję się głupio, bo kiedy mówię te sło-wa, stają mi przed oczami rzędy miniaturowych pluszaków na stole mikserskim. Jak zwykle zapomniałam ugryźć się w język.

—Rozumiem, To gdzie na herbatę, *miss*? U mnie w reżyserce czy w Części Jadalnej Części Hotelowej? - Wymawia to wła-

śnie tak: Wielkimi Literami.

—Mam prośbę. Nie wiem, czy tu jest taki zwyczaj, ale... wo-

łałabym, żeby nazywać mnie po imieniu, dobrze? A herbata..

Część Jadalna Części Hotelowej brzmi całkiem miło, Tym bardziej że sama tam raczej nie trafię. — Uśmiecham się.

—Odprowadzę pann... cię chętnie, Amando, żaden problem.

Tym bardziej że tam mieszkam. Jak wszyscy w czasie sesji. Niektórzy zapuścili tu korzenie, a ich ziemia jest właśnie w mieszkaniach w tylnej części, zaraz za podwórkiem. Idziemy?

Idziemy. A raczej idzie Martin, a ja gubię się za nim.

- Tutaj ostrożnie... bo tatami ze starości przybrało strukturę bagienną. W prawo. Uwaga na schodki. Teraz będzie w dół.

Nie, tam nie skręcamy, tamten korytarzyk prowadzi na ze wewnątrz budynku. . Á my nie chcemy na zewnątrz, przynajmniej nie w czasie sesji... Uwaga na głowę, bo strop tutaj niższy...

A i gryfu szkoda by było.

Rety, czy ten gość przez sen też tyle gada? Chyba tak. To wymaga lat ćwiczeń. Ale to. . sympatyczne takie.

- Dlaczego wszystkie te ścieżki są takie zawile? Nie licząc dźwiękowych, oczywiście - pytam nieśmiało, gdy po przejściu labiryntu jesteśmy w mikroskopijnej kuchenkojadalni, stworzo nej z ustawionego na podłodze czajnika elektrycznego i pudła sięgającego połowy łydki, służącego zarówno za półkę, jak i szafkę na talerzyki i cztery kubki. Każdy z innej rodziny.

I z innego pokolenia.

Herbata gotowa (z dodatkiem kwiatów jaśminu, moja ulubiona), siadamy z kubkami na

wiekowych tatami.

- To dobre pytanie i każdy je prędzej czy później zadaje. -

Martin znów przypomina sobie o swojej ukrytej naturze japońskiej nastolatki. W ogóle jak na gajdzina jest bardzo japoński.

Pomijając oczy. Zielone. A może szare? Chyba tak, nie jestem pewna. Kiepsko widzę w świetle dyndającej nad nami żarówki.

Poza tym drobiazgiem... jest jak japończyk. Nawet kilka bia-

łych włosów w czarnej czuprynie na skroniach nie burzy jego wyspiarskości. I porusza się tak jak my. Ciekawe.

- Na szczęście sesja trwa nie dzień, lecz tygodnie. Gwarantuję, że po tym okresie będziesz mogła nie tylko służyć za żywy drogowskaz, ale też swobodnie zrobisz doktorat z Historii Niewspółczesnej Radia Yokohama. Na razie pawiem ci jedno: to nie jest jeden budynek, tylko cztery. Połączone. W różnych okresach i z różnych powodów... Stworzyły one małe, zamknięte podwórko, idealnie kwadratowe. Widać je z okien Części Hotelowej, co można obejrzeć za dnia, oczywiście pod warunkiem, że uda ci się rozsunąć okno w twoim pokoju. Widzisz, te budynki służyły kiedyś... różnym celom. Były wielokrotnie przebudowywane i modyfikowane. Tu coś dolepili, tam dobudowali. W miarę potrzeb i przy okazji napraw po trzęsieniach ziemi, rozumiesz. Najlepiej zaprzyjaźnij się z panem Hayakawą, to ci opowie. Przynajmniej... część historii.

Milczymy chwilę, wpatrując się we wciąż parujące, choć już puste kubki.

Martin na odchodnym wskazuje *mi* drogę do *ofuro* 4, po czym kłania się na pożegnanie. Odwzajemniam się i pokonawszy zaledwie dwa zakręty korytarzyka wąskiego nieomal jak w horrorze, wkraczam do mojego nowego królestwa, wyposażonego w żarówkę w czymś, co dawniej było klasyczną, sypialnianą lampą, taką na dwie okrągłe świetlówki, i w cieniu *futon* spodni, przykryty *ty czerwonym futorem* wierzchnim. I właściwie tyle.

Stawiam gitarę *obok futonu* i siadam przy niej.

- Trafimy jutro do studia? Jak myślisz, Takamine?

Gitara milczy. Fakt, dość się dziś nagadała. Chociaż w sumie to był jeden kawałek, tyle że w kółko. Chyba się obraziła.

Rozglądam się po pokoju.

Aha, więc to jest moje mieszkanie na najbliższe trzy lub cztery tygodnie. Tak przynajmniej twierdził Jack. No właśnie, gdzie on jest, zastanawiam się, schodząc z rącznikiem na ramieniu do przyjemnego *ofuro*, na szczęście pustego, z ogromną, stalową wanną napełnioną po brzegi. Sądziłam, że kto jak kto, ale producent, mój rycerz na białym koniu, Ten-Który-Mnie-Odkrył, na pierwszej sesji z zasady powinien być obecny. A może wcale nie... W końcu wszystko, co wiem o nagrywaniu płyty, to w dużej mierze przypuszczenia i domysły. I relacje osób trze-cich. Cóż. Pozostaje mieć nadzieję, że pojawi się jutro.

Łazienka. Zob. też słownik, str. 369.

Jutro...

Z niepokojem przewracając się na *futonie*, odtwarzam w my-

ślach znaki szczególne zapamiętane po drodze ze studia do szumnie nazwanej „Części Hotelowej”. Jakies napisy, chyba coś o duchu... Dziura w ścianie, którą Martin określił jako „dezintegrację rzeczywistości” czy jakoś tak. Przed.. czy po zejściu z pięterka?

Hmmm. Były tam drzwi, które pokazał mi z tajemniczą mi-ną, a które po otwarciu zapraszały do wejścia... w mur. I.. nie, więcej grzechów nie pamiętam.

Jakoś to będzie. Zawsze jakoś jest. Prawda, Takamine?

Jutro.

Stada galopujących goryli w mojej głowie powoli przeista czają się w orangutany. Uwielbiam je; one nie galopują, lecz re-laksująco swingują po konarach spokojniejszych już myśli Zu pełnie jak. . "

./'>.

Nie mam czasu pomyśleć, jak kto, bo zasypiam.

Rozdział Drugi

w którym Papuga sterczy niemym krzykiem, a czeladnik bierze kajecik, ołówek i pisze.

Wtorek, 1 czerwca 1999

- Andrzej? Wykręć no numer pana Hayakawy i dowiedz się, gdzie ich wcięło. Cały ten zespół. Przyjechali ponoć o dziesiątej, mieli się tylko przebrać (ciekawe, po co i w co), jest jedenasta, więc... HE??? Zgiń, przepadnij, siło nieczysta!!! Wyrzuć to natychmiast!

- Errr...?

- Komórka!!! Wyłącz tę komórkę! Wyrzuć ją przez okno! Zakop pod ziemią, przyklep i podlej wiadrem wody!

Andrzej przerwał pisanie sms-a i patrzył na mnie z wyrazem twarzy wyraźnie komunikującym nie najwyższą opinię o moim zdrowiu psychicznym.

Zlitowałem się:

- Szanowny kandydacie na czeladnika na pomocnika młodsze go realizatora. Lekcja Pierwsza. Nie, czekaj, Trzecia, pierwsza by ła na temat niekichania w mikrofon wstęgowy, a Druga o niesta-wianiu kubka z kawą na sprzęcie wartym pół miliona jenów. No więc Lekcja Trzecia, która powinna była być pierwszą. Uważaj: Komórka Wrogiem Akustyka. Komórka to - zniżyłem głos -

Brzydkie Słowo. W studiu nigdy, przenigdy nie używamy telefonów komórkowych! Chyba że chcesz zobaczyć Gniew Bosa, gdy na idealnie nagranej ścieżce, na tym wymęczonym, dwudziestym piątym tejku5, kiedy perkusista WRESZCIE zagrał równo, usłyszysz: „BI BIP!!! BI Bip!! Bi bip! bi bip...”.

Tak, kilku widziało Gniew Bosa. Zauważyłeś może te pionowo wbite deski na podwórku? No, pewnie tam jeszcze nie byłeś.

Obejrzyj je sobie w czasie przerwy. Na razie uwierz mi na słowo.

Nikt z nich już ci nie powie, jak wygląda Gniew Bosa. Cha, cha! -

Roześmiałem się ponuro.

Andrzej próbował roześmiać się do wtóru, ale mu nie wyszło.

Patrząc na mnie z „Ty tylko żartujesz, prawda?” wypisanym na twarzy, wyszedł tyłem z reżyserki, niosąc w wyciągniętej ręce swój telefon komórkowy, trzymany dwoma palcami za antenkę.

Gruchotliwy hałas z głębi korytarzyka zakomunikował, że Andrzej zapomniał o Schodku.

Dobrze. Lekcja na całe życie. Chyba mu nawet odpuszczę pisanie czterdzieści pięć razy w kajecie „Nie będę wnosił do studia telefonu komórkowego”. Jak kazałem pisać temu młodemu Ja-pończykowi, Koji Tanaka, który był moim Młodszym dwa lata temu. On chyba spał z tą swoją komórką. Całował ją zapewne na dzień dobry. Gdyby mógł, wszczepiłby ją sobie. Gdzieś. Trzy razy próbował przemycić telefon do studia, aż poznał Gniew Bosa...

HA! Siedział potem po godzinach i pisał w kajecie...

Właśnie, gdzie kajecik?

Odnalazłem na stole czarny zeszyt Andrzeja marki Moleskine, kultowy notatnik realizatorów nagrań. Otworzyłem pierwszą stronę.

Hmmm... starannie wpisał ołówkiem datę i numer dzisiejszej sesji, numer studia i nazwisko realizatora. Bardzo ładnie. Porządny chłopak. Dalej - wytwórnia i nazwisko producenta: Morie. Nie znam gościa. Wysłał faks, że przyjedzie jutro i żeby zacząć nagranie bez niego.

5 Tejk - kolejna próba nagrania utworu. Zob. też słownik, str. 372.

Co my tu jeszcze... Aha, nazwa zespołu: Y2K. Tak. Baaardzo oryginalne. Dziś wszystko ma w nazwie „2000”, „Milenium”, „Y2K” albo „Nawróćcie się, Koniec Świata Blisko”.

No nic, grunt, że jest nazwa. Za to nie ma kapeli.

Gdzie są ci infernalni muzycy???

Chwyciłem za słuchawkę telefonu stacjonarnego i wykręciłem numer pana Hayakawy.

- Hayakawa-san *ohayo!* Jak szanowne zdrowie? Czy wszystko w porządku? Zespół dotarł...?

Słuchałem przez chwilę, potakując.

- Dobrze, wyślę do nich Andrew. Znaczy... mojego pomocni ka. Tak, oczywiście, szefowa... to znaczy szanowna pani Orita...

została powiadomiona. Tak, otrzymałem zgodę. Ucieszyła się na wet, bo inaczej mielibyśmy problem z nagrywaniem tej nowej malajskiej wokalistki, Amandy... Tak, jak zawsze liczę na pana cenną pomoc i uczoną poradę... Tak. Dziękuję.

Odłożyłem słuchawkę i podniosłem głowę. Andrzej przyglądał

mi się badawczo, ale jakby z ulgą: szef rozmawia przez telefon, więc chyba nie postradał do końca zmysłów.

-Andrzej? Biegnij do części hotelowej. Proszę: zrób sobie ksero tej mapki, bo inaczej tu nie wrócisz. Umiesz obsługiwać kopiarkę?

Brawo. A teraz cwałuj do hotelu, bo kapela tam tkwi od dziesiątej.

Sprawdź, co robią, i wytłumacz grzecznie, że czekamy w studiu.

Czekaj! - Złapałem go za ogon koszuli, kiedy już znikał w drzwiach. — Jak się ma twój japoński?

- Dziękuję, dobrze. Pozdrowię go od Bosa - odpowiedział

i pobiegł.

No proszę, pyskаты Młodszy mi się trafił - pomyślałem. - Cóż, oni wszyscy tacy. Tylko Koji był inny. Nie licząc fetysza komórkowego, greczny aż miło. Za to nic do niego nie trafiało, a jak czegoś nie rozumiał, siedział w kącie pół dnia, zbierając się na odwagę, żeby zapytać. Czasem cały dzień. Albo dwa. Naprawdę: potrafił przez dwa dni obgryzać paznokcie, pocić się, drapać w głowę i sykać z zakłopotaniem przez zęby, próbując ułożyć 録音中

w myślach skomplikowaną i przerażająco odważną wypowiedź

typu: „Eeetoo... przepraszam, szefie, to skąd mam przynieść te taśmy...?”.

Tak, zdecydowanie wolałem młodego Kanadyjczyka. Bystry chłopak i szybko się uczy. I pyta, jak nie wie...

- Co tam, John?

Do reżyserki wpadł nasz szalony DJ, gubiąc jeden kapeć w progu. Powiódł nieprzytomnym wzrokiem dookoła, wsadził rudą czuprynę pod stół mikserski, walnął parę razy pięścią w ścianę i wybiegł.

Kapeć został.

Świetnie. W tym studiu zdarzały się już dziwniejsze rzeczy. Jeśli będzie chciał, to mi powie. Jeśli nie - drugie dobrze. Na szczęście zawsze szanował czerwony napis

(nagranie w toku),

świecący się nad drzwiami w czasie sesji.

Wrócił Andrzej.

- Szefie...

- Czeladniku?

- Oni powiedzieli mi przez drzwi garderoby, że się... malują.

- Ma... co?

- ...luja.

- I przymierzają suknie ślubne? OK, jestem tolerancyjny i wy-rozumiały dla alternatywnych form egzystencji, ale czas studyjny KOSZTUJE. Ściągnij mi ich natychmiast, a potem idź do studia B

zająć się Amandą. Nie, czekaj, razem pójdziemy. A potem raz--dwa zrobimy porządek z zespołem.

Poszliśmy.

Droga ze studia A do B była dziś nieco utrudniona ze względu na ogromne pęki kabli, pokrywające podłogę w korytarzyku między windą na trzecie a klatką schodową na czwarte. Kabli we wszystkich kolorach tęczy, choć w odcieniach raczej pastelowych.

Kabli grubych i cienkich, splątanych, wijących się jak węże, czasem groteskowo rozciągniętych, czasem poskręcanych, jakby w przedśmiertnych konwulsjach.

Stąpaliśmy w skupieniu, poruszając się skomplikowanymi zyg-zakami po nielicznych wolnych obszarach starej, wzorzystej klep-ki, przebłykującej wśród kolorowego chaosu.

W pewnym momencie łamigłówka mnie pokonała i po zrobieniu jednego kroku do przodu okupionego dwoma wstecz dałem za wygraną: rozsunałem przewody w miejscu, gdzie były trochę przerzedzone.

- Wybacz, Ikeda-san — mruknąłem.

- Kto? - zapytał Andrzej.

- Techniczny. Nie wiem, co tu kombinuje, więc lepiej nie ruszać. To najbardziej roztargniony człowiek na świecie, więc nie zdziwiłbym się, gdyby sam już nie pamiętał, co miał zamiar zrobić z tym instytutem kablownictwa. Ale... lepiej nie ruszać. Mam pewne doświadczenia... Opowiem ci kiedyś.

Pokonaliśmy ostatni zwój, w niemym wysiłku martwego war-townika broniący dostępu do drzwi studia B.

Dziewczyna już czekała. Przykucnąwszy przed wejściem do sali studyjnej, pobrzękiwała na swojej gitarze i nuciła coś, nieświadoma naszej obecności. Szturchnąłem młodego w bok.

- Ykhn - przywitał Amandę uprzejmie.

- O, dzień dobry. — Uśmiechnęła się, wstając.

Podałem jej rękę po malajsku, zamiast uścisku stosując muśnięcie dłoni i dotykając czubkami palców okolic serca. Zamiast uznania zobaczyłem w jej oczach zdziwienie. Niemniej odwzajemniła gest.

- Mam nadzieję, że dobrze się spało.

Kiwnęła głową.

- Zaczynamy? — Zapraszającym gestem otworzyłem drzwi stu dia. Wskazałem Andrzejowi nosem półkę z czystymi taśmami, zrozumiał bez słowa. Trzeba mu będzie marchewkę... No nic.

Amanda obserwowała moją zwykłą krzątanicę kątem oka, sama rozpakowując nuty, teksty i rozkładając różnej twardości piórka.

Młody także obserwował, z tą różnicą, że stał z taśmą wetkniętą pod brodę i po każdym zerknięciu notował coś w swoim kajecie.

Uśmiechnąłem się dyskretnie z zadowoleniem.

Ustawiłem mikrofony przed gitarą Amandy, spróbowałem...

Zerkała na mnie z napięciem, jakby gotowa rzucić się w razie czego na odsiecz instrumentowi, więc zademonstrowałem przesadną ostrożność, dotykając jej sprzętu. Cóż, muzycy tak mają. Prędzej da sobie taki walcem na dłoń najechać, niż potracić ukochany instrument. Biada realizatorowi, który o tym nie wie! O, świetny temat na Lekcję Numer Cztery dla Andrzeja - pomyślałem.

- Oookiej, wygląda na to, że tutaj wszystko gotowe. Ile mamy numerów?

- Osiemnaście... nie, zaraz, siedemnaście. Jack mówił, że po aranżacji wybierzemy z tego trzynaście. Właśnie, czy mój... producent nie wspominał przypadkiem, kiedy przyjdzie? Nie dzwonił

może...?

W wielkich, ciemnych oczach błysnęła nutka niepewności i lekkiego zagubienia. Andrzej zastygł z ołówkiem w powietrzu.

Oboje patrzyli na mnie wyczekująco.

Uśmiechnąłem się spokojnie, ulgownie.

- Dziś nie miałby tu nic do roboty. To będzie tak zwana sesja na brudno. Nagrywamy numery po kolei. Jak zrobisz dzisiaj sześć-siedem, będzie dobrze. Nie, nie, bez obaw, każdy tylko RAZ, może być z pomyłkami, to bez znaczenia - dodałem szybko, widząc rosnące przerażenie i natychmiastową ulgę po słowie „raz”. - Chodzi o ogólną orientację. Długość, brzmienie, nastrój... Później zajmiemy się każdym utworem z osobna. Już z producentem.

- Dobrze. - Amanda usadowiła się na swoim barowym stołku, włożyła słuchawki i sięgnęła po gitarę. Zrobiłem z kciuka i palca wskazującego kółko, po czym ewakuowałem się do reżyserki.

- Andrzej, dziś ty nagrywasz - szepnąłem konspiracyjnie, patrząc na zegar nad szybą. - A zatem...

- SAM?! Myślałem, że mam się tylko...

- Nie myśl, tylko słuchaj. I zdejmij tę panikę z twarzy, miałeś ją już na sobie wczoraj.

Włączyć i wyłączyć umiesz. Pisać również, jak widać, umiesz.

Pawian - wskazałem na przycisk — pozwoli ci się komunikować 録音止.

z szanowną artystką. Nagrywacie RAZ. Po każdym kawałku dziesięć sekund przerwy. Czyli czas dla ciebie na zapisanie w kajecie Ważnej Rzeczy, a mianowicie tytułu i czasu trwania numeru -

tłumaczyłem, ustawiając błyskawicznie parametry, grupy, poziomy, submix na monitory, wreszcie odrobinę EQ i pogłosu dla artystki w odsłuchach. Z pewną nutą zadowolenia zakonotowa-łem podziw w oczach młodszego. — Wszystko jasne? No to żyrafa i naprzód.

Młody wyglądał tak, jakby szukał desperacko jakiegoś pytania — czegokolwiek, co mogłoby zatrzymać mnie minutę dłużej i pozwoliło mu nie zostać samemu, z dziesięcioma sążniami pod stopą i brakiem kamizelki ratunkowej. Trudno. Ja też zostałem kiedyś brutalnie wrzucony przez mojego Mistrza na głębokie studyjne wody. Kiedy to było...? Chyba na trzecim roku.

Zrobiłem w tył zwrot.

- Bos...? Zdradzisz coś jeszcze...?

Zatrzymałem się w półobrocie.

- Bos nie zdradza. Bos dba o klienta. No, co tam?

- Te zwierzaczki na stole... Po co one...?

Taaak. Mogłem się tego spodziewać. Każdy do tego dochodzi.

Znaczy, ci z gatunku odważnych, niepotrzebujących sześciu dni na przemyślenie, czy WYPADA zadać takie niedyskretne pytanie Szanownemu Realizatorowi. Ale co czeladnik to czeladnik - wiedzieć powinien.

Dwoma palcami uniosłem delikatnie zadek orangutana.

- Czytaj! — Wskazałem na umiarkowane zawikłane krzaki wy-kaligrafowane pod suwakiem: - Cośtamcośtam *to? Tomare no to?*

- Ostatni znak się zgadza. A tych pierwszych dwóch się naucz, jeśli chcesz się zajmować nagraniami. Dobra, teraz to. — Uchyli-

łem dyskretnie pawiana. Młodemu pojawiła się pytająco-myśląca zmarszczka pomiędzy oczami.

- A tutaj? — Chwyciłem wiewiórę za ogon. Andrzej westchnął.

- Dobra, już, dobra, zrozumiałem...

- No właśnie. Teraz sobie wyobraź, co tu się działo, gdy przyszli pierwsi nagrywacze z Krainy Błedego Człowieka. Horror, Sodoma z Gomorą i dramat w sześciu aktach. Siedział taki trzy godziny za szybą i dzielnie nagrywał własny odsłuch, bo mu się krzaki pomyliły. Na początku Japończycy powtykali mikroskopijne karteczki z niemal angielskim tłumaczeniem. - Zachichotałem, przypominając sobie sławetne wpadki, będące rezultatem popisów lingwistycznych pana Hayakawy. - Ale nie łudź się, że o trzeciej rano, po dwunastu godzinach sesji, odczytasz w półmroku reżyserki czcionkę o rozmiarze 6 1/2, mówiącą zresztą, że ten przycisk to „Przystanek autobusowy nr 3”. Nie śmiej się, naprawdę tak był opisany. Pamię-

tam jak dziś... W końcu błyskotliwy Ikeda-san zaopatrzył nas, gajdzinów niereformowalnych, w całe to sympatyczne zoo.

A więc - ciągnij żyrafę. Bo jest już... CO? Dwunasta czterdzieści pięć???

Popędziłem drogą okrężną, mimo wszystko szybszą niż taniec w kablowej dżungli pana

Ikedy.

Studio A było równie puste jak wtedy, gdy opuszczałem je godzinę temu. Nawet jakoś bardziej puste, bo wszystkie jego siedem ścian krzyczało w niemym oskarżeniu, że brak między nimi zespołu. Który miał się stawić dwie godziny temu.

Chwyciłem za telefon. W części hotelowej nikt nie odbierał. Iść tam? Czekać?

Kiedy nie wiadomo, co zrobić, należy zrobić herbatę.

Postawiłem parujący kubek na swoim miejscu i ponownie sięgnąłem po telefon.

Zacząłem wykręcać numer pana Hayakawy, kiedy kątem oka dostrzegłem przez szybę reżyserki jakiś ruch w sali. Ciężkie drzwi otwarły się powoli.

Wszedł, kłaniając się w stronę szyby, pan Tabashi. Woźny.

Uśmiechnięty i rumiany jak zawsze, okaz zdrowia — pomimo swoich pięćdziesięciu czterech lat, spędzonych chyba w całości w korytarzach i korytarzykach Radia Yokohama. Ubrany w stare, ale nienagannie wyprasowane prążkowane spodnie, kremową koszulę z niską stójką oraz połatany na łokciach, szary, pikowany kubrak, który nosił z godnością kamerdynera.

Poruszył ustami.

Odruchowo dałem prztyczka wiewiórze.

- ...ponieważ się rozpełźli na czwartym piętrze, Bos-san.

A częściowo na trzecim i pół. Czy mogą już wejść do studia?

Wdusiłem szybko pawiana i pochyliłem się do szyjki mikrofonu.

- Tak, oczywiście, Tabashi-san, dziękuję, że pan ich znalazł...

Woźny uklonił się lekko monitorowi, mrugnął do mnie porozumiewawczo (o co mu chodzi?), po czym wykonał elegancki krok w bok, jak kamerdyner, który właśnie zaanonsował przybycie Waż-

nego Gościa. Staął pod ścianą, z dłońmi splecionymi za sobą.

Weszło COŚ.

COŚ przypominało papugę, która przez przypadek wsadziła dziób do gniazdka elektrycznego. I sterczało. Sterczało w niemym krzyku.

Z boku wylewało się wrzaskiem wielobarwnych piór, z domi-nacją ostrej żółci i ceglanej czerwieni, a u góry chwiało przepysz-nymi pióropuszcami w sinej bieli i królewskiej purpurze.

Pod Papugą kroczył makijaż. Prawdopodobnie wewnątrz mie-

ściła się ludzka postać. Ale nawet gdyby się nie mieściła, Makijaż niewątpliwie umiałby stać na podłodze o własnych siłach. KISS

może się schować. Ten Makijaż był żywcem z mangi o zombie--

samurajach, jeśli taka istnieje. A powinna, biorąc pod uwagę tę maszkę w czarnym, plastikowym płaszczu, ze srebrnymi epole-tami i wybuchami supernowych od kolan w dół.

Papuga z Makijażem wykonała kilka ostrożnych kroków do przodu, robiąc miejsce dla Pokurcza. Przez chwilę zastanawiałem się, czy Pokurcz ma tak od urodzenia, dopóki nie zdałem sobie sprawy, że jest po prostu zgarbiony pod ciężarem żelaznych łań-

cuchów, oplatających go jak choinkę.

Z tej jednej postaci można by zrobić niezłą aukcję na eBayu, w kategorii „Artykuły żelazne” - pomyślałem.

Łańcuchy, łańcuszki, agrafy, agrafki, nawet kilka śrub, brzeszczot od japońskiej piły ciesielskiej i coś, co wyglądało jak przyrząd do wydłubywania kamieni z kopyt końskich. A na szczycie -

gigantyczna, ośmiokątna czapka policyjna w kolorze czarnym, przyozdobiona żeliwną czaszką i wianuszkiem piszczeli odlanych w jakimś wyjątkowo brzękliwym metalu.

Spod czapki wystawały cienkie, czarno-czerwone pasma włosów zakończone węzowymi głowami.

Trzeba go trzymać z dala od lustra — pomyślałem.

Nie wiem, czy był też makijaż, bowiem robocopowate, czarne okulary godne niewidomego słonia zasłaniały całą fizjonomię.

Okulary ześlizgiwały się co chwila, więc schowany za nimi osobnik, mając ręce zajęte pudłem z gitarą, nerwowym podrygiem głowy podrzucał je raz za razem w górę nosa. Wyglądało to jak przypadek rzadkiej, ale nadzwyczaj interesującej choroby nerwopsychicznej.

Pokurcz wykonał trzy kroki, dołączając do Papugi.

Reżyserkę wypełnił ostry, metaliczny brzęk łańcuchów, więc szybko ściągnąłem wiewiórę o kilka kresek.

Nie, kolego, w tym to ty nagrywać nie będziesz - pomyślałem. I coś jeszcze zacząłem myśleć, ale nie mogłem się skupić, wpatrzony z przerażeniem w drzwi. Co się w nich teraz ukaże? Kapitan Ameryka? Batman? Niesamowity Hulk?

Nic z tych rzeczy.

Następne stworzenie nie weszło, tylko się wślizgnęło, całym swoim bytem przepraszając za to, że istnieje. Miało delikatne, ko-biece rysy, podkreślone starannym makijażem, częściowo scho-wanym pod bezkształtnym, miękkim beretem. Z broszką w kształcie stokrotki nad lewym okiem.

Jedwabny, niebieski płaszcz, haftowany w motywy kwiatowe, włókł się po podłodze studia, kiedy Stworzenie zajęło swoją pozycję koło Pokurcza, pobrzękując po drodze taną biżuterią i -

przysiągłbym - chichocząc nerwowo (ściągnięty potencjometr z wiewiórą przytłumił chwilowo dźwięki studia).

Nabrałem powietrza i przygotowałem się na najgorsze.

Niesłusznie tym razem.

Jako ostatni wszedł do studia Człowiek w Czerni. Ochrzciłem go właściwie tylko dlatego, że wszyscy inni dostali swoje miano niejako z automatu, ten tutaj natomiast wyglądał całkiem... ludzko.

Przyzwicie nawet. Czarny T-shirt z dyskretnym napisem Y2K na piersi i czarne skórzane spodnie. Na nogach tenisówki (czarne, oczywiście), a nie monster-buciorzy uzbrojone na wypadek najechna-nia gąsienicą buldożera, jakie mieli jego współbracia z Transylwa-nii. Nie, ten jeden przynajmniej nie był fanem biżuterii rodem ze sklepu dla budowlańców. Włosy nieufarbowane, jak w latach osiemdziesiątych, kiedy Japończycy byli jeszcze brunetami.

Staął grzecznie w rzędzie, uśmiechnął się, po czym - ku mojemu zaskoczeniu — wyszedł o krok w kierunku szyby i zajrzał do reżyserki.

- Furukawa Yoshi - przedstawił się krótko. Głosem brzmiącym zupełnie jak ludzki.

Powoli sięgnąłem do przycisku z pawianem. Czułem, że muszę coś powiedzieć.

Wyrezytał mnie pan Tabashi, wypowiadając złowieszcze słowa: - To jeszcze nie wszyscy, Bos-san.

Mrugnął przy tym znowu. Najwyraźniej bawił się przednio. Do studia zaczęły wchodzić sznurkiem... dziewczyny. Sztuk trzy. O

trzy za dużo.

Przyjrzałem się im. Reprezentowane gatunki: jedna Gotka i dwie Lolitki⁶.

5 Lolity i Gotki - formy weekendowej zabawy w przebieranie się, uprawiane z entuzjazmem przez japońską młodzież. Przebierańcy gromadzą się rejonie Harajuku/Omotesandó, gdzie kiedyś w niedzielę zamykano dla ruchu ulicę biegnącą przez park Yoyogi - odbywały się tam zaimprovizowane koncerty rockowe i zbiorowe szokowanie przechodniów strojami rodem z XIX wieku albo Rodziny Addamsów.

みんなでこんにちは...

W kontrakcie nie było mowy o chórkach! A nawet gdyby były, to nie nagrywa się takich rzeczy jednocześnie! Kakofonia by powstała, a nie nagranie!

Oparłem łokcie o brzeg stołu mikserskiego i wrażliem rozca-pierzone palce we włosy. Czasem to pomaga. Dziś niespecjalnie.

Wdusiłem pawiana i pochyliłem się do szyjki mikrofonu.

-

— zacząłem

- *Wi spiku inglishu. Ciotto a little* — poinformowały mnie wyniośłe monitory.

- OK... dobrze. Witam panów. Zaraz do was przyjdę... Postawcie instrumenty pod ścianą. Jeżeli jakieś macie... No nic, już idę.

W korytarzu złapałem Woźnego. Uśmiechniętego radośnie.

- Cieszę się, że się pan cieszy, Tabashi-san. Co mi pan tu przy-prowadził? Czy to ma być studio, czy pokaz mody ekstremalnej w Harajuku? Jak ja nagram tego brzęczącego? I gdzie jest producent???

- Nie wiem, Bos-san. To dobre chłopaki. Trochę nieśmiałe, ale taka jest dzisiejsza młodzież. Proszę się nie martwić, Bos-san.

Wszystko będzie dobrze. Jak zwykle...

Uśmiechnął się porozumiewawczo i zniknął na klatce schodo-wej, prowadzącej, o ile wiem, donikąd - co niekoniecznie musiało dotyczyć Woźnego. On chyba zbudował ten piekielny budynek.

Jakoś nie mogłem się zmusić, żeby wejść do studia i przywitać zespół. Z chórkami.

Spróbowałem schronić się na moment w bezpiecznym zaciszu reżyserki. Niestety. Reżyserka była zajęta. Przez Andrzeja i Amandę.

Stali z identycznymi wyrazami niedowierzania i zachwytu na twarzach, wpatrując się w pochyłą szybę, tę granicę między bezpieczną normalnością reżyserki a obłąkanym chaosem studia.

- Piękne... — westchnęła Amanda.

Podążyłem za zastygłym w powietrzu palcem Andrzeja. W studiu chórek gotycko-lolitoski uwijał się wokół zastygłej kompanii dziwolągów, poprawiając im elementy garderoby, układając artystycznie drut kolczasty na piersi Pokurcza i nastraszając Papugę, nieco oklapła po spotkaniu z framugą drzwi.

Nabrałem ponownie powietrza, wypuściłem powoli i postanowiłem być Profesjonalistą. Bossem. Czyli mną.

- Andrzej? Chodź ze mną. Amanda? Mówisz po japońsku?

Znakomicie. Zajmiesz się chórkami. Trzeba je czymś rozerwać, dopóki ja nie rozprawię się z zespołem. Nie, nie będziemy ich dziś nagrywać. Pierwszego dnia nigdy się nie nagrywa. Zaczekaj cie...

Wyszedłem stanowczym krokiem z reżyserki, podciągając spodnie i wciągając brzuch. Nadszedł czas Bosa.

- Witam szanownych artystów! — zacząłem. — Na początek po proszę przeuroczy chórek o udanie się na korytarz, gdzie nasza asystentka, pani Amanda, pokaże wam... errr... sofę. A panów po proszę o... - Skończyła mi się inwencja. Czy Stworzenie było mężczyzną?

Dziewczęta grzecznie wyszły rzadkiem. Zespół przyjął pozycję „spocznij” i zaczął rozglądać się po wnętrzu. Dobrze.

- Panów poproszę o — kontynuowałem dzielnie — instrumenty?

Pokurcz zachichotał, z brzękliwym akompaniamentem zakrywając dłonią zęby jak japońska nastolatka, i wskazał palcem na gitarę u swoich stóp.

Gitara przypominała gitarę tylko o tyle, że posiadała struny.

Reszta urodziła się pewnie w umyśle oszalałego projektanta fajer-werków. Tematem przewodnim były ewidentnie testy nuklearne.

Albo nieżył żołądek.

Nie, koteczku, na tym to ty nagrywać nie będziesz - pomyślałem, i już miałem wysłać Andrzeja do pakamery po studyjnego stratocastera, kiedy przypomniałem sobie słowa mojego Mistrza, sprzed wielu, wielu lat: *Pamiętaj, reżyser nagrań musi być przede wszystkim psychologiem...*

- Jaki... interesujący instrument! - zawołałem. - To może go do czegoś... wetkniemy? Kabina gitarowa jest tam. Wzmacniacz już gotowy... Zapraszam, zapraszam...

Nie, żebym zamierzał dziś nagrywać gitarzystę. Po prostu chciałem się pozbyć brząkadełek.

- Który z panów jest perkusistą? - kontynuowałem. - Może w ogóle się sobie przedstawimy? Ja jestem Martin. Martin Bos...

Przed moim nosem pojawiły się cztery identycznie czarne wizytówki z wyczuwalnym pod palcami wzorkiem złożonym z ma-lutkich literek „Y2K”. Brzegi wizytówek były artystycznie przybrązowane, jakby od ognia piekielnych. Obróciłem je po kolei na stronę z tekstem angielskim. Krwiście czerwona gotycka czcionka oznajmiała:

Kimitsu Matsumoto — wokalistka

Tomoki Hayashi - gitara

Hirō Ishizuka - gitara basowa

Yoshi Furukawa - perkusja

Patrząc na trzymaną w ręku czarną wachlarzyk, poczułem dziwny spokój. Przypomniałem sobie, że jesteśmy w kraju, gdzie każdy członek młodocianego zespołu rockowego ma własną wizytówkę. Przepisy, Zasady i Ład. Czyli to, co dobry realizator dźwięku lubi najbardziej.

Spróbowałem dopasować imiona do właścicieli.

Kimitsu. Pewnie znany jako Kimi. To będzie Papuga. Tak, na pewno, bo nie ma żadnego instrumentu. Nie wygląda też, żeby umiał śpiewać, ale kto dziś umie śpiewać? Dziś mamy autotune⁷.

Tomoki — gitara. Tomo? Pokurcz niewątpliwie. Właśnie zniknął

w kabinie. Rozlegał się stamtąd głośny, metaliczny brzęk. Dobrze, że Andrzej jeszcze nie podłączył wzmacniacza gitarowego.

Hirō - to będzie Stworzenie. Przynajmniej imię wskazuje na mężczyznę. Chociaż z japońskimi imionami nigdy nic nie wiadomo. Stworzenie stało bez ruchu, wyraźnie przerażone. Chyba że to wrodzona kokieteria. No nic, zajmiemy się nim później.

⁷ Autotune® - urządzenie służące do naprawiania dźwięków wydawanych przez fałszujących wokalistów. Umożliwia błyskotliwą karierę połowie gwiazd muzyki rozrywkowej.

Yoshi - perkusja. Czyli ten, którego ochrzciłem Człowiekiem w Czerni. A powinienem był ochrzcić Ostatnim Normalnym.

Podniosłem głowę znad wizytówek. OK, rozpakowywał werbel.

Niech mu będzie. Pewnie użyjemy jednego z naszych werbli, ale przynajmniej wie, co jest najważniejszym elementem perkusji.

Może da się z nim dogadać.

- Panowie - powtórzyłem, spoglądając nieufnie na Stworzenie.

- Muszę wam powiedzieć coś ważnego. Dziś jest pierwszy dzień sesji. To znaczy, że nie będziecie jeszcze nagrywać właściwych ścieżek. I że wasze... errr... stroje nie są do końca... niezbędne.

Tak. To teraz... poznajcie mojego asystenta. To jest Andrew.

Andrzej pokonał mnie w kategorii „znajomość miejscowych manier” i z głębokimi ukłonami wręczał oburącz przygotowane już wcześniej wizytówki. Zespół przyjął je z mieszaniną chichotów i niezgrabnych (niezgrabnych! Co się dzieje z tą japońską młodzieżą!) ukłonów.

- Andrew podłączy wam instrumenty, żebyśmy mogli posłuchać... co gracie. - JAK gracie. CZY gracie... — powiedziałem w myślach. - Potem nagramy tak zwaną wersję brudną, a ja zajmę się... - nie dokończyłem. Do studia wbiegł pan Ikeda, nasz Techniczny, obwieszony zwojami błękitnego kabla mikrofono-wego, z nieodłączną lutownicą sterczącą z kieszeni. Poprawił grube okulary w rogowej oprawce i omiótł roztargnionym wzrokiem salę.

- Bo jest przesłuch z bussu głównego na drugim auxie i phantom nie trzyma, a... - zaczął, zwracając się do Pokurcza.

- Tu jestem, Ikeda-san — zawołałem.

Poprawił okulary i, wytrzeszczywszy się po kolei na wszystkich, zidentyfikował cel, wskazując na mnie śrubokrętem.

- O, Bos-san! Bo przesłuch jest na auxie i cały buss brumi, a phantom przebija na preampy, i...

- Tak, tak, wiem, a droselklapa jest tandetnie zablindowana i ryksztosuje. Ikeda-san, właśnie rozstawiam zespół. Czy to może poczekać...?

- Poczekać? Poczekać. Poczekać!

Ikeda-san przestał wymachiwać śrubokrętem, wsadził go sobie za ucho i wybiegł ze studia.

Prawie się ucieszyłem, lecz niemal w tej samej chwili dostrzegłem błysk jego grubych okularów za szybą reżyserki, gdzie naj-wyraźniej zabierał się do rozbierania stołu mikerskiego. Mojego stołu mikerskiego.

- Zaczekajcie tu... — jęknąłem, wybiegając z sali. Reżyserka?

Nie. Potrzebowałem herbaty. Gorzej, potrzebowałem mrożonej herbaty. Nic innego tak nie studzi głowy w chwilach kryzysu.

Pogalopowałem do maszyny.

Zastałem ją oblężoną przez więcej kobiet, niż się przewinęło przez ten budynek na przestrzeni ostatnich dziesięciu lat.

- To nie jest chórek - oznajmiła promiennie Amanda, prezentując swoje podopieczne. -

Poznaj Rie, Chie i Akemi. Rie i Chie to siostry, wiesz?

- O? Naprawdę? Bardzo mi miło - bąknąłem, kłaniając się lekko Lolitkom i, dla bezpieczeństwa, Gotce. - Przepraszam panie...

Muszę wracać...

Wycofałem się na z góry upatrzone pozycje. Czyli do reżyserki.

Do miejsca skupionej pracy profesjonalisty. Oazy spokoju.

Z wyjątkiem dni, kiedy jest w niej siedem osób na przestrzeni zaprojektowanej dla trzech. Niby normalne w Japonii, a jednak...

Intensywnie. Ekstremalnie nawet. Szczególnie kiedy przez drzwi pcha się już kolejny strumień gości.

- Dziewczyny mówią, że martwią się o swoich chłopców -

oznajmiła stanowczo Amanda, wpychając swoje trzyosobowe stadko do nabitej już jak tokijskie metro reżyserki.

- Ooo, jakie urocze zwierzątka! - piszczała Rie. A może Chie. -

Kawarii.

Zespół brzęczał łańcuchami i rozsiewał po stole miksterskim farbowane włosy, przy akompaniamencie głośnych śmiechów wskazując pomalowanymi na czarno paznokciami co ciekawsze okazy studyjnej fauny.

Ikeda sterczał nogami spod stołu, lutując zawzięcie. Znad pawiana unosiła się strużka dymu. Pachniało pastą lutowniczą i es-tradowym makijażem.

Andrzej próbował tłumić ataki chichotów.

Akemi nic nie robiła, tylko stała i wyglądała gotycko.

Trudno mi powiedzieć, jak przebiega wybuch wulkanu. Nigdy nie studiowałem geologii. Ani nie byłem w pobliżu żadnego, kiedy akurat dojrzywał do wybuchu. Wiem natomiast dokładnie, jak wygląda wybuch Bosa. Wyobrażam sobie, że nie są to zjawiska bardzo od siebie różne. Na pewno zaczyna się od wzrostu ciśnienia magmy, która, nie mogąc znaleźć ujścia, wypycha strumień gazów i pary w górę krateru, aż do ujścia. Potem następuje erupcja.

- Precz! — wrzasnałem, dostrzegając resztkę świadomości, jak piskliwy staje się mój głos w takich chwilach. — Precz z mojej reżyserki! JUŻ!!! I nie wracać mi tu, bo wam peruki pozrywam! Nie wracać do... jutra! Tak, do jutra! Zostaje ten, no, Yoshi! Reszta do hotelu! Albo do jadalni! Byle nie tu! I zdjąć z siebie te brząkałe-

ka!!! Tu studio jest, a nie estrada!!! Czy wy mnie w ogóle słucha cie??? Aaa!!!

Zachrypłem.

Rozejrzałem się powoli.

Siedem par oczu wytrzeszczonych tak, że prawie przestały być skośne. Stopniowo spuszcanych, wbitych w ziemię z wyrazem zawstydzienia, szoku albo niesmaku.

Reżyserka zaczęła potulnie pustoszyć.

- *Baka 8!*- Parsknęła, wychodząc, Chie. A może Rie.

Spuściłem głowę w uznaniu moich win. Jakich - jeszcze nie wiedziałem, ale czułem, że się wkrótce dowiem. Poza tym tego wymaga kod społeczny.

Kiedy podniosłem wzrok, w reżyserce pozostali już tylko Yoshi, nogi pana Ikedy wystające spod stołu i Andrzej gotujący się do podążenia za zespołem.

Głupi! I kilka znaczeń pokrewnych. Zob. też słownik, str. 364.

- O, nie, ty zostajesz! - Złapałem go za ogon koszuli. — Her bata... Królestwo za herbatę... - Opadłem dramatycznie na mój fotel na kółkach.

Andrzej pojął w mig i włączył elektryczny czajnik.

- Yoshi-san - powiedziałem cicho między siorbami. - Pierwszego dnia musimy tylko przygotować perkusję. Proszę cię, zakomunikuj to jakoś swoim kolegom. Oni chyba nie są zbyt obcy ze studiem, prawda...?

- *Hai* — odpowiedział Yoshi, w tym krótkim słowie zawierając uwagę, zrozumienie, potwierdzenie, akceptację, stanowczość, chęć działania, skupienie, entuzjazm, powagę, odpowiedzialność, gotowość dalszej współpracy i solidarność duchową. Czyli wszystko, co w tę jedną sylabę upchnęło dwa tysiące lat kultury japońskiej.

Dobrze wybrałem. Mój stary Mistrz byłby ze mnie dumny. Zawsze mówił, że w każdym stadzie artystów, chociażby nie wiem jak szalonych, jest ktoś, z kim da się dogadać. Trzeba go tylko zidentyfikować.

- Świetnie, Yoshi-san. Zróbmy tak: idź teraz do swoich kole gów, wytłumacz im, że mają resztę dnia wolną i żeby się stawili jutro o dziesiątej. W strojach... errr... nieformalnych, o ile można prosić. Sam wróć tutaj po obiedzie, albo nie, trochę później, po wiedzy... o piątej? Obmikrofonujemy ci z Andrzejem perkusję i zrobimy kilka małych testów.

Yoshi podziękował i zniknął.

Zamknąłem oczy i oddałem swoją duszę herbacie.

- Szeffie...? - Wyrwało mnie ze stanu bliskiego normalności. -

Oni się zgubią.

- Nie. Oni już się zgubili - szepnąłem, nie otwierając oczu. -Ależ ze mnie idiota... przecież zaraz się rozpełzną po budynku i ktoś wpadnie do dziury na drugim piętrze, a studio zbankrutuje na odszkodowaniach... Biegnij, Andrzejku, biegnij! Co ja narobiłem...

Nie, zaraz... przecież dałem ich basiście mapkę! Dałem...? Nie, nie dałem, bo nie wziął, mówiąc, że nie potrzeba, cymbał jeden.. Słuchaj, najlepiej ściągnij pana Tabashiego. Woźnego. Tra-fisz? Powiedz mu, że Martin prosi o zagonienie zespołu do za-grody. To znaczy do części hotelowej. I że chcę do niego przyjść na kozetkę zaraz po lunchu. Bogowie, co za dzień...

Andrzeja już nie było.

Dobry chłopak.

Pana Ikedy, Technicznego, też nie było, przynajmniej duchem.

Spod stołu mikserskiego dobiegało delikatne chrapanie.

Budzi mnie CISZA. Brzmi co najmniej złowieszczo.

Pachnie zaspaniem, spóźnieniem i oskarżeniem o nieodpowiedzialność i gwiazdorstwo. O loosie. .

Wystrzeliwuję z *futonu* jak z procy. W tempie godnym ame-rykańskich sił specjalnych lokalizuję wszelki sprzęt niezbędny do ukazania się za drzwiami Części Hotelowej.

Kilka nieomal astmatycznych wdechów pomiędzy dwudzie-stoma czynnościami i już, teraz tylko...

Aha.

Stoję za drzwiami, usiłując sobie przypomnieć, którym korytarzykiem mam ruszyć, żeby zejść na dół, później w prawo i do góry, a może w lewo i do góry...

Zapomniałam wieczorem przypomnieć Martinowi o obiecanej mapce. No nic. Ruszam niepewnie, poczyłając się pod suszącą się przed kolejnymi drzwiami bielizną. Męską.

Za jeszcze następnymi podnoszę przewróconą doniczkę z bonsai, leżącą na białym, plastikowym stołeczku do mycia (takim z łazienki), pod małym, nieprzeźroczystym okienkiem.

Ojc — myślę, wkładając odruchowo rękę do kieszeni i nie znajdując tam telefonu. Wprawdzie w trakcie nagrania i tak jest wyłączony, ale liczę na to, że dziś przed sesją zadzwoni w końcu Jack i przynajmniej powie mi, co i jak robić. A może wreszcie się pojawi? Trochę jestem na niego zła - zostawił mnie tu samą, zieloną, a sam pewnie bawi na Florydzie. Albo Antarktydzie. Wszystko możliwe.

—Nie dotykać! — Warczy coś na mnie spod uchylonych drzwi, obok których się zatrzymałam. Twarzy nie widzę. Nie widzę też niczego, co warto by dotknąć.,.

—Niczego nie dotknę, przepraszam. - Odchodzę pośpiesznie. Już po dziesięciu sekundach przeklinam w duchu ten po-

śpiech, bo żółtych ścian na pewno wczoraj nie widziałam, co oznacza, że nie mam pojęcia, gdzie się znajduję. Świetnie, że Martin dał mi swoją wizytówkę. Jeszcze świetniej, że ją zostawiłam w pokoju. Który zniknął.

Słyszę dziwne, miarowe szuranie i robi mi się nieswojo. Tyle się słyszy o starych domach... Szuranie staje się głośniejsze i jakby... coraz bliższe. Odruchowo przywieram do framugi.

Nagle... ustaje.

Tutejszy Wózny opiera się spokojnie na wielkiej szczotce ze słomy ryżowej i mówi po japońsku, tak naturalnym tonem, jakby pytał, czy jadłam *roti* na śniadanie: — Dzień dobry szanownej pani. W drodze do którego studia

pani błędzi?

—Właściwie... nie jestem pewna, bo wczoraj.,. Przygląda mi się z uśmiechem i przechodzi na angielski:

—Nazwisko szanownej pani?

—Anu... Amanda. Od Jacka Worthona.

— A! Wszystko jasne! Studio .B. Proszę za mną. Później narysuję pani mapkę.

Uff. Oby.

...so I'll wait for the time to come for the time to go

Czerwone światelko nad drzwiami gaśnie na dziesięć sekund. Trzy oddechy, przewrócenie strony.

- Zaczynamy. - Słyszę w słuchawkach. Wchodzę w tonację e.

I was born in an old empty house...

Odpływam. Zapominam o mikrofonach, nagraniach, krę-

tych korytarzach, zaginionych producentach... Tu jest mi dobrze, znajomo. Przecież już jako mały brzdąc, gdy świat dokuczył, biegłam schować się pod łóżko, zatykałam uszy i śpiewałam. Albo próbowałam wystukać rytm szumienia palmy nad zatoką. Desaru... chyba. Ileż to już lat...

Światelko gaśnie. Wykorzystuję te dziesięć sekund, by roz-prostować palce, co nie uchodzi uwagi młodego realizatora.

- Przerwa? - Kiwa zachęcająco głową.

Wychodzimy.

- Dziś wyjątkowo zmrożona - mówi Andrew, podając mi puszkę. Siadam z kawą na zielonej sofie, o której po wczoraj-szym dniu spędzonym tu niemal w całości mam szczerą ochotę napisać jakiś lekko satyryczny tekst.

- Dobrze poszło - mówi tylko po to, żeby coś powiedzieć.

- Jak długo tu jesteś? - pytam bardziej z chęci przerwania niezręcznej ciszy niż z ciekawości.

- Masz na myśli Japonię czy radio?

- W zasadzie.. jedno i drugie. Jeśli masz ochotę opowiadać.

Andrew pociąga łyk kawy, żeby zarobić parę sekund.

- Do radia trafiłem... mniej więcej dwa lata temu. Właściwie przypadkiem. Na wyspy uciekłem jakieś pół roku wcześniej.

Miałem uczyć. A wyszło na to, że sam się uczę. Znów. -

Uśmiecha się. - A ty?

Zastanawia mnie to „uciekłem”, ale nie drążę tematu.

- Moi rodzice przenieśli się tu z Malezji, gdy byłem jeszcze dzieckiem. Cóż, historia prosta i typowa. - To akurat niekoniecznie zgodne z prawdą, ale,, to przecież tylko *small talk*. — Zamieszkaliśmy w Osace, później w Yokohamie. Spokojniej jakoś.

- Aaa, to już wszystko jasne. Bo - dodaje szybko, widząc mój pytający wzrok — nie chciałem tak od razu, ale.. Mówisz po japońsku z akcentem kansajskim, po angielsku z brytyjskim, wyglądasz jak Malajka, a zachowujesz się jak Japonka, z tą róż-

nicą, że nie dziwisz się gajdzinom...

Śmiejemy się. Pierwsze lody odłamują się z hukiem i odpływają w stronę ciepłych mórz.

Po trzech kolejnych kawałkach słyszę w słuchawkach: —Zaczekasz chwilę? Skoczę tylko do studia A po taśmy, ta jest ostatnia...

—Wiesz, jeśli nie masz nic przeciwko temu, chętnie przesłabym się z tobą, żeby poznać teren. Wciąż się tu gubię - proponuję mikrofonowi.

—Oczy... — Andrew za wcześnie ściąga suwak.

W reżyserce studia A dzieją się niesamowite rzeczy. Miał się nagrywać jakiś ważny zespół. Nawet Martin, choć wygląda na starego wyjadacza, biega spięty, dzwoni, pokrzykuje i przeciąga palce przez włosy, tarmosząc je niemiłosiernie.

Tymczasem to, co weszło do sali studyjnej, wcale nie przypomina zespołu muzycznego, tylko aktorów ze współczesnego horroru. W myślach nazywam ich „Koszmar Minionego Lata”. Po chwili przychodzi mi do głowy, że pewnie będą nagrywać dzisiaj teledysk — ostatnio modne są takie studyjne tematy, bo fan ma wrażenie, że widzi Proces Tworzenia. Profesjonaliści. No, no.

Niemniej widząc te tłumy za szybą (po chwili pojawiają się dziewczyny, chyba wizażystki, bo poprawiają muzykom ich niezwykle makijaże), odczuwam swoisty rodzaj zadowolenia z faktu, że jestem początkującą, ale samodzielną wokalistką.

Trzeba spędzić wiele lat w studiu nagrań, żeby odnaleźć się w tym, co moje niewprawne oko postrzega jako totalny chaos.

Andrew stoi z taśmami w ręku, ze szczęką na wysokości jabłka Adama. Mniej więcej.

— NIE!!! Znaczy... tak! Chodźcie ze mną, oboje! Mówisz po

japońsku?! - Martin wygląda, jak... Koniec Świata Blisko.

Nie rozumiem. Po chwili ostatecznie wybucha i zaczyna krzyczeć. Na wszelki wypadek zabieram ze studia trzy wystraszone dziewczyny i idziemy na kawę. Tam trafię z pewnością, na moją ulubioną sofę.

—Uwaga na schodek, niespodziewany — ostrzegam trochę za późno, bo obcas jednej z dziewcząt w różowych spódnichkach wykonuje głośne „trzask”! Oj, będzie płacz i katastrofa...

- Ups - mówi tylko, zdejmuje buty i niezrażona nie najczystszą w tym miejscu podłogą (muzycy chodzą tu w butach, a nie w kapciach) drecze dalej w króciutkich skarpetkach. Niebieskich...

Środa, 2 czerwca 1999

Za pięć jedenasta. Wieczorem.

Przeciągnąłem się i łyknąłem zimną herbatę. Pora na kolejną?

Arinaminka małego może? Nie, to jeszcze nie jest prawdziwa Nocna Nasiadówka. Te nastaną, kiedy wejdziemy głębiej w sesję.

Może za tydzień, może za dwa.

Tak. To był dobry dzień. Skończyliśmy cztery numery na brudno i jutro będzie można wziąć się za nagrywanie ścieżek perkusji.

Kapela była dziś zadziwiająco potulna. Grać co prawda nie umieli, ale od tego jest reżyser nagrania (wspomagany delikatnie współczesną technologią), żeby nawet z Milli Vanilli zrobić... errr...

Milli Vanilli.

Dziewczyny gdzieś się zmyły i nie przeszkadzały. Oby tak dalej.

Bo już się bałem, że Akemi, ta rodzaju gotyckiego, zaczyna mi rozpraszać Andrzeja. A to by była gruba przesada. O właśnie, Andrzej. Opisywał teraz pilnie taśmy z dzisiejszej sesji. I zerkał na mnie, kiedy myślał, że tego nie widzę.

- No? Co tam? - zapytałem. — Wyglądasz, jakbyś chciał coś powiedzieć.

- Właściwie... zapytać.

- Wal. Szefostwo jest dziś w dobrym nastroju — przyzwoliłem łaskawie.

- No więc... Dlaczego pozwoliłeś im przyjść w tych swoich...

eee... sukniach? Bo wczoraj tak się tym... bulwersowałeś?

- A. — Przetrawiłem pytanie. - Wiele się jeszcze musisz nauczyć, drogi kandydacie na czeladnika na pomocnika młodszego realizatora. - Wyciągnąłem nogi przed siebie i splotłem ręce na karku - moja ulubiona pozycja między jedenastą w nocy a trzecią nad ranem.

- I dlaczego dziś wybaczyłeś kilka pomniejszych łańcuszków na... — kontynuował Andrzej, ośmielony moim przyzwalającym uśmiechem.

- Pokurczu? Znaczący tam gitarzyście, jak mu tam? Tomo? Już wyjaśniam, Andrzej mój. Otóż łańcuszki, jak to ładnie ująłeś, brzęczały. Fakt. Ale widzisz, wersji brudnej nagrania to zupełnie nie szkodzi. Natomiast w swoich scenicznych zabawkach chłopcy czuli się jak na scenie, więc trochę im przeszedł Paraliż Studyjny. O

którym będzie kiedyś osobny wykład. Bo reżyser nagrań, uważasz, to przede wszystkim... - zawiesiłem głos dla efektu -...psycholog.

Naciskać guziki umie byle małpa. Jak ten tu orangutan. — Wskazałem małym palcem maskotkę zdobną przycisk odtwarzania. - Ale zrobić tak, żeby zespół dał z siebie wszystko, to wymaga głębokiej, uważasz, głębokiej znajomości ludzkiej psychiki. I „wszystko” wcale nie zawsze wystarcza. Z tego tu oto jakmutam...

- Y2K - odpowiedział Andrzej.

- DOKładnie z tego *tai cuu ket*, jak oni to wymawiają, nie wystarczy wyciągnąć wszystko, bo to by było za mało, żeby doszli do ćwierćfinałów konkursu na wieczorku zapoznawczym drugiego turnusu wczasów pracowniczych w Burakach Dolnych, Ohio. Nie, z *lai cuu kei* trzeba będzie wyciągnąć więcej. Więcej niż oni w swoich najśmielszych snach odważyliby się zamarzyć. Więc uważaj, zaraz będzie Lekcja Czwarta. Nie, czwarta była o Kierunkowości Mikrofonów. Piąta o Gdzie Jest Toaleta, czyli teraz pora na Szóstą. Mam rację? No. To weź teraz swój notes...

Zachichotałem. Coś mi się nagle przypomniało, i, patrząc na czarny notatnik leżący na Andrzejowym stole, powiedziałem w języku, którego nie używałem od dobrych dziesięciu lat: *Weź sobie teraz kajecik, ołówek i pisz.*

Andrew, dziwnie zamyślony, sięgnął po służbowy moleskine i otworzył na pierwszej wolnej stronie.

Coś przy tym mamrocząc.

Przełknąłem.

- Coś ty powiedział...?

- Powiedziałem „wężykiem” - powtórzył. Po

polsku.

Siedzieliśmy i patrzyliśmy na siebie. Długo. -JESTEŚ

POLAKIEM??? - Zostało wypowiedziane w idealnej synchronizacji.

- Tak - wykrztusiłem, bo coś mi stanęło w gardle.

- Nie - powiedział Andrzej. - Kanadyjczykiem. Ale... mówię po polsku. Jako tako. Sporo zapomniałem... Ale nie kultowe teksty kabaretu Dudek. Kolega za ścianą puszczał je na okrągło.

W akademiku na Żwirkach. *Ucz się Jasiu i Kuba? Ale czy Kuba?* do dziś wydekłamałbym bez zacięć...

Powiedział to wszystko po polsku. Bezbłędnie. Włącznie z Długimi i Skomplikowanymi słowami najeżonymi polską gra-matyką i złośliwymi zbitkami spółgłosek w rodzaju „wydekłamałbym”. Tylko „Żwirki” brzmiały odrobinę obco. Typowe an-glojęzyczne problemy z dźwiękiem „ż”? I „ci” w „zacięć” ciut pachniało „cz”... W sumie detale. W kraju pewnie nie zwróciłbym na to uwagi.

W kraju. Boże, ile to lat...

Zapadła długa cisza.

Patrzył na mnie z wyczekiwaniem.

- *Chamstwu w życiu...* — zacząłem ostrożnie.

- ... *należy się przeciwstawiać*. . — kontynuował natychmiast. -...

siłom...

- . . *i godnościom*. .

- ... *osobistom!*

- *WEŻYKIEM!*

Kiedy przestaliśmy się śmiać, otarłem oczy i, szukając chuste-czek, wykrztusiłem, po polsku, chociaż niestety z pewnymi trudnościami, bo brakło mi czasem rodzimych słów - musiałem je wyławiać z kałuż angielszczyzny i japońszczyzny, zalegających od lat w mojej głowie, szczególnie w dziedzinach technicznych: - Czas wyciągnąć spod ziemi nasze wspólne korzenie, co, pa nie młodszy akustyku? Czekaj, otwórz no szafkę pod *power supply rack*... znaczy... szafką z zasilaniem.. Doskonale. Wyjmij tę butelkę z zielonym żdziebełkiem w środku. Pusta? Następną znajdziesz za pudełkiem z... jak *są meishi*? Aha, wizytówkami. O, to to.

Mistrzostwo świata. A teraz skocz, synku, po dwa zimne arina-minki do *jidouhambaiki*, czyli maszyny na korytarzu... Wiesz, nie wiem jak jest *jidouhambaiki* po polsku. Za moich czasów były charczące dystrybutory z wodą sodową i musztardówką na dru cie. Żeby nie ukradli. No, biegnij...

Potrzebowałem pobyć sam. Chociaż chwilę.

Znalazłem w końcu chusteczki i wytarłem nos.

Andrzej wkroczył z dwiema puszkami arinaminu balansowanymi po kelnersku na okrągłym, metalowym pudełku po taśmie ćwierćcalowej.

-Jesteś Polakiem z Polski czy ze Stanów? - zapytał, mieszając Wściekłego Bizona według moich wskazówek.

- Nadwiślańskim jak najbardziej.

- To dlaczego Martin a nie Marcin?

- A. Tego ci dziś nie opowiem, bo sprawa jest delikatna, żeby nie powiedzieć intymna. W każdym razie nie przed dodaniem lodu do szklaneczek... O, dziękuję.

Stuknęliśmy się.

Ściany mojej reżyserki, reżyserki studia A Radia Yokohama, po raz pierwszy w swej długiej, mrocznej, zawiłej i nie zawsze chlubnej historii usłyszały dźwięk słów „NA ZDROWIE”.

Pociągnąłem ze swojej szklaneczki. Dobre, chociaż się jeszcze nie zmacerowało. Odstawiłem szklankę na szafkę z taśmami.

- No, Andrzejku, będziemy mieli o czym gadać w czasie nocnych sesji... Ale nie teraz, dobrze? Zostawmy sobie tę przyjemność na później. I jeszcze taka mała prośba... mówmy przy ludziach po angielsku, co? Zgoda? No to świetnie.

- Zarrrrrąbiście - powiedział niewyraźnie Andrzej, chyba nie-przyzwyczajony do potencji Wściekłego Bizona.

- Tak. Zarąbiście. Jasne - powiedziałem, usiłując zebrać myśli. -

O co ty mnie... aha. Że realizator nagrań to przede wszystkim znakomity psycholog...

- Kapewu - zaszpanował Andrzej znajomością slangu, miksując na szafce drugą kolejkę Bizonów.

- Tak. Kapewu. Tak się mówiło w latach... Wybaczysz, że zapytam: ile ty masz lat? Co?

- Dwadzieścia sześć.

- Uff. Znaczy, to świetnie...

-A ty?

Zmarszczyłem się lekko, ale cóż, rodacy i ich sympatycy mają swoje specjalne prawa. Nawet w mojej reżyserce.

- Dodaj trzynaście.

- Aha. Trzydzieści dziewięć.

-Jeszcze jakieś... hep!... przepraszam, pytania...?

Były. I to sporo. Z obu stron. Czasem nawet w reżyserce trzeba się kapkę zrelaksować.

O drugiej w nocy zamknąłem za Andrzejem drzwi i, upewniwszy się trzy razy, czy na pewno trafi do części hotelowej, zabrałem się do wyłączania sprzętu. Młodszy akustyk chwilowo nie był w stanie skutecznie trafiać w przyciski. Cóż. Młody. Wyszumieć się musi.

Zamknąłem reżyserkę i ruszyłem do kuchni, z trudem balansując dwiema pustymi szklankami na zaimprovizowanej z metalowego pudełka po taśmie tacy. W studiu paliły się jeszcze lampy nad perkusją — wszedłem wyłączyć, gubiąc po drodze jedną ze szklanek.

Co za niesamowity dzień... Wyłączyłem światło, po czym włą-

czyłem ponownie. Poczułem przypływ jakiejś nagłej energii, dawno niespotykanej ochoty do życia. Pewnie nadmiar arinaminu.

Podszedłem do perkusji, już obmikrofonowanej i gotowej na jutrzejsze nagranie. Siadłem na stołku, zawadzając ramieniem o talerz i prawie się przewracając o podwójne pedały. Nie umiem grać na perkusji, ale coś trzeba było zrobić z tym nadmiarem siły witalnej. Włożyłem słuchawki i spróbowałem przywołać ten prosty rytm, którego Yoshi używał do testowania brzmień. Po minucie miałem już wszystkie ręce i nogi splątane w wielki supeł.

Przednia zabawa.

Po kolejnym kwadransie prób i błędów udało mi się zagrać in-tro do „We will rock you”. Z głośnym akompaniamentem wokalnym.

Tak. To był najlepszy dzień tej sesji. Sesji, która miała się okazać najdziwniejszą w historii mojej kariery. A może całego Radia Yokohama.

Czego oczywiście nie mogłem wtedy nawet podejrzewać, wałąc radośnie w bębny o trzeciej nad ranem w pustym, martwym studiu.

We will, we will ROCK YOU!

Interludium

Klap, klap, klap.

Echo korytarza wyłożonego częściowo matą tatami jest krótkie, miękkie, jakby zasysane przez otchłań schodów, mających gdzieś w oddali jak czarna gardziel. Tam, gdzie nie docierają już promienie księżyca, sączące się przez zakurzone okienko.

Stukanie cichnie.

Korytarz mrocznieje.

Księżyc rzadko strzela mglistą strugą w okno, wychodzące na małe, kwadratowe podwórko. Czasem udaje mu się wcelować w okna na parterze, gdzie kiedyś była recepcja, a teraz - od dawna nieużywany skład nikomu niepotrzebnych mebli.

Na pierwszym i drugim piętrze księżyc nie ma co robić — okna dawno już zamurowano. Na trzecim jest jedno, nieprzeźroczyste, kiedyś rozsuwane, ale to kiedyś, zanim tłusty od soli kurz starej dzielnicy portowej na amen zacementował prowadnice.

Na czwartym — malutka szybka, przeźroczysta, chociaż tak brudna z zewnątrz, że równie dobrze mogłaby być z japońskiego papieru. Tu właśnie księżyc podejmuje drugą próbę. Korytarz si-nieje w słabym świetle. Odpowiada mu głośniejsze: Klap. Klap, klap, klap...

Nasilające się. Zmieniające rytm.

Klap-klap. Klap-klap. Klap-klap.

I znowu cisza. Długa i niespokojna.

Na końcu korytarza rozsuwają się stare drewniane drzwi.

Rozdział Trzeci

w którym Martin jest na kozetce, Amanda na ochazuke, a tańczącym panienkom już dziękujemy.

Poniedziałek, 7 czerwca 1999

Tradycyjne japońskie drzwi mieszkania Woźnego pomknęły w swoich drewnianych prowadnicach jak Shin-kansen⁹, waląc z hukiem we framugę na stacji końcowej. Musiałem przyłożyć za dużo siły. Spojrzałem pod nogi -prowadnica została świeżo wyklejona teflonową taśmą imitującą drewno, ale zapewniającą wysoki poślizg. Tradycja spotyka ultra-

nowoczesność.

- Przepraszam za hałas, Tabashi-san! — zawołałem w stronę drzwi. - I jeszcze raz dziękuję!

Włożyłem swoje stare, znoszone, ale nad wyraz wygodne kapcie, czekające grzecznie przed wejściem na pokoje Woźnego, poprawiłem spodnie, przeciągnąłem dłońmi po włosach i ruszyłem w głąb korytarza. Lżejszy o parę duchowych kilogramów, jak zawsze po wizycie na kozetce.

Szedłem na piętro trzecie i pół, spokojny, ale jakoś dziwnie zamyślony. Zatrzymałem się przed czarnymi ze starości schodkami donikąd, usiłując sobie przypomnieć, gdzie ja właściwie idę.

9 Japoński superekspres, zwany również pociąg-pocisk (niesłusznie, bo wcale taki oszałamiająco szybki nie jest). Zob. też słownik, str. 371.

A tak, sesja. Która to godzina...? Dziesiąta trzydzieści. Zespół

miał się stawić o jedenastej. Mnóstwo czasu. Postanowiłem przejść się dla zdrowia drogą okrężną, zwaną również widokową, czyli wokół podwórka, pokonując trzy skrzydła budynku zamiast jednego. W drodze mija się kilka okien, które - odsunięte — radują widokiem ozdobnych krzewów i innych podwórkowych upraw rolnych pana Tabashiego, a także fantastycznej panoramy wieżyczek, werand, daszków z blachy falistej, zabudowanych i niezabu-dowanych balkonów — słowem: Radia Yokohama.

Trochę ruchu dobrze mi robi przed nasiadówką za stołem -

pomyślałem, skręcając za starym, nieużywanym od lat sejfem zdobiącym korytarz piętra trzy i pół. Zręcznym swingiem bioder ominąłem sterczącą ze ściany szafkę na kapcie i przeskoczyłem nad nierównością w podłodze, oznaczoną czarno-żółtą taśmą.

Po schodach na czwarte, w lewo, kładka, dwa schodki, zakręt, trzecie drzwi na prawo, znowu zakręt...

- Szefie, przyszedł faks! Od producenta!

- Amandy? Jacka jakmutam? Naresz...

- Nie, od Morie, tego od Y2K.

- Też nareszcie - sapnąłem, odstawiając kubek. - Albo nawet nareszciej. Dawaj go tu. Nie, czekaj, przeczytaj mi na głos. Chyba że krzakami napisali, to dzwoń po pana Tabashiego. Albo Ikedę.

- Po angielsku. Mniej więcej. Idzie tak:

Szanowny Panie Boss (przez dwa „s” napisał!), Liczę że zastałem pana w doskonałym zdrowiu.

Spieszę donieść, iż zostałem zatrzymany przez sprawy wagi niezwyklej i pilnej w oddziale, naszego szanownego wydawnictwa płytowego, w Shikoku oddziale. Polecam, więc pana szanownemu profesjonalizmowi nasz szanowny zespół w nadziei, iż, szanowny pan dokona, nagrania wstępnych nagrań.

Jednocześnie pozwalam sobie, poinformować że, jeśli tylko pozwolą mi na to sprawy służbowe, przybędę do studiów nagraniowych Radia Yokohama w terminie, piątek, czerwiec, jedenasty, roku jedenastego ery Heisei.

Łączę wyrazy szacunku i pozostaję niegodnym sługą, Morie

- Wężykiem? - zapytałem z pewną nadzieją.

- Nie, niestety... Słowo w słowo przeczytałem, ze wszystkimi przecinkami i „szanownymi”...

- Daj to. - Wyciągnąłem rękę.

Przecinki były faktycznie, w ilościach imponujących. I szanowne było wszystko. Niech ja dorwę tę jego szanowną producencką...

Takie niedomówienie.

Jak mam nagrywać zespół bez producenta? Hę? No nic. Bywało się w większych opałach.

Andrzej wyglądał, jakby chciał o coś zapytać.

-No?

- Skąd wiesz, że chciałem... o coś...?

- Po nosie twojem widzę, jak zwykł mawiać mój dziadek. No?

- Czy ten... producent jest naprawdę niezbędny? Przecież ty, szefie, taki doświadczony...

- A. Znakomite pytanie. I znakomita polszczyzna, naprawdę, Andrzej, nie przestajesz mnie zadziwiać. W cztery lata tak się nauczyłeś? W sumie ja japoński pokonałem w podobnym czasie...

cóż, prostszy język. Żadnych koniugacji, deklinacji i innych machinacji jak w polskim. To dygresja taka była. Do rzeczy. Weź

sobie ołówek, kajecik i pisz.

Czeladnik posłusznie chwycił swojego moleskine'a, szczerząc zęby w oczekiwaniu.

- Zastanówmy się więc - kontynuowałem - do czego jest dany producent.

- Dany producent jest do niczego? - zaryzykował Andrzej.

- Bardzo dobrze!

Ryknęliśmy śmiechem unisono, i tyle było z Lekcji Szóstej. A może Siódmej. Tym bardziej że do reżyserki zapukał Tabashi--san, oznajmiając, że Zespół Przybył. Wyjątkowo wcześniej zresztą -

zegar nad szybą reżyserki pokazywał jedenastą pięć.

Zezwoliłem łaskawie na wpuszczenie zespołu.

Dziś mieli prawie normalne ubrania, chociaż Kimi nadal sterczał

papugą. Dziewczyny natomiast, których rola nie została jeszcze do końca wyjaśniona, sterczały dwiema sztywnymi spódniczkami w różu i jedną w czerni.

Poczułem, że pora na poniedziałkowy wykład poranny Bosa. Jak w każdej tradycyjnej japońskiej firmie. Gimnastyki porannej i odśpiewania hymnu radiostacji im oszczędzę, ale wykład musi być.

Wdusiłem pawiana i rozpocząłem. Kwieciście i z polotem.

Po angielsku, bo mój japoński, aczkolwiek płynny, nie jest specjalnie kwiecisty ani polotny.

Zacząłem zagrzewać się do roli.

Gestykulując na tyle obszernie, na ile pozwalała ograniczona przestrzeń reżyserki, przemknąłem zrećcznie przez tematy Roli Studia, Istoty i Natury Nagrywania (z małą, ale istotną dygresją na temat Kto Tu Jest Szefem), by w końcu dojść do klu programu: Cele i Plany na Bieżący Tydzień.

Załoga Y2K stała na baczność i wpatrywała się we mnie intensywnie, nie roniąc ani słowa. Miałem wrażenie, że je chłoną, i to chyba przez usta, bo wszystkie były otwarte.

- Czy szanowni... errr... artyści mają jakieś wątpliwości, uwagi albo sugestie? — zakończyłem po kwadransie pytaniem. Retorycznym oczywiście.

Popatrzyli po sobie. Stworzenie zachichotało wdzięcznie, zakrywając ręką zęby.

Yoshi zrobił krok w stronę szyby i podniósł całą dłoń, jak uczeń w japońskiej szkole nieśmiało zgłaszający się do odpowiedzi.

Podciągnąłem wiewiórę o trzy kreski.

- ...śmy nic nie słyszeli...

Opadłem ciężko na fotel. Zapomniałem, że Ikeda, niesłusznie zwany Technicznym, lutował coś ostatnio pod stołem miksterskim, w efekcie czego pawian, czyli *talkback* - przycisk do komunikacji z artystami w studiu — nie działał.

Rzuciłem ostre spojrzenie Andrzejowi, czy się przypadkiem nie śmieje. Walczył dzielnie, czerwony na twarzy, ale - poskromiony moim stalowym spojrzeniem - nie parsknął.

Wstałem powoli.

- Idziemy do... - zacząłem, ale nie skończyłem, bo do reżyserki wpadł John, kłaniając się w biegu futrynie.

- Świetny wykład poranny! - krzyknął, bijąc z zapalem brawo, aż mu ruda czupryna zafalowała. - Słyszeć cię było w całym studiu C!!! Lektorzy mieli megalubaw! Co prawda tam jest tylko jeden taki, co rozumie po angielsku, ale tłumaczyli sobie nawzajem.

Wiesz, jak jest „reklama” w suahili? Też nie wiem, ale brzmi jak „tango”. Cha, cha, cha, cha, cha!!!

- Wężykiem.

- Słucham???

- Nieważne. Tak mi się wyrwało. Chciałem powiedzieć: Bardzo Śmieszne. A teraz idź po Technicznego. Jak ja mam sesję po-prowadzić? Wrzeszczeć przez szybę będę? He?

John tak się rozrechotał, że zapomniał się uklonić przed framugą.

Zniknął za zakrętem korytarza, trzymając się za czubek głowy i klnąc po australijsku.

Westchnąłem i obróciłem się na krześle.

- Andrzej? Skocz do...

Znowu nie dane mi było skończyć. W drzwiach do studia stały dwie sterczące spódniczki. Różowe.

- Bos-san? Bo zespół nie wie, co robić...

- Bos-san też nie wie - mruknąłem. A głośniej: - Tak, Rie. Zaraz coś wymyślę...

- Jestem Chie — wyjaśniła Chie.

- A ja Rie - uzupełniła Rie.

- Tak. Oczywiście. Nie sposób was pomylić. No nic, chodźcie do studia, trzeba zacząć nagrywanie, choć bez pawiana to sam nie wiem, co z tego wyjdzie...

Wtorek, 8 czerwca 1999

- Masz może mascarę? Niebieską? Albo chociaż granatową?

Oczy w przeraźliwie jasnych soczewkach patrzą prosząco z progu. Pojęcia nie mam, o co dziewczęciu chodzi.

- Widzisz, ja... - nie bardzo wiem, jak wybrnąć - nie używam podczas nagrania. Oczy łzawią przy czytaniu nut...

- To nuty się CZYTA? Myślałam, że ty je śpiewasz. - Chie poprawia białą taśmę izolacyjną na cienutkich obcasach bucików. -

No trudno, nie masz to nie masz. Najwyżej nie wyjdę dziś z pokoju. - Wzdycha.

- Daj spokój, ludzie na nagranie przychodzą nawet w yuka-tach10, pamiętasz? - Przypominam jej historię roztargnionego lektora, mierzwiąc jej nieco czuprynę. Mała rozjaśnia się.

- Ty dziś nagrywasz w B, tak? Byłam tam ostatnio. Przypadkiem, bo mi się windy pomyliły. - Chichocze, zakrywając usta dłonią. - To do wieczora. Misoschadzka w LDK!

Niezła sprawa te misoschadzki. Człowiek nie czuje się taki samotny. Zespoły nie mają najgorzej, ale jeśli ktoś nagrywa solową płytę, to kilka tygodni odcięcia od świata może solidnie dokuczyć. A LDK na pierwszym piętrze jest wystarczająco duża, by pomieścić piętnaście osób. W lodówce codziennie jest świeżutide *miso*, więc gdy zaczyna nam bokiem wychodzić pizza, robimy losowanie, kto gotuje, Prawie każdemu się udaje. Sympatyczna

sprawa, trochę jak na obozie młodzieżowym. Jak w Taman Negara... dawno, dawno temu.

Saya tersesat, tersesat Akadabjalan

ini menuju te. .

jantung tersesat. .

10 Szlafrokopidżama o wyglądzie kimonopodobnym. Zob. też słownik, str. 373. 11

Składnik wielu dań japońskich. Zob. też słownik, str. 368.

nucę pod nosem, wychodząc. Co to mamy dzisiaj, środę? Nie, wtorek raczej. . Tak, na to wygląda, skoro wczoraj był poniedział-

łek Kiepska to była sesja, oj kiepska. . Zaczyna mi brakować kon-cepcji twórczych, a Jack. . nadal się nie pojawia. I to nie pojawia się nie tyle drażniąco, co jakoś tak niepokojąco. Pytałam wczoraj Martina, czy nie ma wieści od Szanownego Producenta, ale spojrzał na mnie nieprzytomnie i wybiegł ze studia, jakby nagle sobie o czymś przypomniał. Pan Tabashi tylko wzruszył ramionami.

- Trzeba by... tam... - Wykonał ręką jakiś niechętny gest w kierunku okna, zabrał dzbanek po herbacie i chwilowo się zdematerializował.

Niemniej zawarł w tych trzech słowach coś, co mi do tej po-ry umykało. TAM. Właściwie, odkąd tu zamieszkałam, nie zauważam żadnego „tam”, jest tylko „tu”...

- Gotowa? - Andrew radośnie wychyla głowę ze studia, przytrzymując się dwoma palcami, środkowym i serdecznym, futryny. Ten gest z czymś mi się kojarzy, z czymś bardzo bli skim i znanym... Nie, on to chyba zrobił przypadkiem. Chociaż można by go kiedyś zapytać...

Już prawie potakuję i niemal wyciągam rękę, by chwycić futerał, gdy w połowie drogi zmieniam zdanie.

- Dziś wchodzę z producentem.

— Aha. - Głowa znika, ale za chwilę pojawia się ponownie.

- Eetoo... znaczy... kiedy będzie?

- Też próbuję się tego dowiedzieć. I to od dwóch tygodni.

Zapada niezręczna, krępująca cisza. Teraz, kiedy dociera do mnie efekt mojego przyływu

odwagi, nie sposób już się wy-cofać. Raz kozie...

- Andrew, nie zastanawia cię, co tu się dzieje? Zawarliście umowę z osobą, która zniknęła. Zadzwoiłam do absolutnie wszystkich, którzy mogliby wiedzieć, gdzie znajduje się Jack Worthon. Nikt nie wie, rozumiesz? Nikt NIKT! Nawet jego własna matka. A ja tutaj codziennie słyszę, że „pojawi się w poniedziałek”. W który poniedziałek, pytam?

Źrenice rozszerzone do granic możliwości odpowiadają: ???

- Martin kazał tylko...

- Człowieku, co ma do tego Martin?! On także nie wie, jestem tego pewna. Coś jest cholernie nie w porządku, nie widzisz tego?

Pionowa zmarszczka pomiędzy brwiami zdradza proces głę-

bokiego myślenia. Czekam.

- To. . tego... może dziś przerwa w takim razie? I... jutro. .?

Nie wierzę. Po prostu nie wierzę. Wstaję, zarzucam Takamine na plecy i odchodzę. Zanim powiem za dużo. Zanim...

- Zatem nic się nie przejmuj - skonkludowałem, trafiając celnie liptonowską skarpetką w kosz pod stolikiem faksowym. — Znajdziemy tego jej producenta. Naślemy na niego pana Hayakawę. Coś ty myślał, że nagramy dziewczynie płytę bez kogoś z wytwórni? To przecież ich projekt. Ja jestem tylko realizatorem, a nie podejmowaczem decyzji. Zadzwonię do gościa jutro, bo już za późno, a ty idź uspokoić Artystkę. Też bym się zdenerwował na jej miejscu.

Pociągnąłem łyk herbaty.

- No, biegnij. Pewnie jest na obiedzie w LDK. Młodzi jesteście oboje, to się dogadacie, podczas gdy ja... Czekaj. Nie płakała, mam nadzieję? Płaczące niewiasty okropnie mnie deprymują. Po twojej minie widzę, że nie tylko mnie. No *to może* zaczekaj go-dzinkę, aż dojdzie do siebie, i wtedy jej powiedz, że..

Andrzeja już nie było.

Westchnąłem nad Porywcznością Młodości i zabrałem się do przesłuchiwania dzisiejszych tejków.

Po piątym popadłem w najczarniejszą depresję, więc poszedłem posmęcić nad drugim

kubkiem herbaty.

Na szczęście Andrzej wrócił szybko, raportując, że Amandy nie ma. To znaczy jest, ale w *ofuro*. A tam to on nie ma odwagi.

Dobrze. Zagoniłem go do ładowania taśm. Coś musieli dziś nagrać po ludzku. COŚ. Cosik. Takie małe, niewinne cosik.

Byleby się dało wyciąć, poprawić krzywe nuty autotunem i jakoś posklejać...

- Nie, nie, NIE! — Wraziłem rozczapierzone palce we włosy. -

Przecież *oni* w ogóle nie umieją grać! Pstryknij no, kochany, w słonia. Jest między rekinem a płaszczką. W normalnym świecie nazywałyby się Group B Return. Możesz to sobie zapisać w kajecie. A teraz posłuchaj. Bo to jest chyba, otwórz cudzysłów, najlepszy, zamknij cudzysłów, tejk od poniedziałku.

Minęło kilka kolejnych wrzaskliwych minut.

- Masakra — mruknąłem.

- Masakra. - Pokiwał ze smutkiem głową Andrzej.

Rzuciłem mu ostre spojrzenie.

- Sobie jaja robisz ze starego Bosa czy naprawdę słyszysz tę masakrę?

- Słyszę... chyba. Jakby każdy grał co innego, prawda? Bas nie stroi z gitarą. Tak mi się wydaje. To znaczy, jeden z nich jest rozstrojony, trudno powiedzieć, który...

- Gitara — powiedziałem odruchowo. — Stroję drania co tejk, ale za mocno szarpie struny. I kręci młyńce ramieniem, jakby chciał

się wzbić w powietrze i odlecieć na Hokkaido. Pewnie myśli, że go obserwuje pięć tysięcy fanów. Przynieś mu potem czerwonego les paula z komórki, on ma zablokowany... jak jest po polsku *bridge*?

No, to, co ciągnie struny w gitarze. Model floyd rose z blokadą.

Wtedy się tak nie rozstraja. A w ogóle wiesz co? Masz niezłe ucho.

- Dziękuję.

- Tylko sobie nie pomyśl Bóg wie co, bo do ucha Johna z rozgłośni to ci jeszcze daleeeeko, i w ogóle...

- Nie pomyślę.

- Bardzo dobrze.

- To co z nimi zrobisz...?

Zamyśliłem się.

- Widzisz, Andrzeju... Producent wspominał o nagrywaniu „na setkę”. Czyli: wszyscy grają jednocześnie, oczywiście poza mykani w swoich kabinach izolacyjnych, obserwując się przez szybki w drzwiach i słysząc nawzajem w słuchawkach.

A nie normalnie, ścieżka po ścieżce. Czyli: najpierw perkusista nagrywa, potem, słuchając już nagranej ścieżki perkusyjnej w słuchawkach, dogrywa swoje partie basista, potem, słuchając tych pierwszych dwóch, robi swoje gitarzysta... i tak dalej.

No więc ich producent, ten, jakmutam, Morie, uparł się, żeby na setkę nagrać. Chciał w ten sposób uchwycić... jak on to pisał w faksie sprzed dwóch tygodni? *Naturalną i, również dynamiczną energię zespołu*. Fajnie. Tylko w tym celu zespół musi umieć grać.

-A.

- Rzekłeś to, chłopcze. A. I tu leży pies pochowany.

- Pies? — rozjarzył się Andrzej. - Peeesek! Jaka rasa?

- Nie, to NIE jest mały, biały dupelek - odparłem stanowczo. Ty mi się tu chichrasz, a zespół... jak jest po polsku *sucks*?

- Ssie - podsunął Andrzej.

- Niech ci będzie. Ssie. A jak ssie, to nic z niego na setkę nie...

- Wyssiemy?

- Bardzo dobrze! Nie wyssiemy. Ani ostatniej kropli krwi, ani nawet pierwszej.

Zapadła ponura cisza.

Kiedy nie wiadomo, co robić, trzeba zrobić herbaty. Zanurzając nos w parującym kubku,

uświadomiłem sobie, że nie jadłem nic od lunchu. Czyli od dobrych dziesięciu godzin.

- Pizza?

- Nooo...

- Znakomicie. Druga szuflada pod szafką z procesorami.

Andrzej posłusznie znalazł menu. Po japońsku, ale z obrazkami.

- Czy to jest rodzaj... super supreme? - zapytał z nadzieją, wskazując na trzeci od góry obrazek w drugim rzędzie.

- Chciałbyś. Pizza Hut nie dowozi do tej pod-dzielnicy. To jest... czekaj... - Zagłębiłem się w krzaki. - „Dźwięki dzwonów ここは日本.

Gion Shója". Czyli pizza misowa z nori, ikanago i daikonem. Nie rozumiesz? No, *miso*... ta brązowa pasta, z której robi się *miso shiru*. Zupę z misia, jak mawiał pewien stary znajomy, mój imien-nik zresztą. Na tym nori, czyli wodrośty, ikanago, takie rybki ma-lusieńkie z oczkami dużymi i daikon. Czyli warzywko albo inny korzonek. Rzodkiew jakaś ichnia.

Mina Andrzeja wskazywała jednoznacznie, że jego podejście do pizzy jest wybitnie ortodoksyjne.

- Drogi młodszy czeladniku. - Odłożyłem menu. - Jesteś tym, co jesz. Jak mawiał mój dziadek. I mądrze mawiał, kiedy głębiej nad tym pomyślisz, co będzie na dzisiaj twoją pracą domową. Jak już dotarłeś na te wyspy, żyj po wyspiarsku. Inaczej obudzisz się kiedyś i stwierdzisz, że przeżyłeś tu dziesięć lat, ale tylko ciałem.

A i to nie do końca.

Wziąłem długopis i napisałem na brzegu menu: - Umiesz to przeczytać?

- *Koko wa Nihon* — tu jest Japonia.

- Brawo. Słowa, które prędzej czy później usłyszysz wypowiedziane surowym tonem przez jakiegoś autochtona, jeśli będziesz próbował żyć po swojemu.

- Ale czy TU jest naprawdę Japonia...? - Z powątpiewaniem przyjrzał się reżyserce, zatrzymując wzrok na ginącym w mroku korytarzu.

-Jeszcze jak... — mruknąłem, wracając do studiowania menu. -

Bardziej niż myślisz. Radio Yokohama to Japonia w pigułce.

Andrzej westchnął i wrócił do studiowania obrazka pizzy misowej.

- Muszę...? - zapytał w końcu, unosząc brwi prosząco.

Zlitowałem się i wskazałem na stosunkowo nieofensywną pizzę Wzgórza Yamato o Poranku. Ser, bakłazany i ikanago. Ikanago można wydłubać.

Szliśmy korytarzami uśpionego Radia Yokohama. Tą samą trasą, którą przemierzałem dziś rano. Kiedy mijaliśmy okno na drugim piętrze, przemknęła mi myśl, żeby pokazać Andrzejowi podwórko, ale nie, bez sensu. Za ciemno.

Na parterze było cieplej niż u nas. I duszno. W powietrzu snuł się zapach japońskiego kadzidła — pewnie ze starego, niegdyś ciemnoczerwonego ołtarzyka, przymocowanego wysoko na ścianie, pomiędzy zamkniętym na klucz oknem a pustą szafką na buty wyjściowe. Dziwne — Hayakawa rzadko tu schodził, doglądał

tylko ołtarzyków na wyższych piętrach.

Z nawyku zajrzałem za róg, gdzie kiedyś stały trzy maszyny z napojami, przekąskami, papierosami, strunami i piórkami do gitary, kilka lat temu przeniesione do części hotelowej. Nie licząc maszyny papierosowej, która znikła w ogóle, kiedy ostatni palacz - pan Tabashi - rzucił nałóg. Chyba w dziewięćdziesiątym szóstym.

Teraz ciemna wnęka po maszynach była zapchana wiklinowymi koszami pełnymi zrolowanych plakatów. Żółkły tu sobie spokojnie, odkąd Tabashi-san wyeksmitował je z pakamery na drugim piętrze.

Drzwi prowadzące na tylną uliczkę za częścią hotelową odsunęły się z drewnianym skrzypem. Wionęło wilgotnym, lekko spleśniałym, gorącym powietrzem.

-Jeszcze go nie ma — mruknąłem i szybko cofnąłem się do kli-matyzowanego azylu budynku.

Andrzej przytrzymał drzwi i wyjrzał na zewnątrz, wychylając się tak daleko, jak mógł, żeby tylko nie skalać służbowych kapci żwirkiem na ścieżce.

Znieruchomiał, otwierając szeroko oczy.

Zaniepokojony, zrobiłem pół kroku do przodu i ostrożnie za-puściłem żurawia.

Ciemna, pusta uliczka. Cisza. Ale cisza brzmiąca zupełnie inaczej niż w studiu. Jakaś taka... niespokojna. Podniosłem głowę -pod małym daszkiem nad naszymi tylnymi drzwiami

dzielnie trzymało się stare gniazdo jaskółcze, z którego prowadził do dziurki w ścianie czarny kabelek.

Mikrofon. John od dawna nagrywał tu ciszę nocy. A na korytarzach Radia Yokohama - ciszę korytarzy. A w *ofuro*...

Na uliczce coś głucho stuknęło.

Ubrana zupełnie nieadekwatnie do czerwcowego upału w przeszywany w romby kubrak i długą spódnicę babcia z wieko-wego domu naprzeciwko rozstawiała na krawężniku baterię pla-stikowych butelek po wodzie mineralnej i pepsi-coli. Wypełnionych wodą. Jak co wieczór.

Jej białe, jedwabne skarpetki z oddzielnym paluchem błyskały w świetle sączącym się z naszego korytarza. Podniosła głowę, więc ukloniłem się odruchowo, ale nie odpowiedziała na pozdrowienie -

widać byliśmy dla niej tylko jasną, prostokątną plamą w odległym o kilka metrów i ponad pięćdziesiąt lat budynku po drugiej stronie ulicy.

Andrzej otworzył usta, żeby coś powiedzieć. Nie popędzałem go i w końcu je zamknął. Już nie wychylał się, tylko stał w drzwiach i patrzył w ciemność, a grdyka poruszyła mu się parę razy nerwowo.

Cofnąłem się jeszcze kilka kroków i dla pewności oparłem o ścianę. Najchętniej kazałbym Andrzejowi zamknąć te przekłete drzwi, ale wiedziałem z doświadczenia, że jeśli w Wafu Pizza mają nowego chłopaka od dostaw, możemy nigdy nie zostać znalezieni -

niejeden wziął Radio Yokohama za stary, zmurszały mur i zaczął

dobijać się do babci z naprzeciwka.

Wyteżyłem słuch. Poza klapaniem starej pani, wracającej już do domu po ustawieniu ostatniej, wypełnionej wodą butelki -cisza.

Andrzej cały czas wpatrywał się w uliczkę jak urzeczony. Widziałem tylko zarys jego profilu i znowu uderzyła mnie myśl: gdyby nie te zdecydowanie niejapońskie oczy, mógłby uchodzić za autochtona. Coś w tej linii szczęki i kości policzkowych...

W oddali zapycrzał motorower.

W prostokątne pole widzenia wtoczyła się stara, trójkołowa honda gyro z zawieszoną na sprężynach platformą nad tylnym kołem. Na niej — dwa czerwone, termoizolacyjne

pokrowce rodem z Pizza Hut.

Pryszczaty młodzieniec błysnął przednimi zębami, daleko zbyt białymi, żeby mogły być naturalne, zachichotał, przekazując nam pudełka, odpowiedział chichotem na wręczony mu banknot pię-

ciotysięczny i, chichocząc, wydał resztę.

Chichot, skrzypienie resorów i pyrkot motoroweru wybrzmie-wały na wracającej do snu uliczce dziwnym, dysonansowym trój-dźwiękiem.

- Zamknij te drzwi wreszcie, powietrze wpuszczasz — powiedziałem do Andrzeja.

Posłuchał, rzucając ostatnie, zdziwione spojrzenie w mrok.

Środa, 9 czerwca 1999

Pukanie. Nie mam ochoty wstawać z *futon*. Powtarza się po krótkiej chwili. I znów. Drażni. Mam do wyboru: zatkać uszy poduszką i udawać, że nie istnieję, lub otworzyć drzwi i uświadomić to osobie po drugiej stronie. Bądź dorosła, apeluję do siebie. Jestem. Wstaję.

— Witam, panie Hayakawa... Jak szanowne zdrowie?

Kłaniamy się sobie z powagą.

- Dziękuję, wyśmienicie. Zapraszam do studia B. Dziś ja pannę nagrywam.

Hayakawa-san robi mi przejście w drzwiach. Nie pytam o nic Wszystkie pytania padły, a raczej zawisły w powietrzu, już wcześniej. Jego pewność i spokojny ton powodują, że bez wahania zmieniam kapcie pokojowe na służbowe i chwytam Takamine za ucho futerału. Po chwili suniemy cicho korytarzykiem. Z pewnym niepokojem stwierdzam, że bonsai znów le-

ży na podłodze. On zauważa je jednak pierwszy, schyla się z pewnym wysiłkiem i stawia drzewko z powrotem na ©rurowym stołeczku. Może stółek jest za lekki...?

- Proszę, wszystko przygotowane.

Otwiera drzwi studia, po czym wychodzi do reżyserki. Przez szybę widzę jego spokojne, wyważone jak w tai-chi ruchy.

Siada za konsolę, ja na swoim barowym stołku. Każdy na swoim miejscu. Prawie...

- Dobrze. Zagramy to jeszcze raz, proszę drugą zwrotkę utrzymać w tej samej tonacji co

pierwszą, - mówi rzeczowo.

Nareszcie ktoś mną kieruje i wiem, co było nie tak w po-przedniej wersji. Albo że było „bardzo tak” i należy powtó-

rzyć... tak samo. Po tygodniu prób i kolejnym tygodniu błędów znalazłam się w rękach profesjonalisty. Mija czwarta godzina sesji, a ja nie czuję się zmęczona. Odpłynęło gdzieś napięcie poranka, mam sobie nawet za złe scysję z Andrew. Widzę przecież, że jest tu nowy, a dostał, jakby mu się należało. No, mo-

że trochę.

Czerwona lampka nad szerokim oknem z podwójną, pochy-

łą szybą gaśnie, a ja słyszę w słuchawkach: - Na dziś wystarczy. Dziękuję i zapraszam.

Posłusznie pakuję nuty, gitarę, ustawiam stół równo pod ścianą, przy perkusji. Przelotnie gładzę ride'a 12 palcem. Nie mogę się powstrzymać, choć to było tak dawno temu. W in-nym życiu.

- Dziękuję, Hayakawa-san. Wiem, że jeszcze wiele muszę się nauczyć. Dzisiaj bardzo mi pan pomógł.

- Czas jest najlepszym nauczycielem. Co mi przypomina, że jest właściwy czas na kolację. Panna gotuje sama czy wzorem współczesnego młodego pokolenia zamawia gotowe dania przez telefon?

12 Talerz perkusyjny, ten największy, wiszący po prawej stronie perkusisty. Zob. też słownik, str. 370.

—Właściwie.. jedno i drugie, ale oczywiście preferuję domowe potrawy. Sama również potrafię trochę gotować. — Nie bardzo wiem, jak powinna brzmieć Prawidłowa Odpowiedź, toteż nieco.. improwizuję. Bo być może Artystom zakątek kuchen-ny winien być zupełnie obcy...?

—Świetnie. To jest.. w takim razie... zapraszam do siebie, jeśli to. . odpowiada, *miss*. Przygotujemy *ochazuke*. Nic wyszukanego, ale ze mnie też żaden mistrz kuchni...

Przez chwilę nie mogę się zdecydować, czy rzeczywiście po-dążyć za panem Hayakawą. *Ochazuke* to nie tylko zupa z gwoź-

dzia, ale również delikatna sugestia, że najwyższa pora kończyć wizytę. Hayakawa-san natomiast sam mnie ZAPROSIŁ. Przystaję.

— Panno Amando...?

-Tak?

—Proszę, tędy prowadzi najkrótsza droga. Chyba że panna nie zwykła jadać tak skromnych dań? To ja...

—Nie, nie! - zaprzeczam gwałtownie i dzielę się otwarciem swoim wahaniem.

Hayakawa-san uśmiecha się.

— Zgadza się, w obyczaju kansajskim *ochazuke* to delikatne danie do zrozumienia, że rodzina gospodarza ma już nagrzaną wodę do kąpieli. Ale tu, w Kanto, nie mamy takiego zwyczaju.

Wchodzimy do statecznego, tradycyjnego jak sam pan Hayakawą pokoju. W maleńkiej kuchence gospodarzstawia czajnik na część główną dania, czyli *cha* - herbatę. Cały czas przepraszając, że tak skromnie i niewyszukanie, prosi o znalezienie odpowiedniej herbaty na niskiej półeczce.

— Sencha czy bancha? - pytam, bo znajduję obie, starannie

opisane na wieczkach.

— Do *ochazuke* nadaje się ta i ta. Którą panna woli?

Wybieram senchę, bo jest delikatniejsza w smaku.

— Szczerze mówiąc, myślałam, że do *acbazuke* używa się zwy

kłej zielonej, jak na przykład...

— Dawno temu, gdy *ochazuke* gotowali żołdacy ery Sengoku,

używali najpodlej szych gatunków zielonej herbaty bo innej po prostu nie mieli. Zwyczajnie, jeśli z poprzedniego dnia zostały po potrawach ryż z brukwią, jakieś jarzyny, resztki suszonej ryby, gotowano wszystko razem we wspólnym żołnierskim kotle i zalewano świeżo naparzoną zieloną, herbatą. Nie, proszę się nie obawiać - uśmiecha się na widok mojego nieufnego spojrzenia w kierunku miski, wypełnionej w trzech czwartych białym ryżem - ten został przygotowany dziś rano, specjalnie w tym celu.

Herbata pachnie cudownie. Zalewamy nią ryż. Wspólnie układamy na talerzykach kiszone warzywa i kawałki suszonej ryby. Wprawdzie w sklepach widziałam już gotowe dodatki do

ochazuke w postaci solonego, suszonego, a następnie sproszkowanego mięsa ryb różnych gatunków, co nadaje charakterystyczny smaczek, ale w naszym radiowym sklepiku próżno szukać takich ułatwiających życie rarytasów.

Hayakawa-san krytycznie przygląda się jeszcze ułożeniu talerzyków na stole, czy aby na pewno stoją symetrycznie, i wydaje werdykt: - Gotowe. *Itadakimasu!*

Czwartek, 10 czerwca 1999

- Oookiej! To był znakomity tejk, panowie! — zawołałem do mikrofonu, szczęśliwie zreperowanego wczoraj rano przez pana Ikedę. Co prawda teraz naciśnięcie pawiana powodowało zgaśnięcie jednej z dwóch lampek oświe-dających mój stół

mikserski, ale nie czepiajmy się szczegółów.

- Jeszcze raz, jeśli panowie pozwolą? — kontynuowałem. — Tylko tym razem, jeśli można prosić, kiedy dochodzicie do tego miejsca po drugiej... errr... zwrotce, jeśli można to tak nazwać... no, tam gdzie Hirō uderza w struny basu otwartą dłońią, trochę go przy tym... errr... rozstrajając... tak... o czym to ja... aha, w tym miejscu byłoby dobrze, gdyby pani Ri... znaczy, pani w różowym... o, tak, pani właśnie... nie mruczała pod nosem ci *an, cia cia cian cian CL4N*. Tak, niestety, mikrofon to wychwytuje. A właśnie, a propos mikrofonów. Czy któraś z pań umie uzasadnić obecność szminki na stojącym tam w kabinie mikrofonie AKG C12? Wartym... errr...

Bardzo Dużo Jenów? Nie? No, trudno. Czyli mamy umowę?

Doskonale. No, to czekajcie na mój znak i jedziemy. Utwór trzeci: „Tótaru Desutorakushon”. Tejk piętnasty. Andrzej, zapisz...

Usiadłem i otarłem wierzchem dłoni pot z czoła.

Tomo wziął to za Znak, podźwignął swoją obwieszoną żelastwem gitarę i zaczął kręcić potężnego młyńca ramieniem, więc zatrzyma-

łem taśmę i pouczyłem go, żeby nie grał, dopóki jego koledzy nie wejdą do swoich kabin izolacyjnych. Konkretnie wokalista i perkusista, bo gitarzysta i basista grali na sali głównej - ich instrumenty bez wzmacniaczy nie wydają praktycznie żadnych dźwięków, które mogłyby wpaść do niewłaściwego mikrofonu. A wzmacniacze były grzecznie zamknięte w swoich kabinach izolacyjnych, obmikrofonowane i obłożone stertą *futonów* rodem z Części Hotelowej.

Wykonali chóralne *haaaai!* i potulnie włożyli słuchawki. Po tygodniu tej zabawy spadały im coraz rzadziej - chyba się powoli prze-konywali, że gwałtowne machanie głową znane w

pewnych kręgach jako *head banging*, chociaż może widowiskowe i miłe dla przekrwionego oka Szatana, niespecjalnie służy utrzymaniu słuchawek na uszach.

Wykonałem Znak i ruszyli.

Niestety, razem z nimi ruszyły do boju lolitki. Wybiegły na środek studia i zaczęły... tańczyć. Coś ewidentnie wychoreograflowanego, bo robiły to samo w tym samym czasie. Składało się to z kaczkowatych kroków, kręcenia odzianymi w sterczące spódniczki pupami oraz zestawu ćwiczeń gimnastycznych na górną połowę ciała.

Tomo był wyraźnie zachwycony i kręcił młyńce z podwójną energią Czasem nawet trafiając kostką w struny. Hirō, znany jako Stworzenie, nie reagował, bo jak zawsze grał, stojąc w kącie, tyłem do reszty świata. Kimi, zamknięty w kabinie wokalowej, zaczął

wtórować tancerkom i — przy akompaniamencie głuchych wybuchów z głośników w reżyserce - trącał nogami statyw mikrofonu.

Co robił Yoshi, nie wiem, bo przez szybę drzwi kabiny perkusyjnej widziałem tylko Akemi, stojącą jak posąg Nemesis przed bębnami i powiewającą czarnymi szatami w strumieniu powietrza z wentylatora chłodzącego perkusistę.

Oparłem łokcie o skajowy pas wyściełający brzeg mojego stołu, po czym wrażliwe palce w czuprynę.

Ciśnienie gorących gazów zaczęło wzrastać, powoli, acz nie-ubłagane wypychając wrzący słup magmy w stronę krateru.

- Andrzej... zrób coś - jęknąłem. - Bo to się źle skończy...

- Coś jak... Rozmowa z klientem?

- Niestety. Chyba bez tego się nie obejdzie. A ja sobie zaparzę herbaty...

Odczekał grzecznie, aż skończą nagranie. Taśma wiernie rejestrująca efekty perkusyjne tańczącego wokalisty i staccato obcasów tancerek została co prawda już zatrzymana, ale niechaj się młodzi pobawią ze swoimi pannami. Dopóki je mają.

Andrzej wszedł do studia i zaczął coś perorować.

Pstryknąłem wiewiórę o kilka decybeli.

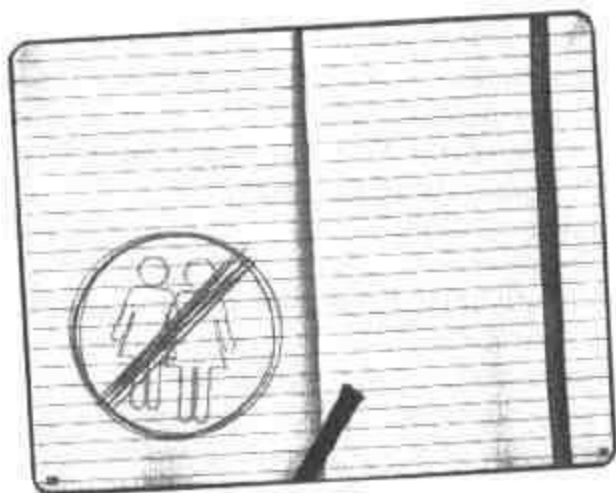
- ...bo szef kazał wam powiedzieć, że gracie coraz lepiej. Na prawdę! Tylko mamy takie malutki, zupełnie maciupenki problem... W studiu robi się za ciepło! Klimatyzacja nie

wytrzymuje tylu osób... A cieplejsze powietrze pogarsza brzmienie waszych znakomitych instrumentów... Więc niestety będziemy musieli po prosić panie o pozostanie na zewnątrz...

Ściągnąłem wiewiórę. Geniusz. Czysty geniusz z tego mojego pomocnika.

- No, no, całkiem nieźle - mruknąłem ze środka swojego kubka, kiedy Andrzej wrócił do reżyserki.

Za szybą muzycy zegnali się z Rie i Chie, a nachylona nad perkusją Akemi dramatycznym gestem oparła dłoń na ramieniu Yoshiego, z miną kobiety, która ostatni raz widzi swego mężczyznę, odjeżdżającego właśnie na front.



Odstawiłem kubek i zatarłem ręce. W reżyserce zrobiło się odrobinę jaśniej od światła na końcu tunelu.

- Trzeba będzie poprosić Woźnego o domalowanie nowego znaku zakazu — powiedziałem Andrzejowi, który stał w drzwiach reżyserki z wyraźnym poczuciem winy wymalowanym na fizjonomii.

-Huh?

W odpowiedzi wskazałem palcem na odległą ścianę studia.

Nachylił się do szyby. Nad wejściem do głównej sali wisały cztery popisy kaligraficzne

pana Tabashi:

Wyjąłem Andrzejowi z rąk służbowy moleskine i w ramach Lekcji Siódmej (chyba) naszkicowałem na dolnej połowie kartki: - No groupies - domyślił się mój bystry pomocnik.

- Brawo. Groupies powinny być zakazane w ogóle, a w moim studiu w szczególności. Rozpraszają. Przeszkadzają. Powiewają. Od-głosy wydają. Tu się pracuje, a nie flirtuje! Nie mam nic przeciwko kobietom, ale nie w miejscu Pracy Skupionej! To tak, jakbyś co dzień rano zabierał ze sobą do biura narzeczoną. Dla towarzystwa.

Czy ty mnie w ogóle słuchasz? Hę?!

Andrzej nie słuchał. Z nietypowym dla siebie zamyśleniem kończył rysować w kajecie wersję Znaku Zakazu z Panienką w Czerni. Przyjrzałem się krytycznie. Mój znak był lepszy.

Odchrząknąłem.

- No więc teraz, gdy wygoniliśmy szanowne Dystrakcje, przed zespołem otwiera się pierwsza szansa! Szansa na sukces! Ty mnie w ogóle nie słuchasz!

- *Kawaii* — powiedziała ?ie, wskazując rysunek w kajecie kilo-metrowej długości paznokciem, pomalowanym w motywy pa-wioogonowe, z miniaturowymi kryształkami przylepionymi w środku pawich oczek.

Podniosłem powoli wzrok i przesunąłem go wzdłuż drobnej dłoni z pierścieniem przedstawiającym kotka, nadgarstka ozdobionego białą, puchową opaską, dalej, wzdłuż przedramion oplecionych bladoróżową wstążką, docierając w końcu do bufia-stych rękawków i peruki opadającej kaskadą wiktoriańskich loków na nagie ramiona. Była tak blisko, że widziałem małe, przezroczyste włoski na jej skórze. I czułem zapach. Trudny do zidentyfikowania. Nie perfum - może po prostu młodego ciała.

Przeszły mnie dreszcze.

- Co ona tutaj robi?! — wyszeptałem ochryple do Andrzeja.

- Ooo, to nie po angielsku? W jakim języku mówicie? — Za-szczebiotała ?ie, otwierając przy tym tak szeroko oczy, że przez moment miałem wizję pękającego i kruszącego się pudru, opadającego deszczem płatków na mój stół mikserski.

Wzdrygnąłem się znowu. I cofnąłem na tyle, na ile pozwalała wbijająca mi się w odcinek lędźwiowy krawędź stołu.

- Szanowne panie... - zacząłem.

- Dobrze, dobrze, już idziemy. Hm! - Chie (zakładając, że ta z Paznokciem to była Rie) zrobiła nadąsaną minę i, stukając ob-casami, odeszła... pod tylną ścianę reżyserki.

Nie dość tylną.

Reżyserka została zaprojektowana dla producenta, realizatora i pomocnika. OK, czasem wtłaczałem do niej za karę zespół na posłuchanie wyjątkowo koślawych wypocin. Ale rzadko i na krót-ko, bo muzycy, słysząc własne nieobrobione jeszcze nagrania, zwykle się załamują i podejmują decyzję o poświęceniu reszty życia hodowli drzewek bonsai.

Poza tym nie da się pracować, kiedy masz za sobą dyszący ci w kark tłum. Dłuższe sesje odsłuchowe dla zespołu albo przed-stawicieli wydawnictwa płytowego organizujemy w specjalnie do tego zaprojektowanej sali przy studiu C.

Rie (albo Chie) pociągnęła siostrę za rękę i obie ukucnęły przy ekspresie do kawy. Jedna z nich zrobiła gest zapinania ust na zamek błyskawiczny. Druga ujęła blond lok w palce i studiowała go, zezując zbieżnie. Z usteczkami złożonymi w obrażone ciup.

- Errrghhh — powiedziałem.

- Wszystko w porządku, szefie, to moja wina, naprawdę! Ja wszystko wyjaśnię... - Andrzej stał w drzwiach, kurtuazyjnie zapraszając do reżyserki Akemi, patrzącą z niemym wyrzutem w przestrzeń.

Przestrzeń, która się właśnie w reżyserce skończyła. Dokładnie tak, jak moja cierpliwość. Wwierciłem wzrok w pomocnika.

- Nie, szefie, proszę się nie denerwować, naprawdę, one będą cichutko jak strusie! - Próbował rozpaczliwie ratować sytuację.

- Trusie - poprawiłem, podwajając obroty wiertła.

- Trusie! Bo, bo, bo ja zapomniałem im powiedzieć, gdzie mają sobie pójść... Wyrzuciliśmy je ze studia, to pomyślały, że mają być w reżyserce... Naprawdę, nie będą przeszkadzać! Obiecuję! Na moją odpowiedzialność... prrroszę...

Wibracje znakomitego polskiego „r” rozwarły jakąś szczelinę w zboczu wulkanu i strumień gorących gazów uleciał z sykiem do atmosfery. Poziom wrzącej magmy zaczął powoli opadać.

- No - powiedziałem. - Ale TYLKO dzisiaj. I żeby mi to było...

Kręcąc głową nad temporą i moresami, zajrzałem przez szybę do sali studyjnej. Zespół

siedział na podłodze i... grał w karty.

To wyraźnie nie był mój dzień.

Już miałem wcisnąć pawiana i przemówić im do rozumu, kiedy nagle przyszedł mi do głowy John. Nie wiem dlaczego. Po prostu o nim pomyślałem. Od tego była już krótka ścieżka do następnej myśli: co on by zrobił w takiej sytuacji? Podciągnął wiewiórę, ot co.

Czuły mikrofon przesłał nam ostre, wyraziste trzaskanie kart kładzionych na lakierowanej klepce studia. Klik, klik. Tap, tap, SNAP... I przesuwanych. Szmmmr. Szszsz...

Mój palec sam znalazł głowę żyrafy.

- Nagrywasz to? - szepnął Andrzej.

- Tylko kilkanaście sekund... Może się do czegoś przydać. Jak nie mnie, to Johnowi. No, dość tego. - Wcisnąłem anakondę i wysłałem Andrzeja po nową taśmę, a sam wziąłem się za zapę-

dzanie zespołu do gry. Tym razem na instrumentach.

Sesja ciągnęła się jeszcze godzinę, ale ze skutkami niewartymi taśmy. Byli jacyś zniechęceni.

Przedtem nie umieli grać, ale przynajmniej z ogniem.

Teraz nie umieli - z entuzjazmem śniętych makreli.

Tak, zespół rozsypywał mi się w proch, z którego prawdopo-dobnie powstał.

Świadomość trzech par umalowanych oczu świdrujących mi dziurę w kręgosłupie (takie przynajmniej miałem wrażenie) zdecydowanie nie pomagała.

Szukałem jakiegoś pretekstu, żeby je wyrzucić z reżyserki na zbite pyszczki, ale niestety - siedziały cicho jak trusie. W pewnym momencie wydawało mi się, że słyszę jakieś podejrżane *cian*, *cia aa cian*, ale mogło to być ciaciacianie moich skołatanych nerwów.

W końcu sesja została zakończona, a towarzystwo zapędzone do jadalni z przykazem, żeby stawili się w czwartek rano. Sami. Bez ani kawałeczka dziewczyny.

Piątek, 11 czerwca 1999

- ...i dlatego chciałam cię prosić, no... Po prostu pogadaj z nim. Nie może się tak izolować, rozumiesz, to rozbija kapełę.

- Akemi przeczesuje dłonią lśniące czarne włosy. Metrowej długości, co najmniej.

Przez chwilę studiuję z uwagą okno. Nie, żeby było co oglą-

dać - nieprzeźroczyste szyby informują tylko, że zapadł

zmierzch, pewnie jeszcze zanim którekolwiek z nas pomyślało o opuszczeniu salki. No, w ich przypadku — korytarzyka przed studiem, bo Martin znów miał „swoje dni” i nie dostały zezwo-lenia na wkroczenie do jego świątyni.

- Wiesz, problem w tym, że ja go nawet nie znam. Jak mogę radzić cokolwiek zupełnie obcej osobie? Mijamy się tylko na korytarzach studia. Nie znam zarówno jego samego, jak i isto-ty zagadnienia. Nie znam nawet ciebie - śmieję się, a wraz ze mną Rie, oparta brodą o jej ramię. Na chwilę zapada cisza, ta-ka myśląca cisza, gdy każda z nas zaczyna dumać ze wzrokiem utkwionym w herbacie umykającej z kubka. Wreszcie Rie odstawia swój na *kotatsu*, trzymając go ostrożnie w obu dłoniach.

- A mnie się wydaje, że łatwiej się otworzyć przed kimś ob-cym. -. Rie chwilę milczy, po czym dodaje: - Wiesz, Hiro wła-

ściwie zawiązał ten zespół, bez niego chłopaki w ogóle by nie zaistnieli. To on znalazł producenta i przekonał go, że Y2K ma świeżą krew, no wiesz, brzmienie inne niż wszyscy. Można powiedzieć, że dokonał cudu, bo załatwił sesję po kosztach, ani razu nie spotykając się osobiście z Mode. A facet się zgodził, uważasz? Nie widząc nas nawet na oczy.

- To jak go przekonał? - pytam, bo sama cierpię na niedo-bór producenta.

- Znalazł go w tajemnicy przed nami, z ogłoszenia czy jakoś tak... - kontynuuje opowieść Akemi. - Wysłał mu demo. Dwa utwory. Tamten oddzwonił prawie natychmiast, kilka rozmów, faksów. . i jesteśmy. Stwierdził nawet, że zespół ma *dynamicznie rozwijającą się energię*, że widzi *chansu*, szansę...

- To było zimą, kiedy zespół prawie się rozpadł, bo chłopaka-kom brakowało motywacji nawet do cotygodniowych prób.

Nie robili już nic nowego, żadnych tekstów, melodii, nic - Rie ciągnie opowieść z półprzymkniętymi oczami (w dodatku bez mascary błękitnej czy choćby granatowej). — I wtedy Hirō. .

-Dobra, rozumiem. - Tak naprawdę nie rozumiem tylko te-go, czego i dlaczego dziewczyny ode mnie oczekują. Nie jestem terapeutką. Co ja poradzę, jeśli facet ma w nosie cały świat i woli własne towarzystwo? Każdy czasem tak ma. Ja nawet dość często.

- Pogadam z nim dziś przy okazji misoscha... - urywam gwałtownie, bo wszystkie słyszymy kroki kogoś, kto zbliża się do drzwi. Jakby... ostrożne. Czekamy dłuższą chwilę, ale nie słysząc pukania.

- Sprawdzę, kto to. — Wstaję, wypuszczając powoli powie trze z płuc.

Za drzwiami nikogo nie ma. W korytarzu też. Cisza, żadnych kroków. Pewnie się przesły...

Akemi wyciąga dłoń zza moich pleców, wskazując na włochatą wycieraczkę. Podążam wzrokiem za jej palcem. Włosy wycieraczki powolutku się. . prostują. Jakby ktoś przed chwilą.. '

wszedł.

Rozdział Czwarty

w którym feralna czwórka zbiera swoje ponure żniwo.

Niedziela, 13 czerwca 1999

- Czekaj, usadowię się wygodniej. - John podciągnął rękawy bordowej piżamy w białe pięciolinie. Powstałe w ten sposób zmarszczenia na łokciach oparł na brzegu stołu mikserskiego, po czym ułożył czoło na splecionych dłoniach i zamknął oczy. -

Odtwórz to jeszcze raz.

Delikatnie, żeby nie rozpraszać go niepotrzebnymi stukami, wcisnąłem orangutana.

Klik, klik. Tap, tap, SNAP...

Szmmmr. Szzzzz...

- Karty! - krzyknął, podnosząc raptownie głowę i sięgając po anakondę, czyli przycisk „Stop”. - Rozkładane i przesuwane karty do gry! I to na podłodze studia A - brzmienie tej przestrzeni poznam na końcu świata. Jesteś mi winien... Czekaj, jaka była stawka tym razem?

- Gorący kubek z maszyny na drugim - powiedziałem ponuro, wracając z parującą herbatą do stołu. - Ale zaraz... - dostrzegłem cień nadziei na odkucie się - jeśli mi powiesz, w co grają, gorący kubek razy sześć, od dzisiaj do piątku. A jak nie - zerujemy moje długi. Ha!

Błysk w oku Johna zakomunikował, że jak zwykle podjął wy-zwanie.

Orangutan został zapędzony do pracy, a John znowu przyjął

pozycję Natchnionego Skupienia.

- Poker nie... — mruczał - rozdają o wiele za dużo kart... Brydż też odpada, nie rozkładaliby tyle na podłodze... Pasjans jakiś?

Czekaj... gra japońska... OK, mam. Shichinarabe. - Podniósł głowę i spojrzał na mnie pytająco.

- Niech cię duch kopnie... NIE MOGŁEŚ tego usłyszeć. stary.

Prędzej uwierzę, że wysłyszysz samą śmie

dzy shichinarabe a, bo ja wiem, koi koi...

Uniósł z mądrą miną brwi, po czym nie w

śmiechem.

- Oczywiście, że nie wysłyszałem! Zgadłem po prostu. Wszyscy Japończycy w to grają. Dorośli i dzieci...

- Nie liczy się! Nie fair! Oszustwo! Ha! Stawiasz mi gorący kubek i dwie pizze!

- No dobra... Spróbujmy inaczej. Uważaj. Rejestrowałeś to mikrofonem... czekaj... daj orangutana... - Zasłuchał się znowu. -

OK, mam! - Pstryknął palcami. - Audio Technica AT4033. Ten tani Japończyk. Nie wiedziałem, że go używasz do brudnych na grań. W sumie do niczego innego się nie nadaje. Tylko wiesz, on ci coś dziwnie brzmi... twardo... Jakby chwycił wibracje z podłogi...

- Gumki od nóżek statywu mi się pogubiły - stwierdziłem ponuro. - Wszystkie trzy. Ale to jest warte jeden gorący kubek, a nie pięć.

- Dwa! Jeden za mikrofon, drugi za statyw bez gumek.

- No dobrze, dwa. Żeby cię... Czekaj, już idziesz? Miałem ci pu-

ścić tych nieszczęśników, co się z nimi od dwóch tygodni męczę...

Dorobiłem nam herbaty i siedzieliśmy jeszcze godzinę, ramię w ramię, ucho w ucho, kiwając ze smutkiem głowami nad stanem sztuki współczesnej w ogóle, a zespołu Y2K w szczególności.

- Czy prawdziwa muzyka umarła? — mruczałem ponuro. — Czy tylko ta czwórka gra jak

śmierć na kacu?

- To ładne. - John podniósł oczy znad panelu kompresora pasmowego, którym usiłował wyrównać brzmienie death-metalowego marsza pogrzebowego w jednym z tejków „Tōtaru Desutorakushon”.

- Ładne? To jest rozpad, grób i zgnilizna...

- Nie, ładne to, co powiedziałaś. O czwórce, co gra jak śmierć na kacu. No wiesz: *shi* — po japońsku „cztery” i „śmierć”...

- Tak mi się przypadkiem mruknęło. A propos: wiesz, że w południowym skrzydle kiedyś nie było czwartego piętra?

- Bo to był hotel, a nikt nie chce mieszkać na czwartym? Tak jak u nas na trzynastym?

- Hotel jak hotel, ale faktycznie... po trzecim było piąte. Jeszcze jest napis na ścianie przed windą za zakrętem...

Słuchaliśmy przez kilka minut. Moje przygnębienie sięgnęło bruku.

- Wiesz co? - Ożywił się John w pewnym momencie. - Dlaczego ich nagrywasz na setkę? Próbowaleś instrument po instrumencie?

Posłuchaj: perkusista jest niezły. Gra, a nie łomocze. Miałbyś przynajmniej dobrą ścieżkę perkusyjną! Pozostałych jakoś pokleisz.

Bo w kupie to oni nie dość dobrze grają, żeby na setkę...

- Producent tak chce - burknąłem.

- Myślałem, że go nie masz?

- Bo nie mam... Ale mam mieć. W piątek obiecał dojechać...

- Rozmawiałeś z nim?

- Nie, faks tylko przysłał.

-Ten?

Odwróciłem się. John stał przy faksie, jedną ręką podciągając opadające spodnie od pizamy, a drugą odrywając odcinek papie-rowej taśmy.

- Ciekawie facet pisze... Fascynująca interpunkcja: *Szanowny Panie Boss,*

Liczę, że zastałem pana w, doskonałym zdrowiu.

Spieszę donieść, iż zostałem zatrzymany przez sprawy wagi niezwyklej i pilnej w oddziale, naszego szanownego wydawnictwa płytowego, w Shikoku oddziale. Polecam, więc pana szanownemu profesjonalizmowi nasz szanowny Zespół w nadziei, iż szanowny pan dokona, nagrania wstępnych nagrań.

Jednocześnie pozwalam sobie, poinformować że, jeśli tylko pozwolą mi na to sprawy Służbowe, przybędę do studiów nagraniowych Radia Yokohama w terminie,

piątek, czerwiec, osiemnasty, roku jedenastego ery Heisei.

Łączę wyrazy szacunku i pozostaję niegodnym sługą Morie

Siedziałem, gapiąc się w ciemną salę za pochyłą szybą reżyserki jak w wyłączony telewizor i słuchając dziwnie znajomych słów.

Kolejny piątek. Kolejny tydzień...

- OK - podjąłem męską, czyli bosową decyzję. — Dam mu ostatnią szansę. Pomęcę tych zombie do piątku na setkę, a jak drań się znowu nie pojawi, nagrywam ich ścieżka po ścieżce. I może mi ten Morie skoczyć. O.

- Brawo, Martin! To jak, idziemy na gorący kubek? -John niestety nie dał mi zapomnieć o swojej wygranej.

- Później... ja jeszcze posiedzę. Masz. — Wydłubałem z portfela cztery srebrne monety z dziurkami. - Na zdrowie...

Pobiegł, machając mi na pożegnanie trąbką z zieloną gruszką.

Znowu zapomniałem zapytać, po co mu ona.

Zrobiło mi się jakoś samotnie. Myślałem o naszych nocnych nasiadówkach, lata temu, kiedy obaj byliśmy młodymi akustykami, stawiającymi pod czujnym okiem pana Hayakawy pierwsze niepewne kroki po krętych ścieżkach Radia Yokohama. Wtedy właśnie powstała gra w gorący kubek — zakłady, kto wysłyszy ja-kiś trudno uchwytny detal w nagraniu. John zawsze wygrywał w kategorii „jaki to mikrofon”, ja zwykle odnosiłem sukcesy na polu wyłapywania minimalnie rozstrojonych instrumentów albo fałszów w skomplikowanych harmoniach wokalnych. Czego to człowiek nie wymyślał, żeby zabić nudę o trzeciej nad ranem, nudę przerywaną co kilka minut jakąś drobną czynnością (przewin taśmę, ustaw

zgrywanie ścieżek 1—8 na stereo i... znowu pięć minut czekania).

Ha. Czasy, który odeszły i umarły.

Przynajmniej teraz człowiek więcej wie i więcej umie. Trochę.

Przeciągnąłem się i spojrzałem na zegar. Pora coś przekąsić i wyjść na podwórko po niedzielną porcję gimnastyki.

Krok, krok, krok i przeskok o trzy deski podłogowe w lewo.

Prawie pod przeciwną ścianę, ale nie do końca, bo tu zawsze pod-

łoga wydaje skrzyp, słyszalny, o dziwo, w studiu B, piętro wyżej.

Naprawdę trzeba będzie poprosić szefową...

Właściwie to już prosiłem - chyba z pięć razy. Tylko ona nigdy nie słucha. Słszy, ale nie słucha.

Zbliżałem się do LDK trzecią z czterech prowadzących tam dróg - tą najdłuższą. To dobrze robi na apetyt. Przechodziłem właśnie koło pralni, kiedy zatrzymało mnie... chrząknięcie.

Nieśmiałe chrząknięcie.

Z ciemnego korytarzyka, prowadzącego, o ile wiem, donikąd, wysunął się niewysoki, zakurzony pan w wieku nieokreślonym. Na pewno starszy ode mnie. Ubrany w ciemny, prążkowany garnitur i szary kapelusz kształtu nijakiego. Kapelusz opasany ponad rondem wstążką, kiedyś chyba niebieską, teraz wyblakłą do nijakości.

- Przepraszam z całego serca, że ośmielam się zakłócić spokój tym nieistotnym pytaniem... Czy wielce szanowny pan byłby tak ogromnie łaskawy wyświadczyć mi tę cenną przysługę i zechciał

rozmienić ten oto tu banknot tysiącjenowy, o ile oczywiście nie sta nowi to dla pana nadmiernego kłopotu i nie zaburza planu dnia?

Wyłowienie z morza gramatycznie skomplikowanych japońskich uprzejmości sensu pytania zajęło mi ładnych kilka chwil. W końcu doznałem olśnienia i sięgnąłem po portfel.

- Nie wiem, czy będę miał... Właśnie dałem koledze większość monet... O, zaraz... są dwie pięćsetjenówki... Proszę.

- Dziękuję! Dziękuję panu z głębi serca. — Wyjął wytartą, staroświecką portmonetkę podkówkę i wrzucił monety. Sądząc z braku brzęku, były w niej pierwsze i jedyne.

- Teraz, dzięki pana niezwyklej uprzejmości, będę mógł sobie kupić coś do jedzenia z tej nowoczesnej maszyny, którą mijałem tam. — Wskazał ułożonym na zamkniętej pięści kciukiem gdzieś w prawo, w kierunku zbyt ogólnym, żebym mógł się domyśleć, o którą z naszych sześciu maszyn mu chodzi.

- Nie, nie, wcale nie są nowoczesne — odpowiedziałem, czując jakąś instynktowną, bardzo japońską potrzebę umniejszenia własnych zasług poprzez krytykę mojego otoczenia. — Gdyby były nowoczesne, przyjmowałyby również banknoty...

- Nie może być! Banknoty? - Pokiwał głową ze zdumieniem i rozłożył ręce. — Wie pan, dla mnie wszystkie maszyny są nowoczesne... Może źle użyłem tego słowa... — Podrapał się z zakłopotaniem w siwiejącą skroń. - Chodzi mi o to, że ani trochę nie rozumiem, jak działają. Skąd się w nich bierze to wszystko w środku...

-Ja w sumie też nie rozumiem... — potwierdziłem solidarnie, dodając w myślach: „dokąd ta rozmowa prowadzi”.

- To ja już sobie pójdę... — westchnął, kłaniając się, ale niezbyt nisko, jakby znajomemu. — Eetoo... jeszcze tylko jedno pytanie, jeśli naprawdę nie sprawiam kłopotu... Którego dzisiaj mamy?

- Niedziela, trzynastego czerwca.

- Nie może być... - Usłyszałem znowu. Nie odpowiedziałem, wpatrując się w zmęczony życiem, ale starannie wygładzony banknot tysiącejenowy. Banknot z archaicznym portretem jakiegoś...

cesarza z ery Heian? Księcia? Na pewno kogoś z innej epoki, innego świata. A nie znajomego, pocziwego oblicza Natsume Sōseki. Równie martwego, ale przynajmniej... swojego.

Podniosłem głowę i nabrałem powietrza w płuca, chcąc o coś zapytać, o cokolwiek; pytanie pewnie samo by się sformułowało, gdybym dał mu szansę.

Wymięte plecy marynarki znikają właśnie za zakrętem prowadzącym do schodów na parter.

Tam maszyny z gorącym kubkiem nie znajdzie - pomyślałem. -

A może on szuka czegoś zupełnie innego?

Trzeba by powiedzieć panu Hayakawie..

Zrobiłem wydech i wyprostowałem się, czując, że coś mi lekko przeskoczyło w kolanie. Przez chwilę stałem, usiłując sobie przypomnieć, gdzie siedłem.

Aha. LDK. Tak. Na pewno LDK. No to idziemy.

- Trzydzieści jeden, trzydzieści dwa, trzydzieści trzy... - liczę powoli, gdy znenacka grzmi mi za plecami głos Martina:

- Nie spadniesz?!

Zeskakuję na lekko ugięte nogi z futryny na której wisiałam przez ostatnie pół minuty.

- Nie, skąd, przecież to niewysoko...

Twarz Martina wyraża inne zdanie na ten temat.

- Aaa... to tak spędzasz niedziele. - Uśmiecha się w końcu, samymi już tylko oczami wyrażając pewne zaskoczenie. - Ale po co? I dlaczego wisisz na trzech palcach? Będziesz mogła ju tro GRAC?

Jedno z pytań z serii „Jak długo jesteś w Japonii?”. Przywykłam.

— Tak, spokojnie, palcom nic nie będzie. Wybierasz się do

LDK? To świetnie, bo dzisiaj Chie gotuje *miso shiri*. Jest w tym mistrzynią, więc lepiej się pośpieszyć, bo może zabraknąć!

Martin rusza, ale nagle przystaje w pół kroku.

— Wiesz... Mam jeszcze mnóstwo roboty, skoczę tylko do maszyny po *cappu nudaru* i...

Oj, coś się płacze w zeznaniach szanowny Bos(s). To mi dodaje odwagi, więc słyszę wypowiedane własnym głosem: — No coś ty, nie wygłupiaj się. To zwykła misoschadzka, gar

nituru i krawata nie potrzebujesz. A *miso* Chie jest naprawdę boskie! Chodź, warto spróbować.

Trochę głupia sytuacja, bo w LDK pełno ludzi, właściwie wszyscy, nawet ten lektor, co kiedyś w yukacie na nagraniu się pojawił, no, ale obiecałam dziewczynom przecież... Choć naprawdę nie wiem, co mam zrobić, żeby Hirō...

- Aj! Przepraszam bardzo! - mówię do nóg wystających zza lodówki, o które omal się nie przewróciłam. Do nóg i tego, do czego są. przyczepione u zwykłych śmiertelników. Właściciel coś mruczy, ale bardziej do ściany za lodówką niż do mnie, więc czuję się rozgrzeszona.

- Dziękuję. — Uśmiecham się do Yoshiego, tego perkusisty od Akemi, bo zdążył mnie złapać za łokieć, dzięki czemu nadal mam wszystkie zęby.

- Jefeście! Fiadajcie! - Rie już coś przeżuwa, Chie z miną gospodyni domowej nalewa swoje słynne *miso shiru* do małych miseczek. Atmosfera iście schroniskowa.

-I co, i co dalej? - Wyraźnie weszliśmy w połowie jakiejś historii.

- Właśnie chodzi o to, że NIC! Obudziłem się zlany zimnym potem, puszką 13 nadał grała ten sam utwór, spałem może piętnaście sekund. Bo mnie się ta cisza śniła, rozumiecie? CI SZA NA ANTENIE! Bogowie! Największy horror radiowca!

John podnosi ręce do nieba (a raczej sufitu), by dodać dra-matyzmu swojemu opowiadaniu, i wypolerowaną trąbką rowerową nieomal wytrąca z ręki miseczkę, którą Chie podaje Martinowi. Rusza akcja ratunkowa niezwyklej wagi, bo *miso* na tatami to rzecz straszna. Szesnaście rąk, latający talerz, Hirō

z poświęceniem rzuca się Johnowi na kolana i dopiero po chwili wybuchamy śmiechem.

13 Puszka - nagranie imitujące utwory miksowane na żywo na antenie radia, wykorzystywane nocą, szczególnie w małych stacjach radiowych, gdzie realizatorzy pracują tylko w ciągu dnia.

- Czyje to, moje... nie...

- Który tam wsuwa moją łyżką? Pałeczki komuś?

- Włączcie coś, taka nieznośna cisza...

- Co mówisz? Co nieznośna, bo nie słyszę!

- Tylko nie radio, tylko nie radio!

- Oj! Poduszką? W wokalistę? Skandal jakiś!

- O looosie, zamknijcie go gdzieś, głośny jak lokomotywa. .

- To nie ja, to czajnik! Ktoś chciał herbaty?

Dobrze mi tu. Tak zupełnie zwyczajnie.

Nie wiem, dlaczego oczekiwałem, że zastanę w naszym LDK smutek, depresję i nosy spuszczone na kwintę. No, może nieśmiały chichot czasami.

A tu — radosna komitywa. Jakby się znali od średniaków co najmniej. Wszyscy wsuwali *miso shiru* i zachwycali się niczym specjalnością zakładu hotelu sześciogwiazdkowego.

John kończył właśnie opowiadać brodatą historię o tym, jak puszczał na antenie Ciszę. Załoga Radia Yokohama знаła ją na pamięć (w kilku wersjach), ale obecny tu pan Ikeda rechotał radośnie, udając, że słyszy to po raz pierwszy. Pewnie mu obecność młodych dziewczyn do głowy uderzyła. Andrzej też rechotał, chociaż opowiadałem tę historię w reżyserce i wtedy wcale się nie śmiał. Chyba mnie dokładnie nie słuchał.

- Proszę, Bos-san, specjalnie dla ciebie! — Chie wręczyła mi miseczkę *miso shiru* i drugą, z ryżem posypanym liberalnie *furikake* -

chrupiącą posypką. Czyli zupełnie przypadkiem tak, jak lubię.

Zacząłem dziękować, kiedy John mało mi nie wylał zupy, machając tą swoją idiotyczną trąbką. Towarzystwo rzuciło się ratować tatami, zamiast moje spodnie. Westchnąłem i poszedłem do stołu, gdzie w sąsiedztwie kuchenki i lodówki podłoga była wyłożona linoleum.

Miso shiru faktycznie zasługiwało na sześć gwiazdek. Takie pro-ste jedzenie, a tak rzadko bywa trafione w dziesiątkę... Rzuciłem pełne uznania spojrzenie dziewczynom, co niestety odebrały jako zaproszenie, przyfrunęły do stołu i obsiadły mnie jak papużki, traj-kocząc jak nakręcone. Po japońsku. Którym to językiem władam, ale nie w tym tempie i nie w młodzieżowym slangu. Amanda jest w tym dobra, zauważyłem. Musiała długo mieszkać... gdzieś w rejonie Kansai. Nikt inny nie używa *sa* w charakterze przecinka.

Nawet Andrzej zdaje się rozumieć więcej, niż powinien po dwóch latach. Albo udaje.

- Rozmawiamy właśnie o naszej ulubionej muzyce! - wyjaśniła Rie, wolniej, wyczuwając chyba, że czuję się trochę zagubiony. - A czego Bos-san słucha?

- No... różnych rzeczy... W sumie kształciłem się na muzyce klasycznej...

-Jak X-Japan?

- Hm... Niezupełnie...

- Aha, pewnie gajdzińskiej klasyce! The Beades?

- A wiecie? Owszem. W szkole byłem wielkim fanem...

I look at you all, see the love there that's sleeping, While my guitar gently weeps... zaśpiewała Rie. CZYSTO. Po pierwszej zwrotce dołączyły do niej dźwięki gitary. Granej, a nie szarpanej. Spojrzałem na Amandę, ale nie - to był Yoshi.

Perkusista, na wszystkich bogów Azji. Trzymał na kolanach starego, trochę popękanego akustyka z nylonowymi strunami. Na szczęście go nastroił.

/ don't know whyyyyy nobody told you...

Na *why* dołączyła do niej Chie. Czysty, młody głos. Odruchowo rozejrzałem się za żyrafą ale oczywiście LDK nie była wyposażone w sprzęt. A szkoda.

Pół godziny później byliśmy już przy Doorsach i „Riders of the storm”. Hirō, basista, pożyczył od Amandy jakieś śmieszne bębny indonezyjskie; grał palcami, o dziwo całkiem sprawnie, szczerząc w zażenowaniu zęby.

Potem przeszliśmy do Toto. Znali chyba całą dyskografię. Afrykę śpiewali wszyscy. Nawet pan Ikeda, fałszując tylko umiarkowanie.

A potem ten kawałek T-Rex, gdzie Kimi pokazał, że umie śpiewać, pierwszy raz zresztą... Skąd te dzieciaki znają standardy z innej epoki i innej wyspy?

You won't fool the children of the revolution....

— Lepiej spróbuj na tym! — przekrzykuję rozochocony chórek, zawodzący jeden z moich ulubionych, starych jak świat numerów.

Odbieram Hirō szklanekę, na której dnie nieśmiało popukiwał

palcami rytm, i wyciągam zza sofy asmat, rodzaj bębna etnicznego, przywiezionego dawno temu, z Mentawai.

Niespecjalnie wyszła nam zamówiona przez dziewczyny te-rapeutyczno-ośmielająca rozmowa, szczerze powiedziawszy; śpiewająco-jeedzące warunki i iście wariacka atmosfera niekoniecznie temu sprzyjały. Ale na widok bębnów Hirō wyraźnie się ożywia.

O rany, z czego to?

— To — wodzę palcami naokoło obręczy — jest specjalny rodzaj indonezyjskiego drewna, *ironwood*, a naciąga nie uwierzysz - skóra pytona... Serio! Chwytasz, o, za to tutaj... I opuszkami, tak... sprężynująco. Spróbuj!

- Nie wiem, czy umiem...

— Każdy umie! — Śmieję się. — Dzieciaki grają na tym w wio skach, gdzie nie wymyślono internetu!

Demonstruję kilka uderzeń i podaję zaczerwienionemu po uszy basiście, uśmiechając się zachęcająco.

Yoshi na chwilę odstawia Starego LDK-owego akustyka pod ścianę i przysuwa się bliżej.

14 Męntawai - niewielka wyspa w Indonezji, na północny zachód od Sumatry będąca często epicentrum trzęsień ziemi, z racji położenia na granicy płyt kontynentalnych na dnie Oceanu Indyjskiego.

- Piękna robota. — Gładzi w dziwnej zadumie rattanowe kołeczki i lekko uderza w naciąg. Na sekundę spotykam jego wzrok, mocne, czarne spojrzenie...

— Jeszcze herbaty? — Akemi podchodzi z czajniczkiem w smukłej dłoni, drugą kładąc lekko na ramieniu Yoshiego.

Opuszczam szybko wzrok. Oddaję bęben w ręce Hir ō i znikam w najdalszym kącie części kuchennej.

Poniedziałek, 14 czerwca 1999

- Dziękuję, ci. .

- Rie - odpowiedziała Rie.

- .. Rie. To bardzo miłe z twojej strony...

Stałem na środku reżyserki, trzymając dwa zawiniątka z pięk-nego, wzorzystego materiału. Zawiniątka o znajomym kształcie, z wielkim supłem na górze. W środku - coś twardego, promie-niującego słabym ciepłem... *bentó*. Pudełka z lunchem. Dla mnie i Andrzeja. Pewnie ryż i coś dobrego na nim. . Może *tempura*15?

Może w oddzielnej przegródce, pięknie ułożona?

Nikt nigdy nie zrobił mi *bentó* do pracy. Poprawka: nikt w Ra-diu Yokohama.

Przypomniała mi się japońska rodzina, u której mieszkałem la-ta temu. W poprzednim życiu.

- Naprawdę, dziękuję, Rie.. Przepraszam, nie wiem co powiedzieć... W ogóle... jesteś...

znaczy... ślicznie... znaczy... śliczne...

errr... *furoshiki*.

- Bos-san! — Rie szeroko otworzyła umalowane (trochę mniej ekstremalnie niż wczoraj) oczy. - Wspaniale! Niewielu cudzo-ziemców zna *furoshiki*. Skąd wiesz?

15 Różne różności smażone w cieście. Zob. też słownik, str. 3j72.

- No, tego... wie się to i owo... Tak... Wiem nawet, skąd się wzięła nazwa takiej ręcznie zdobionej chusty, w którą zawijacie *bentō*. Od *furo* — kąpiel, tak? Że kiedyś zawijano w nie ubrania w łaźni, w taki tobołek jakby... Przed erą zamykanych szafek?

Rie roześmiała się, potakując energicznie.

- Bos-san wie bardzo dużo! Rodzaj *bentō* też rozpozna}

- No, mogę spróbować...

- Nie, nie teraz. — Powstrzymała moją rękę, gotową rozsypy-wać węzeł spinający *furoshiki* w zgrabny tobołeczek. — Rozwiąże-

my, jak będzie czas na lunch. Na razie położę... tu, można?

- Oj, nie, lepiej nie... Tam, na szafce. Dziękuję. Naprawdę bardzo dziękuję.

- Naprawdę nie ma za co! - Zachichotała. - Podziękuj Chie, ona ugotowała ryż... Dlaczego w lodówce nigdy nie ma mięsa?

Zastanowiłem się.

Bo nigdy nie było?

Poskrobałem się w głowę i wessałem powietrze przez zęby, z pewnym zażenowaniem zdając sobie sprawę, że zachowuję się jak Japończyk.

- Eetoo... my mamy jednego dostawcę... Starszy pan, przywozi zakupy rowerówózką. We wtorki i czwartki. Świeże *miso*, ryż, warzywa, tofu, mleko... Mięsa nigdy nie przywoził. Może by się w lecie zepsuło bez jakiejś chłodni? Ale zawsze możecie coś zamówić... Pizzę mamy, taką trochę nietypową, ale są wersje mię-

sne... O, tu jest menu, mogę wam skserować...

- Bos-san jest bardzo dobry! To my już pójdziemy...

Na dźwięk słowa „my” obróciłem się i faktycznie stwierdziłem obecność Chie. Po zdjęciu peruk okazały się mieć trochę inne włosy. Koniec ambarasujących pomyłek.

- Nie, zostańcie. Możecie posiedzieć w studiu, bo tu trochę ciasno. Poślę Andrew po jakieś krzeselka z czwartego piętra...

- Nie trzeba, Bos-san. Kucniemy sobie pod ścianą. Na pewno nie przeszkadzamy?

-Jeśli nie będziecie tańczyć...

Rie roześmiała się, a Chie wyjaśniła poważnie: - Chciałyśmy trochę rozruszać chłopaków. Grali jak... martwi.

- Chie! — Ofuknęła siostrę Rie. -Jak możesz tak mówić! To nie temat do żartów.

Akemi, która słuchała nas przez otwarte drzwi reżyserki, spojrzała na Chie z uznaniem.

Odprowadzałem je wzrokiem. No, jeśli nie będą tańczyć...

- Nie wpatruj się tak, chłopcze, w Akemi, jak kot we wróbla, tylko załaduj taśmy i jedziemy. A w ogóle to gdzie cię wiatry tar-gały cały poranek? He?

- No bo ja... pomagałem panu Hayakawie przy Amandzie.

- I bardzo dobrze. Od niego się dużo nauczysz. Teraz siadaj, bierz kajecik, ołówek i pisz. Będzie Lekcja Siódma pod tytułem „Plujący Wokalista”. Otóż tam, za szybą kabiny wokalowej, wi-dzimy zjawisko pod tytułem...

- Papuga? — wtrącił gorliwie Andrzej.

- Tak jest — potwierdziłem. — Ale w tym przypadku...

- Plująca papuga...?

- Tak jest! Bardzo dobrze. Plująca papuga. A co robimy z plującymi papugami?

- Zakładamy pończoszkę?

- Tak jest!!! Zaczekaj więc, chłopcze, aż skończą grać ten wyjątkowo wrzaskliwy kawałek, co go teraz nagrywamy, ale zaraz skasujemy, bo taśma kosztuje, i idź założyć pończoszkę.

Andrzej pobiegł do studia, a ja zająłem się robieniem herbaty.

Przerwał mi słaby głos z monitorów.

Wróciłem do miksera i podpstryknałem wiewiórę o dwie kreski.

- ...się przedziurawiła. Kimi ją nosem dźgnął i...

Oparłem ciężko palec na pawianie, aż się mu grzywa rozpląszczyła.

- To biegnij do technicznego po nową. Czy ja wszystko muszę...

- Ale ja właśnie dzwoniłem do pana Ikedy! Pończoszki wyszły.

Trzeba zamówić, ale...

- Tak, wiem, nie ma budżetu. Wracaj do reżyserki.

Wraziłem palce w czuprynę. Szefowa. Ja ją kiedyś zabiję... Ile może kosztować pończoszka, he? Dwa gorące kubki? Trzy? Trzy plus puszka zielonej herbaty? Ratunku.

Podniosłem głowę, kiedy Andrzej ze smętną miną pojawił się w drzwiach, i kątem oka

zobaczyłem ruch za szybą. Machanie.

Machała Chie. Nie, Rie. Rudo-blond pasemka i podcięty kark.

Machała... pończoszką. Giętki pręt, jak gęsia szyjka mikrofonu, zakończony kilkunastocentymetrowej średnicy obręczą, na niej elegancko naciągnięty filtr antyplujny. Bez żadnej dziury, chociaż wyglądał jakoś dziwnie. Jajowato...? Wytężyłem wzrok.

Rie pokazała z triumfem filtr, a potem... swoją łydkę. Gwizd-nąłem z podziwu.

Andrzej już biegł do studia i po chwili wrócił, prezentując idealnie naciągniętą na obręcz damską pończochę, związaną z obu stron na porządne supły.

- Czy to się nada? - zapytał, dysząc lekko.

Spojrzałem krytycznie pod światło.

- No, w sumie... Na oryginalnym też jest rodzaj pończochy...

Popatrz. Kiedy wokalista ma zły zgryz czy taką dykcję, że syczy przy głoskach syczących, a pluje przy wybuchowych, filtr ma rozwiązać problem: powietrze tu wpada i robią się małe zawirowania na splotach nitki... które osłabiają... jak jest po polsku „impact”?

Nie wiesz? Ja też. No więc impakt. Zapiszesz sobie to wszystko potem, a teraz biegnij zamontować pończoszkę w kabinie wokalowej. I podziękuj Rie.

- Pończocha w studiu. Prawdziwa. Damska. Koniec świata... -

mruknąłem do siebie, obserwując Andrzeja majstrującego przy statywie mikrofonowym Papugi.

- Powiedziałem mu, żeby starał się nie dźgać w nią nosem -

zaraportował Andrzej, zamykając za sobą drzwi reżyserki. Nie wiem dlaczego, ale ciągle dźga...

-1 musi dźgać! — zawołałem. — Dany wokalista, napotykać na mikrofon, chce go połknąć. Praw estrady pan nie zmienisz. Na-tomiast w studiu membrana mikrofonu musi być o dobre dwadzieścia centymetrów od ust. Więc pończoszka, poza rolą antyplujną, ogranicza też apetyt wokalisty na mikrofon. Zapisaleś to, synku? Bardzo dobrze.

A jak Kimi znowu przedźga pończoszkę, zwrócimy się do Rie.

Ma jeszcze drugą nogę, prawda?

No to żyrafa i jedziemy!

Siedziałem po turecku na dywaniku, na środku reżyserki, i rozwijałem *furoshiki* powoli, z namaszczeniem, przepuszczając mię-

dzy palcami miękki, piękny materiał. Mój - granatowy w małe, białe ryby, symbolicznie naszkicowane, jak chińskie znaki. Andrzeja, klęczącego naprzeciwko — ciemnozielony w blad różowe płatki kwitnącej wiśni.

- Nie szarp tego węzła, to nic nie da... Czekaj, pokażę ci.

Odsłonięte pudełka nie były niestety drewniane, lakierowane na czarno ani ciemnoczerwono, tylko mlecznobiałe i plastikowe; moje przyozdobione komiksową postacią Doreamona, Andrzeja -

Hello Kitty. Nastrój prysł.

- Zassało się - wysapał, próbując podważyć wieczko.

- Oczywiście, że się zassało. Stygnie, to się zasysa. Tak ma być, wtedy jest hermetyczne i ryż nie schnie. Poszukaj jakiegoś zawor-ka. Założę się, że to nos kotka...

Andrzej nacisnął wskazującym palcem nos Hello Hitty i faktycznie rozległ się słaby syk, a wieczko grzecznie dało się zdjąć.

- Czo, nie lubisz inarizuszi? - wymamrotałem ustami pełnymi białych kulek z ryżu i ziarenek sezamu.

Andrzej popatrzył nieufnie w kąt swojego pudełka, gdzie czekały słodkawe, beżowe torebki nadziane ryżem.

- Niezbyt, bo przypominają...

- No to dawaj. Szmiało.

Chwycił pierwszą porcję pałeczkami i wyciągnął w moją stronę.

Sięgnąłem swoimi...

- NIE! Tak nie wolno! - Rozległ się ostry, wysoki głos. Zamar liśmy z pałeczkami w powietrzu - moje prawie dotykały beżowe go woreczka, zwisającego smętnie z pałeczek

Andrzeja.

W drzwiach stała Akemi.

- Przepraszam. - Zniknęła za zakrętem w korytarzyku prowa dzącym do poczekalni, gdzie reszta zespołu jadła lunch.

-...?- zapytały przerażone oczy Andrzeja.

Powoli opuściłem swoje pałeczki.

- Połóż mi tu, na ryżu. Dzięki.

- Co jej...?

- Ma rację. Nie wolno podawać jedzenia z pałeczek do pałeczek.

- Errr...?

- Przesąd... Może nie tyle przesąd, co tradycja. Widzisz, w ten sposób rodzina przekazuje na pogrzebie kości zmarłego do urny. Po kremacji, rozumiesz. Z pałeczek do pałeczek, kostka po kostce, z tacy do urny... Taki rytuał buddyjski.

- Wiedziałem o tym — szepnął - tylko...

- Zapomniałeś. Jak widzisz, w Japonii można popełnić gorsze faux pas niż wyjście w kapciach toaletowych na korytarz. No nic, też mi się trochę zapomniał miejscowy savoir vivre. - Roześmiałem się, żeby rozładować nastrój. Swoją własną chyba.

Skończyliśmy nasze *bentó* w milczeniu.

- Dziś było lepiej, prawda? - zapytał Andrzej przy herbacie.

Tym razem, wyjątkowo, zielonej. W ramach nauki savoir vivre'u.

- Trochę tak - odparłem, zamyślony. Dobrze smakuje zielona herbata po zacnym *bentó*.

- Zauważyłeś, jak dziewczyny dopingują chłopaków? Dziś wreszcie zagrali coś z iskrą...

- Iskrą - poprawiłem, odstawiając oburącz czarkę z herbatą.

- ... iskrą... I nawet w miarę równo, prawda? Ciągłe na nie spoglądali. Jak dziewczyny kiwają głowami do taktu, oni również jadą tak myślę... A zwróciłeś uwagę, jak im były

brawo po drugim tejkę „Shin harumagedon”? Bo rzeczywiście wtedy pierwszy raz od tygodnia skończyli równo! I potem już cały czas równo kończyli ten numer. I w trzecim tejkę, i...

- ...w czwartym — dokończyłem.

Środa, 16 czerwca 1999

Powinnam wstać trochę wcześniej, a tak - znów nie zdążę z makijażem. Pociągam tylko szybciotko kredką wewnętrzną linię powiek, w międzyczasie porządkując nuty... Co to ja dziś gram?

Aha. W „Thousandth Day” mam pamiętać o przejściu z H7 na C, bo przeskakuję jedną frazę.

Wszystko jasne.

Podchodzę do okna, by wyłączyć stojące pod nim małe radio. Ponieważ mój pokój znajduje się w środku podwórka, od-biera tylko... Radio Yokohama, oczywiście. Zatrzymuję się, bo dobiega końca „Stairway to Heaven”. Lubię to, nucę ostatnie słowa. Ciekawe* dlaczego u Martina wisi ten śmieszny zakaz...

Dziś zapytam. Oho, wiadomości, czyli już dziesiąta... O looosie!

Sięgam ręką do wyłącznika. Za późno.

Dopiero dzisiaj zidentyfikowano zwłoki trzydziestosześcioletniego cu-dzozemca, znalezione w zeszły poniedziałek w wiwarium Ogrodu Zoologicznego Urno, Według informacji podanych przez rzecznika prasowego policji dzielnicy Taitō-ku, Jack Worthon, producent muzyczny, został

Z aatakowany przez, krokodyla nilowego podczas nagrywania, za wyjątkowym zezwoleniem Ogrodu, dźwięków specjalnych do swojej rozprawy dok-torskiej prowadzonej na Wydziale Musical Creativity and the Environment tokijskiego National University of Fine Arts and Music. Zarząd Ueno Zoo oraz policja badają okoliczności tego ytagicznego zdarzenia.

Miniony weekend przyniósł takżę. .

Ściana. A może podłoga? Budzi mnie ból, jeszcze nie wiem czego. Jak i dlaczego znalazłam się na podłodze, pomiędzy *futo-nem* a ścianą? Co teraz mamy, dzień czy noc? Jasno. Dzień. Chyba miałam wychodzić, bo Takamine stoi przy drzwiach. Usiłuję wstać, lecz koszmarny ból koncentruje się za uchem. Dotykam.

Lekko krwawi. Mam nadzieję, że to tylko otarcie. Powoli wraca świadomość. I pamięć. Studio. Nagranie. Radia Wiadomości..

Wdech. Wydech.

Przed oczami ponownie krążą mi czarne i czerwone kręgi. To niemożliwe. Takie rzeczy się nie zdarzają. Przynajmniej nie w świecie, który znam.

Siedzę wpatrzona w parującą bezsenssem herbatę. Ktoś pu-ka do drzwi. Nie reaguję. Czuję się jak spowita w kokon z wa-ty, dźwięki nie są w stanie mnie z niego wyzwolić. Słońce powoli zachodzi, rysując czerwone plamy na nieprzeźroczystej szybie. Szyba. Godzinę temu była jeszcze biała.

Dzwoni telefon, ale nie chce mi się podnieść go z podłogi.

Kątem oka dostrzegam małego pająka, przechadzającego się po słomkowej macie.

Takamine stoi nadal pod drzwiami, ale chyba już na niej nie zagram. Czy to w ogóle ma sens...?

Muszę stąd wyjść.

Ciekawe, czy już wiedzą. Czy ktokolwiek się tym zaintereso-wał? Czy obchodzi ich śmierć człowieka, którego nawet nie znali? Nic o nim nie wiedzieli. O tym, że nie znosi zielonej het-baty. Że robi świetne wegetariańskie *okonomiyaki*. Że szuka dźwięków ukrytych w Naturze. A Natura, której zawsze skła-dał hołd, tak okrutnie odpłaciła mu za jego szacunek i podziw.

Co ja tu jeszcze robię...?

Pukanie do drzwi przeradza się w łomot. Takamine — oparta od wczoraj o drzwi - niebezpiecznie się przechyla. Wstaję, by ją przestawić. Podłoga oczywiście skrzypi...

- Panno Amando? Wiem wszystko. Proszę otworzyć. Bar dzo proszę.

Nie ma mnie, nie ma, nie ma...

- BARDZO proszę.

Otwieram. Szttywno kłaniam się panu Hayakawie, który gestem powstrzymuje mnie przed podaniem kapci. Bierze je sobie sam i sadza mnie obok siebie na macie. Czuję, że mam twarz z kamienia. Nie mogę poruszyć ustami.

- Proszę nic nie mówić. Wiem wszystko.

Patrzę, ale niewiele rozumiem. Rzeczywistość. . szumi. Nawet huczy. Nie tylko głosem pana Hayakawy, ale nawet ciszą między jego słowami.

- Wiem, że teraz nie chce panna rozmawiać. Potrafię to zrozumieć. Proszę się wyciszyć przez kilka dni, odpocząć. Nie podejmować na razie żadnych decyzji. To bardzo ważne.

Chcę coś powiedzieć, ale podnosi dłoń.

- Tu jest *ramen*, proszę się posilić. - Z torby przewieszzonej przez ramię wyjmuję parujące jeszcze pudełko. — Nie, proszę nie protestować, po prostu przygotowałem nieco więcej. Zo-stawiani pannę teraz, ale proszę przyjść, jeżeli będzie chciała panna porozmawiać, Pretekst nie jest konieczny.

Dziękuję półsłówkami.

Ze zdziwieniem słyszę własny zachrypnięty głos. Hayakawa-

-san odwraca się jeszcze w drzwiach.

— Panno Amando... Kiedy powiedziałem, że wiem WSZYSTKO, dokładnie to miałem na myśli... jeżeli będzie panna chciała poznać szczegóły...

Ramen stygnie, nie mogę go jednak przełknąć. Patrzę na parujący makaron i nie potrafię zmusić się do myślenia.

Czas płynie sennie. Odstawiam pudełko pod *kotatsu*, wspierając się ramieniem, bo zdrętwiały mi stopy. Półożąc - czę-

ściowo na macie, częściowo na *ułom* - przepuszczam przez palce kolejne puste godziny.

Sufit zapada się. Zamykam oczy, udając przed sobą, że mnie nie ma. I nigdy nie było.

Wołanie. Odwracam się. Widzę Takamine opartą o drzewo i Jacka, który próbuje mi coś powiedzieć. Powoli idę w jego stronę. Nie rozumiem języka, w którym do mnie mówi. Ziemia zaczyna wirować. Wyciągam dłoń, by oprzeć się o jego ramię, ale w miejscu ramienia zwisają krwawe strzępy. Czuję ich ciepło. Im bardziej próbuję się cofnąć, tym mocniej owijają się wokół moich palców...

Budzi mnie zduszony krzyk. Mój krzyk. To nie pierwszy koszmar tej nocy. A może dnia, nie wiem. Wyjmuję dłoń z otwartego pudełka z *ramen*. Twarz mam mokrą od potu, oddech galopuje jak oszalały koń. Nadal się boję.

Snuję się po pokoju od wielu godzin. Okno, drzwi, okno...

Brakuje powodu, by stąd wyjść. Już nawet nie zastanawiam się, co tu robię.

? czerwca? 1999

Siedzę oparta o drzwi, w które niedawno ktoś pukał. Chyba.

Nie wiem, jak długo jeszcze uda mi się unikać snu. Nie chcę zasypiać. Zamykam oczy i widzę, słyszę, czuję te przerażające rzeczy. Nie zasnę.

Głowa zsuwa mi się po ścianie. Długo już nie wytrzymam...

Jesteś tu sama - przemawiam sobie do rozsądku. - I sama musisz sobie z tym poradzić. Nie pozwól, by ten koszmar do-prowadził cię do szaleństwa.

Nagle przypominam sobie, że mózg w stanie skrajnego zmę-

czenia wpada najpierw w Fazę nREM, czyli wypoczynku, bez marzeń sennych. Po godzinie do dwóch przechodzi w fazę REM, kiedy podświadomość porządkuje przeżycia., i wtedy pojawiają się sny. Gdybym tak obudziła się chwilę wcześniej, może udałoby mi się uniknąć koszmarów...

Ustawiam budzik, który po godzinie wyrzuca mnie z *futon*u.

Mam wrażenie, że minęła zaledwie chwila. Przez moment usi-

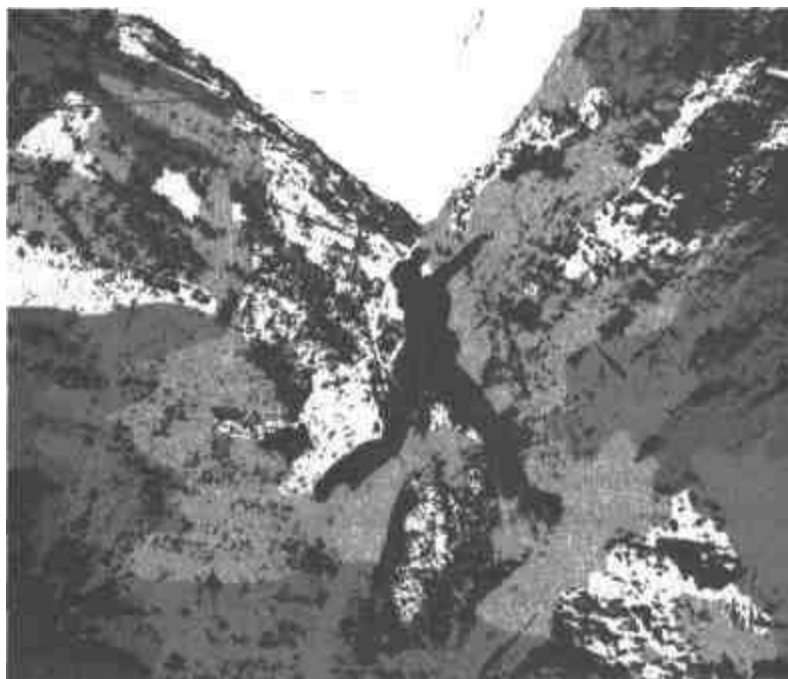
łuję zrozumieć gdzie jestem i po co...

Udało mi się nie śnić.

Spacer po pokoju, szklanka wody. Myję twarz. Okno nadal czarne. Ponownie ustawiam budzik. Zasypiam natychmiast.

Powtarzam ten rytuał wielokrotnie... Z czasem coraz trud-niej otworzyć oczy i zmusić się do spaceru od okna do drzwi.

Stopniowo ostry dźwięk budzika słyszę już tylko na granicy świadomości...



Czas zamarł. Prawdopodobnie przespałam dzień. A może dzień i noc, nie wiem. Słońce znów barwi szybę na czerwono, ale równie dobrze może to być wschód, jak i zachód, Zresztą - kogo to obchodzi...

Ściany mojego pokoju zdają się kurczyć, zsuwać. Powietrze jest tak gęste, że mam wrażenie, jakbym przestała oddychać dawno temu. Muszę się stąd wydostać.

A więc wschód. Pusto i cicho. Chłodno jak na tę porę roku.

Cienie rzucane przez ściany budynku na studniowate podwórko coś mi przypominają. Coś znanego, swojskiego. Dotykam szorstkiego muru... Chwytam wykruszone miejsce, idealnie pasujące do mojej dłoni. A gdyby tak,..

Wstawiam gołe stopy w nierówno położony cement Ciało posłusznie balansuje. Dwa metry nad ziemią kolejne okno, obchodzę je górami, ustawiając się bokiem i przenosząc ciężar ciała na lewą stronę. Palce łatwo mieszczą się w dziurki pomarszczonego ze starości muru. Myśli powoli odpływają. Jest tylko ściana i kolejny ruch. W górę.

Piątek, 18 czerwca 1999

Ukląknęłam przed kozetką. To najlepszy sposób, żeby się na niej położyć, bo ma odpiłowane nogi. Dzięki czemu nie robi czterech dziur w macie podłogowej. Oj, starzeje się człowiek. Kiedyś wskakiwałam na kozetkę czy *futon* i zrywałam się jednym susem.

Teraz kolana nie te — coś w nich strzyka i czasem poboлева.

Trzeba by... A, właśnie. Ułożyłam się wygodniej i zapytałam sufitu: - Tabashi-san, co się

stało ze sprzętem z siłowni? Tej, co była na czwartym piętrze?

Woźny odstawił ostrożnie czarękę z zieloną herbatą i odchrząknął.

- Dlaczego Bos-san pyta...?

- No... sam nie wiem. Warto by poćwiczyć trochę... Ikeda-san gdzieś wyniósł urządzenia z siłowni, prawda?

Tabashi-san zrobił minę znaczącą: „Zostawmy pana Ikedę poza nawiasami tego równania. Porozmawiajmy raczej o panu Bosie”.

Mimikę Woźnego wyczuwałem raczej, niż widziałem, bo siedział jak zawsze na swoim beznogim krześle przy *kotatsu*, na granicy mojej wizji peryferyjnej. A ja lubiłem patrzeć w sufit - stary, żebrowany drewnianymi listwami, mroczny jak przeszłość tej części budynku.

- Czy Bos-san czuje, że powinien ćwiczyć na siłowni?

Zastanowiłem się.

- Bo ja wiem...? Fakt, nie czuję się ostatnio na topie.

Cisza z okolic beznogiego krzesła zapytała: - A dlaczego Bos--
san nie czuje się na topie?

- Może to przez tę sesję? Sesję bez producenta? Już trzeci faks przysłał, przesuając spotkanie... I ten okropny zespół... Wszyst ko się rozsypuje. A teraz wypadek z producentem Amandy...

Okropna historia, prawda? Czy ktoś się na nas uwziął? Pomór ja kiś na producentów padł czy co?

Cisza delikatnie zachęciła moje myśli do kontynuacji marszu.

-Ja niby nie znałem tego Jacka... Ale to w końcu producent. Swoją człowieka, w pewnym sensie, chociaż zewnętrzny, prawda? Amanda od trzech dni nie nagrywa. Stagnacja. Nie idziemy do przodu... Coś jakby... Bezruch... Martwota... Śmierć?

- A. — Tabashi postukał znacząco czubkiem ołówka w notes, w którym zawsze kreślił esy-floresy. - Bardzo dobrze, Bos-san. Proszę mówić dalej.

- Ale... o czym?

- A o czym Bos-san chciałby porozmawiać?

- Właściwie... — Popatrzyłem w sufit, szukając natchnienia. -

Kolana mi jakoś tak ostatnio nawalają... prawe boli trochę, a lewe strzyka, kiedy...

- Czy Orito-san o tym wie?

- Szefowa? O czym? Nie... dlaczego? Ona... ona się w ogóle nie interesuje. Nie angażuje. Dzwoniłem trzy razy, prosiłem... Potrzebujemy pieniędzy na naprawę podłogi, bo skrzypi. I dach nad poczekalnią studia C przecieka, a za kilka miesięcy pora tajfunów. A sprzęt?

Od lat miksujemy na archaicznym analogu, tylko ADAT-y doszły...

Gdzie jest postęp? Gdzie rozwój? Gdzie idziemy?

Z pewnym wysiłkiem obróciłem głowę i spojrzałem na pana Tabashi. Jego buddyjski uśmiech mówił: - Bos-san jest zbyt inteligentny, żeby próbować naciągnąć starego Woźnego na okazywa-nie Nielojalności wobec Szefowej.

Albo coś zupełnie innego. Z woźnymi nigdy nic nie wiadomo.

Wróciłem do studiowania sufitu. Cisza krzesła stawała się gęsta.

-I...

Cisza nie pomagała.

-I mówiłem jej o problemach z producentem Y2K, żeby użyła swoich kontaktów, jakoś go przycisnęła! Gdyby jeszcze oni grać umieli, ale tak? Co z tego za płyta wyjdzie? W poniedziałek pozwoliłem ich dziewczynom siedzieć na sesji i faktycznie trochę pomogło, ale nadal... stagnacja. Brak tej iskry, tego czegoś...

Wszystko jej wyznałem. Wszystko, bez owijania. I coś nawet odpowiedziała, tylko nie mogę sobie przypomnieć co. Bo ja mam wrażenie, że... errr...

Cisza popychała łagodnie, acz stanowczo.

- ...ona mnie nie słucha!

- A — potwierdził doniosłość tej myśli pan Tabashi.

- Czasem w ogóle mam wrażenie...

Okolice krzesła zamieniły się w słuch.

- ...że nikt mnie nie słucha.

- Czy prawe kolano boli cały czas, czy tylko podczas ruchu? — zapytał Tabashi-san, podnosząc się z *kotatsu* i wypełniając swoim rumianym obliczem moją wizję peryferyjną.

- Pozwoli Bos-san, że zbadam? Proszę ugiąć nogi. I wyprostować proszę... Napinamy mięśnie... Tu boli?

-Auć.

- Taaak... Pan Bos ma bardzo skurczone mięśnie uda i łydki.

A czworogłowy uda w ogóle ulega atrofii, o tu, od wewnątrz... Dla tego przy zginaniu kolana rzepka jest ściągana na bok i ociera się krawędzią o kość udową... I proszę, mamy lekkie zapalenie stawu...

-Ojej?

- Nie, to zupełnie normalne, Bos-san, kiedy się prowadzi się dzący tryb życia. Zaczynają się przykurcze. Trzeba będzie te mięśnie rozciągnąć. I wzmocnić. Zaraz pokażę, jak ćwiczyć. Ale za czniemy od małego masażu, żeby rozluźnić i rozciągnąć ścięgna...

Proszę się położyć na brzuchu. O, tak.

Wychodząc, uważałem, żeby nie popchnąć drzwi zbyt mocno.

Dojechały łagodnie do framugi, wydając delikatny klik.

Interludium

Następny!

Pan do mnie? Pan umówiony? Nie...? Nazwisko!

A, Bóg-san...

No dobrze, ma pan pięć minut.

Chodzi o zapłatę? Za co?

Zawarliśmy przecież umowę o dzieło.

Na lądy i morza, światłość i ciemność, takie tam.

Się zgadza.

Że niby aneks?

Nie, człowiek panu nie wyszedł,

zupełnie.

Pan za niego nie ręczy, ja za niego nie płacę.

Biznes iz biznes.

To wszystko? To my już panu

dziękujemy.

Tak, zwalniam pana, panie Boże.

Redukcja, rozumie pan.

Nie mamy już etatów

dla miłosiernych rozgrzeszaczy.

Bo recesja. Bo tak.

Żegnaj pana. Życzę przyjemnej przyszłości.

Następny!

Rozdział Piąty

w którym wyciągamy pupę z peszla, a Debiru z dziury.

Środa, 23 czerwca 1999

Gdyby tu były schody, John miałby więcej gości na antenie — pomyślałem, stawiając pierwszy krok na drabinie prowadzącej na piąte piętro. Drabina była stara, dębowa, szeroka, z niższymi stopniami wytartymi pośrodku aż do sinej bladości, a wyższymi znikającymi gdzieś w mroku; pochyłona i o tyle nietypowa, że w połowie zakręcała — wraz z czymś w rodzaju wielkiego komina, w którym biegła. Dawna klatka schodowa? Szyb do zrzucania niechcianych gości rozgłośni? Trudno powiedzieć.

Pokonałem właśnie ten zakręt, kiedy utknąłem, bo przede mną pojawiły się spodnie od garnituru. Spodnie powiedziały: - Jeśli Martin-san idzie na górę, to ja wrócę i przepuszczę.

- Nie trzeba, Hayakawa-san, to ja zejść i pana przepuszczę.

- Ależ nie, Martin-san...

Targi trwały dłuższą chwilę. W końcu pan Hayakawa, nie pierwszej młodości przecież, obrócił się z lekkim stęknieniem i usiadł na stopniu, ocierając chusteczką pot z czoła.

- Gorąco tu, prawda? - zagaił.

- Oj, tak. W rozgłośni też gorąco?

- Ależ nie, pan Ikeda naprawił już klimatyzator.

- To co teraz nie działa?

Odpowiedziała mi cisza i już się zastanawiałem, czy nie prze-giąłem, kiedy usłyszałem nad sobą rozbawione chrząknięcie.

- Pan Martin raczy żartować, jak rozumiem. Eetoo... Nie działają światła w studiu. Ale John mówi, że światło lampy naftowej poprawia brzmienie jego głosu.

Zaśmiałem się posłusznie i znowu zapadła cisza.

Przekręciłem się na swoim stopniu drabiny i spróbowałem spojrzeć w górę. W słabym świetle zakurzonej żarówki na podeście piątego piętra widziałem tylko brązowe, biznesowe

kapcie pana Hayakawy, nogawki garnituru i cienkie, jedwabne skarpetki, przechodzące w blade, chude łydki.

- Hayakawa-san?

- Tak, Martin-san?

- Mam problem... Z tym moim zespołem. Producent miał się pojawić w piątek, potem w następny piątek, a teraz w jeszcze następny... Co tydzień przysyła faks, przesuwając termin...

- Pani Orito bardzo liczy na tę płytę.

- Wiem, Hayakawa-san... I dlatego się staram, chociaż nie mamy producenta, i naprawdę nie wiem, co robić...

Nade mną stopień drabiny skrzypnął z namysłem.

Czekałem cierpliwie.

- Przyjdę do studia A... - znowu skrzyp, potem szelest kartek notesu — jutro, dwudziestego czwartego czerwca o czternastej dwadzieścia pięć. Wtedy zobaczymy, co się da zrobić.

- Dziękuję, Hayakawa-san... Ale... pan przecież nagrywa Amandę?

Skrzyp.

Otarłem rękawem pot z czoła.

- Amanda chwilowo nie będzie nagrywała. Kilka dni... przerwy.

To w związku z... - Zawiesił głos.

- Tak, rozumiem. Krokodyl...

- Krokodyl.

Skrzyp, skrzyp.

Trzask.

- To może. .?

- Tu się da wyminąć, proszę. .

- Nie, to ja przejdę na prawo...

- O, właśnie tak. .

- Dziękuję. .

Ukloniliśmy się sobie na zakręcie, trochę nieporadnie, bo trzeba się było trzymać obiema rękami, z jedną nogą na drabinie, a drugą zapartą o ścianę.

Pan Hayakawa skrzypnął z godnością dolnymi stopniami i rozpląnął się w mroku.

Pogoda piękna, czerwcową. Kończę kawę. Żołądek odmawia posiłku, szczególnie o poranku, po nocy koszmarów i prób wybudzania się z nich. Boję się zasypiać. Koszmary są, takie...

realne.

Pan Hayakawa, przynosząc wczoraj *saskimi* z niekolorowanego łososia, wspomniał, że mamy nasze prywatne, radiowe ucho, pana Tabashiego. I że u niego jest Kozetka. Imoże bym tak. .

Zebrałam się na odwagę i postanowiłam pójść tam dziś.

Kiedyś trzeba wyrzucić to z siebie.

Powoli stąпам po korytarzu. Każdy krok wywołuje inne skrzypienie podłogi. Omijam tę część tatami, w której można zapaść się po kostkę. Wsiadam z windy. Czy na pewno jestem gotowa...?

Zza zakrętu widzę, że Martin zostawia kapcie przed drzwiami i wchodzi do mieszkania woźnego.

Odwracam się i odchodzę. Takich Znaków się nie lekceważy.

Poradzę sobie i z tym. Sama.

Na pewno.

Chyba mamy porę deszczową, ale słońce, całkowicie tego nieświadome, prześwieca przez szybę na korytarzu, która kiedyś, dawno temu, była przeźroczysta. Próbuję rozsunąć okno.

Chyba nikt tego nie robił od ćwierćwiecza. Napinam mięśnie i w końcu z trudem udaje mi się otworzyć. Szybkie spojrzenie w głąb korytarza i...

Wyskakuję na drugą stronę okna.

- HA???!!!

Wciąż na ugiętych nogach, z przerażeniem łapię powietrze.

O mało co nie wylądowałam mu na głowie! Krzyknęliśmy oboje, niemal jednocześnie.

- Co... to znaczy... dlaczego...?

- Ja... ja tylko... bo słońce takie i...

Patrzymy na siebie i nagle dociera do nas komizm sytuacji.

Yoshi wybucha pierwszy.

Mam wrażenie, że mięśnie mojej twarzy zapomniały już, co to śmiech... Moje policzki powoli przypominają sobie, jak dobrze znaleźć się w czyichś ciepłych dłoniach.

Czwartek, 24 czerwca 1999

- Kto grał „Canned Heat”? Hę? - zapytałem groźnie, nachylając się do szyby reżyserki i omiatając wzrokiem załogę Y2K z przybytkami. - Nie, żebym miał coś przeciwko Top20 i w ogóle trochę funku dobrze by zrobiło waszej muzyce, ale...

- Ale to nie my - powiedział do mikrofonu Yoshi, nieoficjalny rzecznik prasowy zespołu (i słusznie, bo ma chyba więcej oleju w głowie niż pozostali panowie razem wzięci).

- To kto?

Wzruszenie ramionami jest w erze globalizacji gestem o prze-kazie uniwersalnym.

こちらは皆さんの

大好きな

Tak samo jak bezradnie rozłożone ręce.

- Andrzej? — Zrobiłem piruet na moim fotelu na kółkach. -

Dzwoń po technicznego. Coś nam sieje.

- Errr... kto sieje? - Wymówił to jak „szę je”.

- Nie kto, tylko co. Studio C nam sieje. Reklamy się przebijają.

Posłuchaj.

Podciągnąłem rozczapierzonymi palcami całą arkę Noego do oporu i faktycznie z monitorów popłynęły ostatnie akordy „Canned Heat”. A po nich...

Good Morning Yokohama!!!

za besto

DJ, John „Golden Ear” Guthrie, at 84,4FM...

- O, NIE... Andrzej, dawaj Technicznego, radiostacja sieje!

- Coś tu nie gra... - mruknął Ikeda-san, z roztargnieniem owijając łapkę swoich okularów żółto-zieloną taśmą izolacyjną.

- Tyle to i my wiemy - mruknąłem, czując jakieś dziwne deja vu. - Choć problem właśnie w tym, że gra. Równo łapie cały program z piątego piętra. Ranna sesja zrujnowana, przebiło się we wszystkich cichszych kawałkach. Nie, żeby Y2K grał coś cicho, ale i tak się przebiło. Słyszysz się to, nawet jeśli się nie jest Johnem.

- A — powiedział pan Ikeda, po czym wsadził lutownicę do kieszeni, śrubokręt za ucho, i dał nura pod stół mikserski.

- Daj mi znać, jakby zasnął. Poznasz po chrapaniu - pouczyłem Andrzeja i wcisnąłem pawiana. - Szanowni państwo. Sesja nie będzie dziś kontynuowana z przyczyn technicznych. Nie, Hirō, to nie twoja wina. Coś się zepsuło po prostu. Zróbcie sobie wolne popołudnie. Nie wiem, na spacer sobie idźcie na podwórko. Na czwartym piętrze jest stół do bilardu, Woźny da wam bile. Coś wymyślicie. No, już. Biegnijcie.

Zespół się rozpełzł, a ja poszedłem do kabiny wokalowej poprawić pończoszkę - Kimi znowu dźgał ją nosem tak skutecznie, że pogiął się wysięgnik. Będę musiał coś z tym zrobić — myślałem, obserwując przez okienko kabiny pana Ikedę, pełzającego po podłodze studia z jakimś czujnikiem w rękę i słuchawkami na uszach.

Zaniepokoiłem się dopiero, kiedy zaczął zrywać podłogę. To znaczy podnosić ciężkie, kwadratowe panele za pomocą podwójnej przyssawki.

- Ikeda-san? Czy to naprawdę wymaga rozebrania studia na czynniki pierwsze? Nie wiadomo, co tam możemy odkryć... - za-

żartowałem, ale uśmiech zdechł mi na widok surowego spojrzenia Technicznego.

- Bardzo poważna sytuacja, Martin-san! Nie mamy pupy. - Powiedział. A przynajmniej tak mi się zdawało, gdyż użył słowa *asu*.

- Errr... pupy? Znaczy... pośladków? I całej reszty? — Upewni-

łem się, wkraczając na kolejny poziom abstrakcji. Jak zwykle w czasie prób dogadania się z panem Ikedą.

- AASU. Ziemia! Ziemi nie ma!

- Ziemi nie ma. Rozumiem. I szuka Ikeda-san tej ziemi, zrywa-jąc podłogę w moim studiu...?

- Nie, szukam okularów - odparł z godnością. - Wypadły mi, kiedy przeciągałem z reżyserki sondę RF, Patrzyłem na Technicznego przez dłuższą chwilę.

- Errr... Ma je pan na własnym nosie.

- A - powiedział pan Ikeda i wybiegł z sali.

Z braku lepszych zajęć wyjąłem z szafy na kable odkurzacz i zabrałem się za czyszczenie studia. Woźny dba o stan korytarzy i innych części wspólnych, ale trudno od niego wymagać, by zajmował się wszystkim. Dlatego ja odkurzam studio A, Andrzeja ostatnio zapędziłem do czyszczenia B, a John co sobota pucuje rozgłośnię i studio C. No właśnie, John. Ciekawe, czy wie, że za-pewnia nam tu rozrywkę na żywo.

Wyłączyłem odkurzacz i wróciłem do reżyserki. Podciągnąłem wszystkie zwierzaki do oporu. Z monitorów płynęły przytłumione, lekko trzeszczące dźwięki „Hotelu California”: *Mirrors on the ceiling, the pink champagne on ice, And she said: „we are all just prisoners here, of our own device”...*

Usiadłem, nagle zmęczony.

Słuchałem przez kilka chwil.

Ściągnąłem powoli suwaki, kiedy doszli do słów: *You can checkout any time you like, but you can never leave.*

Po porannej krótkiej rozmowie z pattern Hayakawą wiązę ciaśniej włosy pod chustą. Z lustra patrzy na mnie pobladła, a właściwie poszarzała twarz icienie pod oczami.

— Wystarczy już — mówię do siebie, głaszcząc się w myślach po głowie. Może pora się Zastanowić, jak się z tego wygrze-bać...?

Może na początek pójdę do studia A, posiedzieć chwilę z dziewczynami? Porozmawiać nie da rady, bo Martin dostałby jednego ze swoich słynnych „przeciągów”, czyli momentów, gdy przeciągle krzyczy na wszystko, co się rusza...

A przy okazji, hmm... przy okazji popatrzeć, jak dziś grają.

Studio jednak ciemne i ciche.

W korytarzu wala się jakiś gruz - pewnie remont podłogi.

Dobry pomysł, należało się jej to ód mniej więcej dziesięciole cia...

Słońce atakuje przez białe od pyłu szyby, rozświetlając wirujące w powietrzu drobinki.

Za zakrętem mijam .starszego mężczyznę w płaszczu. Pewnie jeden z lektorów. Ale w płaszczu? W taki upał? Oglądam się za nim ze zdumieniem, co natychmiast okazuje się fatalne w skutkach. Potykam się o gruzowisko i, rozpaczliwie próbując utrzymać równowagę, wyciągam dłonie w kierunku ściany. .

Chwilę potem trzymam w ręce jakiś przypadkiem wyrwany z tejże ściany kabel i kaszlę tynkiem, który przy okazji sypnął

się z rogu.

O kurczę! Techniczny.

- Do studia powinno się wpuszczać tylko ludzi po instruktażu! - mruczy, zmarszczony tak, że mu się brwi schodzą w jedną kreskę. - Trzeba patrzeć, jak się chodzi!

— Przepraszam, nie zauważyłam...

- To proszę zauważać! To nie jest podwórko szanownej bab ci, tylko poważna instytucja! Tutaj...

— W poważnej instytucji nie chodzi się po wysypisku! - odparowuję, bo nagle wzbiera we mnie odwaga. — W poważnej instytucji jest porządna podłoga i poważni fachowcy, którzy się nią zajmują! W dodatku ludzie pracujący w poważnej instytucji wiedzą, jak należy kulturalnie odnosić się do płci pięknej!!!

Fukam jak wkurzony kot i, mijając skamieniałego Ikedę, od-maszerowuję. Potykając się tylko raz. Z godnością.

Dwunasta trzydzieści. Studio puste. Lubię puste studio. Czasem mam wrażenie, że muzycy tylko w nim przeszkadzają.

Trochę nudno. Może iść do Amandy, pogadać chwilę, jakoś ją podnieść na duchu? To już ponad tydzień... Powinna się wreszcie pozbierać.. Ale co ja jej powiem? Nigdy nie umiałem być „mę-

skim ramieniem do płakania na".

Lepiej poszukać Technicznego. Inaczej możemy się dziś pożegnać z nagrywaniem. Ale czy to robi wielką różnicę?

Czyli najpierw herbata.

Wyszedłem na korytarz, żeby nabrać wody do czajnika elektrycznego.

Daleko nie zaszedłem.

Grunt kończył się po trzech krokach. Dalej zaczynały się wykopy.

Zerwane maty tatami słały się wielkimi płatami pod ścianą, deski podłogowe w bezładnych stosach straszyły zębami pogię-

tych gwoździ, a na środku korytarza - nierówne plamy pokruszonego cementu otaczające długi, głęboki wąwóz z kablami. Koniec świata a la Ikeda.

Wiedziony jakąś chorą fascynacją odstawiłem czajnik i podąży-

łem wzdłuż wąwozu. Pokonałem dwa zakręty i w bardzo wąskim i ciemnym korytarzu wpadłem na kolejkę. Za czym kolejka ta stała, nie widziałem, bo ginęła za jeszcze następnym zakrętem.

Kolejka zajęta była ciągnięciem. Czegoś.

Zaczynając od mojego końca, Rie ciągnęła za Chie, Chie za Akemi, Akemi za Yoshiego, Yoshi za Tomo, Tomo za Kimiego...

- Ekhem - powiedziałem.

- O, Bos-san! — Rie obróciła się, nie przestając ciągnąć. — Bardzo dobrze, że pan jest! Proszę mnie szybko chwycić za biodra!

- Że co proszę???

- Wyciągamy kabel! Z takiej rurki! Tam jest za wąsko, musimy stać rzędem... Proszę ciągnąć!

Poniesiony chwilą chwyciłem Rie za... errr... biodra i zaparłem się nogami o stos desek podłogowych pod ścianą.

I wtedy... COŚ puściło.

Polecieliśmy.

Leżałem z głową w podłogowym wąwozie, czując gigantycznego guza, który przebił się już przez moją świadomość i właśnie zabierał się do przebijania przez skalp.

Co jeszcze bolało? Aha, rzepka. Ta w lewym kolanie. Biorąc pod uwagę, że ktoś na niej stał, nie wydawało się to szczególnie zdumiewające.

Było ciemno, a świat smakował cementem.

Spróbowałem jęknąć, ale oddech miałem zaparty kobiecymi...

errr... biodrami.

Suwak czyjejs spódniczki wgryzał mi się w nos.

Wiedziony atawistycznym instynktem, postanowiłem udawać, że nie żyję.

- Nic się panu nie stało? - zapytał głos Technicznego. — Wy ciągałismy pupę z peszla.

録音中,

Talenty aktorskie oposów mogą się przy mnie schować.

Cztery pary rąk wydobywały mnie z wąwozu przy akompaniamencie pisków, chichotów i plaśnięć dłoni otrzepujących cemen-towy pył 2 mojej poturbowanej osoby.

Kiedy stanąłem wreszcie o własnych nogach, zostałem powitany oklaskami.

Ukloniłem się nieco chwiejnie i, trzymając się jedną ręką ściany, ruszyłem do LDK po lód. Po raz pierwszy od nie wiem ilu lat poczułem, że należą mi się wakacje. Przynajmniej do jutra rana.

Spędzę je przed telewizorem. Świat jest bezpieczniejszy, kiedy się go ogląda przez szklaną szybę.

Dużo bezpieczniejszy.

Piątek, 25 czerwca 1999

Nie lubię poranków. Wszystko mnie wtedy drażni. Nawet... Puk, puk.

Właśnie - w studiu nikt nie puka do drzwi reżyserki. Jeśli nie pali się czerwone światelko, to po prostu wchodzi.

- Andrzej...

- Chwileczkę, szefie!

Za drzwiami stał wielki, czarny, skórzany fotel z jeszcze większymi poręczami ze szlachetnego drewna. Godny nawet nie pre-zesa, ale szefa rady nadzorczej. Gdybyśmy taką mieli.

Zastanawiałem się, jak fotelowi udało się zapukać, bo poza nim nikogo w korytarzyku nie widziałem. Dopiero po chwili zza oparcia wychynęła rumiana twarz Woźnego.

- Czy można prosić o pomoc? - zapytał wesoło.

- Andrzej!

-Już, już... Taśmę schowam do pudełka!

- Andrzej!!!

Rzucił taśmę na stół i we dwójkę z panem Tabashim wtaszczyli ogromny mebel do reżyserki.

- Tabashi-san, czy TO - wskazałem palcem skórzane monstrum - znaczy, że JA mam sobie stąd pójść? Bo na pewno dla mnie i TEGO czegoś nie ma tu miejsca. A może to znaczy, że awansowałem na dyrektora? Tylko że ja dziękuję bardzo, wolę moje stare, wysłużone krzesło obrotowe. Jeśli można prosić.

- To fotel pana Hayakawy - wyjaśnił Woźny.

Pacnąłem się w czoło. Wielki guz z tyłu czaszki odezwał się boleśnie. Na śmierć zapomniałem o obietnicy Hayakawa-san. Miał

pomóc w nagrywaniu Y2K. Wczoraj. Tylko że wczoraj studio zamieniło się w teren wykopalisk archeologicznych. Co przypłaciłem guzem, trzema siniakami i bólem rzepki.

Tabashi-san stanął w lekkim rozkroku, odsunął połę brązowej, skórzanej kamizelki i sięgnął do skózanego holsteru przy biodrze.

Zręcznym ruchem wyciągnął puszkę płynu do polerowania mebli, zakręcił nią młynka w powietrzu, po czym łapiąc, natychmiast wystrzelił idealnie równą kreskę pianki na prawą poręcz fotela. Zza pasa na lewym biodrze dobył płachtę irchy i zabrał się do polerowania lewą ręką, w czasie kiedy prawa wykonała kolejne zakręcenie puszką (tym razem w przeciwną stronę), chowając ją w końcu zdecydowanym ruchem do holsteru.

Andrzej stał z rozdziawionymi ustami.

Pan Tabashi zachichotał, psując trochę efekt, po czym powtórzył całą operację, tym razem z lewą poręczą.

Głęboki brąz szlachetnego drewna rozświetlił skromne progi reżyserki studia A.

Woźny uklonił się i odjechał wprost w zachodzące słońce, czyli za zakręt korytarza.

Andrzej nierozsądnie wybrał tę chwilę, żeby zapytać: -Jak szef się czuje... po wczorajszym...?

- „Po wczorajszym” - narysowałem w powietrzu palcami cu dzysłów — oznaczałoby, że zamarynowałem się na sztywno.

A NIE że stado rozbrykanej młodzieży wrzuciło mnie do wyko pów. Na trzecim piętrze - dodałem z goryczą, jakby to coś mo gło zmienić.

- Bo my...

- Tak, tak, wiem, ciągnęliście pupę. Czyli przewód uziemiający.

I...?

- Bo Ikeda-san odkrył, że nasze preampy mikrofonowe nie są uziemione, to znaczy przewód uziemiający nie jest podłączony do ziemi i nie uziemia, i dlatego preampy zbierają fale, czyli stają się odbiornikami radiowymi, i słyszać Johna z piątego piętra, bo tam na dachu jest antena nadawcza, i...

- ...weź sobie teraz oddech, Andrzejku, zanim zsiniejesz, a ja ci wyjaśnię kilka drobiazgów. Czasem powinienś mniej mówić, a więcej słuchać. No więc, po pierwsze, preampy po polsku nazywają się przedwzmacniacze. Tyle ze studiów na Okólniku pamiętam. Po drugie, to nie przedwzmacniacze zbierają fale radiowe, tylko kable mikrofonowe, a konkretnie ich oploty. Faktycznie, jeśli nie są uziemione, działają jak anteny. No i...?

-I poszliśmy szukać, gdzie ten kabel uziemiający się przerwał.

- Co wymagało zerwania podłogi na całym trzecim piętrze? Cóż.

Znaleźliście je w końcu czy nie?

- Tak. - Andrzej wyglądał tak, jakby miał nadzieję, że nie zadam następnego pytania.

- Gdzie?

- Na podwórku. Coś go przerdzewiło.

- Przerdzewiał - poprawilem odruchowo. - Czyli, reasumując, jakby ktoś ruszył głową i zaczął od tego łatwiej dostępnego końca, gdzie kabel wchodzi w ziemię, nie trzeba by zrywać podłogi? I wrzucać starego Bosa do rowu? Hę?

Andrzej wyglądał na tak zmieszanego, że aż zrobiło mi się go żal.

- Nie przejmuj się, chłopcze. To Techniczny powinien był ru szyć głową. Gdyby ją tylko znalazł. Bo trzeba ci wiedzieć, że...

Nie dokończyłem, bo drzwi reżyserki stanęły otworem, a pan Tabashi, który zdążył się przebrać z kowbojskiej kamizelki w swój frakopodobny, pikowany kubrak, wykonał dworski ukłon i zaanonsował:

- Pan... Hayakawa!

Hayakawa-san wkroczył z godnością i dał się wchłonąć fotelowi, wprowadzając do reżyserki atmosferę spokoju starego świata.

- Czy Szanowni Muzycy wkrótce przybędą? - zapytał.

- Tak, panie Hayakawa — odpowiedzieliśmy chórem.

- To dobrze.

Dotknąłem plasterka, zdobiącego od wczoraj mój nos.

Przełożyłem pusty kubek z ręki do ręki.

- To może... ja pójdę sprawdzić mikrofony... Wczoraj je wszystkie poprzestawiali, kiedy, tego... podłoga...

Nie wiem, co mnie podkusiło, żeby przed wyjściem postawić kubek na... pawianie. Tym samym wciskając przycisk do komuni-kacji ze studiem.

Perkusja, jako instrument, ma tę zaletę, że posiada stołek.

Usiadłem wygodnie i bez zbędnego pośpiechu zabrałem się za poprawianie mikrofonów, jako że wykopy podłogowe pana Ike-dy dotarły nawet tu.

Monitory sufitowe zaszemrały słabymi głosami z reżyserki.

Żeby było głośno, ktoś musiałby się nachylić do szyjki mikrofonu.

Nikt się nie nachylał, ale słyszać było i tak.

Wystarczająco dobrze.

- ...i znalazłem to pod podłogą... - mówił Andrzej.

- Ciekawe... Czy Andrew-san, wie, co to jest?

- Errr... łyżka do butów?

- Nie - roześmiał się Hayakawa. - To jest fiszbin. Prawdziwy. Z

wieloryba.

- Czy... tu kiedyś mieszkali wielorybnicy...?

- Owszem, bo Chiyozaki-chó jest starą dzielnicą portową, ale to akurat fiszbin od gorsetu.

Zapadła chwila ciszy. Jakieś szmery.

-Jakoś nie mogę sobie wyobrazić Japonki w gorsecie. - Zachichotał Andrzej. -
Przepraszam...

- Faktycznie, w dzisiejszych czasach, biorąc pod uwagę, jak się ubiera nasza młodzież, może się to wydawać dziwne. Ale zapew-niam pana, że w erze Meiji eleganckie damy nosiły takie... stroje.

Zdarzało się to jeszcze we wczesnej erze Taishó, chociaż wtedy gorsety były raczej noszone przez damy... lekkich obyczajów. To była era jazzu i big bandów... — W płynącym z sufitu słabym głosie pana Hayakawy słyszałem wyraźną aprobatę. Jeśli nie rozma-rzenie. — Niestety, nie da się tańczyć swinga w kimonie... Panie w owych czasach przyjęły więc szybko modę zachodnią.

- Czy ten fiszbin jest z ery Meiji czy Taishó?

Obejma mikrofonu upadła mi na ride'a, robiąc taki łoskot, że jeżeli Hayakawa coś odpowiedział, to nie usłyszałem. Uspokoilem palcami talerz i wyteżyłem słuch. Mówił znowu Andrzej: - Ale skąd to się wzięło pod podłogą... na naszym korytarzu?

Cisza.

- Myślę, że pan Andrew zrobiłby dobrze, prezentując ten... artefakt panu Tabashiemu. Pan Tabashi prowadzi małe... muzeum.

Obrazujące niewątpliwie ciekawą i kolorową historię tego...

budynku. Ale, ale. Najpierw praca, potem pogaduszki. Czy Andrew-san jest w posiadaniu dziennika sesji?

- Proszę!

- Dziękuję, Andrew-san. Czy można poznać pana impresje na temat nagrywanego obecnie... zespołu?

- No... jest w nich ta... dynamiczna energia...

- Rozumiem. Czyli nie umieją grać. A jak się panu pracuje z panem Bosem?

Pauza.

Andrzej obrócił się chyba tyłem do stołu mikserskiego, bo jego głos ledwo mnie teraz dochodził:

- ...jest dobrym szefem i - tutaj straciłem parę słów - ...się od niego uczę...

- To mnie cieszy. Ale...?

- Ale? Ale... no... trochę despotyczny. Nie słucha ludzi. Nie daje dojść do słowa, serwuje te niekończące się wykłady... On po prostu... nie słucha.

- Pana przełożony jest wykształconym i doświadczonym realizatorem nagrań - powiedział surowo Hayakawa. - Wychował już niejednego pomocnika. Myślę więc, że pan Andrew robi najlepiej, zamieniając się w ucho, kiedy pan Bos mówi. Ucho to naj-ważniejsze narzędzie pracy akustyka. A propos, czy pan Andrew raczył umyć dziś rano uszy?

- Errr...???

- W tym zawodzie należy dbać o czystość uszu. Pałeczki są dostępne w *ofuro*, a także do kupienia w sklepiku na parterze -

oznajmił pan Hayakawa, po czym dodał już łagodniej: - Widzę, że Andrew-san prowadzi staranne i akuratne notatki z sesji. Nie licząc tych nieco frywolnych rysunków, które, mówiąc

szczerze, nie zdarzają się w profesjonalnym dzienniku realizatora. Tak.

Eetooo. Dobra organizacja to podstawa. Porządek i sumien-ność. A mówiąc o porządku, na precyzyjnym sprzęcie studyjnym nie należy stawiać...

Dalej nie słyszałem już nic.

Myślałam, że po takim czasie mapę tego zaplątanego miejsca mogę rysować z pamięci. Tymczasem stoję przed łącznikiem do kolejnego korytarza, który jeszcze przed chwilą wydawał mi się znajomy, a teraz me jestem już nawet pewna, czy-.nadal' znajduję się na tym samym piętrze.. ?

Hmm.

Oooo... drabina??? Niesamowite.

Przez chwilę, rozważam możliwość powrotu, ale nie jestem pewna, z której strony przyszłam. Mogłabym zadzwonić po pomoc do Andrew. Albo nawet do Martina.

Mogłabym, gdybym tak bardzo nie lubiła powtarzać tych samych błędów i tym razem miała telefon przy sobie. A tak - leży sobie obok *kotatsu* w moim pokoiku, gdziekolwiek on się obecnie znajduje.

Przychodzi mi do głowy pewna myśl: a jeśli ten budynek jest ruchomy i Ktoś złośliwie przestawia jego klocki podczas wę-

放送中

drówek niewinnych artystów. . Rozciąga korytarze. . by następnie puścić znienacka i owinać nieszczęśnika schodami...

Brrr. Co za absurd.

Robię dwa kroki w stronę korytarzyka i bez wysiłku wspi-nam się po drewnianych szczeblach. Wydaje mi się, że słyszę...

muzykę, co w studiu nie powinno być rzeczą dziwną, ale...

Chyba nikt nie nagrywa w obecnej dobie Bee Geesów?

Nie, na szczęście moda na falsecik minęła. Chociaż w dzisiejszych czasach nic nie wiadomo. Ale to tylko Radio Yokohama, jak głosi lekko podrdzewiały napis nad wejściem. Czyli ja-kiś DJ znęca się nad biednym zmysłem słuchu połowy ludności Tokio. O milionach

zamieszkujących samą Yokohamę nie wspominając.

Czekam, aż zgaśnie czerwony napis

(on air) nad

drzwiami i nieśmiało pukam. Nic...? Otwieram cichutko cięż-

kie drzwi i widzę tego wielkiego, rudego cudzoziemca przytrzymującego sobie ramieniem słuchawki przy uchu, stukające-go palcami po przyciskach.

—Nie przeszkadzam? - szepczę niemal konspiracyjnie. Prawa noga gajdzina podryguje w rytm „Stayin' Alive”, lewa ręka biega po klawiszach peceta. Pokój pachnie... radiem.

—Można? - Ponawiam próbę nieco głośniejszym szeptem.

Reakcja przechodzi moje najśmielsze oczekiwania. John zrywa się z fotela, który robi jeszcze półtora obrotu, słuchawki z głuchym stęknieniem spadają pomiędzy kable, wijące się jak stado węży pod nogami realizatora.

Jedno słowo i lawina katastrof.

Czuję wagę własnej winy w gęstniejącej jak pudding ciszy.

—Przepraszam,

że

przeszkodziłam,

John-san...

Chciałam...

czy można...?

Widząc nadal otwarte usta i źrenice wielkości monety pięć-

setjenowej, mam ochotę zrobić szybki krok w tył. I natychmiast się zdematerializować. Cofnąć się w czasie. A przynajmniej...

—Proszę. - Słup Soli ożył i wykonał prawą ręką niedookre-

ślony ruch w kierunku wnętrza reżyserki, podczas gdy lewa zdążyła zrobić jeszcze większy

bałagan na czerwonym skal-pie swojego właściciela. —Jeśli szuka pa...

—Amanda. Można po imieniu.

—Jeśli szukasz drogi do studia, po wyjściu w prawo, za zakrętem schodkami w dół, ale tylko na półpiętro i stamtąd... zaraz... do którego studia?

—Właściwie przyszedłam odwiedzić rozgłośnię - wymyślam naprędce. -Jako... słuchacz.

- No, nie... Słuchacze siedzą po TAMTEJ stronie odbiornika i nie mają prawa głosu. Dobry słuchacz to niemy słuchacz.

— Naprawdę tak myśl...

I nagle do mnie dociera. Do Johna sekundę później. Dopa-da stołu jednym susem, błyskawicznie ściąga w dół suwak mikrofonu, jednocześnie wciskając przycisk w innym rzędzie z podklejonym napisem „MIDI”. Rozlegają się pierwsze dźwięki „Help!” Beadesów. Pasuje, nie ma co..

Słyszało nas pół Japonii,

Ale mi się dostanie. O looosie.

- Taak.. Czekamy do ostatnich sześciu sekund utworu i teraz. Ślad 5, suwak w górę do trójki, cztery, pięć.. jedziemy.

Max. Ślad 3 proszę wyłączyć tym przyciskiem na górze.

Znakomicie.

- Dzięki... - Zdejmuję zegarek, bo delikatne brzęknięcie o jeden z suwaków wywołał reakcję w postaci nagłej zmarszczki na czole gajdzina. Już dosyć dziś narozrabiałam, lepiej nie ryzykować.

- Po tej piosence powiem tylko godzinę i możemy bawić się dalej. — John zakłada nogę na nogę, co jest niezwykle zabaw-nym manewrem, gdyż siedzi na malusim, plastikowym łazienkowym stołeczku. Cud, że z niego nie spadł.

—Jingiel przed? - rzucam od niechcenia, jakbym całe życie siedziała za konsolą. A nie od dwudziestu minut.

—Nie wierzę, ty wiesz, co to jest jingiel??? Koniec świata.

Proszę, proszę, a takie niewiniątko udawałaś, hi, hi... Nie, przed — nic, a po wrzucimy reklamy, bo 13:45 się zbliża. Po re-klamach zagrasz coś dłuższego. Znajdziemy jakiś sześciominu-towy numer, bo muszę ściągnąć wiadomości.

—Jak to ściągnąć? To ich się tu nie czyta? Przecież jest coś na kształt newsroomu i kabina lektorów..., John uśmiecha się z wysokości mojego brzucha, jakoś tak przeciągle. Trochę jakby sprawdzał moją reakcję na takie za-chowanie.

— Wiadomości same się nie przygotowują, niestety.

Kupuje

my je z innej rozgłośni. Mówią o mnie Multitask John, ale jak każdy superhero mam swoje limity.,.

Mówi to takim tonem, jakbym miała zacząć natychmiast go podziwiać. Mężczyźni...

- No, dawaj. —John póływał w swoim fotelu, z nogami na brzegu radiowej konsoli i rękami splecionymi za głową. Pan na włosciach. - Mam sześć minut i dwadzieścia pięć sekund. Potem wchodzę z zapowiedzią potem puszcza wiadomości. Więc jak poszło?

- Sredniawo - mruknął, podkreślając knot w starej lampie naftowej okupującej sam środek stołu. Otaczał ją las podrdzewia-

łych ramion mikrofonów rzucających połamane cienie na ściany.

- Hayakawa ma alergię na Y2K — kontynuowałem. — Dostaje stę-

żenia mięśni, kiedy zaczynają kolejny tejk. Zaciska ręce na poręczach tego swojego dyrektorskiego fotela i każe ściągnąć wiewiórę o trzy decybele. . Wiesz, po pierwszym numerze zapytał, co to za gatunek muzyczny. Odpowiedziałem, zgodnie z prawdą że J-death-metal.

Próbował powtórzyć, ale miał problemy z wymówieniem.

- Nie winię go. - John podrzucał długopis niewidocznym ruchem kciuka i palca wskazującego, tak że po zatoczeniu zgrabnego piruetu wokół kostki wpadał z powrotem w swoją szczelinę między palcami. (Ukochany trick uczniów japońskich szkół podstawowych - przypomniałem sobie z poprzedniego życia. Potrafią to robić godzinami, odrabiając lekcje albo czytając książkę).

- A potem przyczepił się do dziewczyn.

- A właśnie - ożywił się John. - Dlaczego je tam trzymasz? Bo ładne?

- Coś ty, przecież to dzieciaki... Ale w jakiś sposób pomagają.

Bez nich panowie się rozsypują.

Podkreśliłem knot o kolejny milimetr, aż płomień przybrał zupełnie niewłaściwy kształt. Cofnąłem, ostrożnie dotykając opuszką palca ząbkowane kółko.

- Wiesz, czasem mam wrażenie, że każda z nich ma więcej oleju w głowie od tej całej bandy

przebierańców. Posłuchaj: jedna z sióstr, chyba Chie, przesiadła się dziś pod drzwi. Żeby być dokładnie naprzeciwko swojego przykurzonego gitarzysty. I wiesz co? Zaczęła nim... sterować. Kręcił młyńce - robiła obrażoną minkę. Grał równo — machała głową do taktu.

- Pomogło? — John odłożył długopis i zaczął majstrować coś przy swojej konsolce, spoglądając na wielki zegar na ścianie, od-liczający sekundy do wejścia na antenę.

- A wiesz, że pomogło. Chłopak umie coś tam zagrać, jak tylko się przestanie wygłupiać. Więc mówię do Hayakawy: Widzi pan, one są jak... dyrygent. Na to Hayakawa unosi lewą brew, wiesz, jak on *to* umie, i cedzi przez zęby - przybrałem odpowiedni dystyngowany wyraz twarzy - DYRYGENT...? Pan Martin raczy żartować, jak rozumiem. Cha. Cha.

John parsknął śmiechem, odruchowo zasłaniając ręką mikrofon, który sobie właśnie ustawiał przed nosem.

- Dobrze! Opowiem to na antenie.

- Ani mi się waż! Wyrzucą nas obu z pracy...

John posłał mi spojrzenie mówiące: „A znasz innych, co by chcieli pracować w tym wariatkowie?”.

- Zobaczysz, emerytury tu dożyjemy. Jak Hayakawa. - Wstał i oderwał taśmę papieru z faksu.

- To co, będzie ci produkował?

Dogadał się z wytwórnią?

- E tam. On ma tę, jak jej tam. Uczciwość. Wobec swoich zasad.

Nie to, co my.

- Fakt. Ja nagram wszystko, jeśli dobrze brzmi. Nawet śmieciarkę.

- Właśnie. A Hayakawa robił Miny. I powiedział, że, cytuję , *jest mi niewymownie przykro, ale moje staroświeckie wychowanie i ograniczone doświadczenie nie dają mi wystarczających umiejętności do produkowania tego typu... eeetooo... muzyki.*

-I co?

- I nic. Zadzwonili do wytwórni i wyrzucą na nich... eeetooo...

delikatny nacisk.

- To dobrze, nie? Naciski pana Hyakawy potrafią ruszyć z posad Wyspy.

- Auć — powiedziałem, bo komin lampy naftowej okazał się gorętszy, niż myślałem.

John wrócił do konsoly, usiadł i włożył okrągłe, druciane okulary. Idiotycznie w nich wygląda. Jak Lennon, tylko brzydszy.

Otworzył pokrywę laptopa. Ekran rozjarzył się... Coś błysnęło na jego nadgarstku.

- Udała się randka z artystką? - zapytałem.

- Co ty...

W ramach odpowiedzi wskazałem palcem na niewątpliwie damski zegarek ozdabiający jego przegub.

- Aaa... No, tego... Wpadła tu na chwilę...

-I? Udała się?

-Jaka tam randka... Tak wpadła, bo zawsze chciała zobaczyć, jak pracuje DJ. Niezły bigos z tego wyszedł. Obraziła mi połowę słuchaczy, zanim zdążyłem ściągnąć suwak... Słuchaj, ja zaraz wchodzę na antenę. Zostajesz?

- A masz coś do jedzenia?

Zakręcił się na fotelu i, cały czas patrząc na ekran, sięgnął do szafki pod stołem.

Wyciągnął płaskie, prostokątne, białoczerwone pudełko migdałów w czekoladzie, autorstwa firmy Meiji. Jenów dwieście za sztukę, w maszynie z przekąskami na piętrze trzecim. Kultowy japoński przysmak, produkowany w niezmienionej formie gdzieś od końca ery Heian.

- Tylko spróbuj mi chrupać! - Pogroził palcem.

- Gdzie ci to mikrofon usłyszy...

- JA usłyszę.

To fakt. Usłyszysz nawet, jak mi się soki żołądkowe wydzielają — pomyślałem i chwyciłem za nitkę do zrywania celofanika.

Oczywiście krzywo się zerwała, marszcząc brzydko (i głośno) przeźroczyste opakowanie.

John ukatrupił mnie spojrzeniem i z zawodowym animuszem zaanonsował do mikrofonu:

- *Gooooood Morning Yokohama!!!*

Przeczekałem chwilę irytującej anglo-japońskiej paplaniny, rodem z J-Wave 16 lat osiemdziesiątych, a teraz *de rigueur* każdej sza-nującej się rozgłośni japogajdzińskiej, i przystąpiłem do kolejnego ataku na celofanik.

Niestety - usłyszał.

Skomplikowany gest palcem w okolicach grdyki, chociaż niewątpliwie rodem z australijskiego buszu, nie budził wątpliwości co do intencji autora.

Usiadłem cicho jak duch i ostrożnie sięgnąłem do kieszeni po klucze, których ostre ząbki rozcięły już niejeden problem.

Nie było. Zostawiłem je w studiu,

Długopis Johna?

Wsunięty między pudełko a celofanik?

Spróbowałem.

16 Kultowa rozgłośnia japońska, 81,3FM, która zapoczątkowała w latach osiemdziesiątych ruch „mniej gadania, więcej muzyki”, jednocześnie wprowadzając modę na gajdzińskich DJ-ów trajkoczących na przemian po angielsku i autochtońsku.

Celofan pękł z cichym hukiem. To znaczy cichym według mnie, a hukiem według Johna, który, nie przerywając narracji, rzucił we mnie gąbką od mikrofonu, idealnie trafiając w plaster na nosie.

Ból był małą ceną za nagrodę czekającą wewnątrz kartonowej szufladki. Wyciągałem ją milimetr po milimetrze, rzucając nie-spokojne spojrzenia na Johna. Ucho trochę mu drgało, ale poza tym nie reagował.

Pierwszy migdał w czekoladzie został delikatnie umieszczony na języku. Poczekałem chwilę, aż się zacznie rozpuszczać, zwałem mocno wargi i ostrożnie nacisnąłem zębami.

CHRUP.

Jeszcze nigdy tak szybko nie pokonałem drabiny z piątego na czwarte.

He, he. Lubię przeszkadzać Johnowi. Jest zupełnie inny w rozgłośni niż na dole. Mniej australijski. Skupiony. Lakoniczny.

A przynajmniej próbuje być.

Wrzuciłem do ust kolejny migdał i skręciłem za starym składem manekinów przez podwójne, uchylne drzwiczki jak z amerykańskiego baru i dalej korytarzykiem, prowadzącym do schodów na trzecie piętro.

Ciekawe, czy ja też jestem inny w reżyserce? Nie sądzę. Nikt mi nigdy niczego takiego nie powiedział.

Cóż, ja to robię od dziesięciu lat. Rutyna. A John ciągle przejmuję się swoją nową rolą.

W sumie nie taką nową, już prawie dwa lata, jak zaczął DJ-ować - pomyślałem, chrupiąc migdały najgłośniejszym, jak umiałem.

Życie składa się z małych przyjemności.

Oblanych czekoladą.

Chrup.

Sobota, 26 czerwca 1999

Głęboka dziura po cegle świetnie służy jako stopień.

Właściwie można zejść z trzeciego piętra na podwórko po ścianie, bez dotykania krętych schodków. I wrócić tą samą drogą.

Wyżej nie próbuję, bo robi się ciemno, Swingując delikatnie, ledwie muskając palcami ścianę, schodzę po niej niżej, zeskakując w odległości metra od podejrzanego wykopu.., A, to pewnie miejsce, gdzie szukali jakiegoś kabla czy czegoś w tym rodzaju. Ciekawe, dlaczego nie zasypali go z powrotem. Wła-

ściwie mogłabym...

Już mam zacząć spychać półmetrowej wysokości górę ziemi tam, gdzie jej miejsce, gdy słyszę... głos. Nie, nie głos...

Płacz??? Cichy, jakby... dziecięcy... Z niepokojem wpatruję się w dno dziwacznej doły,

Z czerni patrzą na mnie oczy.

Zielone, jarzące się światłem nocy.

Ki diabeł...?

Aaa, diabeł, faktycznie. Czyli Debiru. W całej swej czarnej okazałości.

- Chodź, mały. . - Wzdycham, wyciągając ręce w stronę wyko pu. Czarny kot, drapiąc mi niechcący przedramię, gramoli się po nich do góry. John opowiadał o nim z dumą jako o Powszechnie Szanowanym Kocie Radiowo-Studyjnym, z usposobieniem hra biowskim, Tyle że do tej pory jakoś go nie spotkałam, — Wystraszyłeś mnie, draniu. - Głaszczę zakurzone futro,

a jego mruczający właściciel wdzięcznie nadstawia miękki, koci policzek do głaskania teraz, zaraz i natychmiast. John miał

rację. Czworonożny hrabia.

Drzwi uchylają się z lekkim skrzypnięciem i pojawia się w nich stopa kogoś, kto ma zajęte obie ręce. Stopa przytrzymuje przez chwilę skrzydło drzwi, po chwili staje na ziemi, zastą-

piona najwidoczniej przez biodro. Yoshi. Łapię drzwi, zanim puszczone hukną znienacka o framugę, oznajmiając całej oko-licy, że ktoś śmiał opuścić budynek studia. Kucam bez słowa z powrotem, głaszcząc kota.

- Przyniosłem ci herbatę. Jaśminową.

Chłopak wyciąga rękę z parującym kubkiem.

- Dziękuję... Skąd wiedziałeś, że tu siedzę?

- Nie wiedziałem... Tak naprawdę chciałem zobaczyć, co robisz, wisząc na murze. No... przez okno widziałem. Bałem się, że może... Że ci nie najlepiej i że...

- Że chcę skoczyć? - Uśmiecham się bez przekonania. -No coś ty. Aż tak źle nie jest. Zresztą, istnieją lepsze miejsca, jeśli już. Petronas Twin Towers na przykład. Ale tutaj...?

- To w Malezji, tak? Najwyższy budynek świata?

- Azji. W Kuala Lumpur.

Upijam nieco jaśminowego, zielonkawego płynu, ale czarne oczy nadal wpatrują się, wyczekując dalszych wyjaśnień, więc dodaję:

- Nie, to nie myśli samobójcze. Raczej... forma relaksu.

- Rozumiem. - Kiwa głową, wyrazem twarzy zaprzeczając własnym słowom.

Milczymy przez chwilę, wypatrując czegoś ciekawego na dnie kubków.

- Trzymasz się?

- Próbuję się pozbierać.

- Twarda jesteś.

-Jeszcze nie. Ale szybko się uczę. — Próbuję się uśmiechnąć, ale wychodzi to jakoś słabo. Szczególnie że zadrżał mi podbró-

dek. Nagle moje ramię znajduje się pod jego dłonią.

- Daj sobie czas. To bzdura, że leczy rany, ale przynajmniej pozwala im nieco przyschnąć. Tylko nie izoluj się od ludzi. Oni — pokazuje zza głowy okno — oni też są wstrząśnięci. I trochę cię rozumieją.

Siedzimy w kucki, nasłuchując brzęczenia wieczornych cy-kad, zakłócających ciszę nocy.

-John chwalił się dziś na misoschadzce, że szkoli sobie nowego pomocnika — zaczyna Yoshi ostrożnie.

- Serio? Nareszcie. Podobno mają tam na górze problemy kadrowe...

- Mówił, że szybko się uczysz.

Dwa znaki zapytania w źrenicach. W końcu dociera do mnie sens i tonu, i słów.

- Aha... łobuz. - Śmieję się, grożąc palcem w kierunku wy-imaginowanego Johna Guthrie. - Przypadkiem trafiłam dziś do rozgłośni, zamiast... Zamiast gdzie indziej. Był w taaakim szoku! I rzeczywiście na chwilę posadził mnie za konsolę, wiesz, na zasadzie: żeby się dziecko nie nudziło, daj mu się chwilę pobawić...

- I naprawdę przenosisz się do radia?

- Skąd! To tylko w ramach... Wiesz, żeby coś robić..

-Aaa.

Wieczorny wiatr zrywa się, zniecka podrywając zapomniane przez czas zeschnięte liście. Nareszcie chłodniejsza noc, bo ostatnio parno jak w Malezji - myślę z ulgą, wzdrygnąwszy się nieco pod dotknięciem podmuchu. Ręka obejmująca moje ramię jakby odruchowo zaciska się lekko. Spoglądam ostrożnie w tamtym kierunku.

- Widzisz...

-Jeśli cho...

Zaczęliśmy równocześnie. Odwracam wzrok, Yoshi śmiechem pokrywa zażenowanie.

- OK, ty mów.

Nabiera powietrza.

—Jeśli chodzi o tamto. . wtedy. . to. . Przyjacielski. . errr. . ca-

łus, tak?

- .. to nic się nie wydarzyło - kończę za niego. Na jego twarzy, prawie chłopięcej w słabym świetle wschodzącego księżyca, odmalowuje się... chyba zaskoczenie.

-Ale...

— Ale nadal możemy się przyjaźnić, wiem.

Cykada umilkła, ustępując miejsca ciszy. Chwilowo.

—Debiru, kreaturo! Gdzie się włóczysz?! - Drzwi otwierają się z hukiem godnym wystrzału armatniego i pojawia się w nich ruda grzywa Australijczyka.

—O, cześć pomocniku! Widziałaś może radiowego kota?

Noc idzie, a jak znów mu się przypomni o czwartej rano, że jest kotem radiowym, a nie kotem włóczęgą, obiecuję, że tym razem oskubię drania za jego Nocne Symfonie Parapetowe.

Dopiero wrócił z amorów, ponad miesiąc go nie było, już my-

ślałem, że coś go zja... przepraszam. O, ty też tutaj? Siemasz...

Przez chwilę mierzy jakby niechętnym wzrokiem Yoshiego, który otula dłońmi pusty już kubek, trzy kroki ode mnie. Debiru, czyli Diabeł, miękkim ruchem zatacza ósemkę pomiędzy

moimi kostkami i od niechcienia objawia się swojemu panu, anonsując przybycie przeciągłym miauknięciem.

— Ha, zdrajca. Choć nie dziwię mu się, nie dziwię.., 4

Chi

chocze John, uchylając kotu drzwi. — Zostajecie jeszcze? — rzuca w przestrzeń, omijając jednak starannie wzrokiem perkusi stę.

Nie, ja już wracam. - Wstaję, otrzepując spodnie z pyłu startego pracowicie Ze ściany, o którą się opierałam. — Dobranoc, panowie.

— Dobranoc - odpowiada mi unisono oraz dwa ukłony.

Znikam jak duch.

Rozdział Szósty

w którym artystki wiszą na balkonach, a Martin dmie w róg.

Poniedziałek, 28 czerwca 1999

John wbiegł do sali odsłuchowej przy studiu C dobre pięć minut po rozpoczęciu obrad. Hamując kapciami na wirażu, wpadł w nie swój fotel, przeprosił i przeskoczył na przynależne mu miejsce służbowe, zgodne z wiekiem, stażem i stanowiskiem.

Czyli przedostatnie, jako że porządek grzędowy Części Oficjalnej mamy ściśle ustalony:

1. Pani Orito (nieobecna)
 2. Pan Hayakawa (następny po Bogini)
 3. Pan Tabashi (Woźny - dyrektor ds. wszystkiego) 4. Pan Ikeda (cel mojego życia: zepchnięcie drania na nr 5. Kiedy tylko prześcignę go wiekiem i wyhoduję sobie skośne oczy, na pewno mi się uda)
 5. Pan Martin (zaczynałem od pozycji dwunastej, dawno temu, kiedy było nas więcej)
 6. Pan John (całkiem niedawny awans, kiedyś był za Takedą) 7. Pan Takeda (drugi DJ, nieobecny, bo pracuje z doskoku; ostatnio coraz częściej zastępowany — jak to John nazywał? — puszką?) 8. Pan Andrew (po raz pierwszy zaproszony na comiesięczną naradę generalną)
 9. Pusty fotel (tradycja, chociaż nikt nie pamięta, skąd się wzięła) - O czym stary nawijał? - szepnęła konspiracyjnie John, usiłując przyglądać rozwichrzone od biegu czerwone druty.
- Raport finansowy czytał. Twoje akcje spadają.

- Hi, hi! A czyje rosną?

- Panowie, proszę o ciszę. — Hayakawa zmarszczył się nad kartką i zrobił małą pauzę, dając nam czas na odczucie skruchy.

- Przechodzimy do punktu drugiego spotkania. Po długiej nara dzie z panią Orito ustaliliśmy, że w przyszłym miesiącu studio zo stanie wyposażone w nowe filtry. Zwane przez panów realizato rów... pończoszkami. Otrzymaliśmy również budżet na konserwację i wymianę głowic w magnetofonach szpulowych do masteringu. A także, co niewątpliwie ucieszy pana Martina, nowe gumki do nóżek statywu mikrofono...

- Zaraz, zaraz! — przerwałem, poniesiony nierozważną emocją.

- A moja nagrywarka twarododyskowa? A mikser cyfrowy? Z pa mięcią scen, jak prosiłem? Czy pani Orito wie, że za rogiem cze ka dwudziesty pierwszy wiek?

Oczywiście szybko pożałowałem tego wybuchu. Pan Hayakawa powoli uniósł na mnie wzrok. Naprawdę nie jest to łatwe, ale on potrafi.

Spojrzenie powiedziało: „Pan Martin potrzebuje jeszcze trochę czasu, zanim będzie mógł zająć fotel numer 4”.

- ...wego — kontynuował pan Hayakawa, jakby nic się nie stało.

- I ostatnia pozycja: budżet na kompleksową kontrolę oprogra mowania komputerowego w ramach przygotowań do... *waitsukei mondai*.

- Łajcu-co? — szepnąłem do Johna, zarabiając od Hayakawy mały piorunik wzrokowy.

-*Millenium bug*— wyjaśnił prawie samym ruchem ust. — Wszystkie komputery staną, kiedy za pół roku data zmieni się na dwa tysiące.

- Aaa... — odpowiedziałem samym wydechem.

Hayakawa perorował dalej, a ja odpływałem, zafascynowany głębią leksykalną tego wyrażenia, silnie rezonującego w moim sercu. Y2K *mondai* - czyli, dosłownie, zmartwienie płynące z Y2K. Ha!

- Czy szanowni państwo mają jakieś pytania? — Dotarło do mnie nagle.

- Eetoo... Ja mam. - Wstałem. - Czy udało się coś osiągnąć w sprawie mojego prywatnego Y2K *mondai*?

Hayakawa przez chwilę mierzył mnie wzrokiem, zastanawiając się, czy ma zapytać, o co chodzi, czy też może sobie pozwolić na uruchomienie swojej, niebagatelnej w końcu, inteligencji. Ucieszyło mnie, że wybrał to drugie.

- Pan Martin, jak rozumiem, zrobił tutaj dowcipną... aluzję do nagrania zespołu Y2K, nieprawdaż? Pozwolę sobie odpowieć dzieć. Dnia... — skonsultował z notatkami — dwudziestego piątego czerwca zaksięgowiałem na naszym koncercie wpłatę za dwieście godzin czasu studyjnego dla zespołu Y2K. Jak rozumiem, było to swoistą... odpowiedzią na moje liczne zapytania o nieobecność producenta. Sesja będzie więc kontynuowana. A teraz do spraw administracyjnych. Na pewno ucieszy państwa wiadomość, że sklepik samoobsługowy dla załogi i artystów otrzymał wczoraj nową dostawę. Szczegółnej uwadze polecam yukaty bawełniane w rozmiarach S do... XXXXL - podniósł na chwilę oczy na Johna - oraz zeszyty w kratkę zdobione motywami... errr... popularnych postaci komiksowych. Tak. Co jeszcze? Eeetooo... A! Fryzjer będzie świadczył nam swoje usługi w niedzielę, czwartego lipca.

W pokoju numer dwadzieścia osiem, chyba państwo wiedzą...

Tak. Wszystkich chętnych - rzucił znaczące spojrzenie rudemu mopowi koło mnie - zapraszam w godzinach...

Znowu się wyłączyłem.

Zeszyty w kratkę. Hurra. Ważne, że wytwórnia zapłaciła za nagranie Y2K. To już postęp, biorąc pod uwagę pewne doświadczenia z lat... poprzednich. Tak. Wiele mi to pomoże w kwestii braku producenta. Ogłoszenia drobne w „Japan Times”? Ratunku.

Podniosłem głowę, kiedy Hayakawa zszedł z mównicy i zaprosił

pana Ikedę, który miał nam teraz opowiedzieć o akcji sprawdzania komputerów pod kątem ich odporności na datę pierwszego stycznia roku dwutysięcznego.

Korzystając z zamieszania, trąciłem łokciem Johna.

- Hej, a może ty byś mi poprodukował Y2K?

- Dlaczego ja?

- Bo kto? Hayakawa mógłby równie dobrze produkować nagranie młockarni.

- A kto będzie nagrywał lektorów w studiu C?

-Ja.

- A kto będzie nagrywał Y2K w czasie, kiedy ja będę ich produkował, a ty nagrywał lektorów?

- Andrzej. Tak, tak, wiem, zwariowałem...

- Później — szepnął.

Pan Ikeda bujał się miarowo na piętach i, gestykulując drama-tycznie lutownicą, roztaczał apokaliptyczne wizje Końca Wszystkiego W Czym Płyną Elektrony, zaplanowanego na dzień trzy-dziesty pierwszy grudnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku, o północy. Kiepski czas na koniec świata — pomyślałem — wtedy zwykle dziurawimy sufit w LDK korkami od szampana.

Z rzadkim, ale rozwianym włosiem, narzędziami sterczącymi z kieszeni wędkarskiej kamizelki i wytrzeszczonym obłędem za grubymi szklami okularów, Ikeda wyglądał jak uosobienie proroka absurdu.

Ciekawe, co zrobią ci wszyscy prorocy - zastanawiałem się -

jeżeli rok dwutysięczny nadejdzie i nic się nie stanie. Kto wie?

Może zgarną zapłatę i wymyślą nowe religie?

Pan Hayakawa stał w pozycji pełnej szacunku uwagi, z rękami złożonymi starannie przed sobą. W rzeczywistości uważał tylko na jedno: czy słuchamy Ikedy. JA słuchałem. A przynajmniej tak mi się wydawało.

Ikeda chyba skończył, bo zapadła cisza.

- Czy mamy jakieś pytania? — Hayakawa położył akcent na *min-nasan* - MY wszyscy. My - zespół. My - rodzina. Wszyscy za jed-nych, nikt za drugich. Czyli takich, co by chcieli mieć cyfrowy mikser. I nowe tatami w poczekalni studia A... Marzenie i pysk.

Dobrze jest mieć marzenia. Życie trzeba czymś wypełnić.

Chyba się zamyśliłem, bo godzina upłynęła nie wiem jak i kiedy.

Woźny już przeorganizowywał salę, przystosowując ją do Części Nieoficjalnej. Tej z nieznacznie, ale namacalnie odmiennym porządkiem grzędowym, porządkiem niemającym dla odmiany nic wspólnego z odcieniem skóry:

1. Pani Orito (ciągle nieobecna, niestety) 2. Pan Hayakawa (z krawatem rozluźnionym o 1,5 milimetra) 3. Pan Martin

4. Pan John

5. Pan Tabashi

6. Reszta - grzecznie wyproszona

Numer trzy: pozycja daleko bardziej satysfakcjonująca niż w Części Oficjalnej.

Siedzieliśmy teraz w posturach nieformalnych przy stoliku z zieloną herbatą, a Woźny wysypywał na talerz chipsy krewetkowe z orzeszkami.

- Słucham, słucham — powiedziałem, bo wydawało mi się, że Hayakawa znowu mnie zbeształ za nieuwagę.

- Miło mi, że pan Martin słucha - powiedział Hayakawa. -

Kontynuując: nie wiem, kiedy pani Orito przyjedzie. Ma dużo pracy z nowym sklepem muzycznym w Sendai. Obiecywała przy-lecieć w tym miesiącu, ale miesiąc się kończy...

- Pieniądze też się kończą — poddał pan Tabashi.

- Nie jest tak źle - zaproponował Hayakawa. — Mamy przecież Zespół i Amandę. I oczywiście lektorów, którzy, jak panowie wiedzą, są dla nas ważni ze względów finansowych. Więc proszę ich nie zaniedbywać. I nie pozwolić się rozpełzać po budynku. Jak się pogubią, to nie nagrają. Eeetooo. Wszystkie trzy studia pracują co najmniej przez najbliższy miesiąc. W rezultacie stać nas było nawet na pomocnika dla pana Martina. Musimy tylko zacisnąć trochę pasa w kwestii remontów i nowego sprzętu. Bo...

- Recesja - powiedzieliśmy jednocześnie. To znaczy John i ja.

- Eeetooo... cieszę się, że panowie rozumieją. Dlatego również, niestety...

- Nie będzie pomocy w rozgłośni — zgadł John.

- Ani, obawiam się, przy sesjach. Przynajmniej do końca tego roku jesteśmy zdani na siebie. Oczywiście, sam dołożę starań, żeby pomóc... — Szef spojrział na mnie i nagle odniosłem wrażenie, że się... zawstydził.

Nie myśląc, uściśnąłem przedramię Hayakawy i powiedziałem szybko:

- Proszę się nie przejmować. Już się dogadałem z Johnem. Po może mi z Y2K. Wie pan, właściwie to producent jest w tym ze spole potrzebny jak sternik w kajaku. Jeśli tylko ich wytwórnia się zgadza... Damy radę. Naprawdę. Nie z takimi cudami sobie tutaj

poradziliśmy.

Hayakawa chyba się zarumienił, a w każdym razie zmienił kolor na jeden ton cieplejszy odcień różobeżu. Cofnął przedramię i wymamrotał garstkę skomplikowanych podziękowań, których w większości nie zrozumiałem. Ale intencję tak.

Krok, krok, krok, przeskok, w lewo i pod ścianę. Co, tu też skrzypi? No to w prawo.

Dobrze.

Krok, krok, zakręt, drzwi donikąd, w prawo i w dół po schodkach na półpiętro, żeby stamtąd przejść znowu do góry na piętro właściwe.

Kroczyłem sprężysto w rytm śpiewających mi od jakiegoś czasu w głowie „Raindrops keep falling on my head”. Bardzo adekwatnie, bo pora deszczowa przypomniała sobie wreszcie o swoich powinno-

ściach. Łało zrywami. Nie bez przerwy, ale jak już, to z entuzjazmem.

Świat pleśniał, a nasze klimatyzowane wnętrza — nie. Ha!

Za kolejnym zakrętem okno, pewnie mokre od deszczu.

Mokre - tak, ale nie tylko okno, podłoga też. Pod samą ścianą, tam, gdzie jest pas tatami. Woźny dostanie spazmów... Hayakawa też, ale z innej przyczyny — klima się marnuje. Rachunki za prąd.

Chwyciłem za aluminiową listwę i wyteżyłem mięśnie, żeby je zasunąć, kiedy, niestety, spojrzałem na podwórko.

Okno zasunęło się z mokrym plaśnięciem, obryzgując mnie drobnymi kropelkami.

Otworzyć i znowu spojrzeć, czy zostawić w spokoju i udawać, że to tylko wytwór mojej wyobraźni, rozbudzonej zieloną herbatą i ciasteczkami ryżowymi? Z orzeszkami?

W życiu zawsze zwycięża ciekawość.

Someone told me long ago, there's a calm before the storm, I know... — nucę, szukając kapci. Noc była jednak jak sauna fińska, mimo że zapowiadało się miło i wietrznie. Klimatyzacja skapitulowała i zasnąć nie było jak. A może to nie wina klimy, lecz... powiedzmy, jaśminu. W zielonej herbacie. Hmm.

Pora zacząć nowy dzień. I nie tylko.

Do porannej herbaty, dziś czarnej - jak nieprzespana noc, wsypuję sproszkowany imbir i zalewam ją w połowie wrzątkiem, a w połowie gorącym mlekiem. *Teh ahliya...* Zapach wspomnień, malezyjskiego domu, dzieciństwa i babci. Muszę zaproponować kiedyś panu Hayakawie. Może jutro wieczorem, gdy wrócę z nagrania. Herbata przyjemnie szczypie podniebienie, a ja, trzymając w dłoni „Mountain Madness” Roberta Birkby’ego, odpływam daleeeeko poza japońskie wyspy. Ech, być takim Scottem Fischerem i pół życia w Himalajach, i...

Po przydługim śniadaniu próbuję napisać melodię do ostatniego tekstu, ale w głowie gra mi zupełnie co innego. Chowam zatem Takamine i, korzystając z przyjemnego, pochmurnego poranka, postanawiam zażyć nieco ruchu. Tylko przedtem odniosę kabel od mikrofonu, spakowany przypadkowo z kablem od gitary. Bo jeszcze Ikeda-san pomyśli, że naśladuję lektora z trzeciego piętra i rozwieszam na kablach pranie... O właśnie, o praniu też trzeba dziś pamiętać.

.. and I wanna know, have you ever seen the rain...

Oho, będzie łało.

Po drodze pukam do dziewczyn, ale za drzwiami cisza.

W sumie dopiero jedenasta, czyli zespołowy błądy świt...

Swoją drogą - ciekawe, jak oni tu wytrzymują bez ruchu tyle czasu, myślę, przeskakując nad sztangą do ćwiczeń, podpie-rającą wypaczone, niedomykające się okno. Chociaż, skoro jest minibiblioteczka, może jest i minisiłownia.. Zapytam wieczorem Martina w LDK. Dziś on gotuje. Podobno - jak mówiła Akemi — sam się zaoferował. Z jakimś słynnym Daniem Bosa.

Dlaczego John dostał na to hasło nagłego ataku radości, zakończonego czkawką — pozostaje tajemnicą.

Bonsai podnoszę już odruchowo. Jak to drzewko jest w stanie jeszcze żyć, pojęcia nie mam; W części studyjnej głucha cisza. Nikt dziś nie Itagrywa, wszyscy mają lenia? No, ładnie. Co to ja miałam... jŕha, kabel.

Gdzieś tu była taka pokojoszafa z obrazkiem mikrofonu na drzwiach, pewnie tam je trzymają.

W przyciasnym korytarzyku czuć pleśnią choć przysięgłabym, że wczoraj w ogóle nie było tu ani tego zapachu, ani tym bardziej korytarzyka. Mam wrażenie, że za tym zakrętem był

schodek, z którego zawsze spada Andrew, a za nim ptzejście z czerwonymi drzwiami i windy. O, ale jest szafa.

— AaaaaaaH! — Odskakuję z wrzaskiem godnym indiańskiego plemienia Navaho.

Wdech. Wydech.

—Co... co... pan tu robi?!!

—Mieszkam — odpowiada ze spokojem mężczyzna z wnętrza szafy. Szafy na mikrofony! W yukaćie. To znaczy — mężczyzna w yukacie, nie szafa...

マイク戸棚.

Wdech.

Okręgåła twarz z migdałowymi oczami nie zdradza śladu nie-pokoju. Tak sobie siedzi po prostu. Zupełnie jakby Malajki wskakujące z dzikim krzykiem do jego — hmm.. mieszkania.-.?

- należały do codzienności Zwykłej takiej.

Wydech.

- Herbaty? — Powoli wyciąga w moją stronę dłoń z czajniczkiem i dodaje dla zachęty: — Świeżo zaparzona.

Paranoja.

Zaciskam powieki w przebłysku nadziei, że nie zwariowałam. Otwieram.

Niestety, nadal go widzę. Czyżbym jednak potrzebowała pomocy. .? Przymykam drzwi i wychylam głowę - na zewnętrznej stronie znak z mikrofonem przyklejony jak byk, a nawet jak dwa byki, bo pod spodem czerwony napis - Eeetooo. . ja. . dziękuję i.. do widzenia! Przepra. . znaczy..

- Kłaniam się niezdarnie i, uciekając, rozglądam się w podświadomym oczekiwaniu na *Cha, cha! Jesteś w ukrytej kamervgl Stop.*

Takie rzeczy nie zdarzają się w rzeczywistości. A już z całą pewnością NIE w mojej. Przywidziało mi się, bo jestem przemęczona. Noc nieprzespana i w ogóle... Tak, na pewno. Wracam, bo kabel nadal wisi mi na przedramieniu.

Tym razem pukam. Wiem, że to idiotyczne - pukać do drzwi szafy - ale wolę nie ryzykować.

Cisza.

Wieszam kabel na górnym haku, z którego zwisają dwa podobne. Poprawiam statyw od mikrofonu, bo niebezpiecznie wychynał zza drewnianego regaliku...

- Przyniosłem spodeczki!

- HYYYYY????!!!! - Głośny wdech zamyka mi dopływ krwi do serca, a może mózgu, nie mam pojęcia. Mężczyzna (w yukacie) stoi tuż za mną, z baterią spodeczków w jednej ręce, a parującym czajniczkiem w drugiej. BARDZO rzeczywistym.

Nie do końca pamiętam, w jaki sposób znalazłam się w win-dzie. Ale z pewnością dopiero wtedy zaczęłam oddychać.

Czarne kręgi powoli znikają sprzed oczu.

Tabashi-san przyjmuje potrzebujących na kozetce. Zapiszę się na pierwszy wolny termin, przysięgam. Panie Woźny, mam problem. Słyszę głosy...

Na dole wymieniam przyjazne machnięcia głową z Kimim.

W przelocie muska mnie tym śmiesznym czymś, co ma na głowie. Ciekawe, czy z tym śpi. Jasne, że nie zapytam. Aż tak źle ze mną jeszcze nie jest. Chyba.

Przez chwilę zastanawiam się, czy nie poprosić go o coś z...

szafy, ale po chwili rezygnuję.

Do otwarcia drzwi wejściowych na podwórko muszę użyć ramienia, biodra i połowy masy ciała. Ciekawe, jak Rie i Chie sobie z nimi radzą...

Słońce świeci ostro spod ołowianego nieba. Lunie jak nic.

Muskam delikatnie wykruszone ściany. Przystawiam się do tego odchylonego kawałka przy dolnym oknie, wygląda nie-

źle...

Niestety, nie tym razem. Zeskakuję. Ojć, zabolalo. Przydał-

by się stary *futon* jako lądowisko.

jeszcze raz.

Prawe dwa palce na odciąg. Lewa z podchwytu, dostawić stopę... Strzał do klamy! Wytrzyma? O, działa. Swing ciała w prawo. Fajna sekwencja ruchów.

Balansuję lekko, prawie bez wysiłku, zapominając o absur-dalnej rzeczywistości studyjnych szaf i ich mieszkańców. Producentów i krokodyli. Herbat i depresji. To są rzeczy... poziome. W pionie świat nabiera innego znaczenia.

Nagły błysk i grzmot sprowadzają mnie na ziemię. Niestety tylko mentalnie. Fizycznie jestem gdzieś na wysokości trzeciego piętra. No nic, przetraversuję do tamtego balkonu na czwartym i przez niego do środka.

Deszcz chlapie wielkimi kroplami. O looosie, nie mógł za-czekać trzech minut..? Ech.

Wspinam się szybko do metalowego parapetu przy zamuro-wanym oknie. Mokre cegły nie są już przyjemnymi chwytami.

Wykruszone, omszałe otwory robią się śliskie jak masło.

- Blee... - Wzdrygam się, gdy ręka zamiast solidnej dziury napotyka powstałą w tym miejscu miskę z wodą. Jeszcze tylko dwa ruchy i...

O, tego nie przewidziałam.

Balkonik jest. Bariarka jest. Drzwi nie ma. Dziwoląg. Tak sobie sterczy ze ściany i udaje balkon. Trudno, przekładam nogi przez balustradę. Poczekam, aż przestanie lać i zejść tą samą drogą, do schodków przeciwpożarowych.

Pffee... leje mi się za kołnierz. Otrząsam się jak Debiru, gdy napotykam WZROK.

Właśnie tak, wielkimi literami. Bo i oczy są wielkie i.. jakby przerażone?

Rozglądam się, ale nie widzę nic strasznego. Martin nato-miast (bo to jego wzrok) wychyla się niemal do połowy przez okno i nienaturalnie wysokim głosem krzyczy: - Amanda?! Nie ruszaj się!!!

Macham uspokajająco ręką, na znak, że panuję nad sytuacją i że spokojnie, i że...

—Nie rób tego! Biegnę po pomoc!!!

—Nie trzeba... — Ale Martin już znika, po chwili wraca, za-trzaskuje okno, a po trzech sekundach otwiera się inne, bardziej na prawo.

-Jesteś?! Nie ruszaj się tylko! Proszę! Potrzebujemy cię!

- Martin, jest ok! Nie musisz...

— Nie bój się! I nie skacz!!! Zaraz tam będziemy!

Kolejne trzaśnięcie przesuwanej szyby.

No, to znów narozrabiałam.

- Kiedy znowu otworzę okno, zobaczę tylko deszcz, deszcz i jeszcze mniej artystek wiszących na balkonach - powiedziałem sobie, napierając ciałem na aluminiową ramę.

Zamknęło się łatwo, za to otworzyć trudno. Jak to w życiu.

Rama okna dała za wygraną i raptownie puściła, urządzając mi kolejny prysznic.

Faktycznie, deszcz.

Deszcz, deszcz i... Amanda. Na balkonie. Szykująca się do...

W ułamku sekundy Zrozumiałem. Wszystko. Przez mózg przebiegały mi już nawet nie słowa, ale obrazy, szalona sekwencja kadrów na szybkim przewijaniu.

Osamotnienie. Śmierć producenta. Pewnie przyjaciela, a może nawet więcej. Hayakawa na drabinie: *Amanda chwilowo nie będzie nagrywała. Kilka dni... przerwy. Kilka dni ciągnące się... tygodniami?*

Pozorna beztroska w LDK... Beztroska kryjąca... zobojętnienie?

Depresję? Depresja???

Wychyliłem się, na ile pozwoliło mi wąskie okienko, i zawołałem: - Amando! Proszę zachować spokój i nie robić żadnych gwał-

townych ruchów!

Wykonała niepewny, dramatyczny ruch ręką.

Zrobiło mi się słabo. Przypomniałem sobie program telewizyjny o japońskich policjantach specjalizujących się w negocjacjach z samobójcami.

Słuchać. Dać się wygadać.

- Nie warto... - zaczął słaby, zrezygnowany głos.

Nie dałem jej dokończyć.

- Proszę tego nie robić! - zawołałem spokojnie, ale z we wnętrzną mocą. - Biegnę po pomoc!

Zatrzasnąłem okno z siłą, o którą się nie podejrzewałem, i po-galopowałem w stronę wind. Na pierwszym zakręcie wyhamowa-

łem i wiedziony nagłym przeczuciem rzuciłem się do kolejnego mijanego okna. Ofiar nie wolno zostawiać samych — przypomnia-

ło mi się. Trzeba cały czas mówić. To znaczy słuchać.

Odsunęło się na szczęście łatwiej. Wystawiłem głowę na deszcz.

Była. Jeszcze była...

- Amando! Jesteś... Jesteś w dobrych rękach! Pomożemy ci!

Nie ruszaj się tylko! Proszę... Potrzebujemy cię!

Wyglądała na wycieńczoną. Zdesperowaną.

- Martin, nie jest OK! Muszę...

- Nie bój się! I na Boga nie skacz!!! Zaraz tam będziemy!

Zatrzasnąłem okno i wystartowałem do wind, po drodze przypominając sobie, że na tym piętrze się nie zatrzymują. Hamulec z poślizgiem na tatami, w prawo do schodów w dół na półpiętro, sprint nieużywany normalnie korytarzykiem do kolejnych schodków i w górę po trzy stopnie...

Ulewa chwilowo ustaje. Martin... na pewno mi się przywidział. W każdym razie zniknął. Trochę szkoda, bo chciałam go zapytać, czy schodki przeciwpożarowe mają otwarte wejście. Cóż.

Mur mokry i oślizgły. Decyduję się na lekki trawers do okna na strychu powyżej czwartego

piętra. Wygląda na uchylone.. i ~ Pan też tu mieszka? - Pytam. Można mieszkać w szafie, to można i na strychu, nic mnie już dziś nie zdziwi.

Postać nie rusza się.

- Ykhn... Przepraszam! - dodaję nieco głośniejszym głosem, — Przepraszam, że weszłam do pańskiego pokoju, ale byłam uwięziona na balkonie i...

Podchodzę bliżej i... śmieję się z siebie. Rozmawiałam z tka-niną rzuconą na oparcie fotela! Choć sekundę temu przysięgłabym, że to ludzka głowa...

—Nie szkodzi! — Słyszę nagle nieznajomy, tubalny głos i podskakuję z wrażenia. Głos. . zza drzwi. — Dawno nikt tu nie zachodził. .

Fffuuu. . wypuszczam powietrze. Ale się wystraszyłam. Podchodzę bliżej, klamka wprawdzie daje się z pewnym oporem nacisnąć, ale drzwi pozostają niewzruszone.

- Zamknięte... Czy... czy ma pan może klucz?

— Klucza do tych drzwi nie ma nikt... nikt! - szepcze jakoś

tak, że ciarki przechodzą.

Otrząsam się jednak. Dość absurdów na dziś.

— Jakoś mnie to nie dziwi... Przepraszam.

Może otwierają się tylko od zewnątrz... - przechodzi mi przez myśl.

- Mógłby pan spróbować je otworzyć ze swojej strony? Bardzo proszę!? - Nagle zaczyna mi się robić nieswojo w tym zakurzonej, starym miejscu, jakby z innej bajki.

- Tych drzwi nikt nie otwierał od stu trzydziestu... od trzydziestu lat..! - Słyszę już jakby z oddali.

— Ale może gdyby... Proszę pana. .? Halo?

Cisza.

No to fajnie.

Martin pewnie zna to miejsce, a skoro już narobił paniki, zajrzy.. Postanawiam chwilowo nie przejmować się tym, że nie do końca umiem określić, gdzie jestem, że drzwi są ciężkie i nikt

nie ma do nich klucza, i te głosy - prawie ludzkie...

Siadam na fotelu, wzbijając chmurę kurzu, na co moje wraź-

liwe gardło oczywiście odpowiada kaszlem. Chyba kiedyś był

tu teatr. .? Z toaletki rzeźbionej w przedziwne maskarony podnoszę kawałek rękawa. Na podłodze gipsowa maska. Dostrzegam jakiś ruch i zastygam...

Lustro! Śmieję się z własnej reakcji. Kątem oka dostrzegłam swoje odbicie. Tak przerdzewiałe, że trudno je dostrzec w pół-

mroku.

Przemykam oczy i przenoszę się myślami w tamten czas.

Przedmioty przetrwały.. A ludzie, którzy ich dotykali, zachwy-cali się nimi, przekładali je z miejsca na miejsce? Co się stało z ludźmi? Czy przedmioty pamiętają ich głosy, ich dotyk? Się-

gam ręką do drewnianego, niegdyś lakierowanego uchwyty i otwieram szufladę czegoś na kształt kredensu czy toaletki.

Pusta? Nie - w głębi stary, koronkowy wachlarz. Biały, oczywi-

ście w czasach swej świetności. Ujmuję go delikatnie, z szacun-kiem. Wachlarze nieodparcie kojarzą mi się ze Straussem, któ-

rego słuchał ojciec...

Nucąc walca, głośno, bo przecież i tak nikt mnie tu nie usłyszy, przechadzam się powoli po tym przedziwnym, starym miejscu.

- ...anda..?

Anda? Czyli... „ty”? Ktoś tu mówi po malajsku?

- Amaaanda?! Odezwij się!

Martin. Całkiem blisko.

-Jestem! Jestem tutaj! Spokojnie! Jest OK!

- Proszę mówić! Cały czas!

Pan Hayakawa? Narobiłam bigosu na całe studio*..

Przez dłuższą chwilę słyszę na przemian ich głosy, to bliżej, to dalej. W końcu wielkie drzwi otwierają się z hukiem, wznie-cając tumany kurzu.

- Ale, uważasz, ani na moment nie straciłem głowy. Najgorsza rzecz w takiej sytuacji to zacząć biegać i panikować. Obróciłem się od stołu mikserskiego, żeby sprawdzić, czy Andrzej słucha.

Słuchał. Był jednym wielkim uchem. Jak każdy dobry kandydat na realizatora dźwięku.

- Na czym to ja skończyłem? Aha. Spokojnie, ale bez zwłoki, dotarłem na drugie, do biura pana Tabashiego. Na szczęście był na miejscu. Wysłuchał, nic nie zrozumiał, wysłuchał znowu i pobiegł

ze mną (to znaczy ja szedłem) po drabinę z pakamery na pierwszym. Po drodze przyczepił się Ikeda. We trzech przenieśli-

śmy jakoś tę drabinę przez korytarz w południowym skrzydle, ale utknęliśmy na zakręcie. W końcu trzeba było obejść podwórko i wyjść drzwiami za pralnię. Na szczęście Tabashi miał klucz.

Znalezienie właściwego zajęło mu tylko pięć minut.

- A Amanda...? - Nie wytrzymał Andrzej.

- Słuchaj i nie przerywaj, bo właśnie do tego zmierzam. Wpadliśmy na podwórko. Amandy nie było już na balkonie.

Nie błędniej tak, przecież wiesz, że nic się nie stało, widziałeś ją dzisiaj w LDK.

Na podwórku nie było jej również. Ikeda rzucił się badać swój ukochany kabel uziemiający, czy go przypadkiem nie zerwała. Tabashi zapytał mnie wzrokiem, czy nie chciałbym odwiedzić jego kozetki. *Ale ona tam była! Przysięgam!* — tłumaczyłem. *Nie nie widzę -*

wymamrotał Ikeda, kierując *zalane* deszczem okulary w stronę ślepego balkonu na czwartym. *Eeetooo* — powiedział Woźny, osłaniając rękami głowę przed ulewą. *Jeśli panna Amanda umiała się tam wdrapać, to mogło jej się udać przejść na piętro cztery i pół. - Ale tam nic nie ma!* Na pewno...? — zapytała uniesiona brew Tabashiego.

Poszliśmy. Niestety, po drodze wpadliśmy na pana Hayakawę, który w niewiadomy sposób

dowiedział się już o całej historii.

Dobieranie klucza do rzadko używanych drzwi na podwórko było niczym w porównaniu z próbą sforsowania rozlicznych barier piętra czwartego. I pół. Tabashi wyciągał z kolejnych kieszeni kubraka jakieś archaiczne ogromne kluczyśka na zardzewiałych kółkach wyjętych chyba z nosa krowie i na przemian wtykał je w mosiężne, zdobne dziurki, psikał WD-40, znowu wtykał...

W gardle mi zaschło, Andrzejku. Zaparzysz...? Dziękuję.

No więc trzeba ci wiedzieć, że piętro cztery i pół to strych. Strych jednego z czterech budynków, stanowiących teraz Radio Yokohama. Właściwie dwa - tak, to są chyba dwa połączone strychy.

Nie wiedziałeś, prawda? No widzisz. Ja też kiedyś nie wiedziałem.

Otóż ten strych nie był chyba używany, odkąd panował nam świętej pamięci i niespełna rozumu cesarz Taishó. Kurz, gorąco, stare meble, kurz, manekiny, kurz, dekoracje teatralne, kurz i jeszcze trochę kurzu. To na początek. Za drugimi drzwiami podobnie, tylko mniej kurzu. Za trzecimi drzwiami nawet czysto, pewnie kurz nie miał jak się tam dostać. Niestety, my również, bo skończyły się klucze pana Tabashiego. Nawet Hayakawa zdawał się bezradny.

Hayakawa. Bezradny! Rozumiesz?

I wtedy usłyszeliśmy głosy. Właściwie nie głosy, głos. Głos tak zniekształcony mroczną akustyką przestrzeni poddasza, że aż trudno było powiedzieć, czy żeński, czy męski... To był moment, kiedy musiałem przejąć prowadzenie. Nie posiadam może złotego ucha jak John, ale mam kilka lat słuchania za sobą... Skupiłem się.

Po kolei odrzucałem zwodnicze echa i pogłosy, obierałem je warstwa po warstwie jak cebulę, błyskawicznie kalkulowałem kąty odbicia dźwięku, jego absorpcję na meblach i dyfrakcję na regałach z książkami, dążyłem do samego jądra. Do źródła. I znalazłem. Bez słowa wskazałem palcem na stary kominek (chyba atrapę teatralną) po prawej. Tabashi poszedł w lewo i znalazł kolejne drzwi za papierowym statkiem.

W dzisiejszych czasach nikt nie docenia talentu.

Drzwi nie dało się otworzyć żadnym kluczem, ale dało siłą. Za nimi znaleźliśmy... Amandę. W miarę suchą, bardzo przestraszoną i chyba na wpół oszalałą z radości, że ją uratowaliśmy, bo wywróciła oczy do sufitu i przez chwilę myślałem, że zemdleje. Okazało się, że... Czy ty

mnie w ogóle słuchasz???

- Tak, szefie. - Obudził się Andrzej.

- To dlaczego patrzysz na zegar?

- Bo mam rand... *miso*... kolację.

- A z kim masz tę randmisokolację?

- Z Akemi - wyszeptał, spuszczać głowę.

- Z Akemi - powtórzyłem, klapiąc z rezygnacją na fotel. -Z

dziewczyną perkusisty, tak?

- Tak — jęknął Andrzej w czarnej rozpacz.

Zrobiło mi się go żal. Może nawet do siebie pasowali. Ona też była czarna i rozpaczająca.

- Idź, czeladniku. Może w to nie uwierzysz, ale ja również kiedyś byłem młody. Rozumiem. Pamiętaj tylko...

—?

- Nieważne.

- Aha! — Zatrzymałem go w drzwiach. - Przypomniałem sobie.

Pamiętaj, że Yoshi, znaczy, perkusista, to jest Klient. Ktoś, kto się znajduje Po Drugiej Stronie Szyby. A więc... uważaj. Nie narób nam kłopotów.

- Tak jest, szefie...

Zniknął.

Westchnąłem, wziąłem jego czarny kajet i zabrałem się za przeglądanie notatek z sesji, która prowadziła donikąd. Jak połowa drzwi w Radiu Yokohama.

Szczególnie tych na piętrze czwartym.

Nie wspominając o czwartym i pół.

Chyba pójdę dziś wcześniej spać.

Kobieta, której nie znałem, wręczyła mi róg.

Podniosłem go odruchowo do ust i nagle zdałem sobie sprawę, że jestem zupełnie nagi. Stałem pod murami Radia Yokohama, ubrany jedynie w ten róg, zasłaniając się nim niezręcznie, pragnąc, żeby był większy albo miał inny kształt.

Stałem, mokry od potu, z oczami wlepionymi w ruchomy dywan, pokrywający łagodnie opadające pola.

Nad polami chmury mknęły na szybkim przewijaniu.

Na polach — dywan utkany z miliona czarnowłosych głów armii maszerującej pod naszą twierdzą. Falujące morze czerni, roz-iskrzzone wyciągniętymi mieczami i wycelowanymi w niebo grota-mi strzał.

Obróciłem się i zadarłem głowę. Na wieżyczkach czwartego piętra zakuci w czarne, lakierowane zbroje przechadzali się straż-

nicy, nieświadomi niebezpieczeństwa. Widziałem tylko ich pod-winięte hełmy, podrygujące w rytm kroków, chowające się co chwila za bezpieczne zręby fortyfikacji.

Cofnąłem się pod ścianę. Chropowatą, nagrzaną czerwcowym słońcem i wilgotną. Próbowałem się w nią wcisnąć. Podała się trochę, wgłębiła, ale potem złośliwie zatrzymała, stawiając niby miękki, a jednak nieubłagany opór.

Rozłożyłem ramiona, czując pod palcami zwróconych do ściany dłoni nierówny, rozgrzany kamień.

Coś musnęło mi kolano i załaskotało staccatem pazurków.

Jaszczurka alpinistka. Biegła teraz zupełnie pionowo w górę, pewnie szukając bezpiecznego schronienia wśród baszt wieńczą-

cych mury. Cofnąłem się odruchowo i zamarłem. Jaszczurka podbiegła zwinną sinusoidą. Znieruchomiała dopiero na wysokości moich oczu, z paszczą otwartą jak miniaturowy krokodyl. Paszcza zdawała się wydłużać, ujawniając rząd ostrych zębów.

Odskoczyłem od ściany i zrobiłem raptowny krok do przodu, balansując na krawędzi urwiska. Uratowałem się ćwiercobrotem na ugiętych nogach i... znowu miałem przed sobą osaczające nas armie.

Próbowałem odwrócić wzrok w nadziei, że znikną, ale nie mogłem. Nie miałem kontroli nad własnymi mięśniami.

Czarne morze rozstąpiło się, tworząc wąską szczelinę. Wysunął

się z niej gigantyczny, czarny, bazaltowy słup, niesiony przez setki rąk, kołyszący się, przygotowany do ostatecznego ciosu w bramy.

Podniosłem do ust róg, długi, cętkowany, i spróbowałem zadać.

Zanim jeszcze zadałem, wyobraziłem sobie lekko chropawy, szlachetny i doniosły ton, bez kompresji i z bogato wybrzmiewającym echem autorstwa firmy Lexicon.

Rozległ się słaby, rachityczny dźwięk, przypominający miauczenie kota.

Skrajnie sfrustrowany, zadałem znowu.

Kot zamiauczał głośniejsze.

Obudziłem się zlany potem. Czerwona lampka na klimatyzatorze migła, sygnalizując awarię.

Za oknem coś dęło w róg. Znaczy, miauczało.

Przeciągle, przeraźliwie i głosem nieznoszącym sprzeciwu.

Jęknąłem w odpowiedzi.

Zwlokłem się z *futonu*.

Na czarnym, mokrym parapecie stał jeszcze czarniejszy i bardziej mokry kot. Rzucił mi pełne wyrzutu spojrzenie i wskoczył

zgrabnie do pokoju.

Rozejrzał się z dezaprobatą, a po chwili wahania pomaszerował

prosto na mój *futon*.

Kiedy w pośpiechu zasunąłem okno i odwróciłem się, by przemówić mu do kociego rozsądku, było za późno — dreptał właśnie w miejscu z wyprężonym ogonem, kręcąc się w kółko i pracowicie ugniatając sobie gniazdko, z wyrazem takiego ukontentowania i Niezłomnego Zamiaru, że nie pozostało mi nic innego, jak westchnąć i pójść do szafy po suchą pościel.

Niestety. Pościel może była sucha, ale nie w szafie, tylko roz-wieszona na starych kablach

mikrofonowych na trzecim piętrze.

Zmoczyłem w zlewoumywalce ręcznik i wytarłem spoconą twarz.

- Wrócę tu - rzuciłem do kota najlepszą imitacją Terminatora, na jaką mnie stać o godzinie czwartej nad ranem.

Kot w odpowiedzi westchnął przez sen.

Do trzeciego piętra skrzydła południowego nie można się dostać bezpośrednio z mojego studia, więc rzadko je odwiedzam. A na pewno nigdy w nocy. Nie wiem nawet, gdzie są wyłączniki światła.

Kierowałem się słabym światłem księżyca, sączącym się przez zakurzone, półprzezroczyste okienka, i dotykiem - ręką sunącą po chropowatej tapecie.

Nie uchroniło mnie to przed potknięciem się o coś, co po ostrożnym zbadaniu okazało się rośliną doniczkową, a dokładniej drzewkiem bonsai. Postawiłem je na stołeczku z łazienki, bo niczego innego dookoła nie było.

Szedłem dalej, teraz ostrożniej - za zakrętem nie było już okien.

— Юрий Семечный? Это вы...? Слушайте! Я вас не боюсь!!!

Żałowałem, że nie wziąłem latarki. Niestety, baterie w sklepiku skończyły się w kwietniu, a nowa dostawa była dopiero przed-wczoraj — nie zdążyłem kupić.

Za chwilę powinny być schody po prawej...

Auć. Zapomniałem, że tu jest uskok w podłodze.

Zatrzymałem się, żeby przeczekać ból w dużym palcu lewej nogi, kiedy usłyszałem...

Klap, klap, klap.

Krótkie, miękkie echo...

Czerń korytarza zdawała się gęstnieć.

Może księżyc, jedyne źródło półmroku wylewającego się zza zakrętu, zbladł i uciekł za chmurę?

Klap. Klap, klap, klap...

Nasilające się. Zmieniające rytm.

- Tabashi-san? — zawołałem niepewnie. Mój własny głos wsiąkał w miękką ciemność, nie wracał znajomym echem.

Odpowiedziała mi cisza. Długa i niespokojna.

I coś jakby szum drewna sunącego po wyslizganych prowadni-cach. Drzwi.

Poczułem, jak kurczy mi się skóra na czaszce.

Może to niedawny sen? Może upiorna noc bez klimatyzacji i wyczerpanie dniem pełnym ściągania artystek z balkonów? Może echa starych legend i głupich przesądów połączone z niewyspaniem i długotrwałym brakiem urlopu? Sam nie bardzo wiedząc, co robię, przywołałem resztki nieużywanego od paru dekad języka z liceum i trzęsącym się, nienaturalnie wysokim głosem zawołałem w ciemność:

Coś zachichotało.

Sprint to mało powiedziane. Drogę z trzeciego na drugie, potem korytarzem wokół skrzydła zachodniego, po schodach, dwoma korytarzami, korytarzem i prosto do mojego mieszkania pokonałem z szybkością nadświatlną.

Chyba znowu potknąłem się o ustęp w podłodze i zrzuciłem w locie drzewko bonsai. Nie jestem pewien, bo cały czas wydawało mi się, że goni mnie mój własny oddech.

Trudno. Kot pewnie już wysechł.

A jeśli nie, to zawsze można podłożyć ręcznik.

Interludium

Duchy karmią się emocjami.

Nie własnymi - te są tylko wspomnieniem, czyli esencją ich mglistej, niespełnionej materii.

Ludzkimi. Ostrymi, barwnymi i namacalnymi.

Smakującymi życiem.

Wchłaniają szczęście, rozpacz, marzenia, ambicje, porażki, wzniesienia i upadki, pożądanie, ból i spełnienie. Najedzone, zbli-

żają się o krok do świata realnego, chociaż same już nie pamiętają, czym jest realność. Wiedzą jednak, czują, że każdy byt ma swój cel, jest komuś albo do czegoś potrzebny.

A przynajmniej powinien być.

Jeśli zatem istnieją (straszę, więc jestem), to ich egzystencja musi ku czemuś zmierzać. Może są gąbkami wchłaniającymi nadmiar namiętności, niszczących delikatną materię świata? Może taka jest ich rola?

Dlatego nader wszystko kochają teatr.

Dlatego każdy teatr jest nawiedzony.

Najgorzej, kiedy teatr jest opuszczony i straszy zakurzonymi garderobami, nieużywanymi meblami, wyblakłymi kurtynami i pustymi krzesłami. Porzucony teatr to najsmutniejszy rekwizyt tej rzeczywistości.

I nie tylko tej.

Wtedy duchy próbują zapędzić żywych do gry.

Zwykle im się udaje.

Rozdział Siódmy

w którym kozetka strzyże, John rozbiera suszarkę, a Martin niebyje.

Niedziela, 4 lipca 1999

Na korytarzu kolejka, Dziwna, bo... siedząca. Przed drzwiami do mieszkania pana

Tabashiego. Aż tylu kandydatów na kozetkę? Niesamowite. Rie i Chie miarowo dyndają kozaczkami. Białymi, niestety. Na obcasach grubości długopisu. - O, ty też do fryzjera? - pyta Rie.

Mrugam przez chwilę, usiłując zrozumieć. Fryzjer? Do bi-blioteki, pralni, siłowni, sklepiku, o *furo* zdążyłam się przyzwyczaić; ale fryzjer? Co oni tu jeszcze mają, spa z masażem i salon pachinko?

- Nie... - Odruchowo poprawiam chustę związaną na karku.

-Nie... używam... fryzjera. -Może zrozumieją, że nie chcę o tym mówić.

- A właściwie jaki ty masz kolor włosów? Długie czy krótkie? — Chie pociąga lekko za końcówkę czerwonej chusty. Od-suwam się delikatnie.

—Nie chodzisz do fryzjera? Serio? — Rie patrzy z niedowierzaniem, zupełnie jakbym powiedziała, że nie wiem, jak używać szczoteczki do zębów.

—Dajcie spokój — odzywa się cicho Akemi, siedząca na podłodze. Dziewczyny milkną posłusznie. Jestem jej wdzięczna,

choć wyczuwam pewne napięcie za każdym razem, gdy jest w pobliżu,.

Drzwi otwierają się z hukiem i wypada z nich Australijczyk ze wspomnieniem czerwonej czupryny. Wystrzyżone boki zdradzają ślady spotkania z Szalonymi Nożycami.

- No! Teraz to już radiofanki się nie opraj Nie, żeby kiedykolwiek próbowały... - Chichocze John, po czym napotyka mój wzrok. — Ooo. . Ups. . Aaa. . Ten. . Będiesz dziś na *miso*...?

-Z zakłopotaniem mierzwi bałagan pośrodku głowy.

Nie zdążam odpowiedzieć, bo drzwi przesuwają się ponownie i ukazuje się w nich pomarszczona japońska twarz z koń-

cem nosa ozdobionym okularami bez oprawek.

- Kto następny?

Wstaje Andrew. Martin mówi coś do niego w niezrozumia-

łym języku, śmieją się. Będę musiała kiedyś spytać Martina, dlaczego nazywa go NJ...

Na korytarzu kolejka, jak to zwykle do fryzjera — siedząca pod ścianami. Miałem szczęście,

że dotarłem zaraz po Johnie i Andrzeju, bo za mną już sadowiła się cała dzieciarnia — Chie, Rie & Co.

Wymachiwały zimowymi butami, jakby to nie był początek lipca.

Szczebiotały radośnie, jakby czekanie w kolejkach do fryzjerów było najwyższą formą rozrywki. Nigdy nie zrozumieć kobiet.

- Proszę, szefie. - Andrzej uprzejmie zaoferował mi miejsce przed sobą

-Jaki tam szefie - mruknąłem, myśląc jednocześnie: Jak to jaki?

Despotyczny! I nieumiejący słuchać... Rozmowa się nie kleiła.

- Ciekawe, czy w więzieniach jest fryzjer? - powiedział nagle Andrzej.

- Czy to jest pytanie?

- „Czy” pytające, nie wzięte liczebniczo — potwierdził.

- Nie wiem. - Wzruszyłem ramionami. - Na statkach jest.

- Skąd wiesz?

- Nieważne. Nie jesteśmy w więzieniu.

Andrzej patrzył z namysłem w małe, nieprzeźroczyste okienko wysoko nad podłogą korytarza, naprzeciwko drzwi fryzjera.

- Kiedy ostatni raz stąd wyszedłeś...? — zapytał wreszcie.

- Miesiąc temu, po ostatnich postrzyżynach. Tabashi obcina włosy, a nie głowy.

- Mam na myśli... z tego budynku.

- W zeszły czwartek.

- Odebrać pizzę...?

-Tak.

Znowu się zamyślił, tym razem na dłużej.

Przejechałem palcami po głowie, pod włos, zastanawiając się, czy wyglądałbym młodziej

ostrzyżony na zapalną.

Na drugim końcu kolejki - jakieś zamieszanie. Dziewczyny przypuściły chichotliwy atak na Amandę, która wyraźnie skrępowana odsuwała się od rąk próbujących uchylić rąbka jej chusty.

- Czy ona jest... muzułmaninką? - szepnął do mnie Andrzej.

- Mówi się: „muzułmanką” - odmruknąłem. — Chyba jest, ale na pewno niespecjalnie ortodoksyjną. Wiele Malajek w ogóle nie przykrywa głowy. Poza tym to nie jest hidżab, tylko ozdoba chu-sta. Może ją lubi i już. Wiesz, typ artystyczny. Musi mieć coś na głowie.

- Na przykład papugę - zasugerował Andrzej.

Nie mogłem się powstrzymać i parsknąłem śmiechem na myśl o Papudze pod ortodoksyjnymi nożycami Woźnego.

Z gabinetu wychynął mocno zaczerwieniony John, dziś w pa-siastej, czarno-białej koszuli. Wyprostował się aż po sufit i pogładził z zażenowaniem po rudej szczecinie nad uszami.

- Co się tak gapicie? - powiedział. - Zaczekajcie, aż was do padną Szalone Nożyce.

Zachichotał potem głupio, rzucił coś o swoim fanklubie, którego nie miał, i pobiegł do rozgłośni.

- No, wchodź — szturchnąłem Andrzeja.

- Czekam na *E!*— wyjaśnił.

- Na co?

- Na *E!* Nie pamiętasz? *Jak z awolam „E!” to pan wejdiesz!* — wy-recytował z nadzieją.

Despotyczni szefowie nie mają poczucia humoru. I, jak wiadomo, nie słuchają. Jak on mógł coś takiego powiedzieć... O mnie? JA nie słucham?

W tym momencie zza drzwi gabinetu rozległo się słabe *EL*

Było to prawdopodobnie *irrasshaimasEl*, czyli „zapraszam”.

Znowu nie mogłem się powstrzymać i parsknąłem śmiechem, Andrzej odsunął drzwi, wypiął pupę w ukłonie i zniknął.

Objąłem ramionami kolana i wbiłem wzrok w białoczerwone pasy wirującego walca, który Tabashi-san instalował na takie okazje na ścianie, w samym rogu korytarza, koło stojaka na kapcie gościnne.

Pasy pełzły hipnotyzująco do góry, symbolizując Radio Yokohama: meandry i owijanie w bawełnę.

Ale również jakiś postęp.

Wtorek, 6 lipca 1999

Dobrze jest czasem nie być.

Dziś właśnie mnie nie było.

Siedziałem sobie cichutko w kącie własnej reżyserki, dmuchając w kubek herbaty i trenując niebycie.

Szło mi coraz lepiej.

Andrzej tymczasem trenował sztukę bycia Zastępcą Realizatora, podczas kiedy John udawał Producenta. Obiektem ich wysiłków było już nie Y2K w całej swojej wrzaskliwej krasie, tylko fundament i fundacja zespołu — perkusista.

Szło powoli, bo John pełnił podwójną rolę - producenta i realizatora. Jako producent nie powinien przejmować się kątem ustawienia mikrofonu nad werblem, tylko wymagać od nas, ma-lutkich technicznych, osiągnięcia Dźwięku spójnego z jego Wizją Artystyczną i Komercyjną.

Niestety, nauka takiego obmikrofonowania perkusji, żeby brzmiała zgodnie z naszą Wizją, trwa kilka lat, a nie kilka miesięcy.

Andrzej robił postępy, ale do zawodowca brakowało mu mniej więcej czterdziestu następnych sesji. Na razie musiał być wspomagany przez Johna.

Wczoraj próbowałem włączyć się do akcji. Może wtedy ustawianie mikrofonów zajęłoby dwie godziny, a nie osiem. John ubzdurał sobie jednak, że Andrzej musi się sam nauczyć, i to na własnych błędach; a mnie najlepiej gdyby przy tym nie było.

- Ciekawe, kto będzie płacił za te błędy — mruknąłem do swojej herbaty. - Czas studyjny kosztuje.

Na szczęście nie usłyszeli, bo wkroczyłem właśnie na wyżyny sztuki niebycia.

- Stop! - krzyknął nagle John, gdzieś koło pierwszego refrenu „Shin harumagedon”. - Andrzej? Słyszałeś? Fenomenalne!

Fe-no-me-nał-ne, mówię! Co to było? Wszystkie maszyny stop!

Sięgnął do pawiana.

- Yoshi? Uderz w dużego toma. Świetnie. Jeszcze raz. Mocniej.

I jeszcze... Nie, nie brzmi... A przed chwilą był taki wspaniały, chropawy pogłos... Czekaj! Pewnie coś z zewnątrz! Uderzaj dalej!

- Słyszałeś to? — zwrócił się do mnie.

- Nie, bo mnie, zgodnie z wolą szanownego producenta, nie ma -
nie odpowiedziałem.

John potrząsnął w desperacji rudym jeżem i wystrzelił z reżyserki jak kula armatnia, pudłując w spotkaniu z framugą drzwi tylko o milimetry.

Yoshi posłusznie walił miarowo pałką w bęben.

To nie jest sesja „po ścieżce” - pomyślałem. - To jest cyrk.

John wrócił po pięciu minutach, niosąc triumfalnie w obu rękach wyciągniętych przed sobą — jak gotowy do strzału pistolet -

suszarkę do włosów. Różową.

- Nie uwierzysz, stary! - zaczął wołać w moim kierunku, po czym przypomniał sobie, że mnie nie ma, i kontynuował już do Andrzeja: — Hej! Ty też nie uwierzysz! Ikeda suszył tym ściany po wczorajszej ulewie! To wszystko wyjaśnia!

- Co wyjaśnia? - zawołał Andrzej, przekrzykując miarowe *bummm, bummm, bummm*, dudniące od dziesięciu minut z monitorów; twardo, miarowo i bezlitośnie, jak jakieś koszmarnie wahadło śmierci.

John pochylił się nad mikserem i ściągnął wiewiórę.

- Co wyjaśnia? Pogłos! Cudowny, wibrujący pogłos z tomów wyjaśnia!

- Errr... suszarka go wyjaśnia...?

- Tak! Widzisz, w suszarce do włosów jest silniczek. Wiesz, gdzie Martin trzyma śrubokręty? Super, daj jeden. Nie, mały krzyżakowy daj. O, świetnie. Zaraz ci pokażę...

Usiedli na dywaniku pod ekspresem do kawy i przystąpił do wiwisekcji suszarki.

Nie spodziewałem się, ile radości może płynąć z niebycia.

- Widzisz? - mruczał John pochylony nad bebechami ex-suszarki. — Tu są szczotki. Tak to się fachowo nazywa... elektrody, które przekazują prąd do wirującego wnętrza silnika. Szorują po tym walcu z nacięciami... I jak się zużyją, to sieją.

- Tak jak... twoja radiostacja kiedyś siała...? Bo się pupa... znaczy... ziemia zepsuła?

- Tak. Ale trochę inaczej. Silniczek wpuszczał do sieci elektrycznej zakłócenia. Nasze przedwzmacniacze są zasilane prądem, a ten prąd był skażony zakłóceniami. Rozumiesz?! Tak samo, jak kiedy Tabashi włącza ten stary odkurzacz na parterze i we wszystkich telewizorach w części hotelowej pokazują się paski...

Oczywiście mamy filtry sieciowe, ale zakłócenia silnika mogą być tak mocne, że się przebijają przez filtr. Rozumiesz? Ale co za brzmienie! Od lat takiego szukałem! Wiesz co? Skręcimy suszarkę i spróbujemy to powtórzyć!

Chwycił śrubokręt, kiedy drzwi reżyserki powoli się otworzyły i zajrzała przez nie głowa Yoshiego.

-Ja bardzo przepraszam, ale...

- Co tam, Yoshi? - zawołał wesoło John. — Skręcamy ci suszarkę!

- A... czy ja mam nadal uderzać w toma...?

Zapadła cisza.

- Ja nie jestem — nie powiedziałem.

- Sorki, Yoshi — powiedział John, drapiąc się w rudego jeża. -

Zaraz skończymy. Idź sobie na kawę z automatu, co? Czekaj! -

Sięgnął do kieszeni. - Kup mi puszkę. Zimną, z mlekiem. An drzej? Nie? OK. Mar...

Spojrzał na mnie i otworzył usta, ale zaraz je zamknął.

- Dobra, to tylko jedną. Dzięki!

Kiedy Yoshi wrócił z wąską, oszronioną puszką, suszarka była już zmontowana (minus mała, tajemnicza blaszka pozostała po operacji) i przechodziła testy.

- Eetoo... po co wam suszarka? - zapytał perkusista.

- Hi, hi... Nie zgadniesz! - odpowiedział Andrzej.

- Pewnie John-san chce, żebym grał... goręcej. Z ogniem? - zgadł

Yoshi, mrugając szelmowsko do Zastępcy Realizatora.

John dostał ataku radości, zakończony czkawką i prychnięciem kawą na podłogę.

Moją podłogę.

Gdybym był, tobym mu przyłożył w ucho. Ale nie byłem.

Nie było mnie jeszcze bardziej, kiedy Yoshi rozpoczął kolejny tejk, z Johnem obsługującym konsolę, a Andrzejem - suszarkę.

Zastępca Realizatora przy każdym przejściu po tomach rytmicznie szarpał palcem wskazującym za przycisk dmuchawy, stojąc na środku studia i podrygując do rytmu, żeby się lepiej wczuć w swoją rolę.

Są takie dni, kiedy niebycie jest jedyną formą gwarantującą zachowanie zdrowia psychicznego.

Środa, 7 lipca 1999

— ...i wtedy mnie znaleźli — opowiadam po raz nie wiem który tę samą historię.

Siedzimy na podwórku, przed wejściem. W LDK

coś się stało z klimatyzacją. Zaczęła kichać, aż w końcu poddała się zupełnie. W oczekiwaniu na Technicznego wynieśli-

śmy *miso* (dziś w postaci bezmisowej, ale równie pysznej) i resztę schadzki na zewnątrz. Może nie jest chłodniej, ale przynajmniej lekko powiewa... czasami.

- Dajcie mu rybę, on nie znosi tempury - mówi Akemi, wskazując na Debiru, który przysiadł w odpowiedniej odległości od swojej miski, z godnością owijając się ogonem i patrząc z wyrzu-tem w przestrzeń. Andrew, klęcząc przy niskim parapecie, kroi kawałek surowego łososia na półcentymetrowe kosteczki i podaje jedną z nich kotu. Łaskawie zaakceptowana ryba zostaje zamieniona na miejsce ze wzgardzoną tempurą krewetkową. Koniec świata.

- Dobrze, ale po co właściwie wdrapałaś się na ten ślepy balkon? - Koniecznie chce wiedzieć Chie.

- Boo... tam była taka prosta droga. Logiczna. I przyjemna, z małą przewieszką i zacięciem w miejscu, gdzie łączą się korytarze... — Przerywam, bo odpowiada mi pytanie kilku par żrenic: „Ale o co, przepraszam, że tak powiem, hę...?”.

- Wspinaczkowa droga w sensie... — dodaję w nadziei, że to coś wyjaśni.

„Że niby kogo i którądy. ,?” — pytają oczy, Ups.

No trudno, gdy się powiedziało "a", to trzeba powiedzieć „zebra”, jak mawiała babcia Janaki Biorę głęboki oddech.

- To właściwie jest dość proste. Zanim się wyjdzie do sklepu, szczególnie pierwszy raz, trzeba sobie zaplanować drogę.

W takim Tokio na przykład... Kto był, ten wie. Żeby się nie zgubić. Przy wspinaniu tak samo. Jedyna różnica polega na tym, że jedna droga przebiega w poziomie, a druga w pionie...

— Wspinasz się? Ładne rzeczy.. - zachichotał Kuni.

—Zawsze myślałem, że do tego potrzebne są silne ręce, a ty, wybaczone, na kulturystkę nie wyglądasz... - rzuca Tomo, mimo-chodem przygarniając kota. Debiru obrzuca go wyjątkowo przychylnym spojrzeniem i żąda dogłaskania drugiej strony.

—To taki mit, że wspina się, wisząc na rękach. Fakt, na początku każdy tak robi, ale to wynika raczej z braku umiejętno-

ści balansowania i używania siły nóg i kręgosłupa, i.. Rozbudowane mięśnie raczej by przeszkadzały.

Czuję się trochę dziwnie, bo łyżki i pałeczki zawisły w powietrzu - pomiędzy ciszą a ciszą jest tylko mój głos. Niezwykła sytuacja, bo na misoschadzkach panuje zawsze jarmarczny gwar.

—Ale to chyba... nie dla kobiet? - odzywa się Rie znad ramienia Tomo, na którym oparła w

zamyśleniu brodę. I talerzyk z tempu,

—No cos ty! Wspinaczka jest najbardziej naturalnym sposobem poruszania się człowieka! - Widząc na twarzach rozba-wienie pomieszane z niedowierzaniem, dodaję szybko: - Popatrz na małe dzieci. Zanim zaczną dobrze chodzić, co robią?

Wspinają się! Po meblach, schodach, rodzicach. . Tak samo gdy podchodzisz pod stromą górkę - łatwiej podeprzeć się czy podciągnąć, niż iść na samych nogach.

—NOj w sumie...

—A wiesz co? — Świta mi nagle pewna myśl, więc wstaję. -

To nawet nie takie trudne! Właściwie każdy potrafi się wspinać, tylko nie każdemu się chce. Chodź, pokażę ci! - Podaję rękę Rie, a za nią wstają Tomo i Cnie.

—Ja... No nie wiem... Bo ja nigdy...

Powoli zdejmuję buty i ustawiam je równo przy wejściu.

Podchodzę boso do drzwi pakamery, tej zewnętrznej, i przez chwilę uważnie studiuję pokruszony mur.

- Widzisz to? Świetne na stopień. A tu z łatwością można się chwycić. - Pokazuję i przystawiam się do pionowego pęknięcia między niskim okienkiem a łączeniem korytarzy. - Spróbuj! Możesz iść za mną, nie będzie wysoko. Będziemy iść w bok, nie do góry.

Kie przygląda mi się przez moment nieufnie. Wolno swinguję na zaimprovizowanym trawersie, czyli zwisając na swobodnie wyprostowanych ramionach, jak mają w zwyczaju orangutany, przemieszczam się w bok, ani przez chwilę nie dotykając ziemi. Już myślę, że nic z tego nie będzie, kiedy mała rozjaśnia się i... ciska kozaczki pod mur. Po minucie różowe skarpetki tkwią w dziurze pół metra nad ziemią.

- Taaak? I co teraz?

- Tam! Tam masz taki uchwyt! - Niespodziewanie odzywa się milczący dotąd Yoshi.

- Fajne... O, tutaj...

- A ja nie wiem, co dalej - słyszę mruczenie w wydaniu damskim i ze zdumieniem zauważam, że niedaleko Rie i Chie Akemi wpiła się w mur i stoi ze stopą na wysokości pasa. Chie zeskakuje raz po raz na ziemię i próbuje od nowa.

- A w butach też można?

- Można, ale niekoniecznie w tych. Jakbyś miał trampki to co innego... Ale tych raczej szkoda, zarysują się. - Obrzucam spojrzeniem szpiczaste czubki Kimiego, - Doobra! - mruczy przeciągle i, maskując ekscytację miną pod tytułem „czego to się już w życiu nie robiło”, obiema rękami ujmuję każdy but z osobna, ściąga i dołącza do tej niezwyklej procesji - Aaa... co z rękami? Będę mógł jutro grać? - Yoshi ma in-ne obawy.

- Aaa co, za dużo sake? - przedrzeźnia Tomo, podtrzymując Chie między łopatkami i doprowadzając do wybuchu chichotów na ścianie.

- Spokojnie, jeżeli nie przesadzisz, nie powinno być proble-mu. I nie stawaj sobie stopą na dłoń, jak obecny tu Andrew. -

Klepię Yoshiego zachęcająco po ramieniu. W przelocie łapię spojrzenie Akemi, ale jakieś takie.. przyjazne. Chyba.

Debitu przygląda się bez zdumienia. Nie takie rzeczy widział już w tym dziwnym miejscu.

Śmiejąc się, skacząc, trawersując i wygłaszając coraz to nowe odkrywcze uwagi, nie zauważamy, że powoli zapada zmierzch.

- Aha, tu się wszyscy podzia. . - Wstawia głowę przez uchylone drzwi Martin. Realizatorska szczeka powoli opada w dół. I znika.

Trzask.

Po chwili drzwi uchylają się znów, a w szparze ukazuje się głowa z zamkniętymi oczami. Andrew zeskakuje na ziemię.

Powieki uchylają się, ukazując niebieskie zaskoczenie.

- Epidemia jakaś? I wszyscy idziecie na ślepy balkon???

- My, szefie, żeby się rozruszać. .

-Ja... my... tak tylko... - Czuję się trochę winna, ale Rie i Chie zeskakują z muru i podbiegają do Martina.

- Chodź, chodź! Spróbuj! Każdy to potrafi! - Śmieją się jedna przez drugą, ciągnąc lekko oniemiałego Martina za rękawy.

- Nie! Nie, nie, nie, NIE! Ktoś musi pozostać normalny w tym pokręconym świecie! Ja tylko

wpadłem na *miso*...

- *Tak panjat, tak makan* - rzucam w zamyśleniu hasło mojej dawnej ekipy dzieciaków z rodzinnego miasta.

- Makaron? Spaghetti dziś?

- Nie, to po malajsku „Nie ma wspinu, nie ma jedzenia”. — odzywa się nagle Hirō.

- *Adakah anda berbahasa Melqyt* ? Mówisz w bahasa?!

- *Ykbm... sedikit saja...* tylko troszeczkę.

- Naprą..

- Słuchajcie, klima już działa! Co nie znaczy, że światło w korytarzu także, hi, hi... Coś za coś, jak mawiali starożytni Indianie! O, a to coś to łośoś? *Sashimi*? - Wpada rudy tajfun, będący niegdyś fryzurą Johna. Zanim ktokolwiek ma szansę zareagować, sięga pałeczkami do miski z pokrojoną rybą, sto jącej na niskim parapecie.

- Nie!!! To jest.. - jęknęła Akemi.

,—:Czeszcz, sztary, jak leczi —John, przeżuwając, klepie Debiru, który, obrzuciwszy go spojrzeniem pełnym nagany, odwraca się i z godnością, podniesionego pionowo ogona oddala się na bezpieczną odległość. — No co...

- Nie lubi cię. Wsuwasz mu kolację...

- O, serio? Sorry, kot. Słuchajcie, jest sensacja. Asabi dla te-go, kto zgadnie, kto zapowiedział się z wizytą na przyszły tydzień!?

- Szefowa?! Nareszcie, czas najwyższy - z nadzieją w głosie rzuca Martin.

- Nic z tego. Ti-Wi. Te-le-wi-zja...

- Dobra robota, kolego Yoshi - powiedziałem, wchodząc do studia.

- Dziękuję... John-san już poszedł?

- Zaraz wchodzi na antenę. Zadzwonił do mnie, żebyśmy cię dokończył.

- Ale nie wykończył?

Przerwałem zwijanie kabla mikrofonowego i podniosłem głowę.

Yoshi, ubrany w biały T-shirt i prostą, jeansową kurtkę bez ani jednego ćwieka, siedział za bębnami. W mroku kabiny perkusyjnej (wolał nagrywać po ciemku) pochylał się nad otwartym laptopem, rozstawionym na bordowym, włochatym ręczniku z *ofuro*, pokrywającym membranę dużego toma. Stuknął kilka razy w klawisze i światło ekranu zmieniło się, zabarwiając mu twarz na zielonkawo.

W tym fachu spotyka się wszystkie typy ludzi.

Nawet Japończyków z całkiem niejapońskim poczuciem humoru.

Zebrałem zwoje jasnożółtego kabla i usiadłem na podłodze, w drzwiach kabiny, opierając się plecami o framugę. Zacząłem je metodycznie zwijać w duże, równe pętle.

- Co tam piszesz?

- Pracę dyplomową. Studia zaoczne..;

- I znajdujesz na to czas?

- Trzymanie czasu to moja specjalność. — W niebieskiej po-

świacie z ekranu laptopa błysnęły błękitnawe, wyszczerzone w uśmiechu zęby.

Kabel zwinął się nierówno i sterczał niechlujnie odstającymi pętlami, więc go raz jeszcze rozwinąłem i zacząłem od nowa, przy każdej pętli delikatnie skręcając opuszkami palców, tak żeby się ułożyła równiutko obok poprzednich. Kątem oka widziałem skupioną twarz Yoshiego, oświetlaną co chwilę inną barwą z ekranu. Za nim las statywów i bębnów topił w mroku swoje kontury, śpiąc i czekając na zmartwychwstanie.

- O czym ta praca? - zapytałem.

- Raczej o kim... John Keats. To był Anglik. Poeta. Jemu też nie starczyło czasu...

- Tak się śpieszył?

- Wiedział, że umrze młodo. Czuł to... Czuł... Jak to jest po angielsku? *Furastorēshon*...?

- Frustrację.

- Frustrację, że nie zdąży wszystkiego napisać, doświadczyć, przelać z serca na... Nie, źle to tłumaczę. Posłuchaj.

W głuchej przestrzeni wytłumionej kabiny perkusyjnej za-brzmiały słowa o mocy niestłumionej cichym głosem ani lekko zacinającym się, japońskim akcentem:

Gdy mnie ogarnia lęk, że być przestanę, Nim pióro cały plon myślenia zbierze, Nim stosy książek nad tym zżętym łanem Staną jak ciężkie od ziarna spichlerze; Gdy widzę nocą, jak nade mną krąży Chmura postaci w balladach ukryta, I myślę o tym, że mogę nie zdążyć Za ich cieniami, choć je prawie chwytam;

I kiedy czuję — człowiek małej wiary — Że i ty znikniesz razem z gwiazd obiegiem, Że nie dosięgną mnie już nigdy czary Ślepej miłości — wtedy świata brzegiem Sam idąc myślę tak długo, aż w końcu Miłość i sława w pustym giną słońcu¹⁷.

Nie wiem, jak długo trwała potem cisza.

Słuchałem w niej słów, które już przebrzmiały.

Zamyślony, trzymałem na wyciągniętej ręce symetryczną, bladożółtą pętlę, jak jakieś ciało obce.

Yoshi trwał nieruchomo, a ekran tym razem zabarwił mu twarz na sino.

- Ty... też się boisz, że nie wystarczy ci czasu? — zapytałem, wzdrygając się na dźwięk własnego — dziwnie obcego — głosu.

- Tak — odpowiedział, po prostu i naturalnie. — A Martin-san się nie boi?

Czwartek, 8 lipca 1999

- A po południu co robisz? Wieczorem znaczy? -

Hmm... Nie jestem pewna. Na razie nagrałam dwa utwory, sama nie wiem, czy ostatecznie, bo Andrew nie ma zwyczaju wypowiadać się na temat jakości tego, co udało się wypocić w studiu... Chyba przejął ten zwyczaj od swojego Mistrza, Jeszcze muszę spotkać się z Hayakawa-san, który miał mi pokazać coś w związku ze strojeniem się w trakcie sesji. A później... muszę wymyślić, co gotuję, bo dziś moja kolej. A co?

17 Tłum. Juliusz Żuławski.

- Nie, nic, tylko. . Bo wiesz, Kimi, Tomo i Hiro wymyślili, że fajnie będzie jeszcze raz urządzić taką misoschadzkę jak wtedy.

No... na podwórku.

Chie mruga zabawnie niebieskimi rzęsami. Usiłuję zrobić poważną minę, ale ten żywy obrazek HelloKitty przyprawia moje kąciki ust o niekontrolowaną serię drgań. Mała zauważa go i dostaje przyjaznego szturchańca.

- Wiesz, sam fakt, że Hirō się odezwał. . - mówi niemal zachęcająco Akemi. Jej migdałowe oczy przewiercają mnie na wylot.

- Jasne, nie ma sprawy. To o ósmej, OK? - pytam, chcąc jak najszybciej zakończyć rozmowę. Jakoś niewygodnie mi we własnej skórze...

- Świetnie. Przekażę reszcie - oznajmia dziwnie grobowym tonem i po krótkiej chwili jest już tylko szelestem powłóczystej spódnicy za rogiem korytarza.

- Chie? Czy ja jej coś.. ? - bąkam niepewnie, nie chcąc nawet domyślać się przyczyn.

- Nie, chyba nie... A wiesz? Znalazłam u siebie takie przyciasne tenisówki, chyba lepsze to niż wspinanie się w skarpetkach, co? Bo z ostatnich niewiele zostało... Zobacz, takie, o. -

Wyjmuje zza pleców parę różowych, gumowych bucików w kopciuszkowym rozmiarze. W gwiazdki.

- A tak, jak przyciasne, to nawet lepiej! Prawdziwe buty wspinaczkowe żywsze są mniejsze niż normalne... Czeka, po-każę ci. Czemu właściwie stoimy w progu?

Wyciągam zza futonu parę dobrze wysłużonych, pomarań-

czowo-żółtych butków o bardzo azjatyckiej nazwie red chili, choć w całej Azji na próżno ich szukać (w przeciwieństwie do samego chili). Dobrze mieć wuja żeglarza... Stawiam jeden na podłodze, tuż obok mojej bosej stopy, wyraźnie większej od całego buta. Chie wybucha śmiechem.

-Prawie jak do baletu... Daj spróbować! Ajć! Lecę!!!

Ładujemy na futonie, Mała z jednym butem do połowy na stopie i ja - usiłując złapać ją w locie. Rozchichotane jak pso-diwe dzieci nie zauważamy, że w progu...

- Ykhra... przeszkadzam? To ja...

-

NIE! Skąd... To znaczy... - Staję na równe nogi.

Zbieram siebie i Chie z podłogi, mimo klimy czując, że mo je policzki gwałtownie

purpurowieją.

- Dobra, czyli zabieram dziś buty. Super. To do wieczora! — Nie przestając chichotać ani na chwilę, Chie łapie swoje rózo we skarby i znika w podskokach.

Dyskretnie poprawiam węzeł chusty na karku.

- Ja tylko.. Bo zostawiłaś na sofie... Myślę, że to twoje, do nikogo innego nie pasują takie teksty.

Yoshi podaje mi rulon kartek. Wyglądają, jakby ktoś na nich usiadł.

- Rzeczywiście, szukałam ich całe rano, dzięki wielkie! Na sofie? Całkiem prawdopodobne. Spędzam tam połowę życia...

Ręka, którą sięgam po kartki, natrafia na ciepło jego ręki. I nagle stoję w kręgu, zamknięta szczupłym ramieniem Yoshiego.

Podświadomie popycham lekko drzwi, które wślizgują się we framugę, cicho dzieląc przestrzeń na korytarz i (s)pokój.

Dwa tysiąclecia później, czyli mniej więcej po minucie, wypuszczam wreszcie powietrze z płuc i otwieram oczy. Stoimy nadal przy drzwiach, tyłka.. Mój policzek na jego piersi, zupełnie jakby tam właśnie było jego miejsce... Po chwili czuję dotyk na ustach, powiekach. Delikatny, ale nie nieśmiały. Pewny.

Bezpieczny. I w jakiś niesamowity sposób. . znajomy.

- Yoshi, ja... — szepczę, gdy moja twarz, ujęta jego dłońmi, znajduje się blisko, niebezpiecznie blisko.

- Pozwól mi. Proszę. -

Ale Ak...

- Proszę.

Przestrzeń między nami przestaje istnieć.

Nareszcie.

Piątek, 9 lipca 1999

Wzajemne unikanie się wzrokiem w ograniczonej przestrzeni reżyserki jest więcej niż umiejętnością. Jest sztuką.

- Przygotowałeś taśmy? — zapytałem, patrząc wszędzie, tylko nie na Andrzeja. Niestety, znajdowałem go na przecięciu wszelkich możliwych linii wzroku.

- Tak, bo John chciał, żebyś przesłuchał nagrania Yoshiego z całego tygodnia... Potrzebna nam twoja opinia... - zaczął Andrzej, z oczami wbitymi w fascynujący punkt na ścianie, czterdzieści pięć centymetrów w prawo i metr powyżej ekspresu do kawy.

- Wiem, wiem. Prosił mnie po obiedzie — przerwałem, przyglądając się z zaciekawieniem nieco inaczej niż zwykle rozmieszczonym wgnieceniom od łokci na brzegu stołu mikserskiego. John ma chyba większy rozstaw łokci ode mnie.

- To zupełnie normalne - kontynuowałem - że realizator prosi o konsultację starszego, bardziej doświadczonego kolegę. Sam tak kiedyś będziesz robił. Mam nadzieję. No, wrzucaj pierwszą taśmę.

Jest? To podciągnij słonia i jedziemy.

Odsłuchiwanie pierwszego numeru upłynęło mi na oglądaniu ściany nad drzwiami i zastanawianiu się, czy Andrzej wie, że słyszałem, jak nazwał mnie Despotycznym Szefem. Który, co gorsza, Nie Słucha.

Pewnie wie, bo sam zdejmował kubek z pawiana. Pytanie, czy wie, że ja wiem. I czy wie, że ja wiem, że on wie. I czy...

Przebrzmiało ostatnie finale na kotłach.

Pstryknąłem w anakondę.

- I jak? - spytał, oglądając dywanik.

- Przysięgłbym, że jej tam kiedyś nie było.

- Że kogo?

- Dziurki po gwoździu, zaraz nad framugą drzwi... Nieważne - mruknąłem.

Zapadła cisza przerywana tylko szumem dwóch par spojrzeń omiatających reżyserkę, hamujących raptownie w momentach zagrożenia kolizją.

- Errr... A co ty myślisz o nagraniu? - zagadnąłem, w braku lepszej koncepcji.

- No... Dziwnie jakoś brzmi. Sucho.

- Aaa, to akurat normalne, widzisz. - Ożywiłem się. - Gdyby John nagrał bębny z pełnym, bogatym brzmieniem, nie zmieściłyby się do miks. Wszystko by zdominowały i porozlewały się na pozostałe instrumenty. A jakby je ściszyć, brzmiałyby niewyraźnie.

Nie chodzi o to, rozumiesz, żeby instrument sam dobrze brzmiał, tylko w miksie z innymi. Zaczekaj, aż dogramy bas, zaraz zobaczysz różnicę. Perkusja musi ładnie siedzieć w kontekście pozostałych... - przerwałem, cudem unikając zderzenia ze wzrokiem Andrzeja. - No, nic, chyba nie było źle. Dawaj drugie nagranie.

Ostatnia taśma wyskoczyła z ADAT-a. Powstrzymałem odruch spojrzenia w bok i pociągnąłem ostatni łyk zimnej już herbaty.

Andrzej włożył mi do ręki nowy kubek, patrząc przy tym w sufit i nie oblewając mi spodni wrzątkiem. Chłopak staje się coraz lepszy.

- Przeczytasz?

Obróciłem się do niego plecami, żeby lepiej słyszeć.

- Nagrania jeden, dwa, trzy: bez większych uwag - zaczął. -

Nagranie cztery: w dwudziestej ósmej sekundzie koma szesnaście setnych nieznaczne zwolnienie przed przejściem. Powrót na raz prawidłowy. Nagranie pięć: mocno spóźniony akcent na...

- Dobra - przerwałem. - Dalej pamiętam. To mamy problem.

Trzeba będzie dograć ten akcent.

- A nie da się... bo ja wiem... wkleić?

- A! — Podniosłem palec i, czując nagły przypływ dawnego animuszu, wcelowałem wzrok w brzuch Andrzeja. Miałem wra-

żenie, że się cofnął o kilka centymetrów. - W tym sęk!

- Co...?

- Sęk! Deska drzewnianna, w środku sęk.— Roześmialiśmy się, ale jakby z przymusem. - Montaż na tych starych pudłach -

wskazałem na otaczające nas rusztowania szafek — wymaga technik z epoki cesarza Jimmu. Taki japoński król Ćwieczek, dla twojej informacji. Gdyby szefowa wreszcie zainwestowała w sprzęt cyfrowy, chwyciłoby się ten akcent myszą i przesunęło go na ekranie o kilkadziesiąt milisekund wte czy wewte. A tak — trzeba dograć. Rozumiesz?

- To... zawołać Yoshiego...?

Podniosłem głowę na zegar. W ostatniej chwili zdając sobie sprawę, że Andrzej robi to samo, wróciłem zręcznie wzrokiem na podłogę inną drogą.

- Za późno - zdecydowałem. - Wiesz, to tylko jedno uderzenie w werbel. Sami dogramy. Umiesz uzbroić ścieżki? No to do boju.

Po kwadransie Andrzej siedział za perkusją, uzbrojony w parę słuchawek i największą pałkę, jaką znaleźliśmy na zapleczu.

- Mocniej - wołałem do mikrofonu. - To w ogóle nie brzmi!

Musi być tak, jak inne akcenty, inaczej wyjdzie rachitycznie... Nie, nie wystarczy zwiększyć głośność; werbel inaczej brzmi, gdy się w niego porządnie przywali! Nie tylko głośniej; inaczej! Soczy ściej! Masz zrobić brzmienie Yoshiego, OK? No, pokaż, ile masz pary w tych młodych łapkach. Dawaj!

Andrzej w desperacji chwycił pałkę oburącz i zamachnął się, jakby to był cep.

Wyszło głośniejsze, ale nadal rozmyte i bezpłciowe „prask”. O

dobrze cztery decybele poniżej tego, co produkował Yoshi. Skąd w tym szczupłym Japończyku tyle siły?

Westchnąłem i wdusiłem pawiana:

- Wracaj do reżyserki, zamieniamy się. Tu nie wystarczy siła.

Trzeba techniki...

Siadłem za perkusją i włożyłem słuchawki, żeby nie ogłuchnąć.

Na próbę lekko uderzyłem w werbel. Nastrojony. Spróbowałem mocniej. I mocniej...

-Już lepiej, szefie! - zawołały słuchawki. - Ale ciągle za cicho!

- Czekać — mruknąłem przez zaciśnięte zęby. - *Nu, pogodi.*

Raz, dwa Bam! cztery. Raz dwa ŁUPS! cztery. Raz, dwa RRRAB!!! cztery! Raz, dwa, AUC!

Pałka uderzyła o krawędź werbla, odskoczyła i, wyrывая się ze zmordowanych palców, uderzyła w świeżo zagojony nos.

Krzywiąc się z bólu, ruszyłem do drzwi. Za drzwiami zwisała firanka, czyli Amanda na framudze.

- Dobry wieczór - powiedziała, zeskakując. - Przyszłam zobaczyć, co się u was dzieje. Brzmiało to jak nocna lekcja perkusji.

- Musimy nagrać z szefem jedno uderzenie w werbel — wyjaśnił

Andrzej, zanim ktoś mnie zapytał, jak brzmi wykładnia oficjalna. -

Na TRZY dokładnie. I obu nam brak pary! Ma być mocno jak u Yoshiego. Pokażę ci, jak to robiłem...

Zostawiłem ich w studiu i poczłapałem do łazienki, masując nasadę nosa.

Po drodze uświadomiłem sobie, że w reżyserce też jest lustro, bliższe o cztery zakręty i trzy schodki, więc wróciłem.

Chyba nie spuchł.

Już miałem zabrać się za wyłączanie sprzętu na noc, kiedy z monitorów dobiegło... BAM.

Po chwili jeszcze głośniejsze i bardziej zdecydowane. Prawie...

yoshiowe.

Stałem przy lustrze, w samym rogu reżyserki, niewidoczny przez szybę do studia. Kucnąłem, przeszedłem krokiem kaczki pod prawą stronę stołu i, wyciągając ostrożnie rękę, przesunąłem po omacku wiewiórę o kilka kresek do góry.

Monitory powiedziały:

- Widzisz, to trzeba całym nadgarstkiem... Jakbyś strzelał z ba-cika. Czekał, włóż drugą parę słuchawek, bo ogłuchniemy... Twój szef je chyba gdzieś tu zostawił? O, dobrze. To teraz popatrz...

BAM. Pam, pa pa pam prrrrr... BAM. BAM!

Chwyciłem się za szczękę, ale chyba nie usłyszeli, jak opadała -

reżyserka jest dobrze izolowana.

- Walilem z całej siły i nie wychodziło! Martin miał rację, tu trzeba techniki... Bo Yoshi wcale nie wygląda na Herkulesa!

- Mocne palce też pomagają, ale przede wszystkim potrzebna jest technika. Popatrz. Daj rękę, spróbujemy razem. Jak z bata...

-BAM.

Udało mi się wymacać żyrafę. Włączyłem nagrywanie. Oran-gutan łatwo dał się rozpoznać, bo jest włochaty, a gumowe coś z wypustkami było pewnie kałamarnicą. Podciągnąłem odrobinę, tak żeby słyszeli w słuchawkach...

Z monitorów w reżyserce popłynęło oryginalne nagranie Yoshiego, na które w odpowiednich miejscach - na każde „trzy” -

zaczęły się nakładać mocne, soczyste, energiczne BAM!!! z kabiny perkusyjnej.

Bingo.

Czyli koniec świata.

DJ został producentem, lektor realizatorem, japoński perkusista badaczem Keatsa, a soulowa piosenkarka — perkusistą zespołu metalowego.

Kozetko, przybywam.

Krok, krok, krok, uskok, zakręt i wyjście na ostatnią prostą.

Zatrzymałem się z piskiem kapci.

Korytarz prowadzący do drzwi Woźnego był zupełnie ciemny.

To pewnie wynik napraw klimatyzacji prowadzonych ostatnio przez pana Ikedę.

Ciemność jako taka nie jest mi straszna — znałem ten korytarzyk jak własne kapcie i wiedziałem, że między krokiem ósmym a dziewiątym trzeba lekko ugiąć kolana, bo piskliwe linoleum przechodzi tam w zapadającą się ze starości matę tatami. Więcej zagrożeń nie ma. Zatrzymało mnie co innego: postać ledwie rysująca się w słabym świetle niedomkniętych drzwi Woźnego, a może z klatki schodowej za zakrętem na końcu korytarza. Postać

wkładająca właśnie kapcie, niewątpliwie po wizycie u pana Tabashiego. Ubrana... tak, nawet jako czarny zarys na szarym de...

ubrana w staromodny płaszcz i kapelusz.

Postać wyprostowała się.

Chciałem coś powiedzieć, ale sam nie wiem, dlaczego postanowiłem dla odmiany... posłuchać.

Dobiegło mnie echo szeptu, słowa wypowiedane chyba do samego mroku: - Nie może być...

Postać zafalowała i zniknęła za zakrętem.

Sterując po omacku na szarawą plamę u końca korytarzyka, pomyliłem rachubę kroków i o mało nie skręciłem sobie kostki, zapadając się w tatami jedną stopą, a drugą potrącając jakiś stołeczek z *ofuro*.

Zapukałem i po zachęcającym wołaniu rozsunąłem ostrożnie drzwi.

Pan Tabashi, ubrany w stary garnitur i domowy fartuch, przyjął

dzisiaj rolę Kustosza. Uzbrojony w półokulary bez oprawek i trzymaną w białej rękawiczce miotłkę z piór na bambusowym patyczku, zdejmował eksponaty z półek przeszklonych regałów.

Stałem przez chwilę i patrzyłem, jak odkurza jakąś mosiężną gałkę do drzwi czy starego łóżka, a po niej anonimowy kawałek ołowianej rurki przepasanej różową wstążką. Niektóre artefakty po omieceniu piórami wracały na swoje miejsca, inne były prze-noszone na blat *kotatsu*, pewnie do poważniejszego przeglądu.

- Proszę, Martin-san. Proszę się rozgościć. Kozetka czy...?

Pytanie zawisło w powietrzu, czekając na prawidłową odpowiedź. Zastanowiłem się. Rząd eksponatów na *kotatsu* na pewno nie był przypadkowy... I nie zachęcał do zajęcia miejsca na bez-nogiej kozetce.

Kustosze nie prowadzą... kozetek.

Usiadłem na podłodze, wsuwając wyprostowane nogi głęboko pod *kotatsu*.

Zapytać o cień w płaszczu? I kapeluszu? Nie.

Tak?

Nie?

Nie.

Sięgnąłem po pierwszy z brzegu przedmiot: ułamaną listewkę, pomalowaną w ukośne, białoczarne prążki.

- Z czym się *to* kojarzy panu Martinowi?

- Bo ja wiem...? Zebra? Szlaban? Nie mam pomysłu... Lekki uśmiech uformował kurze łapki nad spuszczone na czubek nosa okularami, tym samym zachęcając do dalszych prób.

- Fryzjer? Że niby jak te czerwono-białe, wirujące pasy...

Uśmiech się poszerzył.

- Trzeba przyznać, że bardzo panu Martinowi do twarzy w nowej fryzurze.

- Dziękuję... A właściwie dlaczego przed salonem fryzjerskim zawsze jest taki wirujący białoczerwony walec? I to chyba nie tylko w Japonii? — zapytałem w nadziei, że Tabashi-san nie ma na coś odpowiedzi.

- Aaa, to bardzo ciekawa historia. Widzi Martin-san, fryzjerzy, czyli cyrulicy, pełnili kiedyś o wiele więcej ról niż skracanie czupryn i bród. Byli lokalnymi psychologami, dentystami, puszcza-czami krwi (za pomocą pijawek, nie wiem, czy Martin-san uwierzy) a także... pierwszymi chirurgami. I stąd właśnie symbol ich profesji - te pasy przedstawiają zakrwawione bandaże. Ale proszę próbować dalej - podjął, wyjmując mi z palców listewkę i trzymając ją poziomo nad blatem.

- Zaraz, zaraz... Klaps! Boże, jak to jest po japońsku... Albo po angielsku...

- *Kachinko* - pomógł Tabashi-san. - Po angielsku: *klappabōdo*.

- A tak, *clapperboard*! Filmy. Produkcja. Hollywood... Kino. Telewizja?

Uśmiech pana Tabashiego poszerzył się o 0,2 milimetra, zachęcając do dalszych asocjacji.

- Telewizja... Teledyski. Zespół... Mają przyjść do nas kręcić Y2K w przyszłym tygodniu, prawda? Będą... będą...

Kolejne 0,1 milimetra.

- Przeszkadzać! — wydusiłem w końcu. - Będą wtykać nosy.

Ciągnąć jakieś grube kable z... — wzdrygnąłem się - z Zewnątrz.

Rozłazić się będą. Gubić na piętrach... I zadawać Pytania. A przecież my tutaj pracujemy!
Mamy nagranie do zrobienia!

- Czy Martin-san czuje się tym... zirytowany?

- Zirytowany? Bo ja wiem... Nie, pewnie nie powinienem, prawda? To dobra reklama dla studia i dla klienta, i w ogóle... Nie takim sztormom daliśmy radę, tak...?

Jakby w nagrodę za moje wysiłki intelektualne, artefakt został

starannie wytarty irchą i wrócił na swoje miejsce, za przesuwaną szybą półki.

Zamyślony, popychałem palcem różnokształtne drobiazgi po blacie *kotatsu*. O: biały - no, może niegdyś biały - teraz pożółkły -

pasek twardego, nieco spękanego plastiku z zaostrzonymi końcami.

Lekko elastyczny, chociaż gdybym mocniej nacisnął, pewnie by pękł. Przyszedł mi do głowy mechanizm powrotu klawiszy w starych

organach

elektronicznych Hammonda, ale

nie

-

przymierzyłem palec - za szeroki. I za sztywny. Trzeba by mieć w łapach parę kulturysty, a nie organisty.

- Nie wiem. Daję za wygraną. Wysiadam. Poddaję się...

Uśmiech zwiądnął, nie pozostawiając wątpliwości, jaka jest opinia Kustoszków o takich, co się Poddają wobec Zagadek Przeszłości.

- Ale ja naprawdę...

W porównaniu z Tabashi-san, Mona Liza pokładała się z uciechy.

Wyciągnął rękę i wyjął mi z palców...

Fiszbin.

- Fiszbin - powiedziałem.

Uśmiech poszerzył się nieznacznie.

- Fiszbin. Z wykopalisk pana Ikedy na korytarzu. Kiedy szukał pupy. Znaczy ziemi. I znalazł go...

Uśmiech zanęcał.

- Andrew!

Uśmiech zapłonął.

- Bo ja zupełnie przypadkiem postawiłem ten kubek na pawia nie... I usłyszałem...

Tabashi-san ujął fiszbin w białe rękawiczki i napiął jednym palcem.

- Że jestem...

Fiszbin wyprostował się z trzaskiem.

- Despotycznym Szefem!

- No OK, dobrze, fakt, może byłem trochę surowy wobec Andrew, ale on musi zrozumieć, że reżyserka to nie plac zabaw... A zawodu się uczy latami, to nie jest jak we współczesnej muzyce, gdzie wystarczy garaż, gitara z deski i ufarbowane włosy...

Fiszbin został ujęty w dwa palce białej rękawiczki i delikatnie pogładzony, pewnie w ramach przeprosin za tortury sprzed paru chwil.

- Ale teraz jest bardzo niezręcznie, bo ja nie wiem, czy on wie, że ja słyszałem... On uważa, że ja nie słucham ludzi, ale... Hayakawa sam mu zwrócił uwagę, żeby nie stawiał kubków na konso lecie, więc on ten kubek zdjął, więc pewnie zauważył, że stoi na pawianie i się domyślił... I teraz pewnie się zastanawia czy ja wiem, że on wie, że ja wiem, że on mnie tak nazwał, i w ogóle na siebie nie patrzymy...

Fiszbin zasłużył na zawinięcie w kołderkę z irchy i czułe po-tarcie.

- Pewnie powinienem z nim pogadać, tak...? Wiem, starszy je stem i w ogóle... Ale cała ta sytuacja z Y2K i wszystkim... John mnie wysiadał z mojego studia i mam nagrywać tych... lektorów.

To wszystko mnie...

Odziany w rękawiczkę palec przejechał wzdłuż krawędzi fiszbi-nu, po czym dotknął kilka razy końca, jakby sprawdzając ostrość czubka noża.

- Niekomfortowa sytuacja, Martin-san?

- Właśnie. Niekomfortowa. Boję się, że wszystko wyleci w powietrze... Boję się...

Nie zdążyłem wymyślić, czego się boję, bo moją uwagę przykuł

przedmiot zupełnie niepasujący do reszty śmie... to znaczy ar-tekfaktów pokrywających blat k *otatsu*.

Róg.

Oprawiony w srebro, które przy bliższych oględzinach okazało się tanim łuszczącym się chromem. Pewnie jakiś rekwizyt es-tradowy... Niezatkany na końcu, więc chyba nie do picia z, tylko grania na, a może do nalewania czegoś przez; Bogowie raczą wiedzieć, do czego kiedyś służyły rogi...

Róg.

- Miałem taki sen... - zacząłem.

Uśmiech aprobował.

Zachęcony, zrelacjonowałem oblężenie Radia Jerycho, w którym przy pomocy ogłuszającego sygnału zagranego na rogu rozpędziłem czarne hordy atakujące nasze mury. I nocny spacer po korytarzach, i...

Uśmiech przybrał aspekt zatroskano-pytający.

- Tabashi-san... Ja go chyba zobaczyłem. No... rozumie pan...

Uśmiech nie rozumiał.

- No, tego... Cha, cha... Znaczy... Ducha - brnąłem, zapędzo ny w kozi... róg. - Ducha Jurija Siemieckiego... Tak, tak, wiem, to pewnie przepracowanie i całe to wariactwo ostatnich miesięcy.

Wszystko się zmienia, nie jest, jak dawniej, w rodzinie... Andrew i ten cholerny zespół, i recesja, i szefowej nie ma, i producent ca ły czas w lesie, i Andrew... Najzdrowszy realizator dźwięku by trochę zwariował, prawda? Prawda...?

Róg został delikatnie, prawie z czułością przejęty przez białe rękawiczki. Które zaczęły go miarowo pocierać, przywracając dawną świetność.

- I te dziewczyny! Co innego niż kiedyś, przychodziły nagry wać i szły sobie potem w świat, przyciskając płytę demo do pier si... A teraz się rozpełzają wszędzie, na mury włożą, drażnią, iry tują... No, OK, o Amandzie nic złego nie mogę powiedzieć. Poza tym gotują świetnie i nawet pomagają tym swoim pajacom coś nagrać, bo są od nich inteligentniejsze, ale... Tu nigdy nie było kobiet! Dlaczego nie może być tak, jak dawniej? - Wytarłem rękawem czoło. — Dobrze, że tylko duchy widzę, prawda...? — Roze-

śmiałem się chrapliwie.

Uśmiech przeszedł do fazy ojcowsko-dobrotliwie-kojącej.

Róg został po ojcowsku poklepany i położony do snu w swojej gablotce.

Zrobiłem głęboki wdech i wydech. Oczyszczający ciało. I ducha.

Z *kotatsu* po kolei zniknęły eksponaty. Pojawił się czajniczek z herbatą i pudełko chusteczek firmy Tissues of the Puppies.

Wychodząc, wręczyłem panu Tabashiemu małe zawiniątko.

- To tylko kilka mandarynek... Ostatnio była dostawa do skle piku... Na zdrowie, Tabashi-san.

Podziękował poważnie, kłaniając się i odkładając miotełkę z piór, żeby je starannie przenieść do czarnej, lakierowanej miski na szafce.

Kiedy wkładałem już kapcie, coś mnie tknęło.

Odsunąłem ponownie drzwi o kilka centymetrów i zawołałem: - Tabashi-san! Przepraszam, ale... Skąd ten klaps? Czy tu kiedyś było studio filmowe?

- Tak, Martin-san - dobiegł cichy głos z dalszego pokoju. - W

latach dwudziestych ery Shówa. To będzie u was...

- Wiem, zaraz... wczesne lata pięćdziesiąte, tak? I co tu kręcono?

- Niskobudżetowe filmy dokumentalne i obyczajowe. Wyko-rzystywano rekwizyty pozostałe po teatrze i wodewilu sprzed wojny.

- Aha. To ja już...

Zamknąłem drzwi.

Nagle coś mi się przypomniało.

- Tabashi-san...? A ten róg...?

- Dobranoc, Martin-san.

- Dobranoc, Tabashi-san...

Dobranoc.

Są. takie dni, kiedy chciałoby się mieć uszy węża. -I co? —Jak to co, I wyszłam.

- ..i zostawiłaś ich samych? W JEJ pokoju???

Usiłuję bardzo głośno myśleć o czymś innym. O czymkol-wiek. O...

- Ale o co ci chodzi, Akemi? Miałam się bawić w niańkę, uważasz? Zresztą widziałam, że dziesięć minut później wracał

do siebie. Co się mogło przez dziesięć...

BARDZO usiłuję. O... słoniach. I wężach. I...

- Myślałam, że masz więcej wyczucia. Naprawdę.

Na dźwięk tego głosu mogę myśleć tylko o grobowcach,

podziemiach, brr...

- Ej, nie złość się... Sama pomyśl... Nie możesz go zawsze tak...

- Ja cię bardzo uprzejmie prrroszę, Chie, nie mów mi, co mogę, a czego nie mogę! Znasz tę historię od wieków. Wiesz, jak jest

Czegoś szukałam, chyba... noża. Tak, właśnie noża. Ten jest dobry, tylko przydałoby się go naostrzyć...

- Tak, znam. I właśnie dlatego uważam, że... Nie, nie po uczam cię, mówię tylko, co o tym sędzę. Myślę, że powinnaś dać mu więcej przestrzeni, — Wibruje cichy głos — Żeby doj rzał. Już czas, Akemi,

- Nie rozmawiajmy o tym więcej.

—Jak chcesz.

Bezwiednie zaciskam dłoń na ostrzu. Zdziwiona, patrzę, jak kropelka krwi ścieka mi po palcach.

Interludium

Na ścianie tańczą cienie.

Cienie są. A właściwie byją.

Nic innego nie byje.

Może poza poezją która na ułamek sekundy pozwala dostrzec światło, definiujące cień.

Poezja jest mruczeniem zwiniętego w kłębek kota.

Poezja to stara, zwietrzała cegła, która chce, żeby jej dotknąć.

Poezja nie odzwierciedla, a tylko byje.

Poezja to brzytwa, goląca brodę Ockhama.

Cienie tańczą.

Tańczą, próbując sobie przypomnieć.

Tańczą, zasłuchane w muzykę, która jest chropowatym biegiem czasu.

A więc muzyka też byje.

Może to ona jest źródłem cieni?

Audio ergo sum.

英語の喋る人は誰ですか

ممنأ ال ا

我不明白

이해가 안

मैं नहीं समझ

Rozdział Ósmy

w którym Martin poznaje dwunastu apostołów danitolu, a Amanda ich trzodę.

Poniedziałek, 12 lipca 1999

- Który z panów jest lektorem języka angielskiego? -

zapytałem, podnosząc wzrok znad clipboarda.

Dwanaście par oczu wszelkich możliwych kształtów i kolorów powiedziało „nie rozumiem” w dwunastu różnych ję-

zykach.

-

- spróbowałem w narzeczu go—

spodarzy.

eu nao compreendo,

, ik begrijp niet,

, tidak ditemukan di kamus,

.. — zadudniło dwanaście czarujących barytonów.

Otarłem pot z czoła i z resztką nadziei powiodłem wzrokiem po różnobarwnym tłumie, wypełniającym poczekalnię studia C. W

powietrzu unosił się zapach potu, kadzidła, koziego sera, wczorajszego dymu tytoniowego (Tabashiemu wysadziłoby korki) i ciepła, rodzinna wilgoć rodem z jurty.

Po bliższej lustracji za wilgoć okazał się odpowiedzialny jasno-brązowy dżentelmen w długiej, białej piżamie, gotujący coś na ma-lutkim piecyku w rogu pomieszczenia. Mieszał zawartość garnuszka parą długich, metalowych pałeczek, gaworząc do siebie w języku, którego chyba nie rozumiał nawet on sam. Wokół piecyka wznosi-

ło się coś w rodzaju szalasu z listewek i umiejętnie pozszywanych kawałków płótna. Zidentyfikowałem je jako pozostałość po para-solu ogrodowym, z czasów, kiedy John próbował wprowadzić w Radiu Yokohama kulturę grillowania podwórkowego.

W przeciwnym rogu dwóch brodatych rozwieszało pranie, a oliw-kowy w kwiecistej spódnicy czytał na głos książkę skośnookiemu z tatuażem, który najwyraźniej nic z niej nie rozumiał, ale chichotał z uznaniem. Obok wychudzony młodzieniec w obwisłym, czarnym garniturze, z pejsami i w jarmułce kłaniał się miarowo ścianie.

Brakowało tylko kozy.

- Ekhem — powiedziałem.

Nie odniosło to spodziewanego skutku. Nie, żebym się jakiegoś spodziewał.

Po chwili z podłogi wstał jegomość koloru gorzkiej czekolady, rozprostował fałdy białej sukni, podciągnął obszerne rękawy, zbliżył się i dźgnął mnie palcem.

Nie lubię, kiedy mnie dźgają palcami.

- English lector użę priestać być - zadudnił po rosyjsku. Chyba. -

On Allen Andrew no użę niet - kontynuował, stojąc o dobre trzydzieści centymetrów za blisko. Cofnąłem się o krok.

Czekoladowy podążył za mną, nieprzyjemnie zmniejszając dystans prawie do zera. Dalej cofnąć się nie dało, bo za plecami miałem ścianę.

- On nie być już. Finiś. Nie przychodzić być. English nie mieć my. Wy Polak, ja Sudan z doktorat rucisiśtyka na Adaś Miskiewicz University. Się dogadać my. Hi, hi.

- Hi, hi — potwierdziłem na wszelki wypadek, opierając się mocniej o ścianę.

Czekoladowy obejrzał mnie dokładnie, jakby oceniał moją Umiejętność Rozumienia Rzeczy Oczywistych, po czym wycofał

się i usiadł po turecku na pasiastym ręczniku pod ścianą.

Wróciłem do clipboarda. Pomogłoby, gdyby w rozpisce znalazły się nazwiska moich dwunastu apostołów. Chyba na dźwięk własnego imienia reagują?

Niestety — były tylko języki, harmonogram nagrań i uwagi Johna dotyczące preferowanych ustawień na mikserze w zależności od stopnia boomienia danego barytonu.

Może jeśli będę mówił powoli i głośno, to ktoś zrozumie.

- A więc, panowie, nagrywamy dziś reklamę danitolu. Jak wiecie danitoł to... errr... nie wiem, co to jest. Ale proszę, żebyście dali z siebie wszystko.

Na pierwszy ogień pójdzie... - Spojrzałem na rozpiskę przypiętą do clipboarda — pan Urdu. Potem pan Pasztet, przepraszam, Pashto, to chyba Afganistan, tak? Mamy takiego? Nie wiadomo?

No trudno. Potem pan Suahili, pan Mongolski i... errr... kółka i patyczki. To chyba pan Koreański. Panów Tamilskiego, Burmij-skiego, Hebrajskiego, Kurdyjskiego, Lao, Khmer, Bahasa... errr... i pozostałych możemy dzisiaj przeprosić, bo pięć nagrań jednego dnia to i tak dużo. OK? *Understand? Wakatta? Comprendre?* Kapewu?

CZY KTOŚ W OGÓLE MNIE SŁUCHA?

W ciszy słychać było bulgot kociołka.

Po długiej - zbyt długiej — chwili, zza sznurka z suszącymi się kałesonami wychynął długowłosy i krótkobrody chudzielec urody indoeuropejskiej, odziany w połatane jeansy oraz koszulkę z wizerunkiem Che Guevary. Ukłął przed czekoladowym jak przed jakimś guru i przeprowadził z nim szybki wywiad.

Następnie zerwał się na równe nogi i pobiegł na drugi koniec pokoju, gdzie kucnął koło lektora, którego ochrzciłem w myślach Szejkiem. Miał co prawda podejrzenie skośne oczy, ale turban nie pozostawiał wątpliwości.

Szejk pokiwał mądrze głową i udał się tłumaczyć coś małemu grubemu o wyglądzie Latynosa. Ten z kolei począł wykladać coś Mongołowi (a *może* Koreańczykowi, kto go tam wie) przy akom-paniamencie niezwykle energicznej gestykulacji.

Trasa sztafety językowej zdawała się być dawno opracowana i przećwiczona w boju. Cóż, John mnie o tym uprzedzał.

Przypomniało mi się moje przedszkole na ulicy Sandomierskiej, gdzie przebojem starszaków była gra w głuchy telefon. Tak.

Ciekawe, co z mojej przemowy powstanie w dwunastej iteracji.

Nie było mi dane dowiedzieć się, bowiem ostatnia iteracja przybrała postać przekładu z tagalog (chyba) na perski (sądząc po wąsach).

Westchnąłem i powiedziałem bardzo głośno i powoli: - URDU. PAN URDU PROSIĆ DO KABINA.

O dziwo, podziałało. Młody człowiek o rysach pakistańskopo-dobnych, w luźnym, białym garniturze z artystycznie rozchełstaną na piersi fioletową koszulą (myślałem, że piętnastocentymetrowe kołnierzyki wyszły z mody już w latach siedemdziesiątych), wstał i, napinając nonszalancko złoty łańcuch na szyi artystycznie wyhodowanym paznokciem, udał się do kabiny.

Pierwsze sukcesy cieszą.

Wręczyłem mu arkusz robaczków, pokazałem na migi, że ma się zmieścić w dwudziestu sekundach i odmaszerowałem do reżyserki.

John na szczęście wszystko poustawiał i wystarczyło nacisnąć żyrafę. W studiu A była pluszowa, tu - gumowa, ale poza tym bez różnic.

Pawian też na miejscu. Nic, tylko wciskać i nagrywać.

Zatarłem ręce i dałem lektorowi znak przez szybę, żeby ruszał do boju.

Niestety. Czytał, jakby miał umrzeć jeszcze przed obiadem.

Wykonałem kilka podskoków i energetyzujących wymachów ramionami — język migowy stanowi przekaz uniwersalny.

Modniś wstał zza mikrofonu i wiernie powtórzył moje ćwicze-nia, zapewne w przekonaniu, iż jest to forma rozgrzewki przed decydującym tejkim.

Chwyciłem za telefon. Wykręciłem wewnętrzny studia A.

-John?! Co ja mam zro... A, to ty, Andrzej — przeszedłem na polski. - Słuchaj, mam tu Wieżę Babel i katatonicznego Pakistań-

czyka! W jakich mówisz językach? Jeśli można zapytać — doda-

łem, żeby nie być despotycznym szefem.

- Angielski, francuski, polski, inuktitut - wyrecytowała słu chawka.

- Inu co?!

- Inuktitut. Mama była Inuitką-powiedział ciszej. - Ale wiele nie pamiętam, tylko trochę z dzieciństwa...

- Wiesz, od początku zauważyłem... Przepraszam, wciskam nos...

- Że mam azjatyckie rysy? No... tak, to kuzyni. Dalecy kuzyni.

Przystojniaczek za szybą poruszał ustami, kreśląc w powietrzu skomplikowane znaki długachnym paznokciem.

- Zaczekaj, Andrzej... Wpadłbyś? Francuski mógłby się przy dać, jest tu kilka byłych kolonii... Nie teraz? Aha. Rozumiem.

Trudno. Nic, nic, dam sobie jakoś radę. Pozdrów Johna i po wiedz, że jest mi winien tydzień gorących kubków za wrobienie mnie w tych lektorów. I niech zadzwoni w wolnej chwili i powie, co to jest ten cholerny danitol! Słuchaj, muszę kończyć...

Wyszedłem z reżyserki i wziąłem parę głębszych oddechów jak nurek przed zejściem pod wodę, po czym otworzyłem drzwi do poczekalni.

- Panie doktorze... Ja... znaczy... *triebuju pierewod*. Tłumaczenie potrzebne. *Poniatno?*

Sudańczyk z uniwersytetu Adasia klasnął kilka razy w dłonie i gwar rozmów przycichł. Ustało nawet bulgotanie kociołka. Lektorzy ustawili się w kolejce i rozpoczęli proces przekładu słów Bosa. Że żywiej i z ogniem. Że z uczuciem i pasją. Jakby od tego danitolu, co by to nie było, zależało ich życie oraz przyszłość wszechświata.

Notując na przypiętej do clipboarda kartce, zacząłem tworzyć podręczny słowniczek nagrywania reklam.

„Mów głośniej” —> suahili —> *sema kwa sauti kuba* — pisałem.

„Z życiem” —> urdu -> *khush dil*.

„Nie bądź taka zdechła ryba” —> pashto —> *ne kawem merr coś-*

tam coś tam z charkotem.

Lektorzy tłoczyli się wokół mnie, w podnieceniu wskazując kolejne słowa na clipboardzie palcami różnych kolorów i stopnia czystości. Wszyscy bawili się przepyszenie.

Prawie wszyscy.

Profesjonalista się nie bawi, tylko pracuje.

Grunt, że wykazywali znaczące ożywienie.

Wróciłem do reżyserki i zacząłem dawać z siebie wszystko.

Lektor też.

Spocony, w rozchełstanej koszuli, wznosił zaciśnięte w pięści dłonie do nieba, rycząc w ekstazie:

Rekhta ke tumhi ustād nahi ho ghālib!!! Kahte hai agle zamāne mei ko'i DANITOL!!!

Jako profesjonalny i kompetentny producent reklam obudziłem w nim pasję.

Do danitolu.

Co by to nie było.

Oho, będzie ulewa - mówi mi charakterystyczny ból, pulsujący od karku do czubka głowy. Nieznośne paskudztwo, od którego nuty tańczą przed oczami. Nie mogę skupić się na poprawkach

do

dzisiejszego

numeri

zgodnych

ze

wskazówkami pana Hayakawy.

Jakoś nie mam pomysłu na to intro. I naprawdę kiepsko wi-dzę. W końcu otwieram boczną kieszonkę pokrowca Takarni-ne i po omacku znajduję lekkie, skórzane etui, A więc nadal tu są dobrze. Wkładam na nos okulary, których nie używałam już ze dwa ćwierćwiecza. Jaka ulga.

O, już wiem. Zacznę od c-moll, dwa miękkie akordy do D7.

Pauza. Nucę pod nosem. Tak, to zaczyna brzmieć. Sięgam nie-cierpliwie po gitarę. Dobrze brzmi. Czyli Hayakawa-san jak zawsze miał rację. Fenomenalna wyobraźnia muzyczna. Będę musiała mu podziękować.

A właściwie... dlaczego nie teraz?

Aha, i miał coś zrobić z moją gitarą bo podobno John krzywił się strasznie, że Takamine zaczyna brzmieć jakoś. . głucho.

Ponoć zaproponował, żebyrn grała na... MARTINIE, Jeśli to miał być dowcip, to nie zrozumiałam.

Wkładana do pokrowca Takamine robi obrażone buuu.

— Bez obaw, pan Hayakawa krzywdy ci nie zrobi, to dobry człowiek — mruczę do niej uspokajająco.

Zakładam kapcie korytarzowe (ciekawe, czy dziewczynom nie można by sprezentować kapci, chyba niewygodnie im pół

dnia w kozaczkach na obcasikach grubości ołówka) i cicho za-suwam drzwi.

Z daleka słysząc szuranie i jakby... bulgot? Klimatyzacja również dała dziś za wygraną-myszę, ocierając kropelki potu.

Odwracam się i kłaniam lekko lektorowi, temu, który kiedyś przychodził na nagrania w yukacie, bo zaginęło mu pranie su-szące się w korytarzu i na kilka tygodni został tylko w tym, co miał na sobie. Dopóki nie zwierzył się z tego Tomo, mieliśmy świetną zabawę, wymyślając coraz to nowe przyczyny chodze-nia do pracy w yukacie - począwszy od rewersji rzeczywistości (Rie uznała, że do snu wkłada pewnie garnitur), aż po pocho-dzenie z Tajemniczej Wyspy, gdzie ludzkość nie zna innego stroju lub też nie używa strojów wcale, wobec tego tutaj, dla przyzwoitości,...

Im bliżej mieszkania pana Hayakawy, tym cieplej robi się na korytarzu. I zapach trochę dziwny.

Czyżby ktoś zostawił otwarte okno? Nie - zamknięte i zaryglowane; Próbuję wyrzeć. Szyba jest przezroczysta tylko we własnych wspomnieniach, teraz pokrywa ją warstwa czarnego, lepkiego kurzu.

Bonsai stoi grzecznie na stołeczku. Niebywałe.

Pan Hayakawa otwiera drzwi w chwili, gdy wyciągam rękę, by zapukać. Aż kusi, żeby zapytać, ile ma zmysłów. . Bo że wie-cej niż pięć, to pewne.

Kłaniam się, uważając, żeby gospodarz nie dostał gryfem.

Ustawiam równo kapcie przed progiem i wchodzę.

— *Ojamashimasu!*

Z lubością wsuwam podane mi w skupieniu puchate kapcie pokojowe, zupełnie nie jak zwykle, brązowe, gościnne. Przy-rzekłabym, że nie było ich tu, gdy odwiedziłam go po raz pierwszy, ale... jakoś wolę nie pytać.

Pokój z pewnością został przygotowany specjalnie na tę wizytę: dwie płaskie poduszki do siedzenia, ułożone w równiut-kich odstępach przy *kotatsu*, inne sprzęty przesunięte pod okno, żeby zrobić miejsce na tatami dla gitary. Całe szczęście, że mi się przypomniało.

- Witam, panie Hayakawa, przeszkadzam, jak widzę. . - spoglądam na przewiązany w formie kuchennego fartuszka biały ręcznik.

— Skąd! Zapraszam! - mówi uśmiechnięte pół twarzy wysta

jące z Zakątka Kuchennego. - Herbaty?

- Bardzo proszę.

- Z jaśminem i kwiatem wiśni?

—Z przyjemnością.

—Proszę się rozgościć. Przygotuję filiżanki.

Już po chwili aromat wiśni unosi się w powietrzu, dodając uroku bordowym ścianom pokoju.

— Widzę, że pamiętała panna o gitarze. To dobrze.

Spróbu

jemy jej... pomóc.

— Podobno John chciał, żebym nagrywała na studyjnym sprzęcie. Ale boję się, że wtedy płyta będzie niespójna, prze cięż brzmienie dwóch różnych instrumentów na jednej płycie da się wysłyszeć gołym uchem...

— Racja. Czy można? - Gospodarz sięga po położoną na po

krowcu, gotową do tajemnych operacji Takamine.

Przyglądam się w milczeniu. Prawie.

—Ja zapłacę... - Nie wytrzymuję, widząc, że Hayakawa ostrożnie zdejmuje struny. Wszystkie.

—Niestety, chwilowo nie mamy nowych strun do gitary akustycznej. Zamówiłem, oczywiście, ale to chwilę potrwa. W naszym studiu zazwyczaj nagrywa się gitary klasyczne, ze struna-mi nylonowymi. Albo - marszczy się nieznacznie - elektrycz-ne. Dlatego ostatnia paczka strun do gitary akustycznej nieco zardzewiała... Spróbujemy więc czegoś innego.

Zdjęte struny zostają delikatnie zwinięte w idealnie równe okręgi. I, ku mojemu zdumieniu, wędrują do... Zakątka Kuchennego.

- Hayakawa-san...?

-Jeszcze herbaty? - pyta stłumiony, kuchenny głos. -

Ja... Tak, poproszę.

Wchodzi czajniczek z pokrytym trzcina uchem, z ukrytym za kłębami pary tajemniczym uśmiechem.

- Właściwie chciałam... bardzo panu podziękować. Za pomoc przy ostatniej kompozycji. Czasem całość jest w miarę...

sensowna, tylko brak jej dobrego wstępu. A to potrafi rozło-

żyć cały utwór.

- Zgadza się. To jak wstęp do powieści. Najważniejsze są pierwsze słowa, bo to one decydują o tym, czy w ogóle przewrócimy kolejną stronę.

- Bez pana ta płyta w ogóle by się nie narodziła. Nie wiem...

Nie potrafię się panu odwdziżyć. To naprawdę ogromna pomoc. Więcej niż pomoc.

- Kiedyś, panno Amando, jakiś młody artysta przyjdzie do panny po poradę. Wtedy spłaci pani dług wdzięczności. Tak jak ja kiedyś miałem swojego... Nauczyciela.

Zamyśla się i przenosi wzrok na półuchylone okno. Wstaje i zasuwa je do końca. W pokoju robi się chłodniej.

- Pomogę, - Zrywam się, widząc, że zabiera z *kotatsu* czajnik czek po herbacie. Zbieram filiżanki i spodeczki, symetrycznie ustawiając je na tacy; niedbałość o szczegóły jest w tym mieszkaniu niemiłe widziana.

Wchodzimy do Zakątka Kuchennego, gdzie najwyraźniej jeszcze coś się gotuje. Filiżanka z hukiem roztrzaskuje się na macie.

Spodeczek też.

W ślad za nimi podąża moja szczeka.

-Ja przepraszam, bardzo, bardzo przepraszam...

Nie wiem, co ratować najpierw — struny Takamine, gotują-

ce. . tak, GOTUJĄCE się w kociołku do herbaty, czy filiżankę, chyba z dynastii Ming czy coś koło tego. Oblewam się koszmarnym rumieńcem.

— Spokojnie, panno Amando. — Hayakawa-san nie wybucha gniewem. - Struny właśnie przechodzą kurację odmładzającą.

A to.. To tylko filiżanka. Proszę się nie przejmować. Zaraz po radzimy sobie ze wszystkim.

Po chwili struny stygną, wyjęte łyżką cedzakową (zgroza...) i delikatnie umieszczone na blacie.

- Na papierze nie można, przyczepiłyby się drobinki - wyjaśnia, widząc, że sięgam po rulon powieszony obok kuchenki.

—Nie, nie, ja tylko.. herbata. . ~ jakąś się strasznie zmieszana, wycierając nerwowo resztki z tatami i ściany.

—Przepraszam, ja naprawdę nie..,

—To ja przepraszam, panno Amando. Powinienem był pannę uprzedzić. To stara, skuteczna metoda, z czasów, kiedy struny były w Japonii dużo droższe i trudniej dostępne. . Proszę wybaczyć, ale po wielu latach takie praktyki wydają się nam czymś naturalnym i nie pomyślałem, że może pannę to.. zaszokować.

—Nie, ja tylko.. bo filiżanka...

—Proszę już o tym nie myśleć. Widocznie takie było jej prze-znaczenie.

— Czyli... taki szok, mam na myśli termiczny, poprawia brzmienie strun?

— To raczej efekt czyszczący, Wyplukuje drobinki potu i bru

du wtarte w nie podczas grania. Najczęściej stosowany do strun basowych, ale i na takie działa. To jak odzyskiwanie utraconej pamięci brzmienia młodości... Nie na zawsze, oczywiście, ale sądzę, że do końca sesji nagraniowej nie będzie musiała panna powtarzać tego procederu.

- Całe szczęście... to znaczy... Przepraszam.

Hayakawa-san uśmiecha się miękko i kładzie mi rękę na ramieniu.

Przypomina mi się uśmiech taty.

Po jakimś czasie w chłodnym powietrzu pokoju oprócz zapachu jaśminu i wiśni unoszą się czyste dźwięki odmłodzonej Takamine.

Wtorek, 13 lipca 1999

Stuk, stuk, stuk, stuk - cement klatki schodowej. Skrzyp, skrzyp (linoleum), pac, pac, pac, pac (dywanik), szszurrr, szszurrr, szszurrr (tatami), chlup.

Chlup?

Mata była tak przesiąknięta wodą, że podeszwy kapci służbowych zniknęły z przykrym mlaskiem pod powierzchnią.

Z obrzydzeniem wyciągnąłem stopy z mętnej kałuży i zająłem bezpieczniejszą pozycję na

plastikowym stołeczku, który dziwnym zbiegiem okoliczności stał pod ścianą. Stołek z *ofuro*, taki do zaparkowania szanownej pupy i umycia całego ciała przed wej-

ściem do wanny.

Jeśli w końcu odkryję, jakim cudem nasze stołeczki się roz-mnażają i rozpełzają po korytarzach, osiągnę pewnie nirwanę i zrozumieć sens życia. A w każdym razie sens Radia Yokohama.

O dziwo, w *ofuro* nigdy ich nie brakuje. Podczas gdy na korytarzach jest ich coraz więcej. Mnożą się jakoś, kiedy nikt nie patrzy?

Już dwa razy stłukłem sobie w nocy paluch, wpadając na to różowe, błękitne albo kremowo-marmurkowe draństwo.

Rozejrzałem się. Najbliższe okno było szczelnie zasunięte i starannie zamknięte na aluminiowy, obrotowy skobelek w oczekiwaniu na Tajfun Numer Dwanaście. Zbliżał się do nas małymi, ale systematycznymi krokami. Tak przynajmniej twierdził John z racji swojej posady na piątym piętrze. Radio Yokohama, jako stacja niszowa, retransmitowało prognozę pogody i wiadomości, kupowane od innych rozgłośni, niemniej John uważał się za fachowca od Świata Zewnętrznego. Razem z jego tajfunami. Na razie lało soczyście - jak to przed tajfunem - jednak okno zdawało się być suche.

AHA! Sufit.

Zadarłem głowę, stanąłem na palcach i dotknąłem ciemnej, kapiącej plamy. Na głowę połała mi się cieniutka strużka wody, a pod nogi spadł wielki płat tynku, rozciapując się z pluskiem na macie. Kałuża zabarwiła się na brudnożółtawo.

Ciurkająca z sufitu strużka podwoiła swoją grubość.

Znowu zadarłem głowę, szukając źródła. Z dziury w suficie mrugnęły na mnie czarne oczka, coś pisnęło i znikło. Szczur?

Czyżby Debiru znowu się obijał?

Na korytarzu coś zawyło na dwa głosy.

Odkurzac.

I suszarka.

Pan Ikeda dzielnie wsysał kałużę odkurzacem przemysłowych rozmiarów, drugą ręką

celując w tatami wyjąca jak potępieniec ró-

żową suszarką do włosów. Tą, którą rozbierał niedawno John.

Kombinacja wody na podłodze, podłączonej do prądu suszarki oraz pana Ikedy, spowodowała, że postanowiłem spędzić jeszcze trochę czasu na względnie bezpiecznym stołeczku.

- ... - powiedział pan Ikeda.

- Nic nie słyszę! - zawołałem.

- Czego nie ma?

- Suszarka! — wrzasnałem.

- Suszarka? Suszarka. Suszarka! - Rozjarzył się i zwolnił palcem język spustowy.

Odkurzacze ciągle gulgotał i zachłystywał się wciągana wodą, ale po wyłączeniu suszarki miałem wrażenie, że zapadła błogosławiona cisza.

Pan Ikeda położył suszarkę na mokrej jeszcze macie.

- Może by pan tak kabel wyciągnął ze ściany...? - zaproponowałem.

Ikeda poprawił okulary, dziś zawadiacko trzymane dwoma rodzajami taśmy izolacyjnej — lewa łapka czerwoną, prawa żółtą w zielone paski — i wytrzeszczył na mnie oczy.

- Kabel jest - powiedział. - Mikrofon się zgubił.

- Suszarka...? Wyłączyć...?

- Lampa się przepaliła. W mesa boogie. Studio B.

- Ale Amanda nie nagrywa na mesie tylko na marshallu, tym do akustyki - zaproponowałem, przestępując ostrożnie z nogi na nogę (stołeczek był ciut za mały).

- Właśnie - powiedział Ikeda, celując we mnie oskarżycielsko lutownicą, która nie wiedzieć skąd pojawiła się w jego dłoni. - Pani Amanda chodzi po ścianach i potem cieknie. Poszedłem się poskarżyć Hayakawa-san. - Pochylił z szacunkiem głowę, wymawiając nazwisko przełożonego.

- To się leje z sufitu — zaproponowałem. - Bo tam jest szczur, a nie Amanda!

Oczy Ikedy zamrugały dramatycznie zza szkieł grubości luksferów - A. Jezioro! Wessę je odkuraczem i osuszę suszarką. Martin--

san wziął ten mikrofon, co go tam nie ma w szafce?

- Nie MIZUUMI, jezioro, tylko NEZUMI, szczur.

- A. Dlatego Martin-san się boi na stołeczku?

- Nie dlatego, tylko suszarka pod napięciem i mokra podłoga...

- Lamp do mesy nie ma w magazynie. A mikrofon już drugi zginął. MD-441. Dynamiczny. Ale dobry. Proszę. - Ikeda wręczył mi rurę odkurzacza. - Ja będę suszarką pod napięciem, a Martin-san rurą. Rura bez napięcia.

Większa część kałuży znikła, wessana przez stalowego smoka, więc w przebłyску geniuszu skierowałem rurę do sufitu, chwytając ciekący strumyczek. Odkurzacze zagulgotał radośnie i przyssał się do dziury.

Ikeda pracowicie zamiatał strumieniem gorącego powietrza podłogę. Z rozgrzanego, parującego tatami unosiła się delikatna woń bagiennego rozkładu.

W okna sypnęło nową falą deszczu.

Zatęskniłem za moimi dwunastoma apostołami danitołu.

Z nimi przynajmniej szło się dogadać.

Czarne chmury nad wieżyczką podwórka nie pozostawiają cienia wątpliwości co do swoich zamiarów. Zasuwałem okno i postanawiam przewietrzyć umysł, zanim łunie. Nie zanoszę się wcale na szybką, krótką burzę, lecz porządną ulewę, jak przed... tajfunem? Dziś rano John coś wspominał... A może Martin? Nie pamiętam. Przypominam sobie mimochodem monsun,

który

złapał

nas

kiedyś

Morzu

Południowochińskim, gdy płynęliśmy łodzią z wakacji. Byłam wtedy jeszcze w wieku przedszkolnym - mama pozieleniała na twarzy, ale twardo udawała przed swoją małą córeczką, że wszystko jest w porządku...

Winda nie działa, pewnie w wyniku wczorajszej naprawy światła w korytarzu przez Ikeda-san. Zwróciłam mu wczoraj delikatnie uwagę, że chyba nic jest konieczne zrywanie tapet ze ścian aż do zakrętu, by naprawić jedną przełączkę na suficie, ale ofuknął mnie tylko Chyba nigdy nie zrozumieć tego typu ludzi.

Zbiegam po schodach na półpiętro, mijam niebieskie drzwi, uchylone jak zawsze, na trzecim podnoszę z podłogi bonsai (może ono lubi leżeć, a ja mu w tym przeszkadzam?), krótki trawers bokiem korytarza przy samej ścianie, bo w środku na-dał ślady po wykopaliskach, zakręt, schodek, dwa okienka, dłu-ga prosta, schody w dół, jeszcze raz, przedsionek... Niesamowite. Nie zgubiłam się! Martin miał rację, po kilku tygodniach mogę już organizować kursy przewodnickie. Razem z basistą, bo on jeden nigdy się nie spóźnia, narzekając, że znów się zgubił. Ha. Zdolny chłopak.

Dumna z siebie, uchylam drzwi, które witają mnie... miauk-nięciem.

— Oj, mały, prawie nadepnęłam ci na ogon! Wychodzisz?

Debitu patrzy na mnie lekko zaskoczony. Koty mają niesa-mowita, mimikę. Miękkim ruchem wskakuje na parapet i udaje, że patrzy z zainteresowaniem przez okno, dając tym samym do zrozumienia, żeby go zostawić w spokoju.

— No dobra, chcesz, to zostań, leniu paskudny. Boisz się, że ci futro zmoknie, co?

Drzwi wydają dziwny dźwięk, jakby..

Nie, to nie drzwi.

To koza.

Różne rzeczy już w tym miejscu widziałam i już, już prawie udało mi się uwierzyć, że nic nie jest w stanie mnie zaskoczyć.

ALE KOZA???

Przywiązana linką do kratki okienka tuż nad ziemią jak gdyby nigdy nic skubie rachityczne

żdźbła trawek wyrastających z centymetrowej przestrzeni pomiędzy ceglanym murem a, betonowym dnem podwórka. Podchodzę dwa kroki, żeby przy-rzeć się bliżej, upewnić, że widzę to, co widzę. Koza zmienia w tym czasie obiekt zainteresowania i zaczyna ze stoickim ko-zim spokojem skubać nogawki moich spodni. Tak zwyczajnie.

Jak to koza. Nk niezwykłego.

Gdzie jest Maron? On na pewno miałby jakieś wytłumaczenie. Pan Hayakawa? Szalony Techniczny? Tabashi-san?

Ktokolwiek???!!!

- Hirō, do budy! — zawołał John do mikrofonu, pochylając się nad stołem mikserskim.

- Jak ty się odzywasz do klienta? - zaprotestowałem. -

Młódzieź słucha, ona się uczy!

Młódzieź nie słuchała, bo notowała coś pilnie w swoim kajecie. -

Wyluzuj, panie starszy studyjny - rzucił John. - Hirō swój człowiek, wszystko można mu powiedzieć i się nie obraża.

- To nie znaczy... - zacząłem, ale w drzwiach stał już basista, przepaszając, że żyje.

- Wskakuj! - zaprosił uprzejmie klienta John. - Posłuchamy, coś tam nabroił na tym swoim basie.

Andrzej ustawił licznik taśmy i wcisnął orangutana.

- Nierówno w kilku miejscach — powiedziałem do otaczającego mnie powietrza, kiedy przebrzmiały ostatnie nuty.

- Spoko, wyrówna się bramką i sidechainem ze stopy - odparł

beztrosko John, szczerząc się radośnie na widok konfuzji Andrzeja, który usiłował zapisać tę studyjną chińszczyznę. - Ale jest większy problem. Coś stuka.

- Drogi przyjacielu - zacząłem. - Po pierwsze, nic w tym nagraniu nie stuka, a po drugie, jak chłopak krzywo zagrał, to niech zagra jeszcze raz, a nie żadne wyrównywanie bramką. Hayakawa by dostał ataku serca, gdyby to usłyszał...

- Stuka - stwierdził ze świętym przekonaniem John.

- Nie stuka.

- Stuka.

- A co według ciebie stuka?

- Nie wiem. Duch?

Wzdrygnąłem się.

- Ty sobie z ducha nie żartuj...

-Jakiego ducha? - zapytał Andrzej ostrożnie, podnosząc oczy znad kajetu.

- Stary budynek to i nawiedzony - wzruszył ramionami John. -

Taka nasza rodzinna zabawa... Duchów nie ma. Jurija Siemiec-kiego też nie ma.

- Ale kiedyś był - mruknąłem. - Hayakawa znał go osobiście. I nadal... Hirō? Dobrze się czujesz???

Nasz basista siedział na stołku Andrzeja, w rogu, blady jak kre-da. Przysięgłbym, że nie miał dziś makijażu... Czyli musiał się źle poczuć. Pewnie stres studyjny. Nie takie reakcje widziałem.

Akcja ratowania go mocną herbatą, z barku innych naczyń podaną w kubku Bosa, przyniosła pewne rezultaty. Kreda zaczęła powoli nabierać żółtawych rumieńców.

Odczekaliśmy jeszcze kilka minut i, spoglądając od czasu do czasu niespokojnie na naszego basistę, wróciliśmy do odsłuchi-wania kolejnych ścieżek.

- I jak, stuka? - zapytał w końcu John. Nie mnie zapytał, tylko Hirō.

- *Hai* - powiedział Hirō.

- Widzisz??? — triumfował John. - Stuka! - Buńczucznie mierzwił sobie rudą czuprynę i znowu zwrócił się do zgarbione go na swoim stołku basisty: - A co stuka?

- Dachówki nad strychem w zachodnim skrzydle stukają... Bo tajfun... Tam jest szyb kominowy i to się przenosi na trzecie...

Eeetooo... Tak zawsze było, jak tajfun...

Staliśmy w trójkę nad stołkiem, na którym Hirō próbował stać się jeszcze mniejszy.

- Skąd wiesz? — padło jednocześnie z trzech gardeł i w dwóch językach, bo Andrzej powiedział to po polsku; zdarza mu się to na skutek stresu wywołanego moją osobą.

- No bo... tego... Amanda... Wspinamy się... - Hirō miał łzy w oczach.

John uniósł brew i się zamyślił.

Ja pokiwałem głową i wróciłem do swojego kąta, bo usiąść już nie było gdzie.

Andrzej załadował kolejną taśmę.

- A może by piórkiem? — zaproponowałem. — A nuż będzie równiej? Bo on gra palcami, prawda?

- Piórka do basu wyszły - odparł John, ewidentnie myśląc o czymś innym.

- W sklepiu nie ma? A w maszynie na czwartym sprawdzałeś?

- W czym? Tak, tak, sprawdzałem...

- A skąd się biorą piórka w sklepiu? I struny, i inne takie? -

zapytał nagle Andrzej.

Pewne pytania są tak proste, że wymagają głębszego namysłu.

- Bo ja wiem... — zacząłem.

- Chyba przyjeżdża jakaś dostawa... - zaczął John.

- To dlaczego ja nigdy nie widziałem w tym budynku żadnego dostawcy? I w ogóle... nikogo z Zewnątrz? - Chciał wiedzieć Andrzej.

Coś mi chłopak zhardział pod rządami Johna. Może John nie jest despotycznym szefem? Cóż, ja jestem, jaki jestem.

- Andrzej — powiedziałem surowo. - To jest doskonale wy-posażone, samowystarczalne studio. Dostawy przychodzą w po-niedziałki przed południem, kiedy zwykle pracujesz. Jedzenie, i proszek do prania, i herbata w torebkach, i wszystko inne co w sklepiu... Struny, piórka i inne takie pewnie też. Hayakawa za-mawia, to go możesz zapytać. Przyjeżdża wan i rozładowuje na tylnej uliczce. Tam, gdzie dowożą pizzę. Jeszcze jakieś pytania?

- Bo ja...

- Ciekawość jest pierwszym stopniem... - powiedziałem do sufitu po polsku.

- Wiem, wiem: do piekła - dokończył Andrzej w tym samym języku, spuszczać głowę.

- A co wy tu szczebioczenie w mowie Lucyfera? - zaciekawił się John.

- O ciekawości mówimy — wyjaśniłem. — I co ona robi kotom.

A właśnie, Debil się obija. Nad sufitem w korytarzu był szczur. To twój kot, przemów mu do rozsądku, dobrze?

-Jak to mój? - oburzył się John. - Studyjny! I nie Debil, tylko Devil, z szacunkiem proszę...

Zadzwonił telefon. John wzdrygnął się, chwycił obiema rękami rudą czuprynę i wystrzelił ze studia jak z procy. Nic nowego.

Puszka mu się pewnie skończyła i za chwilę Yokohama usłyszy ciszę, jego koszmar senny.

Telefon dzwonił uparcie.

Spojrzałem znacząco na Andrzeja, jedyne pozostałego na placu boju przedstawiciela okupantów mojej reżyserki, ale starannie unikał mojego wzroku, zupełnie nie mając zamiaru sięgnąć po słuchawkę.

Zrobiłem to sam.

- Reżyserka studia A. Johna nie ma...

- Martin? Tu Amanda... Przepraszam, ale mam ważne pytanie o...

- Harmonogram? Proszę bardzo: nagrywasz dziś do szesnastej, a jutro od trzynastej. Andrzej ci dziś pomoże, bo John ma wtedy audycję. A jutro już Hayakawa będzie cię nagrywał, jak zawsze.

Czekaj... Możesz go złapać i przekazać, że ma zamówić naciągi do perkusji? Debiru je podrapał. Pazurów sobie nie ma na czym ostrzyć, bestia...

- Ale ja nie będę go dziś...

- Aaa, nie ma sprawy, sam mu powiem. To wszystko? W takim razie życzę udanej sesji... do zobaczenia!

Odłożyłem słuchawkę i obróciłem się. Hirō i Andrzej siedzieli na podłodze, pochyleni nad menu Wafu Pizza.

Hirō tłumaczył Andrzejowi na angielski zawilosci kulinarnych eksperymentów pizzologicznych z gatunku kuchni *fusion*.

Andrzej wzdrygał się, słuchając opisów kolejnych japońskich okropności, które artyści z Wafu wtykali w stare, pocziwe ulu-bione danie Włochów, studentów i realizatorów nagrań.

Hirō chichotał.

Przysiadłem się, pochyliłem nad menu i zacząłem rozważać atrybuty pizzy Zwycięstwo armii Minamoto pod Dannoura (ser, to fu i wodorosty).

Cóż, na sesji atmosfera nie zawsze jest produktywna, ale dobrze przynajmniej, kiedy bywa rodzinna.

— Martin-san... Przepraszam, że przeszkadzam, ale mam pewne pytanie... - Tak, Amando, wiem. Dziś od szesnastej, jutro od trzynastej, studio B, Andrew zajmie się tobą wraz z nieocenionym Hayakawa-san. A właśnie, gdybyś mogła mu przekazać, że zamówienie na naciągi... A zresztą, sam mu powiem.

To wszystko jasne? Do zobaczenia!

— Ale ja nie o tym,..

Trzask słuchawki nie chce wiedzieć, o czym ja. Dlaczego on nigdy nie słucha...?

Nic to, wybiorę się na wycieczkę. I tak nie mam chwilowo nic lepszego do zrobienia. Hmmm... Rozgłośnia? Czemu nie.

Przy okazji zapytam Johna o tę nieszczęsną kozę.

Ostatnie pięterko pokonuję, wspomagając się drabiną, która trzeszczy podejrzenie. A nie, to nie drabina, to dach. Skrzecze-nie dachówek budzi wątpliwości, czy długo jeszcze poleżą w tym miejscu...

Mając w pamięci katastrofę, jaką wywołałam ostatnio, wchodząc do świątyni Johna, czekam, aż zgaśnie japoński napis „on air”, i pukam w małą przestrzeń nad klamką, gdzie drzwi nie są obite grubą pianką.

—Właż, stary, co się uro... Oj, przepraszam, pomocniku.

—Nie przeszkadzam za bardzo? — pytam, bo dyszy jak po maratonie.

— Nie, skąd, ja... właśnie przyszedłem i... ten...

Przysięgłabym, że się zarumienił. John? Niemożliwe.

Wstaje i wskazuje mi miejsce na swoim fotelu na kółkach, oklejonych solidną warstwą żółtej taśmy izolacyjnej.

—Wpadłeś na Lekcję Realizacji Numer Dwa? Siadaj, czuj się jak... u mnie, he, he.

—Nie, chciałam tylko zapytać... Bo tam jest...

—Spoko, nie musisz pytać! Mistrz zawsze znajdzie czas dla swojego Szanownego Pomocnika. Szczególnie gdy — poczekaj -

Minęła dwunasta, słuchacie Radia Yokohama — ten pomocnik ma taki talent. A właściwie, dlaczego ty nie nagrywasz?

— Dziś dopiero od szesnastej, jakieś reklamy nagrywają i wszyscy są tym strasznie przejęci. *Mc* ja chciałam zapytać o kozę...

— A! Kozą! Kozą kiedyś była. Służyła do. . zresztą nieważne,

do czego służyła. Ale się jej nóżki połamały, he, he! Wtedy Tabashi-san zastąpił ją krokody... Przepraszam.

Cisza. Nie na antenie, rzecz jasna. Ale pomiędzy dwoma pa-rami spuszczonych oczu.

Czy swoim genialnym uchem wysłyszał już drżenie mojego podbródka...? Chyba tak, bo wstaje i bardzo niejapońskim ge-stem obejmuje mnie ramieniem.

- Wybacz... — mówi cicho.

- W porządku - odpowiadam, chrypiąc. Słowa utykają w ściśniętej krtani.

- Nie, nie w porządku. Jestem bezmyślny idiota. Przepraszam. Naprawdę bardzo przepraszam. To nadal boli, prawda?

Dwa głębokie wdechy. Czerwone i czarne kręgi powoli znikają sprzed oczu.

— Boli. W dzień sobie radzę, jest dużo pracy, coraz więcej.

Kiedy jestem bardzo zajęta. . prawie nie myślę. Tylko w nocy, gdy jestem sama...

- On był twoim... przyjacielem?

- Bardziej mentorem. Opiekunem, doradcą... Kimś-w rodzaju... Mistrza. Był sporo starszy ode mnie. To on przekonał

mojego ojca, że mam możliwości... Byli bliskimi przyjaciółmi.

Chwila nieuwagi i dwie łzy staczają mi się po policzkach.

Odwracam głowę. Może nie zauważył...

I nagle John bardzo niejohnowo przygarnia mnie do siebie.

Sztywnieję.

—John-san? Bo Martin-san prosi o poprawne odłożenie słu chawki, bo on nie może.. Eetooo. . Przeszkodziłem? Przepra szam, To tylko ta. . słuchawka.

Rozszerzone źrenice Yoshiego znikają równie szybko, jak się pojawiły w otwartych drzwiach.

Szkoda, że nie mogę zapaść się pod ziemię.

Czwartek, 15 lipca 1999

- Masz. - John wręczył mi z triumfem nierówno oderwany odcinek wstęgi cienkiego, szeleszczącego papieru. - Z wytwórni. Sorry, że cię odciągam od lektorów, ale myślałem, że to może być ważne...

- Nie, nie, z lektorami na dziś skończyłem. Czekał, co oni tu...

No nie. To chyba jakiś żart... Posłuchaj: *Szanowny Panie Boss, Liczę że, zastałem pana w doskonałym zdrowiu. Spieszę donieść, iż, Zostałem zatrzymany przez sprawy wagi niezwyklej i pilnej w oddziale...*

- Brzmi swojsko?

- Tak jakby. Jaka data tym razem?

Przebiegłem wzrokiem aż nadto znajomy tekst.

Jednocześnie pozwalam sobie, poinformować że, jeśli tylko pozwolą mi na to sprawy Służbowe, przybędę do studiów nagraniowych Radia Yokohama w terminie,

piątek, lipiec, dwudziesty trzeci, roku jedenastego ery Heisei.

Łączę wyrazy szacunku i pozostaję niegodnym sługą, Morie

-John, to jest jakaś paranoja. Ktoś mnie nabija w butelkę...

- Z Hayakawą rozmawiałeś?

- Milion razy! Znosiłem wszystkie faksy po kolei. Identyczne.

Tylko data się zmienia. Ale on mnie w ogóle nie słucha!

- Daj! -John wyciągnął rękę po papier.

Oczekiwałem, że go przeczyta, że znajdzie jakiś sens w *tym* bełkocie; sens, którego ja, z racji setnej już chyba lektury, po prostu nie dostrzegam. Zamiast tego złożył starannie kartkę i schował do jednej z niezliczonych kieszeni swoich bojówek.

- Na wszystkich bogów Azji, co ty...

- Cśśś... — Przyłożył palec do ust. — Przestań nadawać i daj mi się tym zająć. Mam pewien pomysł.

社長

-Ale...

- Pamiętaj, ja też mam interes w ściągnięciu producenta. Od dwóch tygodni męcę to twoje Y2K ścieżka po ścieżce, a potem wyjdzie mi z lasu jakiś mądrała i powie, że wszystko nie tak i ma-my to robić od nowa? Dziękuję bardzo!

- No, skoro tak mówisz...

- Mówię. Co? Ja za czterdzieści pięć sekund mówię!!! Na antenie... - Wystrzelił z mojego krzesła jak pocisk, zgięty w pół po-konał futrynę drzwi i zniknął za zakrętem korytarza, marszcząc na wirażu wykładzinę.

Westchnąłem i zrobiłem krok w stronę ekspresu do kawy, by napełnić kubek wrzątkiem. I zanurzyć w nim skarpetkę, może dziś, wyjątkowo, jaśminową - dla uspokojenia nerwów.

A właśnie. Gdzie jest mój kubek? Koniec świata... Do czego to doszło? Chyba przyniosę jakiś tymczasowy z LDK — pomyślałem.

Ruszyłem w stronę drzwi, kiedy poczułem nagły ból w kolanie, więc usiadłem na zwolnionym tronie głównego realizatora. Był

nieprzyjemnie ciepły. Nie lubię siadać na ciepłych siedzeniach.

Powiodłem wzrokiem po moim utraconym królestwie.

Utraconym tylko przejściowo - powiedziałem sobie.

Pech chciał, że w drzwiach pojawił się Andrzej, opłatany trzema zwojami kabli mikrofonowych. W rękach dzierżył połowę zawartości mojej szafki mikrofonowej. I, nie wiadomo dlaczego, spodeczek od filiżanki.

- Dobry wieczór, Andrzej.

- Dobry wieczór, szefie. -

Jaki tam...

- Dla mnie zawsze będziesz szefem, szefie.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

Kiedy wręczył mi wyczarowany skądś kubek, MÓJ kubek, ten granatowy, z wielkimi, białymi znakami (boss), pełen świe-

żo zaparzonej herbaty, nie wiedziałem jeszcze bardziej.

- Andrzej...

- Bo ja...

- Nie, to ja...

- Wszystko słyszałeś, prawda...?

- Tak. Ale zupełnie przypadkiem... Bo ten, no, kubek... Przypadkiem, uważasz...

-Ja nie miałem tego na myśli...

-Tak, tak, wiem. Mogłeś powiedzieć coś dużo gorszego. Wiem, że czasem jestem

despotyczny. Po prostu chciałem...

- Dużo mnie nauczyć, tak?

- A właśnie, widzę, że umiesz już obmikrofonować piec18 basowy? — Zmieniłem temat, bo zaczęło się robić ciut zbyt rzewnie.

- Umieję to dużo powiedziane... John kazał spróbować kombinacji dynamicznego, na przykład SM-57 i jakiejś pojemno-

ściówki, może AKG C-414... Bo nie podobało mu się brzmienie prosto z D-boxa...

- Proszę, proszę. Sporo się nauczyłeś, Andrzej. Mikrofony rozróżniasz. I nawet wiesz, co to jest D-box. Po polsku symetryzator, ku twojej informacji. To miała być Lekcja Ósma. Pod tytułem „Za co kochamy D-boxa”. No, nic. Posłuchaj starego dinozaura - kontynuowałem. — SM-57 ma za mało dołu. Praw fizyki pan nie zmienisz, czego by cię tam John nie uczył. Mówiąc między nami, gdyby nasz rudy kolega mniej się przejmował poszukiwaniami dźwięku doskonałego, a bardziej muzyką, toby był z niego niezły realizator.

Zrób tak: ściągnij D-112 z perkusji i ustaw przed piecem basowym, pod lekkim kątem, jakieś siedem centymetrów powyżej środka membrany. To działa. Znam ten piec jak własne *kotatsu*.

Andrzej zarżał radośnie i pogalopował do kabiny basowej, kiedy zaczynałem mówić:

- Zamówimy pizzę może? Już dawno nie...

No tak.

Rozróżniać mikrofony dynamiczne od pojemnościowych to go może John nauczył, ale słuchać nie bardzo.

18W gwarze studyjnej i estradowej - wzmacniacz gitarowy.

Przeniosłem wzrok na okno do studia i zawiesiłem palec nad pawianem, żeby w razie czego udzielić kilku cennych wskazówek.

W studio pojawił się nie Andrzej tylko... Akemi.

Ubrana w... kołdrę.

Dopiero po chwili wkroczył Andrzej. Zaczęli się z czegoś śmiać.

Podeszli przy tym do siebie prawie tak blisko, jak ostatnio czekoladowy doktor rusycystyki do mnie. Jeszcze mi się całować zaczęła - pomyślałem. - Może jestem dinozaurem i z zawodu wy-piera młode pokolenie, ale jedno jest pewne: w Radiu Yokohama nie całujemy klientów. Ani - jako ogólna zasada — dziewczyn klientów.

Zdecydowanym ruchem wcisnąłem pawiana.

- Co wy tam wyrabiacie, dzieci? Hę?

- Bo John prosił o więcej *futonów* do obłożenia pieca basowego, a Akemi śpi tylko pod narzutą, bo klima ostatnio szwankuje... Więc poprosiłem...

Akemi zdjęła z siebie kołdrę, ujawniając szlafroczek.

Długi, czarny i postrzępiony na dole, jakby go przycięła nierówno nożycami.

Przebiegł mnie dreszcz. Czyżbym się podziękował od stania w tej kałuży na korytarzu? Puściłem pawiana i zrezygnowany machną-

łem na wszystko ręką. A niech sobie obkładają piece kołdrami.

Młodzi są, muszą się wyszumieć.

Jakoś mi się to wszystko nie podobało. Nie umiałem sprecyzować, dlaczego. Miałem wrażenie, że coś mnie swędzi. A swędzenie nie jest przyjemne, kiedy nie wiadomo, gdzie się podrapać.

Chyba pierwszy raz w tym życiu poczułem się... niepotrzebny.

Wstałem i, krzywiąc się lekko, pokuśtykałem do ekspresu po wrzątek.

Dobrze przynajmniej, że znów mam swój kubek. Czegoś w życiu trzeba się trzymać.

— Dobra, koniec na dziś.

Nareszcie. Co za okropna sesja. Pewnie to вина tajfunu.

Mam wrażenie, że przeszedł nie tylko przez Yokohamę.

Za nic w świecie nie mogłam się skupić. Niby rozumiałam, co tnął do mnie Andrew na przemian z Hayakawa-san, ale już po dwóch sekundach zapominałam i otrzeźwiał mnie dopiero jęk w słuchawkach: —Jeszcze raz. . I naprawdę, jakby się dało zrobić to przejście BEZ tego dodatkowego D, toby było super... Albo: — Eeetooo... powtórka, dobrze? Bo

drugi refren miał

być

o pół tonu wyżej...

Tak, są, dni gorsze i... jeszcze gorsze. Ten należy do drugiej kategorii. Wchodzę do reżyserki.

— Przepraszam, wiem, że nie było najlepiej...

Spojrzenie pana Hayakawy, takie wyrozumiałe i dobre, za myka mi usta.

—Na jutro przygotuj dziewiątkę i dziesiątkę — mówi Andrew z nosem w swoim notatniku, z którym chyba śpi, nawet na mi-soschadzkach coś w nim poprawia. - Zaczniemy wczesnym popołudniem... Powiedzmy o trzynastej.

—Dobrze, będę punktualnie.

Żegnam się z Hayakawa-san i Andrew i zarzucam Takamine na ramię.

—Cześć, dlaczego nie wejdiesz? Już skończyliśmy. — Po otwarciu ciężkich drzwi natykam się na Hirō, siedzącego na niegdyś czystej podłodze.

—Nie, mam jeszcze godzinę... Tak tylko sobie...

Gdyby nie siedział, pewnie wierciłby piętą dziurę w piasku.

Biedactwo. - A może. . *makani* 19 ? Wygłodziła mnie ta potworna sesja.

19 Jedzenie, posiłek (po malajsku). Zob. też słownik, str. 368.

-T Gzy ja wiem, właściwie,,

—Na *miso* za wcześnie. To może wpadniemy na dół, na jakieś *cappu nuduru*?

—Na chemię? A nie... nie spóźnię się na sesję? Bo John-san bardzo nie lubi, gdy ktoś się...

—No chodź, nie bądź koza. A propos, czy ty widziałeś tę ko-zę na podwórku? Człowieku, wychodzę na mały trawers, a tam koza...

— *Torabesu*, właśnie, Rie pytała ostatnio, jak się pisze trawers po angielsku. Powiesz jej?

Czy on mnie w ogóle słucha...?

—Powiem. No więc, normalna, rozumiesz, żywa koza. Przywiązana do...

—Taaak. Jeśli *makan*, to już chodźmy, bo za pięćdziesiąt minut mam nagranie, a jakby znowu trzeba było obchodzić tę po-wódź na trzecim... Nieważne.... *Boleh?*

Koza pozostaje tajemnicą;

Na dole przy maszynie z gorącymi kubkami mały tłumek.

Kimi, Tomo, dziewczyny i nawet pan Ikeda, a właściwie jak zawsze jego połowa, tym razem w osi pionowej, bo prawa część jest schowana za maszyną, Naprawia? To niechybnie oznacza koniec chemicznych posiłków.

Ejże. Nastawiam się negatywnie do człowieka, a później doszukuję się antypatii we wszystkim, co do mnie mówi.

— Więcej? Więcej zaraz ~ mówi, łypiąc zza lewego szkła na

Hko i omijając mnie starannie wzrokiem.

A może jednak się nie doszukuję...?

— Chyba nici z *makan* - szepczę konspiracyjnie.

Patrzy chwilę zdziwiony.

— To może w LDK? Nie, nie ma czasu.. — Zerka nerwowo

na zegarek.

- To nic, w takim razie zostaje nam mrożona kawa i spacer z powrotem. Nie patrz z takim przerażeniem, nie zgubimy się.

- Wiem, że się nie... Eh.. *bokh*.

Ruszamy moim ulubionym korytarzykiem, którego ściany raptownie zwężają się przed samym zakrętem.

Bokh.

Właściwie nie wiem, dlaczego nie przyszło mi wcześniej do głowy, by go zapytać. Potraktowałam to jako coś normalnego.

Nabieram powietrza.

- A, jeśli można wiedzieć.. skąd znasz malajski?

Hirō zwalnia w zamyśleniu.

— Eetooo. . to taka długa, skomplikowana historia.

- W sam raz na spacer naszymi krętymi ścieżkami, jakkol-wiek to rozumieć — chichoczę.

- Babcia mnie nauczyła. Tylko trochę, w dzieciństwie. Wła-

ściwie nie babcia nawet, tylko opiekunką... Nie, w zasadzie...

Milczy chwilę.

W milczeniu omijamy maszynę do napojów, do której rozsądku wyjątkowo dziś nikt nie przemawia: *No dobra, wczoraj ci podarowałem, ale dziś naprawdę chcę, moją mrożoną herbatę. Zeżarłaś kasę, to dawaj...*

- W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym roku było trzęsienie ziemi, nie takie wielkie, ale zawałiła się autostrada w Crragoku. .

Byłem wtedy w przedszkolu. Długo czekałem, ale nikt po mnie nie przychodził... Rodzice... zginęli... Samochód.. z mo stu... zresztą, nie w tym rzecz.

Hirō nabiera powietrza jak dziecko wywołane do odpowiedzi.

- W sierocińcu pracowała wtedy starsza kobieta o złotym sercu. Malajka właśnie. Wieczorami śpiewała mi po malajsku. .

Trochę nauczyła mnie mówić, trochę rozumieć... A później mnie adoptowali.

Wygląda, że to koniec historii. Oboje pokonujemy trzy schodki jednym krokiem. Za zakrętem nieprzeźroczyste okno, przez które przeświecają drobinki kurzu.

-Nie, nie, za tym w prawo — dodaje zadumany i skręca.

O, rzeczywiście, nie znałam tego przejścia, - Malajka, powiadasz? To normalne, w Malezji dzieci są naj większym skarbem, pochłaniają uwagę całej rodziny, krewnych i okolicy... Opowiedz coś jeszcze o tej kobiecie... Chyba że nie chcesz.

Hirō przeskakuje nad pomarszczonym od wilgoci tatami.

Robię to samo. Jak... koza.

- Dobra była. Miała wielkie serce. Nikt nie mówił do niej pani, nazywaliśmy ją babcią.. Pamiętam, że zakrywała włosy czymś w rodzaju czepka z daszkiem. Zawsze długie rękawy, nawet jak był upał. Miała taką fioletową spódnicę, w którą cza sem płakałem... Pachniała lawendą... Mówiła, że lawenda po wieszona w szafie odstrasza jaszczurki. Choć nigdy żadnej z nich nie wi...

Przystaję. Bardziej niż nagle.

Wcale nie dlatego, że kapie z sufitu i ktoś pomysłowo pod-

łożył malutki garnuszek z LDK, którego wszyscy szukamy od tygodnia.

-Jak... jak miała na imię? - Przełykam nerwowo.

- Trzy znaki. Ja Na Ki. Tak mówiła...

- I pokazywała o, tak? - pytam, pokazując trzy gesty palcami.

- Skąd wiesz?

- Bo... to dziwnie zabrzmiało, ale... - Słowa utykają mi w gardle. Zbieg okoliczności, czy...?

- Hiro? Świetnie, że jesteś wcześniej. Włóż . się, ykhn, stroić.

He, he. O, Amanda? - Rozczochrana bardziej niż zawsze ruda czupryna wyziera znienacka zza drzwi.

- Nie, ja.. Muszę iść.

Odchodzę, roztrzęsiona. W głowie szaleje mi tajfun. Babcia Janaki? Wolontariat w sierocińcu? Czy to możliwe? MOJA BABCIA???

Rozdział Dziewiąty

w którym malujemy trawę na zielono, a Stańczyk nie idzie na bal.

Wtorek, 20 lipca 1999

Tabashi-san w roli Fizjoterapeuty przepisał mi „mniej siedzieć, więcej chodzić”. Chociaż więc wstałem za późno i nie zjadłem śniadania, postanowiłem udać się najdłuższą możliwą drogą z mieszkania na pierwszym do studia na trzecim piętrze, pokonując nawet

nieodwiedzany od dobrych dwóch lat korytarzyk skrzydła zachodniego, w którym podłoga biegnie pod górę. To świetne dla rozwijania mięśni uda.

Podróż sentymentalna przy okazji, bo tutaj właśnie zgubiłem się w moich pierwszych miesiącach kariery radioyokohamowej, prawie dekadę temu. Nieco młodszy, ale niespecjalnie mniej groźny Hayakawa-san objechał mnie wtedy przykładowo za niestosowanie się do narysowanej starannie mapki. Cóż, kiedy droga wokół

podwórka i przez korytarz prowadzący częściowo balkonem była o wiele bardziej interesująca.

Po drodze mija się na przykład jedyne przeźroczyste okno na drugim piętrze. Ponoć w latach pięćdziesiątych tę część budynku wynajmowano malarzom na atelier, stąd przeźroczyste szyby. Czyli takie, przez które mimo kurzu widać pana Tabashiego z zapalonym grabiącym mikroskopijny trawnik na podwórku. Ki czort?

Zza zakrętu rozległ się narastający tupot. Liczyłem na to, że po dotarciu do mojego okna tupot da się zapytać o nagły zapal woź-

nego do ogrodnictwa. Niestety, tupot okazał się panem Ikedą, galopującym w zachlapanych czymś białym, plastikowych sandałach, z wielkim pędzlem w jednej ręce, a jeszcze większym wiadrzem w drugiej.

- Co się... - zacząłem.

— Ściana! Grzyb! Nie ma czasu! — wychrypiał w biegu Ikeda i pocwałował dalej.

Pokręciłem głową i ruszyłem pracowicie po równi pochyłej, do pięciostopniowej klatki schodowej, prowadzącej poziom piętra z powrotem do poziomu.

Im bliżej studia, tym więcej osób mijało mnie galopem. Najwyraźniej trafiłem w środek jakichś studyjnych derby.

Próbowałem chwycić za ramię biegnącą Rie (zdumiewające, jak nauczyłem się je rozróżniać), ale zrobiła zręczny unik i, chichocząc, zniknęła za zakrętem. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że dźwigała oburącz ogromny zwój liny.

Ciekawe, kogo będziemy dziś wieszać... - pomyślałem. - Mam nadzieję, że nie mnie.

Reżyserka była pusta.

Starannie ustawiłem w rzędzie moje taśmy z wczorajszymi nagraniami lektorów i już miałem wychodzić, kiedy wypatrzyłem koło ekspresu do kawy *bentō*, pięknie zawinięte -w *furoshiki*

o mo-tywach cesarskich: ciemnofioletowy materiał w białe chryzantemy.

Z kartonikiem zdobionym królewskimi karpami zatknętym za węzeł.

Na kartoniku:

*John-san proszę zadzwonić do Martin-san bo nie wiemy gdzie teraz pracuje a to dla niego.
Dziękujemy!*

Chie.

PS. Rie też bo zrobiła tōfu w brązowym sosie i ze szczypiorkiem.

Kochane dziewczyny - pomyślałem, rozwijając *furoshiki*, bo wzmianka o tōfu ze szczypiorkiem dziwnie pobudziła mój apetyt, mimo pory cokolwiek przedlunchowej. - Coś powinienem dla nich zrobić. Trochę je po piesku potraktowałem na początku.

A przecież pomagają, jak mogą, ten ich zespół w ogóle by nie funkcjonował bez silnej, kobiecej ręki.

Delikatnie ująłem pałeczkami pierwszą kostkę tōfu. To wymaga wyczucia i precyzyjnej męskiej ręki - za słaby chwyt i wypada, za mocny - przecina się w pół.

Miałem ją już w połowie drogi do ust, kiedy zadzwonił telefon.

- John-san? Rozgłośnia posprzątana? — zapytał zadyszany głos pana Ikedy. Po twardym echu poznałem, że jest w pralni na parterze. Żadne inne pomieszczenie tak nie brzmi.

- Tu Martin, Ikeda-san. Dzień dobry. Co się...

-

Aaa, Martin-san! Polecam się łaskawej pamięci.

Rozłączył się, zanim zdążyłem powiedzieć: „Pana się nie da za pomnieć, Ikeda-san”.

W międzyczasie kostka tofu się przepołowiła i spadła z pałeczek, więc ostrożnie przymierzyłem się do następnej. Dużej i wyjątkowo smakowitej. Teraz powoli i bez pośpiechu, do góry...

Tym razem telefon zadzwonił, kiedy już witałem się z gąską.

- Martin? Widziałeś gdzieś Ikedę? Klima mi charczy w rozgło-

śni i woda z niej kapie! Gdzie...

- Nie, ale właśnie dzwonił do ciebie. A w ogóle co się...

- OK, dzięki! I zacznij nagrywać Tomo, bo drabina się lepi. -

Rzucił słuchawką.

Kostka spadła, obryzgując mnie deszczem kropelek brązowego sosu.

Starannie ująłem trzecią i w przeblysku geniuszu wyciągnąłem wtyczkę telefonu ze ściany.

- Szefie! - krzyknął Andrzej z progu. — Ktoś mi buchnął ku beł do mopa! Nie masz go tu?

Kostka stała się dwiema, które mokro pacnęły z powrotem do pudełka.

Andrzej zniknął.

Mój apetyt też.

Zamknąłem starannie pudełko i zawinałem w *furoshiki*.

Wetknąłem wtyczkę z powrotem do gniazdka.

Telefon jakby tylko na to czekał.

- Tu Martin Bos. Słucham?

- A, Martin-san! Mówi Hayakawa. Dzień dobry. Mam pilną wiadomość do pana Tabashiego, proszę mu uprzejmie przekazać.

- Oczywiście - zamarłem z ołówkiem zawieszonym nad kartką wydartą naprędce z andrzejowego moleskine'a.

- Proszę powiedzieć, że nie będę mógł przylepiać tapet, ponieważ bilans mi się nie zgadza.

Upewniłem się dwa razy, że prawidłowo zapisałem. Kwestio-nowanie zdrowia psychicznego szefa nie pomaga we wspinaniu się po szczeblach kariery.

- Hayakawa-san? - Odważyłem się w końcu. - A co w ogóle się...

- To bardzo niedobrze, gdy bilans się nie zgadza — stwierdził

surowo Hayakawa.

- Bo widzi pan, ja mam wrażenie, że wszyscy wiedzą o czymś, o czym ja nie wiem. I czuję się dziwnie, bo...

- Nawet jeśli chodzi tylko o dwadzieścia sześć jenów.

- Bardzo mi przykro, Hayakawa-san. Czy mogę pomóc moimi własnymi skromnymi oszczędnościami...?

- To nie będzie niezbędne, Martin-san. Ale dziękuję za propozycję. A teraz będę musiał wrócić do liczydła.

- Do liczydła. Tak. Oczywiście.

Pożegnaliśmy się kurtuazyjnie.

Usiadłem na podłodze, powoli *rozwinąłem furoshiki* i otworzyłem *bentō*.

Po chwili namysłu wsunąłem z powrotem pałeczki do papiero-wej pochewki, a z szafki pod ekspresem do kawy wziąłem łyżkę.

Ekstremalne czasy wymagają ekstremalnych środków.

Ponieważ Rie odkurza, Chie trzepie chodnik, Tabashi-san pierze, co tylko nadaje się do prania, a Andrew szoruje coś w kącie podwórka, mnie przypadła w udziale kuchnia. Tak zarządził John, gdy zobaczył mnie wynoszącą z Yoshim stojaki na' ubrania z windy.

—Zniszczysz ręce i nie będziesz mogła grać. A tym bardziej nagrywać - mruknął prawie przyjaźnie. - O, już coś się stało?

- Wskazuje mały bandaż na mojej lewej dłoni, ukrytej nie dość starannie pod rękawem.

—Nie, to tylko draśnięcie.

- Brzmi jak lekceważenie wojennej rany postrzałowej... -

chichocze.

—Nieistotne. Mam zostawić te rzeczy tutaj? Co wobec tego...

—Mogłabyś wykonać małe przedsięwzięcie przygotowawczo-konsumpcyjne? Bo chyba nikt nie będzie miał dziś sił na LDK...

—Jasne, nie ma sprawy.

odetchnęłam. Nie będę już zmuszona unikać wzrokiem Yoshiego, co było niezwykle trudne, ponieważ wynoszenie stojaków z ciasnej przestrzeni windy wymagało koordynacji wzrokowo-ruchowej. Szczególnie że słów wciąż jakoś brako-owało.

W korytarzyku na drugim piętrze mijam się z Akemi, ugiętą pod zwojem zielonej tkaniny. Już chcę zaoferować pomoc, ale, rzuciwszy mi mordercze spojrzenie, znika za zakrętem.

Tak, czas już..

- Martin-san?

- Nie, ja jestem Arnanda — mówię do starej, zmurszałej szafki, która koniecznie chce przejść przez wąskie drzwi do LDK.

Szafka stęka z wysiłku, po czym klinuje się w progu przesuwanych drzwi.

— Bo John-san kazał... huh... zapytać Martin-san, gdzie to...

huh... przestawić, bo w reżyserce nie może zostać...

Hirō dyszy pomiędzy jednym a drugim słowem.

- Mogę tu na minutę? Bo chwilowo nie mam siły, żeby taszzyć to dalej...

-Jasne. Herbaty chcesz?

- Chętnie.

W milczeniu zalewam zielone liście wrzątkiem w czarnej filiżance... nie, jednak dwóch. Mnie też się przyda. Zbieram sza-moczące się myśli.

- Dobrze ją znałeś? - pytam trochę bez sensu, żeby jakoś zacząć.

„Kogo.. ?" - pytają oczy, ale po chwili rozumie.

- Babcię? Wiesz, trudno powiedzieć, czy ją znałem. Znałem jej opowieści. Miała ich mnóstwo na każdą okazję. O Białym Wężu i Czarnym Wężu. O...

- Dymie i Kocie bez Nogi. O Dobrych i Złych Chwilach. O. .

- Skąd wiesz? A, typowe malajskie opowiadania dla dzieci?

Taka... tradycja?

- Nie do końca. Babcia Janaki jest matką mojego ojca.

Cisza.

- Ale numer... Jeszcze

trochę ciszy.

- A to ty... To jakby...

- No właśnie.

Żrenice. Uśmiech. A nawet dwa.

- To ci dopiero. Mam siostrę. Prawie. Hy, hy. Fajnie.

Mieszam akurat ryż do *bentō* gdy ponownie pojawia się australijska wieża uwieńczona pomarańczowym wichrem.

- Wiesz, wpadłem na chwilę, żeby... O, to jest może przy padkiem *natto*? Uwielbiam!

Trzepię go przyjaźnie po dłoni, która dobierała się do fasolek.

.- A kysz! Będzie gotowe, to przyniosę! A propos - widzia-

łeś ostatnio Debiru? Wczorajszego tuńczyka mu przygotowa-

łam, a nie chcę stawiać przed wejściem, jak zawsze, bo wszyscy biegają i jeszcze ktoś mu wdepnie...

- Debiru? Na drugim go widziałem, Jeden z naszych lektó rów gotował na nim zupę.. Nie, nie, ŻARTOWAŁEM!!! Nie patrz tak na mnie, hi, hi...

Prawie mdleję, bo w nie takie rzeczy jestem już skłonna uwierzyć (ostatnio Martin opowiadał w LDK, jak usiłował wytłumaczyć lektorowi z Bhutanu we wszystkich możliwych językach, że na korytarzach NIE gotujemy, że niebezpieczeństwo pożaru, że mamy specjalne pomieszczenia - a w efekcie płomiennej przemowy dostał własną porcję brązowo-zielonej mazi z uśmiechem zachęcającym do spróbowania...), John zaś pokłada się z radości, co kończy się jak zawsze czkawką.

Wzdycham.

- Chcesz wody? - Zerkam miłośniernie, gdy robi się fioletowy na twarzy od daremnych prób wstrzymywania oddechu.

- Hep! Dzięki... - Fiolet powoli przechodzi w czerwień, następnie w brzoskwinie, a gałki oczne wracają na swoje miejsce.

- Uff. Uratowałaś mi życie. Mogę ci w zamian pomóc w kuchni? Fakt, zapłata niegodna ceny, ale...

Składa ręce jak w tajskim ukłonie. Moje natomiast opadają.

Nie mam siły do wariata.

- Nie, poradzę sobie sama...

- Amando, wiesz... - przysuwa sobie nagle mały stołeczek i siada stanowczo za blisko. Na tyle blisko, że jego zbyt odważ-

ne ramię obejmuje mnie lekko w pasie, gdy mówiąc, patrzy w górę z wysokości mojego ramienia. - Sama na pewno sobie poradzisz. Ale czy w życiu chodzi tylko o to, żeby sobie... radzić? W dodatku... samej?

Brzmi ciepło i cicho.

Mam wrażenie, że połknęłam kij od mopa. Chwili na przemyślenie potrzeba nam zwykle wtedy, gdy jej nie ma.

- John.... Nie - mówię w końcu, zdejmując delikatnie jego rękę z mojego pasa. - W życiu chodzi przede wszystkim o...

wierność. Własnym przekonaniom, mam na myśli. I o zgodę z samym sobą.

Patrzy przez moment uważnie na węzeł chusty, który zsunął

mi się z karku na lewe ramię. Mam wrażenie, że gładzi wzrokiem bandaż na mojej dłoni.

- Tak, pewnie masz rację... Sądziłem tylko... Bo widzisz, ja...

Wyskakuje na korytarz tak nagle, że zastanawiam się przez chwilę, czy w ogóle był...

-John-san...?

- Nie, ja nazywam się Martin - wyjaśniłem Tomo, który stał w drzwiach reżyserki, skrobiąc

się w głowę i wyglądając jak słownikowa definicja rzeczownika „konfuzja”.

- Eetooo... John-san jest?

- Tak w ogóle... jest. Wszyscy jesteśmy. Mniej lub bardziej -

odpowiedziałem filozoficznie, wycierając łyżeczkę i chowając ją do szafki pod ekspresem.

- Eetooo... John-san?

Zapowiadało się na dłuższą dyskusję, a ja nie byłem w nastroju.

- Nie, Johna tu nie ma, bo drabina mu się lepi. Więc ja cię za cznę nagrywać, a on to pewnie przejmie, kiedy wyczyści drabinę.

To jak, podłączysz się w studiu?

-A John-san...?

- Tomo, bo mnie zaraz... takie niedopowiedzenie. OK. Posłuchaj. Raz w życiu posłuchaj. Ja — Martin. Ty — Tomo. To - gitara.

Ty ją włączysz i grać. Grać, rozumiesz? Brzdęk, brzdęk.

Mahoniowe biurko mojego dziadka więcej by zrozumiało z tej przemowy niż Tomo.

Nadludzkim wysiłkiem woli powstrzymałem się przed wywró-

ceniem oczu do sufitu. Tomo był w końcu Klientem, a klient, jak mówi stare japońskie przysłowie, jest Bogiem.

Bóg drapał się w głowę i zasysał z zakłopotaniem powietrze przez zęby.

Ująłem nieszczęśnika za ramię i zaprowadziłem do studia.

Podłączyłem, nastroiłem, przykazałem nie kręcić młynców, tylko grać z ogniem, ale równo, i pożegnałem, zamykając ciężkie drzwi.

Wróciłem do reżyserki.

Tomo też.

- A... zespół? - zapytał.

- Tomo... Jeszcze raz. Zespół w słuchawkach. Ty włożyć słuchawki na głowę. Słuchawki w studiu. Głowa w reżyserce. Głowa iść tam, gdzie słuchawki, i wszystko grać. Znaczący, ty grać. Rozumieć?

- Eetoo - powiedział Tomo.

Chwyciłem za telefon.

Miałem szczęście. Odebrał Yoshi, twierdząc, że Chie jest na podwórku. I że ją zaraz poprosi do słuchawki.

Pewnie znowu łążą po murach - pomyślałem, czekając przy aparacie. — A ja tu mam awarię...

-Halo?

- Chie? Martin mówi. Czy mogłabyś przyjść do reżyserki stu dia A? Że co trzepiesz na podwórku? Wykładzinę z drugiego piętra? Chie, wykładzina może poczekać. Nikt jej nie trzepał od po czątków ery Showa. Zresztą ona się składa głównie z dziur i jak ją wytrzepiesz, to nic z niej... Słuchaj, potrzebuję cię tutaj. Twój gitarzysta cię potrzebuje...

Przyszła. Ubrana jak japońska gospodyni, w prostą, fioletowo--

granatową sukienkę i biały fartuszek. Tylko niebieskie rzęsy zdradzały poskramiane ostatnio zamięłowania loliciarskie.

Wyjaśniłem.

Wzięła Tomo za rękę i zaprowadziła do studia. Poszedł jak po-tulny cielaczek. Jak one to robią?

Po kilku minutach z monitorów zabrzmiały pierwsze akordy.

Dzięki bogom za stworzenie kobiety.

Wróciła po chwili i usiadła na stołku Andrzeja.

- Czy mogę jeszcze w czymś pomóc, Martin-san?

- No, jakbyś mogła zostać... Przy tobie IQ podnosi się mu o jakieś trzydzieści punktów.

- Tomo-chan nie jest głupi - powiedziała stanowczo. - Tylko społecznie niedopasowany.

- Społecznie niedopasowany? — mruknąłem. - To tak, jak my wszyscy...

- Proszę na niego nie krzyczeć - kontynuowała ze zmarszczonymi brwiami - to on wtedy zagra dobrze. A ja teraz muszę trzepać chodnik. Jest bardzo długi.

- Długi... Chie, to jakaś paranoja. Wszyscy o czymś zdają się wiedzieć, poza mną. Rozumiem, że tajfun był i parę dachówek spadło, i trawnik zaśmiecony, ale na wszystkich bogów Azji, to jakieś zbiorowe szaleństwo! Co was wszystkich opętało z tymi porządkami?

- Martin-san nie wie? - Otworzyła szeroko zdumione oczęta. -

Pani szefowa przyjeżdża!

- Wezwałem tutaj szanownych panów, ponieważ główna sala konferencyjna jest chwilowo... errr... sprząta. Chciałbym zacząć od podziękowania naszemu gospodarzowi za udostępnienie pomieszczeń radiowych. - Pan Hayakawa uklonił się w kierunku Johna, który posłusznie zrobił minę pod tytułem „Nie, nie, ależ skąd, nie ma za co, od tego przecież jestem”. Lizus.

Hayakawa odchrząknął, poprawił idealnie symetryczny węzeł

krawata i wskazał na cztery krzesła wokół starego, prostokątnego stołu rozgłośni. Ciekawe, kiedy ostatni raz było tu czterech gości na antenie. Na pewno nie za obecnego cesarza.

John przyciągnął swój fotel DJ-a na kółkach wytłumionych taśmą izolacyjną,

Usiedliśmy.

Sytuacja natychmiast się skomplikowała, bo gęstwina łamanych ramion statywów mocno ograniczała wizję. Było ich sześć -

starych, trójramiennych jak lampy architektów, które dają się ustawić pod każdym kątem w przestrzeni trójwymiarowej. A może i cztero.

Odepchnąłem wiszący przed nosem mikrofon, otwierając widok na Johna, ale tracąc nos i lewe oko pana Hayakawy. Spróbowałem trochę do przodu i do góry. Zardzewiała sprężyna jęknęła złowieszczo. Hayakawa-san ukazał się w pełnej krasie, natomiast przegub statywu zasłonił pana Ikedę, na którego właśnie chciałem mieć baczenie — siedział niebezpiecznie blisko szklanki z paluszkami w czekoladzie marki Pokka. Z prywatnych zapasów, niewątpliwie, bo w sklepiku na parterze zabrakło ich już w zeszłą środę. Spróbowałem się lekko pochylić i zajrzeć pod poziomym ramieniem po prawej...

- Czy mam powtórzyć? - zapytał pan Hayakawa.

- Proszę — odpowiedziałem skruszony.

- Mówiłem, że chciałbym, abyśmy potraktowali to spotkanie jako nieoficjalne. Pan Tabashi - lekki ukłon w stronę Woźnego -

przygotował skromne... przekąski.

- Na miarę naszych czasów - szepnął John, za co dostał krótki piorunik wzrokowy od Hayakawy.

Wykorzystałem to, żeby zwinąć sprzed nosa Ikedzie ostatnie dwa paluszki w czekoladzie. Przerobił, drań, już dwie szklanki.

-Jak panowie wiedzą — kontynuował Hayakawa — w piątek za-szczyci nas swoją wizytą pani Orito. W tym celu powołałem sztab operacyjny, na którego czele stanie — kolejny mikrouklon — Tabashi-san.

Wszyscy się pochylili, przechylili albo wychylili, żeby między ramionami statywów dojrzeć i docenić promieniejące dumą oblicze pana Tabashiego.

- Ze względu na wyjątkową sytuację, zaakceptowałem — rów nież w drodze wyjątku — ofertę pomocy od naszych... klientów.

Na kierownika pomocniczej brygady czyszcząco-remontowej wyznaczyłem pana Andrew Allena. W tej chwili nieobecnego, po nieważ dowodzi pracami renowacyjnymi na elewacjach północ nych podwórka. Niemniej chciałbym odnotować moją, i mam nadzieję nas wszystkich, wdzięczność dla .pana Allena.

Odnotowaliśmy za pomocą mruknięć i syknięć uznania.

- Pan Allen przedstawił mi plan działań, który zaaprobowałem dzisiaj o godzinie dziewiętej dwanaście. Będzie on do wglądu na ta blicy ogłoszeń w LDK. Na razie wspomnę tylko, że najważniejszym zadaniem na dzisiaj jest odświeżenie wykazujących znamiona...

errr... pleśni ścian korytarzy skrzydła zachodniego. Poprzez pokry cie ich tapetami samoprzylepnymi. Chyba nie muszę wspominać, że w piątek oczekuję schludnego wyglądu wszystkich pomieszczeń. -

Położył nacisk na słowo „wszystkich” i, jak znam Hayakawę, pod niósł przy tym znacząco wskazujący palec. - Wszelkie przedmioty, meble, akcesoria czy... errr... zwierzęta, które nie powinny znajdować się w poważnej instytucji, mają być tego dnia składowane w nieużywanych salach piętra czwartego. Mam również prośbę do pana Ikedy o powstrzymanie się do piątku od... errr... konserwacji sprzętu. A teraz - kontynuował — przedyskutujemy listę

zagadnień i ewentualnych pytań, jakie zamierzamy, jako zespół, przestawić pa ni Orito. Kto pierwszy? No, to może ja zacznę...

Na chwilę przestałem uważać, zajęty przygotowywaniem men-talnej listy spraw do Szefowej. Okazała się dłuższa niż suma korytarzy Radia Yokohama. Kiedyś, wiele lat temu, próbowałem je zmierzyć. Krokami. Młody byłem. Wyszedł prawie kilometr.

Zacząłem skreślać od końca, ale lista pozycji kluczowych ginęła gdzieś w mrokach piętra dwa i pół.

Od nowa. Bez czego absolutnie nie mogę żyć? Co jest warunkiem przetrwania i rozwoju mnie, mojego zawodu, tego studia, przyszłości muzyki i sztuki realizatorskiej...?

- Martin-san?

- Tak, oczywiście! — odpowiedziałem na wszelki wypadek, dając nura pod ramię statywu, żeby sprawdzić, czy Hayakawa-san zauważył moją nieobecność.

- Cieszę się, że Martin-san się zgadza. Pozwolę więc sobie przeczytać panom listę do ostatecznego zatwierdzenia...

- Chwileczkę — podniosłem rękę, trafiając palcem w pończoszkę wiszącego nade mną mikrofonu. - Chciałbym jeszcze o sprzęcie.

Zatem powinniśmy przejść na sprzęt cyfrowy. Z pomocą komputera już dawno zrobiłbym z tych naszych Y2K coś do słuchania...

- Powiodłem wzrokiem dookoła, szukając wsparcia, ale pokryte plamkami rdzy ramiona statywów mikrofonowych nie miały żadnej opinii, ani wte, ani wewte. - Cały świat nagrywa na cyfrze - brnąłem z determinacją. - Po szczegółowym zapoznaniu się z ocenami w pismach branżowych przygotowałem nawet kilka propozycji. Co prawda nie mam ich w tej chwili przy sobie, ale...

Skrzyp sprężyny statywu przesuwanego przez pana Hayakawę nie wróżył nic dobrego. Odpowiedziałem, popychając w prawo pionowe ramię przed moim nosem. Hayakawa wyciągnął szyję i próbował spojrzeć na mnie ponad statywem Ikedy. Zasłonił go mikrofon pana Tabashiego.

Po paru kolejnych manewrach Hayakawa dopadł mnie wzrokiem, stosując zagranie taktyczne, którego nie przewidziałem: wstając.

- Czy ktoś z panów ma jakieś uwagi? - zapytał chłodno. - Mo że John-san?

Stary strateg wiedział, gdzie szukać sojuszników. W panice poszukałem wzrokiem rudego mopa, ale niestety było między nami zbyt wiele gałęzi.

- Bo ja wiem...? Ja tam lubię sprzęt analogowy. Ciepłej brzmi. -

Wbił mi nóż w plecy głos Johna.

- Taaak... Bardzo wartościowa uwaga, John-san - pochwalił

Hayakawa. - Chyba nie muszę panom przypominać, że najwybitniejsze dzieła sztuki studyjnej powstały na sprzęcie analogowym. O

wiele bardziej prymitywnym zresztą niż ten, który firma daje panom do dyspozycji. Tak. Czy mamy jeszcze jakieś propozycje?

Nie widzę. Dziękuję. W takim razie przystąpię do czytania proto-kołu z naszych ustaleń...

Tabashi pochylił się pod statywem i ze współczuciem popchnął w moją stronę świeżo napełnioną szklankę z pałeczkami firmy Pokka. W

polewie truskawkowej. Nienawidzę polewy truskawkowej. Ale gdy się nie ma... Wziąłem całą garść.

Wielkie Sprzątanie wymaga nie tylko wielkich pokładów energii, ale również Wielkiej Cierpliwości. Dotyczy ona przede wszystkim rzeczy tak oczywistych, że z biegiem czasu przestały być zauważane.

- Amanda? To twoje? Robisz z tym coś czy wyrzucamy? Bo na podłodze leżało...

Ze zgrozą zauważam w rękach Tomo bonsai z trzeciego pię-

tra. Trzymane za delikatne gałązki. Doniczka zwisa beładnie w powietrzu.

Oj, jak mnie zaraz....

- Daj mi to. To jest żywa roślina, tak nie wolno.

- Eetooo... dlaczego?

Ciekawe, czyje IQ jest wyższe, jego czy tego drzewka. Po na-myśle przechyliam szalę na stronę bonsai.

Otulam dłońmi brązową doniczkę i zabieram roślinę do siebie. Przynajmniej na czas

wielkich porządków.

W drodze powrotnej, obładowana pudełkami po *bentō* po raz drugi potykam się o kota. Wskakuje na plastikowy stołeczek (o, właśnie, zaraz trzeba go zanieść z powrotem do *ofuro*) i Owija się z dumą ogonem.

— Cześć, Debiru, łobuzie. Lepiej się tak nie panosz otwarcie, bo Hayakawa-san zarządził posprzątanie zwierzyńca i jeszcze gdzieś cię schowa...

Doznaję nagłego oświecenia - i to nie dzięki słońcu wpadającemu przez umyte po raz pierwszy od dziesięciolecia szyby na korytarzu.

Lektorzy na trzecim. Koza na parterze. Zaraz przy wejściu, widoczna jak diabli.

Gdzie schować kozę???

Zbieram z podłogi upuszczone nagle pudełka po *bentō* i zbiegam po czterech schodkach, zakręt w prawo, jeszcze jeden, winda, wąski korytarzyk, w lewo, dwa schodki w dół, jeden do góry i...

- O, a co ty tu robisz? Ledwie

wyhamowuję na wirażu.

- Nooo.. leżę.

Faktycznie, Andrew leży. Wygląda przy tym zupełnie spo kojnie i niewzruszenie. Nie byłoby w tym leżeniu nic dziwne go, każde stworzenie, żywe lub mniej, ma w końcu prawo cza sem leżeć, niemniej...

- A... dlaczego tutaj? Jeśli można spytać, rzecz jasna.

- Bo wstać nie mogę.

- Aha.

Zadanie kolejnego pytania, na przykład czy mu wygodnie z plecami na schodku do góry, kolanem na dwóch dolnych, a drugim na ścianie po lewej, wydaje mi się zbędne. Przez moment miotam się bezradnie z naręczem pudełek, wreszcie rzucam je pod nieprzeźroczyste okienko, przekraczam Andrew górą i kucam z prawej strony.

- Kolano?

- Nie, tak źle nie jest. Kostka. Wiedziałem, że w końcu z nich zlecę.

- Dasz radę wyprostować nogę? Wtedy stanę za tobą, o tu, wezmę cię pod ramię i wstaniemy razem, dobrze?

- Bo ja wiem... za ciężki jestem dla ciebie...

Wzdycha, a przy próbie poruszenia grymas bólu maluje się na jego twarzy.

- Spróbujemy, aż takie chuchro nie jestem. - Śmieję się, by rozładować atmosferę. - Ale wcześniej pozwól mi sprawdzić tę kostkę.

- Ooo... znasz się na tym?

- Tylko odrobinę, Tabashi-san opatrzy cię lepiej..., Nie wygląda bardzo źle, to lekkie skręcenie. Możesz stanąć?

- Tak trochę... auć.

Stękając, jęcząc i wzdychając doprowadzam nareszcie nieszczęsnego realizatora do pionu. Ocieram pot z czoła. Też nie miał się gdzie wywalić, tylko w jednym z najciaśniejszych korytarzyków tego piekielnego budynku.

Chwytam mocno rękę przerzuconą przez mój kark i ramię.

-Oj...

- Boli?

- Tak, ale nadgarstek... Ależ masz uścisk.

- Przepraszam! - Parskamy śmiechem, kuśtykając w kierunku bocznych wind. Nie miałam pojęcia, że drugie piętro jest tpa-kie długie.

Zza zakrętu przez jedyne na tym poziomie przeźroczyste okienko miga mi szata Akemi. Andrew przystaje i jakby... tru-chleje?

Czarna postać staje przed nami i wpija się na przemian wzrokiem we mnie i nieszczęsnego chłopaka, który nagle robi się mniejszy. Czasem chciałabym mieć takie spojrzenie... Zajmuje jej to mniej więcej półtorej sekundy, po czym zdecydowa-nym krokiem odchodzi w kierunku schodów na piętro trzecie i pół. Andrew sztywnieje. Nic z tego nie rozumiem.

W mgnieniu oka dociera do mnie powaga sytuacji.

Dopiero wtedy odzyskuję głos.

- Akemi! Pomożesz?

Kroki milkną.

- Pomóż, proszę, ja już nie mam siły...

Uff, wraca.

- Coś się stało? — pyta głosem, przy którym określenie „gro-bowy” brzmiałoby jak bajeczka dla grzecznych dzieci.

- Andrew skręcił kostkę na swoim ulubionym schodku, ..

Weź z tej strony, a ja. . ojć. . teraz. Jak dobrze, że przechodziłaś.

Spojrzenie znad pochylonej głowy kuśtykającego nieszczę-

śnika wydaje mi się jakby o trzy stopnie Celsjusza cieplejsze od Antarktydy. Posyłam jej nieśmiały uśmiech.

Zostawiwszy Andrew w dobrych rękach Tabashi-san, zaalar-mowanego podczas odrywania tapety na górze, rozmasowuję odcisnięte ramię i poprawiam bandaż na dłoni. Usiłuję sobie przypomnieć, po co szłam na parter.

Po drodze chcę zabrać pudełka po *bentō*, ale już ich tam nie ma. Stoję chwilę bez ruchu, z zamkniętymi oczami.

Wiem. Miałam schować kozę.

Na podwórku słońce praży bezlitośnie, koza przytulona do skrawka ocienionego muru zdaje się to jednak ignorować i przeżuwa spokojnie trawkę spod muru.

- No i gdzie by cię tu umieścić, co? - mruczę w nadziei, że może sama znajdzie jakieś proste rozwiązanie. Koza nie słu cha. Ech, życie.

Odwiązuję z westchnieniem sznurek. Na pierwszym piętrze za zakrętem przed magazynem widziałam kiedyś małą pakamerę, w której Ikeda-san czegoś szukał. Nie ma klucza, ale może skobelek wystarczy? Kozy nie słyną z samodzielnego otwierania zamków.

- No chodź. Chodź! O rany, koza jesteś czy osioł...

Koza ani drgnie. W ogóle zachowuje się, jakby mnie tu nie było.

- Raz w życiu mnie posłuchaj...

Koza nie słucha.

Cierrrpliwości.

- Cześć, po co ci koza?! - Rie w zdumieniu przystaje z jedną nogą w powietrzu, jak na stopklatce.

- Hayakawa kazał ukryć zwierzyniec. Debiru sam się ulotnił, a ja chcę schować kozę w pakamerze, ale ona mnie nie słucha. .

Rie stawia spokojnie drugą nogę, na jej twarzy powolutku maluje się coś na kształt zrozumienia. W końcu klaszcze dwa razy w ręce, zdecydowanie i głośno.

Koza natychmiast podnosi łeb i maszeruje posłusznie za wciąż ciągniętym przeze mnie sznurkiem.

— Dzięki! Skąd wiedziałaś, jak się obsługuje *to* zwierzę...?

Rie tylko chichocze.

W małym pomieszczeniu pod sufitem dynda goła żarówka.

Ciągnę za sznureczek i zapalam ją.

- Żebyś nie bała się ciemności... Siedź to grzecznie, aż pani Orito skończy wizytę. Nigdzie nie chodź, pamiętaj.

Nie mam odwagi pogłaskać kozy między rogami, a ona staje ostentacyjnie tyłem do mnie i pogrąża się we własnym świetle.

Piątek, 23 lipca 1999

Staliśmy w rzędzie pod ścianą.

Hayakawa, Tabashi, Ikeda, John, ja, Andrzej, Akemi, Amanda, Yoshi, Kimitsu, Rie, Tomoshi, Chie i Hirō.

Logiki ani sensu w tej kolejności nie widziałem, ale tak nas ustawił pan Hayakawa.

Więc staliśmy. Od dwudziestu minut. W dusznym, słabo klima-tyzowanym korytarzu na parterze. Wyłożonym świeżo wypranym czerwonym chodnikiem. Mocno wytartym na prawym brzegu, którym zawsze chodzimy na drugim piętrze, żeby uniknąć skrzypienia podłogi. Staliśmy więc, starannie zakrywając służbowymi kapciami prześwitującą gdzieś pod osnowy podłogę.

-Jedzie? - Doszedł mnie szept po lewej.

- Nie, chyba jeszcze nie... - odpowiedział ktoś po prawej.

Wykręciłem głowę. Sztywny kołnierzyk mojej jedynej białej koszuli wrzynał mi się nieprzyjemnie w szyję. Poluźniłem nieco krawat, ale niestety Hayakawa w swoim starym smokingu kamer-dynera dokonywał akurat ostatniej lustracji szeregu. Musiałem szybko z powrotem zacisnąć węzeł.

Siostry były dziś, o zgrozo, w pełnym rynsztunku wiktoriańskich pokojówek.

Włącznie z perukami. Jakby to była niedziela na Harajuku , a nie odwiedziny właścicielki w firmie.

Myślałem, że już im przeszło. Z drugiej strony, okazja jakby nieco uzasadniała odrobinę teatru... tak w drodze wyjątku.

John, podobnie jak ja wbity w garnitur, wyglądał na mocno skrępowanego. Współczułem mu trochę, ale Andrzejowi jeszcze bardziej. Był wyraźnie zestresowany nową rolą. Przetykał nerwowo, aż bordowa muszka ruszała mu się pod grdyką.

- Jedzie!

- Kto mówi, że jedzie? -Jedzie!

Naprawdę jedzie!

Tabashi wystąpił z szeregu i podbiegł do drzwi. Rozsunął je ostrożnie na kilkanaście centymetrów i wystawił głowę na zewnątrz. Po chwili przecisnął się bokiem i zniknął.

Szmery i szepty przybrały na sile.

Dwanaścioro par oczu różnych kolorów i kształtów wpatrywało się z napięciem w szczelinę pozostałą po panu Tabashim.

Po chwili głowa Woźnego wróciła. Uniósł znacząco brwi w stronę Hayakawy. Ten, zmarszczony, powiódł ostatni raz wzrokiem po szeregu, skinął z zadowoleniem głową i

wyszedł.

Nie wytrzymałem. Musiałem to zobaczyć. Opuściłem wyznaczone mi miejsce i podkradłem się do drzwi.

- Martin! Wracaj na miejsce!

- Nie, powiedz, co widzisz? Jada?

- Cicho tam! - syknąłem. — Już widać samochód!

To właśnie było to, co musiałem zobaczyć. Barokową katedrę na kołach - czarną toyotę century, majestatycznie żeglującą po naszej uliczce na nadętych oponach zdobionych białymi pasami. Mieściła się, choć nie bez trudu. Między błyszczący chrom lusterka a mur domu babci z naprzeciwka wszedłby może palec - ale 20 W niedziele japońska młodzież lubi przechadzać się po dzielnicy Harajuku przebrana za wszystko - od bohaterów „Przeminęło z wiatrem” po wiktoriańskie pokojówki. Hobby takie.

Chie, na pewno nie mój. Podziwiałem szofera, tym bardziej że wystawał nad kierownicę zaledwie kilka centymetrów.

Katedra zwolniła do jednego kilometra na godzinę i, chrzęszcząc oponami, dobiła do naszej furtki. Karłowaty szofer siedział przez moment bez ruchu, jakby podziwiając własną precyzję. W końcu wysiadł i obiegł maskę, opierając się o nią na zakręcie białą rękawiczką. Stał na baczność, z namaszczeniem pociągnął za ogromną, chromowaną klamkę i zgiął się w ułonie.

Wycofałem się szybko i wróciłem na swoje miejsce.

- Idą! — syknąłem samym kącikiem ust.

Szmery ucichły.

W szczelinie drzwi pojawiła się odziana w białą rękawiczkę dłoń pana Tabashiego.

Drzwi rozsunęły się do swoich majestatycznych dziewięćdziesięciu centymetrów.

Pierwszy wkroczył Woźny i stanął w pełnej szacunku pozie, anonsując głośno:

- Pani Orito!

W drzwiach pojawił się Hayakawa. Wszedł, stanął z boku i, kłaniając się, zaprosił Szefową do przekroczenia progu jej królestwa.

Wcale się nie postarzała od ostatniej wizyty. Mimo pięćdziesiątki wyglądała na późną trzydziestkę, chociaż makijaż zdawał się być minimalny. Twarz idealnie gładka, szczupła, z wąskim jak na Japonkę nosem i uprzejmie zaciekawionym, lekko zaaferowanym uśmiechem. Włosy krótkie, z pewnością świeżo ułożone przez najdroższego fryzjera w Omotesandó.

Ozdób też nie było, poza kosztującym niewątpliwie sumę moich życiowych zarobków sznurem pereł na piersi.

Prosta, ale elegancka ciemnofioletowa sukienka podkreślała jej figurę, a raczej brak takowej, bo według mnie kobieta powinna wyglądać jak kobieta, a nie jak deska do prasowania.

Dałem sobie mentalnie po uszach za te niestosowne myśli, bo Szefowa skończyła właśnie witać się z Ikedą i stanęła przede mną.

Ująłem podany mi na modłę europejską flaczek i pochyliłem się w lekkim ukłonie.

- Martin-san, prawda? Jak miło... Dziękujemy panu za ogrom pracy włożonej w naszą rozgłośnię... Dzięki takim oddanym pracownikom, jak pan, Radio Yokohama jest tym, czym jest.

- Właściwie nie w rozgłośnię, tylko... - zacząłem, ale pani Ori-to witała się już z Johnem. Postępujący pół kroku za nią Hayakawa-san rzucił mi srogie spojrzenie, więc zamknąłem usta.

Zdławiłem westchnienie i obróciłem ostrożnie głowę. Kołnierzyk wpił mi się w spoconą szyję.

Szefowa była właśnie przedstawiana Klientom.

Obawiałem się, że Rie dygnie.

Niestety. Dygnęła.

Gdzie ona się tego nauczyła? Jak to gdzie — w Harajuku. Kiedy Japończycy już w coś się bawią, to z należyтым poszanowaniem szczegółów.

Nawet Kimi, dziś w białej koszuli i z papugą zdławioną żelem, giął się w dworskim ukłonie.

- Och, jak miło poznać szanownych artystów... — Pani Orko wykonała wytworny ruch szczupłą dłonią, ogarniając nim nieokreśloną grupę swoich poddanych. Ciekawe, czy umiałyby wskazać dokładnie, gdzie w naszym rzędzie kończyła się załoga, a zaczynali klienci.

- To dla nas niezwykle ekscytujące... Liczymy, że wasza kariera pozostanie na zawsze związana z naszym skromnym studiem...

Dziękujemy wam z głębi serca. Dziękujemy. Hayakawa-san? Nie chcemy dalej przeszkadzać w pracy wszystkim tym cudownym osobom, prawda?

Wykonaliśmy ostatnie ukłony. Pani Orito, szczebiocząc z wdziękiem do pana Hayakawy, zniknęła za zakrętem. Złapałem jeszcze jej ostatnie słowa:

- Och, jakie urocze zwierzątko...

Nie mam pojęcia, czego dotyczyły.

Ostrożnie odpiąłem guzik przy kołnierzyku i wziąłem pierwszy głęboki oddech od godziny.

Miałem wrażenie, że zdarzyło się coś ważnego i istotnego.

Prawdopodobnie. A przynajmniej powinno.

Po południu będzie spotkanie z załogą w sali konferencyjnej.

Wtedy na pewno się zdarzy.

- Panna tutaj, proszę stanąć prosto. Yoshi-san? Pan obok...

Tak. Kołnierzyk należy wyprostować. Teraz Kimitsu-san...

czy mógłby pan bardziej fryzurę jeszcze... o tak, przyklepać... świetnie.

Jeszcze nie widziałam Hayakawy tak stremowanego. Na jego twarzy tańczą wszystkie odcienie bladości, chwilami wpadające w lekki seledyn.

Ha — myślę — na mojej pewnie nie lepsze, z trochę, innej przyczyny. Yoshi zamieniony w posąg lodowy robi wszystko, żeby dwa centymetry między nami nie groziły dotknięciem.

Czuję się paskudnie.

Zerkam ukradkiem na Andrew - pan Tabashi do spółki z Akemi pomogli mu przykuśtykać i oparli go o ścianę, żeby się nie wyróżniał. I tak stoi już dwadzieścia minut. Wytrzymały chłopak, nie ma co...

W ostatniej sekundzie przed otwarciem drzwi próbuję utknąć maleńki kosmyk, który nie wiedzieć jakim sposobem wydostał się spod chusty. Syknięcie pana Hayakawy powoduje, że

natychmiast opuszczam rękę i zaplatam grzecznie dłonie za sobą.

Krótki anons i wchodzi szczupła, elegancka Japonka w śred-nim wieku. Dystyngowanie wita się z każdym, zamieniając kilka grzecznościowych formuł. Stoi właśnie przed gnącym się w ukłonach Martinem, gdy z piętra wyżej dobiega mnie ciche, lecz wyraźne PUK.

Martwieję. Jeśli to jest to, co myślę...

- Panna Amutanda binti Muhamat — Hayakawa przekręca moje nazwisko z taką, powagą, że pewnie parsknęłabym śmiechem, gdyby nie dobywające się z głębi korytarza niemal niezauważalne stuk... stuk, stuk.. stuk. Jak ona się wydostała?

Och, looosie.

Czepiam Się rozpaczliwej myśli, że TO nie istnieje.

Pani Orito kończy przywitanie, uśmiecha się przyjaźnie, a ja koncentruję się na tym, żeby nie zemdleć. Rie posyła mi ostrzegawcze spojrzenie.

Kopytka na tatami brzmią wyraźniej i jakby. . bliżej? John też już chyba usłyszał, bo brwi ściągnęły mu się w jedną poziomą kreskę. Mam jeszcze nadzieję, że się miną, że to na innym pię-

trze, że...

-O, jakie urocze zwierzątko!

Aha.

Dlaczego wszyscy patrzą na mnie? Czy to moja koza?!!!

- A co my tu mamy...? — Złapałem Johna w korytarzu. Na gorącym uczynku: walił pięścią w automat z napojami, ten, który czasem wyrzuca za darmo puszkę mrożonej herbaty.

-Ja, bo... nie mam czasu! Jej wysokość chce zobaczyć artystów w akcji!

- Jakich artystów?

- Właśnie, w tym problem...

- Pan pozwoli ze mną na chwilę. Pogadamy... — Ująłem go zdecydowanie za ramię.

Spojrzał demonstracyjnie na zegarek, po czym westchnął i dał

się zaprowadzić do LDK. Posadziłem go przy stole i stanąłem nad nim, ciągnąc za sznurek lampy pod sufitem, bo było trochę za ciemno.

- O co chodzi? — zapytał, podnosząc niepewnie głowę.

- No właśnie, to ja miałem zapytać: o co chodzi?

John przybrał nieinteligentny wyraz twarzy.

- John, musimy coś wymyślić - tłumaczyłem cierpliwie. -

Przecież nie pokażemy jej Y2K w akcji, prawda? Hayakawa do stanie szału i nas zdegraduje.

-Jasne, że nie. Ale może z playbacku...

- Gdzież tam, oni nawet podrygiwać nie potrafią do rytmu.

Dlaczego nie Amandę? Ona się spodoba. Głos ma ładny...

-Już pytałem. Nie zgodziła się. - Spuścił nos na kwintę. - Nie wiem dlaczego, to nie moja wina... Chciałem tylko, żeby coś za-

śpiewała, grając jednocześnie na gitarze i nogami na perkusji. Powiedziała, że nie będzie kozą doświadczalną ani numerem cyrko-wym. Chciałem posłać Andrzeja, żeby ją spróbował przekonać.

Ona chyba lubi go bardziej niż mnie. Ona w ogóle wszystkich lubi bardziej niż... Ale Andrzej skręcił kostkę i jest na chorobowym.

- Skoro Y2K grać na żywo nie umie, a Amanda nie chce, to puść szefowej jakąś taśmę. Mój ostatni miks Y2K nie był zły, że powiem nieskromnie...

- Zrobiłeś wstępny miks? — zainteresował się John. - Z tych moich indywidualnych ścieżek? Dasz go przesłuchać? — Wstał

ożywiony.

Na to czekałem. Położyłem mu rękę na głowie, niczym policjant wciskający aresztowanego do radiowozu, i przepchnąłem przez drzwi na korytarz. Zanurkował grzecznie pod framugą i dał się po-prowadzić w stronę studia przez dziwnie puste i nieswojo czyste Radio Yokohama. Nawet drzewko bonsai stało grzecznie pod oknem na swoim stołeczku z *ofuro*. Niesamowity widok. Wzdrygnąłem się, czując przez moment niepojętą ochotę, by je zrzucić.

- A o co ty poprosisz jej wysokość? Hę? - zagailem, bo cisza też była dziś nieswoja i niestudyna — nie zwyczajna, wynikająca z szacunku dla odbywającego się gdzieś nagrania, ale sztywna i jakby... przestraszona.

- Mówilem już na zebraniu. - Wzruszył ramionami. — O pomoc w radiostacji poproszę. Jakiegoś zastępcę na wieczory, kiedy nagrywam. I żeby w sklepiu były czasopisma... coś by warto za-prenumerować...

- Myślisz, że dostaniesz?

- Mam nadzieję. Po to w końcu przyjechała, żeby nam pomóc, tak? Problemów kilka rozwiązać? Podjąć jakieś decyzje? W końcu po coś są wizyty królowych, czemuś muszą służyć... No. A ty?

- Co ja? O co poproszę? Mój drogi, lista jest dłuższa niż... nieważne. Na pewno o cyfrowy sprzęt i o tego nieszczęsnego producenta, żeby go wysłedziła, zatrzymała i doprowadziła do studia.

To chyba priorytet, nie?

- Producent... właśnie, właśnie, chciałem ci coś powiedzieć...

Boże, co tu się stało???

Pytanie dotyczyło pobojuwiska, które kiedyś stanowiło zaciszną, schludną reżyserkę studia A. Moją reżyserkę.

Ale kiedy była moja, kłęby brązowej, magnetycznej taśmy nie oplątywały wszystkiego szalonym labiryntem. Na pewno nie cią-

gnęły się od szafki do szafki i nie powiewały porwanymi szcząt-kami w strumieniu powietrza. A ponad wszelką wątpliwość nie spowijały koszmarnym kokonem mojego starego fotela.

- Tejki...?! - jęknął John, błędąc. - Tylko dzisiejsze czy z ca-

łego tygodnia...? Dwóch tygodni???

- Nie. To mój wczorajszy miks. Popatrz. - Schyliłem się, podniosłem mały, dziwnie postrzępiony na końcu odcinek dowodu zbrodni i podstawilem mu pod nos. - Taśma analogowa, nie ADAT

- Ufff...

- Nie wiem, czy taki uff. Pracowałem nad tym do drugiej w nocy, żeby puścić pani Orito. I co teraz?

- Debiru.

- Niewątpliwie jest głównym podejrzanym. To są ślady po pa-zurach, prawda? Czy mogę go aresztować i zamknąć na czterdzie-

ści osiem godzin? A potem skazać na dożywocie na strychu? Albo może po ludzku przerobić go na pasztet?

- Nie, możesz zacząć chować taśmy po nagraniu. Stalowej ka-sety nawet pazur Debiru nie otworzy.

- To twój kot. I w dodatku nieletni. Powinieneś go lepiej pil nować. — Zerwałem kilka metrów taśmy, poskręcanej, zagradza jącej wejście jak taśma policyjna w miejscu zbrodni. Patrząc bez myślnie na żalosne szczątki, zastanawiałem się, co właśnie mnę w palcach — czy moje pracowicie dopieszczane intro do „Tótaru Desutorakushon”, czy tylko pauzę między drugim a trzecim nu merem?

Jakby to miało jakieś znaczenie.

- Lepiej mi pomóż posprzątać, jej wysokość jeszcze nie zwie-dzała tej części... — zacząłem.

- Studyjny kot, nie mój. -John wyrwał się z zamyślenia i powiódł wzrokiem po smętnym pobojuwisku. -I co jej teraz puścimy?

Zastanowiłem się chwilę dla przyzwoitości, chociaż odpowiedź

miałem już w głowie od kilkunastu sekund: - Danitol.

- Reklamę? Bo ja wiem...

- John, to studio żyje głównie z reklam. Reklamy płacą trzy czwarte naszych pensji. Dlatego moja praca przy nagrywaniu lektorów...

- Ale... czy ktoś słuchał tego danitolu?

-Ja słuchałem - odparłem stanowczo. - To tylko reklama. Nie musisz w niej osiągać swojego Dźwięku Absolutnego. Za to na-grana z ogniem i z pasją. Moi lektorzy dali z siebie wszystko.

- Twoi... -John zachichotał spod stołu, gdzie odczepiał wyjątkowo wielki kłęb taśmy.

- A więc postanowione. Puścimy jej danitoł. Wybiorę jakiś ję-

zyk, którego na pewno nie zna. Może Pashto. Afgańczyk wyjątkowo się angażował. To jej się nie może nie spodobać. I wtedy będzie można ją poprosić... o kilka rzeczy. Na tym polega myślenie strategiczne, mój drogi Watsonie - powiedziałem do Johna upychającego nogą ostatnią porcję brązowych skrawków w gro-

zącym już eksplozją koszu na śmieci. - Właśnie na tym.

To miał być mój moment. Moje piętnaście minut sławy.

Wielki powrót Bosa.

Wyczułem raczej, niż usłyszałem zbliżanie się pochodu. Korytarz został wyłożony dywanem pożyczonym z parteru, by ukryć po-

śpiesznie załatane dziury w podłodze oraz by jej wysokość nie zgubi-

ła się w drodze do łazienki, gdzie, o dziwo, udawała się bez eskorty.

Pierwszy kroczył Tabashi, z tajemniczą miną niosąc kwadratową, płaską szkatułkę z czarnego drewna.

Za nim John, ubrany zupełnie niestosownie w koszulę zszytą z różnokolorowych rombów.

W pewnym odstępie — pan Hayakawa oraz pani Orito.

Potem reszta kolorowej świty: załoga i klienci.

Wsadziłem palec za kołnierzyk nieco skurczonej w praniu białej koszuli i po raz dwudziesty ósmy sprawdziłem licznik taśmy z nagraniami reklam. W porządku. Wyszedłem przed reżyserkę studia C, na salę odsłuchową - dziś przystrojoną papierowymi kwiatami i symbolami rozgłośni, z mównicą udekorowaną purpurową tkaniną (pознаłem w niej nasz prawie nowy obrus z LDK, który zginął tydzień temu). W kącie na stoliku przykrytym tym samym materiałem (wspaniale, mamy teraz dwa obrusy) stały mi-seczki z przekąskami i bateria kieliszków do szampana.

Nabrałem powietrza, aż guziki koszuli zatrzeszczały.

- Szanowna pani Orito... - Ukłon. - Zapraszamy do studia, gdzie dzisiaj...

- Wystarczy Emily. - Zaśmiała się perliście. - O, ile tu sprzętu...

I jakie urocze zwierzaczki!

Nieco zbity z pantafyku obserwowałem, jak John podskoczył do szefowej i zaczął jej coś szeptać na ucho, powodując kolejne wybuchy wdzięcznego śmiechu.

Odchrząknąłem.

- A teraz chcielibyśmy...

- Czy to jest krokodyl? - Zainteresowała się pani Orito.

John znowu zaczął błaznować, ale Hayakawa postąpił o krok do przodu, poklepał go z wyrozumiałością po ramieniu i zajął miejsce przy uchu majestatu.

Słuchała przez chwilę, potakując i patrząc w sufit, jakby starała się coś zapamiętać. W końcu przybrała łaskawie zainteresowany wyraz twarzy i zwróciła się do mnie, starannie wymawiając każde słowo: - Pan Martin, nieprawdaż? Czy będzie można zobaczyć pana przy pracy?

Pokłoniłem się znowu i wyjaśniłem, że lektorzy chwilowo uczą się nowych ról, będzie natomiast dla mnie wielkim zaszczytem móc zaprezentować ostatnie nagranie reklamowe. Zachęciłem następnie jej wysokość do umieszczenia szanownego paluszka na orangutanie.

To się spodobało. Orangutan został pogłaskany perłoworóżowym paznokciem, co oczywiście nie odniosło żadnego skutku, więc John, chichocząc usłużnie, pomógł swoim paluchem, rozplaszczając grzywę małpiszona.

Monitory ożyły afgańskimi uniesieniami nad zabójczym urokiem danitolu (co by to nie było).

Stałem skromnie z boku, trzymając dłonie złożone przed sobą, leciutko pochylony do przodu, ze skromnym uśmiechem.

Hayakawa stał również, z brwiami tak zmarszczonymi, że stały się jedną, czarną chmurą gradową.

John dostał czkawki.

Pani Orito biła delikatnie brawo i chichotała, patrząc na Johna, którego twarz przybierała barwy kolejnych rombów jego koszuli.

- Miałem ci powiedzieć - szepnął Andrzej, który, kuśtykając prawie niezauważalnie, zajął pozycję za moimi plecami - co to jest danitol... Powiedziała mi sama pani Orito!

- Nie wiem, czy chcę wiedzieć... - odszepnąłem słabo.

- Chcesz, niestety... - wydyszał mi w samo ucho. - Środek owadobójczy do spryskiwania upraw rolnych.

Z monitorów zabrzmiało ostatnie crescendo najwyższych uniesień nad... pestycydem.

- To było bardzo... ciekawe. Jesteśmy pod wrażeniem pana wy trwałej i... hi, hi... kreatywnej pracy! — pochwaliła pani Orito, kie rując się z panem Hayakawą do wyjścia z reżyserki.

Wiedząc, że już przegrałem, zrobiłem jednak szybki krok i w nagłym zrywcie odwagi zagrodziłem im drogę, przewracając po drodze krzesło reżysera.

- Dziękuję... dziękuję bardzo! Chciałbym jednak skorzystać z okazji, aby zaprezentować kilka sugestii w obszarze... — Nabra łem powietrza...

Guzik na piersiach nie wytrzymał i strzelił.

John dostał kolejnego ataku czkawki, a Hayakawa uśmiechnął się z politowaniem i odsunął mnie ręką, robiąc miejsce dla pani Orito, która ruszyła do sali balowej, nie przestając mówić: - Dziękujemy, że pan i wszyscy tu obecni z takim poświęceniem pracują dla dobra naszej wspólnej firmy...

Ruszyłem za nimi, przytrzymując ręką koszulę na piersi i kon-tynuując: - W pierwszej kolejności należałoby wspomnieć o potrzebach sprzętowych... Pozwoliłem sobie przygotować kilka propozycji...

- I dlatego ta złota płyta zespołu... - pochyliła się, aby otworzyć szkatułkę z czarnego drzewa - zespołu TokiDoki, którą z tak wielką radością przyjąłem, należy się tak naprawdę nie nam, lecz wam -

moim oddanym pracownikom...

-Jak pani Orito... errr... Emily doskonale wie... nadchodzi wiek dwudziesty pierwszy, era cyfrowej obróbki dźwięku... szeroka pa-leta możliwości, jaką oferuje...

- Gdybym mogła ten prezent powielić, tak jak panowie powie-lacie swoje nagrania na owych fascynujących urządzeniach, każdy z was otrzymałby swoją własną złotą płytę...

- ...podnosząc efektywność pracy realizatora, obniżając koszty czasu studyjnego, zapewniając najwyższą jakość obróbki sygnału...

szeroką paletę...

Poczułem na ramieniu litościwą dłoń Andrzeja. Słowa zamarły mi w gardle.

Pan Hayakawa w namaszczeniu pomagał pani Orko zejść z mównicy. Światło sączące się z wielkich okien pod sufitem nie docierało do jego twarzy.

Pan Ikeda dumnie celował w odległą ścianę butelką szampana, przytrzymując korek kciukiem.

Kiedy wróciłem do reżyserki po moją afgańską taśmę, zastałem tam samotną postać Johna. Siedział pogrążony w myślach, z głową spuszczoną na pierś, z łokciami opartymi na poręczach fotela reżysera i splecionymi dłońmi. Na stole - pomięte kartki. Lista rzeczy, o które mieliśmy prosić...

Usiadłem cicho pod ścianą, długo patrząc na Johna i na barwne figury w sali balowej, widoczne przez półotwarte drzwi reżyserki.

Interludium

Skrzyp... trzask.

Skrzyp.

Budynek żyje, targany wiatrem znad wybrzeża. Z portu.

Przycumowany do swojej uliczki, nie odpływa. Lecz gdyby przeciąć mu cumy, może i by ruszył w swój pierwszy i ostatni rejs.

Skrzyp.

Na parterze uchylają się drzwi.

Wychyla się nieśmiało drobna, ludzka postać w szarej pelerynie, z szarym tobołkiem na plecach. Za nią następna. I następna.

Z wysokości czwartego piętra wyglądają jak portowe szczury.

Następny... I następny.

Otula się szczelniej płaszczem, przyciska do piersi żeliwny kociołek. Podnosi na chwilę twarz, jakby węszył, szukał potwierdzenia w wilgotnym, wschodnim wietrze.

Za nim - cały rząd szarych kształtów.

Kulą się pod smagającym wiatrem i deszczem, suną powoli, niepewnie, ale z determinacją, z jakimś poczuciem konieczności.

Idą gęsiego po wąskiej ścieżce, jak po trapie, łączącym budynek z portową uliczką. Zakręcają za zardzewiałą furtką i odchodzą w mrok.

Opuszczają okręt.

A może to nie okręt, tylko arka?

Ostatnia postać jest niska i nie ma tobołka.

Tylko rogi.

Mijając furtkę, odwraca głowę i mówi:

- Beee.

Rozdział Dziesiąty

w którym osioł wpada do bajora, a Tarento w kolczudze spotyka się z pazurem.

Poniedziałek, 26 lipca 1999

- Można się przyłączyć? - John wsuwa czuprynę, jakby zaglądał z zewnątrz przez okno pociągu. Martin podnosi twarz, od dłuższego czasu ukrytą w opartych na brzegu stołu rękach.

- Od kiedy pytasz o takie rzeczy; he? Andrew gotuje dziś jakieś tajemne kanadyjskie stworzenia, więc bądź gotów na naj-gorsze.

Ekipa LDK-owa posłusznie śmieje się, choć z lekkim przy-musem. Andrew wygraża szefowi żartobliwie pałką do miaz-

dzenia czosnku, po czym, podskakując na zdrowej nodze, dociera do szafki z miseczkami do ryżu.

- Gdybyś powiedział, tobym ci podała - ofukuje go naraz Akemi i wyjmuję mu pałkę z ręki. Siedzący w kącie Yoshi obrzuca ją niechętnym spojrzeniem, ale nic nie mówi. Trochę mu się nie dziwię, też nie byłabym najszcześniejsza, gdyby moja kobieta. . To znaczy — gdybym była mężczyzną. . To zresztą nie moja sprawa.

Używam całej swojej woli i przenoszę wzrok w inną część LDK. Postanawiam nie gapić się, nie analizować i nie interesować się perkusistami. I ich życiem osobistym.

Cisza i atmosfera ogólnego zmęczenia i jakiejś takiej... bez-nadziei. Chyba kiepski pomysł z tą misoschadzką dziś. John ciężko siada obok Martina, nawet nie wkładając swoim zwyczajem nosa i palucha do gotowanych potraw.

- Szkoda twojego miksowania, stary... Bardzo było dobre?

O, nie wiedziałam, że coś wcześniej pichcili; przysięgłabym, że nie widziałam w kuchence miksera.

- Był to absolutnie najmożliwiejklarowny miks. Ale to już bez znaczenia, prawda? Jak wszystko inne. - Martin chowa nos w kubku z herbatą.

-Jak się udał bal? - wtrąca nagle Kimi, poprawiając z lubo-

ścią papugę na głowie, postawioną tak bardzo pionowo, jak tylko pozwalają prawa fizyki.

Trzy pozostałe głowy odwracają się niechętnie w kierunku Martina, ale ten tylko wzrusza

ramionami.

- Normalnie... Znaczy, beznadziejnie... He, he ~ mruczy wisielczo.

Czuje się chyba trochę winny — Kimi z Tomo ustawiali i układali pieczołowicie wszystkie elementy dekoracyjne, Chie prasowała jakieś niekończące się zasłony (czyli NeverEnding Story), Rie drapowała je później fantazyjnie, a nie dane im by-

ło nawet zobaczyć reakcji Szefowej... Mnie nie interesowała specjalnie jej mina po spożyciu mojej koktajlowej przekąski, do której zupełnym przypadkiem znalazłam w lodowce prawdziwy skarb, czyli zielone oliwki.

- He, he - potwierdza John na wszelki wypadek.

Milkniemy i jakoś nikt nie ma ochoty spojrzeć nikomu w oczy. Szkoda, że koza nie mogła przyjść na *miso*. Ona też nie słucha, ale przynajmniej patrzy. Śmieszne - nie widziałam jej dziś na podwórku...

- Gotowe - Andrew w podskokach wydobywa się na salony - ale niech ktoś się zajmie przyniesieniem, co? Bo płynne elementy źle znoszą transport w stylu kangurzym. — Chichocze. Chyba on jeden ma dziś dobry nastrój.

—Jak tam twoja kostka, kuchmistrzu? - zagaduję, zarabiając ostrzegawcze spojrzenie od Akemi.

- Nk tak źle, już trochę mogę stawać... Miałaś rację, to tylko lekkie skrzywienie. Ale. co ja przeszedłem wczoraj. Poi godziny bocianowania na tym korytarzu.. Myślisz, że zauważyła?

- Co to pływa dziś w *miso*? — Zmienia temat Tomo.

Nikt mu jednak nie odpowiada, bo w uchylonych drzwiach pojawia się stopa, za którą wślizguje się postać. Hayakawa-san?

Przyszedł na misoschadzkę? Niesamowite.

Nie tylko ja jestem pod wrażeniem. Martin wygląda, jakby miał wstać i się uklonąć.

- Ekhm... nie przeszkadzam, mam nadzieję... Nie, niech pan Martin siedzi. Chciałem tylko zaproponować... wspólne spotkanie. . ekhm.. pracowników i.. mieszkańców studia Yokohama. Nieformalne.

Robi znaczącą pauzę. Czekamy cierpliwie, aż weźmie oddech i znów podniesie na nas wzrok.

- Proponuję jutro w porze lunchu... W studiu C. Musimy omówić strategię na czas wizyty szanownych reporterów z te lewizji.

Tonacja opada, John bierze to za koniec przemowy i wtrąca: - Czy to nie może poczekać do... powiedzmy, weekendu?

Przez ostatnie... hmm... przygotowania do przyjazdu pani Orito mamy spore opóźnienia w nagraniach...

Nie pomagają ostrzegawcze spojrzenia Martina. John wyczekującym wzrokiem wpija się w pana Hayakawę.

- Tak... a zatem jutro o dwunastej piętnaście. Nagrywanie reportażu przewidziane jest na dwudziestego dziewiątego lipca roku jedenastego ery Heisei.

- Ależ to najbliższy czwartek! Jak to, przecież...

- Liczę na owocną współpracę. Życzę udanej... udanego wieczoru. Dobranoc.

Osiem słupów soli ożywa i zaczyna zbierać szczęki z tatami.

Puk, puk.

- *Come in*\

— Mówi się „kto tam” - powiedziałem, rozsuwając drzwi.

Andrzej leżał *na futonie*.

Nigdy nie byłem w jego mieszkaniu. Poprawka - byłem, ale wiele lat temu, kiedy mieszkał tu ktoś inny.

- Przyniosłem ci coś do czytania z biblioteki. I pomarańcze.

Świeża dostawa do LDK, Hayakawa specjalnie zamówił. Dla rekonwalescentów tego radia.

- Nie trzeba było... - Andrzej zaczął wstawać.

- Ani mi się waż! Leżeć kazał Doktor Tabashi? To leż. Jeść ka-zał pomarańcze, bo zawierają witaminę C? To wsuwaj. Tu ci po-

łożę, *kolo futonu*. A to jest...

- „Tytus, Romek i Atomek”!!!

- Andrzej, czy ty tylko studiowałeś w Polsce, czy się tam wy-chowałeś?

- Księga V! Z wannolotem!

- Chyba właśnie odpowiedziałeś...

- Nie, ja naprawdę tylko studia, pięć lat! Prawie pięć. Skąd Tytus w bibliotece? I gdzie jest biblioteka?

- Na czwartym piętrze. Kiedy już będziesz zdrowy jak koza, pójdziemy tam wieczorem, po nagraniu. Każdy coś przynosi, to się zebrała niezła kolekcja. Ja też kilka rzeczy dorzuciłem, lata temu, z takiej jednej walizki...

Andrzej zniknął ze świata żywych, zatopiony w prozie Papcia Chmiela. Gdyby był Latarnikiem, statki wpadałyby masowo na rafy.

Usiadłem na tatami i rozejrzałem się po pokoju.

Przydział standardowy - sześć mat. W poprzednim życiu powiedziałbym: dziesięć metrów kwadratowych. Może ciut więcej, jeśli dodać płytką alkową, o wartościach bardziej estetycznych niż użytkowych. O ile pamiętałem, kiedyś wisiała tam japońska kaligrafia — teraz kalendarz firmowy Sumitomo Chemical. Strona czerwcową. Z artystycznie falującymi łanami zboża. Idiotyzm.

Muzycy mieszkający w Części Hotelowej w trakcie dłuższych sesji zwykle zostawiali coś po sobie, odciskali swoje piętno na zaj-mowanych pokojach. Od plakatów idoli (często ich samych), przez samoprzylepne wieszaki na ręczniki w kształcie różowych misiaczków (pozostałość po jakiejś wokalistce, czyli *tarento*), aż po dziurę między pokojami do podawania sobie piwa (to w przypadku zespołu Shaku8, który został z hukiem wywalony przez Hayakawę w środku sesji. W roku dziewięćdziesiątym trzecim, o ile pamiętam).

U Andrzeja - nic. Surowo i pusto, jakby pokój w ogóle nie był

używany. Nawet żadnych drobiazgów po kątach, nie licząc stojaka do suszenia ubrań pod oknem i... a, tak. Coś jednak było. Na szafce, koło telewizora — zdjęcie młodej dziewczyny, urody, na oko, słowiańskiej, w prostej ramce.

Ramce przeciętej w rogu czarną wstążką.

Postanowiłem nie pytać.

- Monika - wyjaśnił Andrzej. - Dziewczyna, którą poznałem w szkole średniej. Przyjechała do Kanady na wymianę, jakiś program młodzieżowy... Zakochałem się w niej po pachy.

- Po uszy - poprawiłem.

- Po uszy, więc wróciła do Polski, a ja zdałem maturę, pojecha-

łem tam na studia. Anglistyka. To był jedyny kierunek, na który mogłem wtedy zdać, nie mówiąc po polsku. Przez cztery lata wszyscy wkuwali angielski, a ja — polski... Chciałem, żeby nasze dzieci mówiły po polsku. I śmiały się z „Ucz się Jasiu”...

- To może jednak pomarańczę? Zgodnie z przykazaniami pana Tabashiego?

- Studiowała psychologię... Po skończeniu studiów mieliśmy się pobrać. Nawet jej rodzice mnie lubili. Głównie tata, bo mama...

- Witamina C w pomarańczach to na naczynka krwionośne w okostnej czy jakoś tak. Doktor Tabashi mi mówił.

- Zmarła w wyniku infekcji po nieudanej operacji przegrody nosowej. Prosty zabieg, ale lekarze coś... popieprzyli...

- Spieprzyli.

- Spieprzyli.

Zapadła cisza.

- Dlaczego właśnie Japonia? — Nie cierpię tego pytania, ale sa-mo wyszło mi z gardła, wcale nie prosząc o pozwolenie.

- Daleko od domu. I od...

- Polski? Od wszystkich miejsc, gdzie...?

Nie odpowiedział.

- Poszukam ci jeszcze kilku książek - powiedziałem, wstając.

- Nie, zostań... Jak się czujesz?

- Dziękuję, doskonale. A będzie jeszcze doskonale, jak mnie poczęstujesz herbatą... Nie, nie wstawaj! Andrzej, ty masz leżeć, rozumiesz? Zaparzyć ci kubek?

Wziąłem się za rozszyfrowywanie zawartości wnęki kuchennej, co nie było trudne, jako że łyżeczki okazały się zamieszkiwać jedyną szufladę, a kubki — jedyną szafkę nad zmywakiem. Z herbatą było trudniej, ale znalazła się po minucie szperania w metalowym pudełku po herbatnikach.

- Martin...?

- Tak? — odpowiedziałem, włączając gaz pod czajnikiem i za-stanawiając się, czy była to właściwa odpowiedź.

- Przykro mi, że ci się nie udało z panią Orito.

- MNIE się nie udało...?

- No, bo mieliście z Johnem wszystkie te prośby i propozycje, a ona chyba nie słuchała...

- Szanowny rekonwalescencie - powiedziałem oschle, nalewając wrzątku do kubków. — Pani Orito jest właścicielką dwudziestu trzech firm. W tym pięciu sklepów z instrumentami, czterech ni-szowych rozgłośni radiowych w różnych miastach, sieci szkół

muzycznych dla dzieci oraz stacji benzynowej na Shikoku. Gdyby się chciała angażować w detale techniczne każdego biznesu...

Rozumiesz. Lepiej pij herbatę, póki gorąca. Może pomarańcze są dobre na tę całą okostną, ale herbata jest dobra na... wszystko.

Męczący czas. Wracam do siebie, z kawą w moim ulubionym dużym kubku. Czarną jak ta noc. Jeszcze nie pora na sen, Trzeba przygotować na jutro trzy utwory, zmienić intro w „Rain and shame” zgodnie ze wskazówkami pana Hayakawy...

Naraz słyszę.. coś. Jakby pukanie kogoś, kogo przez pomył-

kę zamknięto w pokoju. Drugie piętro? Chyba tak. Schodzę na dół, slalom pomiędzy statywami, które jutro mają wrócić do wczorajszej Sali Balowej. Stukanie to się nasila, to cichnie. Ciekawe, kto się zatrzasnął i gdzie... Próbuję sobie przypomnieć, kto był nieobecny na *miso*, ale sama byłam trochę nieobecna, ciężko przywołać twarze.

- Hello? Już idę! Jest tam kto? - wołam półgłosem, bo stukanie umilkło.

- Hello...? - dodaję niepewnie.

W odpowiedzi rozlega się... chichot.

- He... llo...

Wrosłam.

Wdech. Wyyydech. Wdech.

Odwołując się do własnego rozsądku (gdzieś przecież musi być), odrywam siłą woli korzenie od podłogi i robię krok. Drugi i trzeci. Zaraz, nie powinnam wstecz, tylko do przodu... Pukanie znów się rozlega, niecierpliwe, głośnie. Już nie jestem ta-ka pewna, czy chcę uwolnić to, co stuka.

Ejże - przywołuję się natychmiast do porządku. Wchodzę w mały boczny korytarzyk; ciekawe, gdzie tu się zapala światło.. Fffuuuhhh.... wydech. Kładę dłoń na ścianie i, trzymając rozsądek za ogon i poskramiając wyobraźnię, sunę ręką po ścianie powoli, aż natrafiam na włącznik.

Parskam śmiechem. Przy końcu korytarzyka otwarta okien-nica jednego z niewielu przezroczystych w tym budynku okien rozpaczliwie stuka o framugę. Wiatr chwilowo cichnie, drewno chichocze i jęczy. Podchodzę i już mam zamknąć, gdy natrafiam na czyjś przerażony wzrok.

Wdech. Wydech. I... uśmiech. Mój.

-Już w porządku, przepraszam za hałas! - Macham do babci z naprzeciwka, która z butelką wody w rękach stoi przed do-mem. Obok niej ustawionych jest już z dziesięć podobnych, pełnych (i otwartych) butelek. Babcia patrzy jeszcze chwilę, Ale kiwam głową uspokajająco i chwytam za okiennicę. Stawia butelkę z wodą i znika w domku.

Zamykam starannie haczyk i, śmiejąc się sama z siebie,^e swoich nocnych strachów, wracam. Wyciągając rękę do wyłącz-nika, zauważam na poczerniałej ze starości ścianie... graffiti?

Dom wariatów. Hmm, całkiem trafne. A tu coś po japońska.

The House of the Rising Gaijin. Hi, hi, ciekawe czy Martin wie o tym miejscu. *Now you live in Japan..*, średnio odkrywcz. *Kenji, ty świni*o i obok rysunek zwierzęcia. To graffiti terapeutyczne chyba... *Nienawidzę perkusistów* — uuu, bratku, teraz to ją cię. .

O, ogłoszenie: *Kupię mikrofon pojemnościowy, Yokohama I-chōme.*

Pod spodem po angielsku: *Nnnie bbboję sssię ddducha.* Chyba ktoś przeżył tu coś podobnego jak ja. Jakieś dziwne znaczki, któ-

rych nie umiem rozszyfrować.

Tabasbi-san chyba zbyt często się tu nie zapuszcza. Widząc to, dostałby ataku serca... a już z całą pewnością kazałby któ-

remuś z nas wyszorować tę ścianę przed wizytą Szanownej Szefowej. Wtedy chyba nawet karaluchy dostały polecenie wzięcia kąpeli i odkurzenia jamek...

Pociągam łyk zimnej już czarnej kawy i szykuję się do opuszczenia historycznego miejsca. Nie powinnam czarnej na noc, przydałaby się odrobina mleka...

I nagle ta szczeniacka myśl.

Rozglądam się, jakby w obawie, że ktoś może mnie nakryć.

Znad przypadłogowej listwy odłamuję kawałeczek tynku. Ja-sną stroną dopisuję pod spodem swój kawałek Historii.

Tolong tamba susu.

Puk, puk.

- *Come in*\ — Wybrałem angielski, bo Japończyk by nie pukał, tylko zawołał *Sumimasen!*, a Andrzej by przykuś-tykał, podczas kiedy zbliżające się przed chwilą kroki były dziarskie i równe.

Drzwi rozsunęły się nieznacznie, ukazując chwiejącą się w przeciągu papugę, a pod nią resztę Kimiego.

To nie była wściekła, buńczuczna papuga sprzed miesiąca. Od-rastały jej korzonki, a fantazyjne wybuchy nad uszami straciły dawny blask.

To była ex-papuga.

Kimi szczerzył się pytająco.

Wyłączyłem telewizor i wykonałem gest zapraszający na pokoje.

Czułem, że stało się coś ważnego - osobiste odwiedziny w mieszkaniu są w tym kraju rzadkością. I nawet domyślałem się, w czym problem: w nadchodzącej wizycie ekipy Fuji TV

Ale najpierw kapcie gościnne i formalności, czyli japoński od-powiednik zapytania o

zdrowie rodziny.

- Chcesz pomarańczę? Właśnie sobie obierałem... Poczęstuj się. Nie? Na pewno? A może jednak? Nie krępuj się, mam dużo...

Są naprawdę dobre. Zachęcam.

Wziął w końcu, podziękował i zgrabnie rozciął skórkę pomalowanym na czarno paznokciem. Poszukał wzrokiem pudełka z chusteczkami, znalazł je pod *kotatsu*, po czym rozpostarł jedną na blacie, starannie odkładając skórki.

Gdyby reszta zbuntowanej młodzieży tego świata była tak zbuntowana, nie mielibyśmy wojen i rewolucji.

-Jak leci? - zapytałem, wycierając palce w chusteczkę.

Przeszedł na japoński:

- Wygrałem konkurs męskich *tarento* prefektury Ibaraki.

- Gratuluję.

Zapadła cisza. Czekałem w nadziei, że ta fascynująca informacja do czegoś prowadzi.

- Miałem szesnaście lat - wyjaśnił.

- Ja też kiedyś miałem - pomogłem.

- A teraz śpiewam dużo lepiej, bo trenowałem.

- Trening czyni mistrzów — zachęciłem. — I...? -

John-san nie rozumie mojego talentu.

- Witaj w klubie.

- On jest... trochę.

- Tak, John jest trochę trochę - odpowiedziałem, w pełnym uznaniu dla bogactwa semantycznego słowa *chotto* — „trochę”.

W tym wypadku oznaczającego, że John jest *chotto* dziwny. W sen sie — pozwala sobie na *chotto* za dużo.

Kimi z zakłopotaniem rozglądał się za koszem na śmieci. Pomogłem - był schowany za kolumną głośnikową. Wstał i wyrzucił

skórki pomarańczy.

Otrzeptał ręce i jako wyraz buntu przeciwko rzeczywistości wsadził je, ściśnięte w pięści, do kieszeni jeansów. Starannie po-ciętych żyłką na kolanach.

Stał pod ścianą, zwrócony w moją stronę, kołysząc się na piętach. Myślał.

-Ja nie chciałem iść z kapelą do studia. Wiedziałem, że tak bę-

dzie. - Popatrzył na mnie wyzywająco, jakby oczekując, że będę zaszokowany. Dziesięć lat obserwowania technik kozetkowych nauczyło mnie tego i owego, więc uniosłem brwi i uśmiechnąłem się lekko, przyzwalając, wyobrażając sobie, że jestem panem Tabashim.

Zadziało.

- Nikt się na nas nie poznał. Studio to skostniały świat starsze go pokolenia, które nas nigdy nie zrozumie!

- *Chotto* — powiedziałem.

Kimi się speszył.

- Eetoo... Oczywiście, Martin-san nie jest stary... Ja tylko chciałem...

- Powiedzieć, że John-san cię nie docenia? Że... - Kilka pomy słów na reaktywację Bosa dostrzegło światelko nadziei i ustawiło się w kolejce do moich strun głosowych: - Że lepiej było, kiedy ja... - Przygryzłem język, bo na sam przód kolejki bezczelnie przepychało się łokciami pytanie: „W co ja się właściwie wra-biam?”. A za nim: „Czy podstawą przeżycia w japońskiej firmie nie jest przypadkiem LOJALNOŚĆ...?”. - Kimi... lepiej opowiedz mi, co się stało.

- Nic się nie stało. — Wzruszył gniewnie ramionami.

- To opowiedz o tym, co się nie stało. Konfuzja w skośnych oczach. Nie zrozumiał. Czekałem cierpliwie, jakby to zrobił pan Tabashi.

- John mi kazał śpiewać w łazience! - Wściekł się Kimi. -

Wszystko od nowa, chociaż nagrałem świetny wokal! Jak zawsze!

- A. I to cię... zdenerwowało?

-Ja się nie denerwuję!!! Ja jestem artystą! Artyści nie śpiewają w łazienkach, tylko na scenie! *BAKA* -JA? Głupi...?

- Nie, John-san...

Westchnąłem.

- Kimi... John jest znakomitym dźwiękowcem. Ma fantastyczne ucho. I wie, że żadna aparatura nie zastąpi naturalnego pogłosu. Nasze *ofuro* ma piękny pogłos. Często tam nagrywamy. Kiedyś nawet samego... - zawiesiłem głos - Toshi Deyama.

Kimi wyglądał, jakby chciał paść na tatami i całować moje kapcie.

- X-Japan...? — zapytał głosem nonszalanckim, pilnie udając, że nie zrobiło to na nim większego wrażenia.

- Nie, samego Toshi. W dziewięćdziesiątym siódmym, zaraz po rozpadzie X-Japan. Taki mały, akustyczny projekt... Nie wydał tego w końcu, ale nagraliśmy cały wokal w *ofuro*. Jak będziesz dziś brał

kąpiel, przyjrzyj się dwóm okrągłym, metalowym siateczkom pod sufitem, zaraz nad wanną. Za nimi montuje się mikrofony. Po sesji je wyjmujemy, bo nie lubią wilgoci... Naprawdę używamy *ofuro* jako kamery pogłosowej od lat. Inne komercyjne studia też. Nawet w słynnej Abbey Road...

Przerwałem, bo Kimi zwiesił papugę i wyglądał przepraszająco.

Wstałem zrobić mu herbaty. Każdy może się czasem pomylić.

Czwartek, 29 lipca 1999

Jeśli Ikeda nie naprawi tego klimatyzatora, to mu zamaluję okulary pastą lutowniczą.

Przewróciłem się po raz czterdziesty, a razem ze mną reszta klejącej się od potu pościeli.

Z tej pozycji widać było mrugające czerwienią diody budzika.

Pierwsza dwadzieścia trzy. Czwartek. Co miało być w czwartek?

Aha, ta piekielna ekipa telewizyjna. Czyli, według niedopowiedzianych sugestii pana Hayakawa z wtorkowej narady zespołu, zbawienie i ostatnia deska ratunku: darmowa reklama dla naszego studia. A wszystko dzięki naszemu Y2K - temat końca wieku był

ostatnio w TV super gorący. Nic dziwnego, że gdy usłyszeli o zespole z tak medialną nazwą, postanowili zrobić nam najazd.

Fajnie. Trzeba się cieszyć. Ciekawe, jak wyjdę na ekranie z oczami przekrwionymi z niewyspania.

Spróbowałem liczyć kozy, a potem dla podniesienia ducha gwizdać w myślach marsz pogrzebowy z trzeciej symfonii Beethovena.

Zamiast tego pod czaszką grało mi intro do „Tōtaru Desutorakushon”. Duch się od tego nie podnosił.

Wstałem, odklejając od pleców prześcieradło.

Drzwi na podwórko zaskrzypiały upiornie. Powstrzymałem oddech, ale Radio Yokohama spało. Kiedyś pierwsza rano była godziną wyętej pracy we wszystkich trzech studiach na raz.

Kolejki do maszyn z kawą i arinaminem, gitarzyści walący głową w ścianę po kolejnym nieudanym teju, pod ścianą korytarza rząd śpiących ciał w śpiworach, pan Ikeda cwałujący z zapasowym ka-blem, producent rwący sobie włosy z głowy w LDK...

To były czasy.

Zamknąłem drzwi i zadarłem głowę w poszukiwaniu księżyca.

Księżyc nie znalazłem, tylko ciemną sylwetkę na balkonie. Na tym, na który nigdy nie udało mi się dotrzeć, chociaż miał drzwi.

Czwarte piętro. Drzwi od balkonu widać było od strony podwórka, ale żaden korytarz na czwartym do nich nie prowadził. Zawsze myślałem, że są ślepe, zamurowane od drugiej strony.

Amanda alpinistka? Albo raczej Radio Yokohamistka?

Nie - mężczyzna. Hirō, sądząc po fryzurze.

Siedział na balustradzie i czytał książkę, świecąc sobie latarką.

Dziwne, że nie usłyszał skrzypienia drzwi.

- Hej! — zawołałem cichutko.

- HEJ! - zawołałem głośniej.

Upuścił latarkę. Spadła na trawnik, robiąc mokre PAC u moich stóp.

Podniosłem małe, plastikowe pudełeczko, takie na dwa paluszki.

Nadal świeciło. Zamachałem.

- Rzucić ci?

- Nie, zejść...

- Dobra. Zaraz, czekaj... Wejść tam na górę! Tylko jak?

- Z siłowni korytarzykiem do magazynku, potem drzwi do biblioteki... Nie otwieraj ich. Po prawej jest stary kominek... Popchnij go po prostu. To tylko atrapa...

- Hirō... - zacząłem, ale machnąłem ręką i ruszyłem do budynku.

To była chyba najdłuższa wypowiedź w historii naszego basisty.

A skąd on zna przejścia, których nie rozgryzłem przez dziesięć lat, to się zaraz dowiemy.

Wspiąłem się na drugie i wjechałem windą na czwarte, z nadzieją, że Ikeda nasmarował mechanizm - ostatnio zgrzytała niemiłosiernie.

Nie nasmarował.

Ktoś będzie to komentował jutro, nie, dziś w LDK, skarżąc się na niewyspanie przed wielkim dniem. Czyli najazdem telewizji.

Wysiadłem, dotarłem do głównego korytarza skrzydła północnego, w prawo, dwa schodki, odnoga do starej siłowni, wąski korytarzyk, magazyn, drzwi do biblioteki... No, faktycznie.

Dlaczego nigdy tego nie zauważyłem? Dziesięć lat tu mieszkam...

- Cześć Hirō.

- Cześć, Martin-san... Dziękuję za latarkę...

- Drobiazg. Nie zepsuła się. Co czytasz?

- A, taką starą książkę z biblioteki...

- A skąd wiesz, gdzie jest biblioteka?

- Eetoo.

- Aha. A skąd wiedziałeś, że w siłowni była siłownia? Przecież maszyn nie ma tam od lat.

- Eetoo.

- Pokaż tę książkę.

Odruchowo otworzyłem ją tam, gdzie japońskie książki mają pierwszą stronę, a europejskie - ostatnią. To była ostatnia. Wró-

ciłem do pierwszej. Czyli - naszej pierwszej. Włączyłem latarkę.

Isoppu Monogatari — Bajki Ezopa. Wydanie z roku czwartego ery Shōwa², w dwóch językach - na stronach parzystych po angielsku, na nieparzystych po japońsku. Z takich małych, oprawionych w płótno książeczek wydawnictwa Kenkyusha próbowało się uczyć angielskiego po wojnie całe pokolenie Japończyków... Hayakawa zostawił w bibliotece imponującą kolekcję klasyki literatury europejskiej.

Ale ta książka nie należała do Hayakawy.

Na stronie drugiej wpis: „Dla mojego kochanego Hirō Ishizuka”.

Podpis nieczytelny.

I spłowiła, okrągła pieczętka Radia Yokohama.

- Hirō...? Skąd... - podniosłem głowę znad książki.

Nie było go.

Zniknął jak duch.

Siadłem na poręczy balkonu.

Zacząłem czytać:

„Osioł i Żaby.

Pewnego dnia Osioł szedł przez bajoro z ładunkiem drewna przywiązany do grzbietu, kiedy poślizgnęło mu się kopyto i wpadł do wody.

21 1930

- Pomocy! - wołał nieszczęsny Osioł, wierzgając i chlapiąc nogami. Kłody były jednak tak ciężkie, że nie mógł wstać i narzekał

tylko głośno.

- Co za niemądry osobnik — powiedziały Żaby. — Podnosić ta-ki raban o małe spotkanie z wodą! Co byś powiedział, gdybyś musiał w niej siedzieć cały czas, jak my?

Osądzamy innych na podstawie siebie samych"22.

Nikt nie zauważył, kiedy przyszli. To znaczy zauważył pan Tabasbi, bo im otworzył. Wchodzi jakiś zmarszczony do reżyserki studia A, gdzie razem z Martinem i Rie pakujemy zamierzczone dema do drewnianego pudła, a Ikeda ukrywa (to znaczy przykleja taśmą izolacyjną) kable pod stołem mikserskim. Zespół

chowa futerały z gitarami do pakamery, a Yoshi wynosi swój werbel, obejmując go czule.

Tabashi-san anonsuje krótko:

— Ci państwo już są. - Po czym ulatnia się szybko i nie-odwołalnie.

O looosie.

Wchodzi jakaś dziwna trójka.

Nie pamiętam, żebym przeżyła aż taki szok, gdy po raz pierwszy zobaczyłam Y2K. Serio. Oczekiwałam chyba kogoś w rodzaju. . arcypoważnych profesjonalistów. Tymczasem kobieta kojarzy mi się raczej z nocną profesją (jak inaczej można wytłumaczyć fakt, że nieznanego sobie, w dodatku starszego pracownika studia klepie po plecach i ruchem blondgłowy daje do zrozumienia, żeby się przesunął zza stołu? A gdzie ukłon, na litość???). Natomiast dwóch stojących za nią mężczyzn przypomina mi... grupę cyrkową.

22Tłum. z języków różnych Marcin Bruckowski.

Wyyydech.

już dobrze, mówię sobie. *Peace*. Ommmm....

— Pani skończyła już sprzątać? To dziękujemy — mówi ten

w podkoszulku w miliard kolorowych kółek. Idiotycznych, ale hipnotyzujących.

Ten drugi, głuby, w czarnej, przepoconej koszuli, wskazuje mi drzwi.

Patrzę z niedowierzaniem na Andrew, któremu górna warga wygięła się w rożek i niebezpiecznie podąża w górę, w kierunku ucha. Jeszcze chwilę i zacznie warczeć, słowo daję, — Ja tu nie sprzątam... - mruczę niepotrzebnie, bo on już dawno nie słucha.

Biorę pudło i, wychodząc, rzucam spojrzeniem na Martina. Jest dziwnie spokojny. Jakby go to. . nie obchodziła Chyba tu wrócę, bo w razie czego. . Przecież ci z TV nie wiedzą, jak on reaguje na Obcych w swoim królestwie. Andrew natomiast wie, toteż nic rusza się z miejsca, mimo że ten w czarnym prawie pozbawia go gło-wy, zarzucając sobie na ramię statyw, prawie tak gruby jak On sam.

Jakby nie dość tego, patrzy na niego wrogo. Andrew odwzajemnia spojrzenie, podnosząc wargę o kolejne dwa milimetry. Do wyrazu oczu dodając dwie łyżki niesmaku. Grubas odwraca głowę.

Jeden zero dla nas.

Na wizytówce było napisane dziennikarka, a na twarzy - idiotka.

Poniżej twarzy też. Biała, skórzana kurtka w sre-brzyste esy-floresy, z wielkim, sterczącym kołnierzem; biała, ska-jowa minispódniczka, białe kozaczki oraz białe i tak dalej.

Rie i Chie robiły to przynajmniej dla zabawy. Od święta. Tutaj - codzienny mundur telewizyjnego Tarento.

Podeszła za blisko, wionąc drogą perfumą i papierosami. Bluzka z czegoś srebrnego i błyszczącego, jak kolczuga. O ile kolczugi mogą mieć wielki dekolt.

Zamrugła powiekami wymalowanymi równie srebrzyście i migocząco jak bluzka.

Cofnąłem się o krok i mimowolnie wzdrygnąłem.

Postanowiłem się nie uprzedzać i prawie by mi się udało, gdyby Tarento nie rozwarło pomalowanych białą szminką usteczek i, poprawiając zaszczeplone na czubku głowy ciemne okulary, nie zaszczebiotało głosem przedszkolaka ze średniaków: - Slicne guzički i pokłetełka, plawdaaa? Takie wiziualne, plawda? To ja światelka poplosię...

Gruby Japończyk z przetłuszczonymi włosami i zabójczym wąsikiem chwycił szafkę ze

sprzętem i zanim zdołałem coś powiedzieć, szarpnął, wyrywając śruby mocujące ją do podłogi - na wypadek trzęsień ziemi. Niezrażony, przesunął całą o pół metra w lewo, robiąc miejsce dla statywu z reflektorem.

Otworzyłem usta. I zamknąłem je znowu. W głowie dzwięczało mi słowo *chansu*. Wypowiedziane przez pana Hayakawę chyba sześć razy w czasie wtorkowej przemowy do załogi i klientów.

Szansa dla Radia Yokohama.

Chansu — pomyślałem, kiedy Wąsik przemeblował mi reżyserkę, nie oszczędzając nawet monitorów, których precyzyjne usta-wienie na statywach, tuż za brzegiem stołu mikserskiego, zajmuje godziny. Miało być bardziej wizualnie. Monitory - symbol profesji realizatora - nie są widać wizualne.

Chansu — powiedziałem sobie, kiedy zasłonił białym ekranem szafkę z faksem, ekspres do kawy, stolik z notesem Andrzeja i całą resztę tak charakterystycznych dla każdego studia mebli. Bo mu wchodziły w kadr.

- *Chansu* — wycedziłem przez zaciśnięte zęby, kiedy wyciągnął

spod stołu mikserskiego pęk kabli i udrapował go artystycznie na podłodze, jako że w studiu muszą być kable. Szczególnie tam, gdzie realizator by się o nie co pięć minut potykał.

- Łapska precz od mojego kubka! — krzyknąłem, kiedy zabrał

się za czyszczenie studia ze wszystkiego, co w jego pojęciu było niestudyjne.

社長。

Krzyknąłem chyba za głośno, bo kubek wypadł mu z rąk.

W wyobraźni widziałem siebie samego, dającego w zwolnionym tempie ogromnego susa i łapiącego mój ukochany kubek, zanim uderzy o podłogę.

W rzeczywistości stałem oniemiały, jakby zamrożony, kiedy ru-nął i rozbił się na drobne kawałki.

Mój kubek.

Prezent od pana Hayakawy z okazji czterdziestej rocznicy Radia Yokohama. I mojej promocji na starszego realizatora. Siedem lat temu.

Granatowy kubek z białym napisem

Szef. Boss.

Chansu. Chansu, chansu, chansu...

Dziewczyny wchodzą, szczebiocząc. Za nimi Y2K W

pełnym składzie. Wszyscy milkną i stają rzędkiem za szybą, dziewczyny trochę na uboczu, bo nie do końca określono im ich rolę. Gruby po prostu bezceremonialnie wepchnął

wszystkich do środka i powiedział, że zaraz przyjdzie kamerzysta. Więc stoją.

Czuję narastający niepokój za szybą, w studiu, i narastający chaos w reżyserce.

— Tego się nie da przesunąć. . — słyszę słaby jęk Martina. Wy-chylam się bardziej i widzę tego z psychodelicznymi kółkami na piersi, którą to piersią próbuje na klęczkach staranować nie-dużą szafkę z taśmami. Szafka jest oczywiście przykręcona na stałe do podłogi, na wypadek trzęsienia ziemi. Martin ma wy-pieki na twarzy, pewnie od słuchawek wielkich na pół głowy.

Dziwne, nigdy nie widziałam, żeby nagrywał w słuchawkach.

Niesamowita. Trójka kręci się po reżyserce, przedstawiając część rzeczy, część przysłaniając — i nagle zaczynam się zastanawiać, czy kiedykolwiek jeszcze będziemy w stanie tu cokolwiek nagrywać... A, tu cię mam - fukam na siebie w myślach.

- Samolub jestem. Nie znoszę tych ludzi, ich pracy, bo zakłócają moją własną. Że też wcześniej na to nie...

— Ten pan musi mieć mikrofon. Przynieść mu proszę jakiś

duży i najlepiej ze złotym sitkiem — mówi ta kobieta, wskazując na Martina jak na przedmiot i kierując się w stronę Andrew, który nadał trwa na posterunku.

"— W reżyserce nie używamy mikrofonu ręcznego. Jest taki przycisk, o ten... Tak, oznaczony wiewiórką. Po jego naciśnięciu można łatwo komunikować się z osobami w studiu - wyjaśnia chłopak cierpliwie. Martin nie słyszy, odizolowany słu chawkami.

Nie czekając na zaproszenie, Grubas naciska wiewiórkę i dmucha ile sił w płucach.

Słuchawki leżą na podłodze, a Martin łapczywie chwyta powietrze. Podmucha powietrza

prosto w bębenki poderwał go z krzesła, które obróciło się wraz z nim o 45 stopni.

—Jakoś kiepsko słyszeć,.. - burczy gruby.

— Nj... - mówi Martin błagalnym głosem, ale Andrew wy

wraca oczy do sufitu i wychodzi z reżyserki z długim, głośnym, syczącym wdechem przez zęby. Wraz z nim wychodzą ludzie z telewizji.

Przez szybę widzimy (nie wiem, czy do Martina dociera coś jeszcze, ale na wszelki wypadek też wlepia wzrok w szybę), jak panowie machają rękami do chłopaków, którzy już zdążyli rozstawić się w kabinach. Gruby rozstawia swoje statywy i przynosi dwie kamery. Patrzę na Martina wyczekująco. Załapał.

Włącza odsłuch.

— . .się w kadrze! Panowie wyjdą i staną razem. WYJDA

PA

NOWIE!!! A to niepotrzebne - mówi ten z kółkami i jednym ruchem ręki zdiera przed głównego mikrofonu osłonkę an-typlujną. Czyli pończoszkę. I kładzie ją na podłodze przy ścianie. Martwieję.

Andrew jeszcze tego nie zauważył, bo odbiera instrumenty i zgodnie ze wskazówkami piszącej pani ustawia chłopaków w przedziwnych pozach. Ruszają się jak muchy w smole. Ten z kółkami trąca statyw dużego mikrofonu, nadeptuje na niego właściwie, i w reżyserce rozlega się seria wybuchów.

Martin przytomnieje z lekka i ściąga suwak odsłuchu, jedną ręką zakrywając ucho, a drugie przyciskając odruchowo do ramienia.

Kobieta srebrnym paznokciem wskazuje kapcie dziewczyn (od jakiegoś czasu solidarnie z innymi noszą kapcie, od porządków przed wizytą Szefowej, gdy wykałaczkami reperowaliśmy dziurki w tatami) i zanoszą się równie srebrnym chicho-tem, po czym poważnym głosem poleca je zmienić. Na obcasik albo kozaczek, panienki wiedzą, co to takiego, nieprawdaż? Żeby było *sweet* i *kawaii*. Hi, hi, hj.

Wychodzą, przejęte. To w końcu telewizja... Każdemu zależy, żeby dobrze wypaść.

- Czy ma pan słuchawki?! - wrzasnął do mnie wąsik, aż się odruchowo cofnąłem o pół metra. - Słuchawki.

SŁUCHAW-KI!

- Proszę nie krzyczeć. Tak, oczywiście, mamy. Muzycy nagrywają w słuchawkach, natomiast...

- Proszę je włożyć. WŁO-ŻYĆ! - Zaczął pokazywać na migi.

- Proszę pana, ja naprawdę rozumiem po japońsku. Tylko że realizator dźwięku nie pracuje w słuchawkach, one są dla muzyków. .

- Na głowę. NA GŁO...

- . . a te, które pan zabrał Yoshiemu, to są słuchawki izolacyjne firmy Vic Firth, specjalnie dla perkusisty, dlatego takie wielkie, i realizator wygłądałby w nich idiotycznie...

Wąsik rozciągnął słuchawki, aż zatrzeszczały, i ruszył w moim kierunku.

Chwyciłem się ostatniej deski ratunku w postaci Akemi, która właśnie weszła do reżyserki z Andrzejem.

- Akemi, błagam, wytłumacz panu reżyserowi, że realizator dźwięku w reżyserce nie nosi słuchawek. Natomiast muzycy noszą, więc Kimi wygląda tam idiotycznie bez słuchawek. Jak na karaoke u cioci na imieninach, a nie w studiu...

Akemi wzniosła oczy do sufitu, westchnęła i dokonała Meta-morfozy. Z oczu powoli znikł jej głęboki smutek egzystencjalny, zastąpiony przez bezmyślną radość słodkiej idiotki.

- Przepraszam bardzo... Ja tu jestem pomocą biurową... — wy-szczebiotała. - I trochę tłumaczę, hi, hi... Proszę wybaczyć panu realizatorowi, że on nic nie rozumie po japońsku, ale... to CU

DZOZIEMIEC... Sam pan wie...

Wąsik posłusznie zamarł i pokiwał głową ze zrozumieniem.

Akemi w roli skowronka wyśpiewała długą przemowę z odpowiednią dozą uprzejmości językowych i wzruszającej dziewczęco-

ści.

Wąsik otarł tłuste czoło chustką, wręczył jej clipboard z plikiem zadrukowanych maczkiem kartek i powiedział: - Eetoo. Proszę włożyć temu panu słuchawki, bo ma być na turalnie. Jak w studiu.

Zrezygnowany, włożyłem i podłączyłem kręcony przewód słuchawek do miksera, naprędce ustawiając sobie poziomy, tak żeby słyszeć coś ze studia i z reżyserki.

Zgodnie z instrukcjami Wásika ustawiłem się przed stołem mikserskim i położyłem ręce na suwakach.

Kiedy kazał mi podrygiwać do muzyki i kręcić rytmicznie guzikami (guzikami!), postanowiłem NIE informować go, że w czasie nagrania realizator niczym nie kręci - poziomy ustawia się PRZED

nagranie. Ani że do podrygiwania to on może sobie zatrudnić tę swoją Tarento w białej spódniczce. Ani że zaraz poszczuję go kożą i zapędzę na balkon bez drzwi, gdzie może sobie podrygiwać i kręcić guzikiem na brzuchu całą noc.

Chansu...

— Pssst... - Słyszę zza drzwi, gdy starając się nie widzieć i nie słyszeć tego, co właśnie dzieje się pod komendą głosu o tonacji nadepniętej myszy, zbieram „niewizualne” kable i wynoszę do magazynu z mikrofonami, ratując je tym samym przed buciskami tego grubego. Z wąsikiem.

Dziewczyny mają miny zacięte i groźne. Wyglądają jak trzy Akemi. Bo kozaczki i obcasiki. Bo mają być *kawaii*. Bo każą im tańczyć. Każą! Bo mają odgrywać idiotki. NIGDY!!!

Jak zwykle w takich sytuacjach ogarnia mnie spokój. Cierpliwie tłumaczę, żeby tamtym też cierpliwie wytłumaczyły. Przecież oni w życiu nie byli w studiu. My tu żyjemy, musimy im pomóc, być wyrozumiałe. Musimy też pomóc chłopakom. Jeśli chcemy mieć ich po tym w jakiej takiej kondycji psychicznej.

Z trzech wściekłych Akemi zostaje tylko jedna - Rie.

Prawdziwą Akemi wysłałam do reżyserki, bo Martin ma tam problem z dogadaniem się, może by pomogła...? I nie muszę dodawać, że facet mówi po japońsku równie biegle, co w tym swoim szeleszczącym języku. Ona WIE, w czym problem. Jest biały, więc NIE MA PRAWA mówić po japońsku. No dobra, biały był godzinę temu. Teraz jest buraczany, ale co za różnica.

Chie ma zaszcebiotać do gościa w kółka, że żadnych obcasików (szcebiotania do pani w srebrze nie chce się podjąć).

Jak będzie super przekonująca, może uda się jej nakłonić dwa męskie potwory do zdjęcia traktorów ze stóp (co do srebrnych kozaczków nikt nie ma wątpliwości, że pozostaną na swoim miejscu nawet na wypadek pożaru, trzęsienia ziemi i trąby po-wietrznej).

Rie ma natomiast zrobić herbatę. To zadanie bardziej terapeutyczne — chcę ją odsunąć od tego zamieszania, zanim eks-ploduje.

Wkładam głowę do reżyserki i widzę, jak Akemi daje 2 siebie wszystko. Jakby zamieniła się duszami z Rie. Nie mogę zna-leźć Andrew, a chciałam go zapytać, czy może...

Nie może. Siedzi. Wygląda, jakby się miał rozplakać. Coraz grubsza warstwa pudru pokrywa mu twarz — dzięki różowobe-

żowym rzęsom i brwiom wygląda jak święty Mikołaj. Współ-

czuję mu strasznie, ale widać tak trzeba.. Wszyscy zostają po-kryci cementem. Hirō podejrzliwie zerka na czarny kołnierz swojej skórzanej kamizelki, który czarny był dwa kilogramy pudru temu. Przypatruję im się chwilę z uwagą. Ciekawe, wszyscy wyglądają jak bracia bliźniacy.

Postanawiam postać w kącie i się ponieodzywać.

Z niedowierzaniem patrzę na szereg identycznych wyrazów twarzy. Każdy boi się otworzyć usta w obawie, że makijaż skru-szy się i odpadnie jak tynk ze ściany na piątym. Yoshi wygląda, jakby patrzył na swoje uszy, na których, ku mojemu zdumieniu, NIC nie ma. Ogłuchnie po pierwszym numerze...

Tomo patrzy tępo w przestrzeń. Kimi próbuje nie być. Niestety, jego byt staje się widoczny, a nawet słyszalny, bo gruby na polecenie swojej srebrnej pani wpada tam ze sprayem do włosów i traktuje papugę na zielono. Byt staje się przeciągłym jękiem. Już po dwóch sekundach wszyscy w studiu dostają ataku kaszlu (kli-matyzacja tylko miesza powietrze, więc będziemy musieli się przyzwyczaić do oddychania sprayem fryzjerskim. . ciekawe, co na to instrumenty, które na czas nagrania musiały wypełznąć z kabin). Stoję tyłem do Martina, więc nie widzę jego reakcji, spo-dziewam się jednak ciekawych efektów audiowizualnych. .

Cisza.

Odwracam się ostrożnie.

Buraczany słup soli. W słuchawkach Yoshiego. Tamci kręcą się jak kołowrotki, waląc buciorami tak, że nawet dźwięko-szczelne ściany się poddają. Chie rozkłada ręce. Nie była przekonująca...

Facet z kółkami dokonuje „ostatnich poprawek”. Wpada do reżyserki i rzuca okiem na Martina. Instruuje go, jak ma się poruszać, co dotykać, czego nie. *Be cool, man!* Martin zaczyna się dziwnie wyginać za stołem, rzucam podejrzliwe spojrzenie, czy to aby na pewno nie konwulsje, ale nie. Szalone Kółka uśmie-chają się z aprobatą..

Wchodzi gruby z inspekcją końcową, Rozbiegane oczka koncentrują się na stole mikserskim. Pada magiczne słowo „niewizualne”. Dwa kroki. Wyciągnięta ręka. Na podłogę spada orangutan i żyrafa. Boję się oddychać. Martin ma wzrok nie-toperza przebudzonego w środku dnia. Mruga z niedowierzaniem. Tłuste palce sięgają w kierunku paszczy krokodyla...

- PRECZ!!!

W dawnych czasach na przyjęciach dworskich modne było odgrywanie „żywych obrazów”. Wszyscy właśnie stajemy się jednym z nich.

Wyjątek stanowi Andrew. To z jego piersi wydobywa się wła-
śnie zwierzęcy ryk.

Ten niespotykane cierpliwy chłopak stał się potworem.

Gorzej już być nie może.

- Czy ktoś napiłby się herbaty...?

Starą wypróbowaną metodą sprawdzenia, czy nie śnimy, jest uszczypnięcie. Nie było to konieczne, bo oczy wystarczająco mnie szczypały - od pudru pokrywającego twarz warstwą grubą i równą, z której dumny mógłby być każdy murarz.

Za szybą czterech pomocników młynarza usiłowało udawać, że gra. W jednym pomieszczeniu, bez słuchawek, z fryzurami przygotowywanymi dziś rano z takim zacięciem przez Rie i Chie, a teraz zredukowanymi do smętnych kopczyków w neonowych kolorach (efekt farby w sprayu).

Pokryte dwudziestoczerokaratowym złotem membrany mikrofonów pojemnościowych nie lubią kiedy napylać je zieloną farbą - przyszło mi do głowy. — Jeszcze mniej lubią kiedy woka-lista pluje w nie z odległości centymetra, zamiast zachowywać obowiązkowy, studyjny dystans kilkunastu centymetrów. Pluje -i to... bez pończoszki.

Musiałem się jednak uszczypnąć w nogę. Chyba zostało to zauważone, bo do reżyserki wpadł gruby.

- Rażniej się bujać, do rytmu! Do RYT-MU! Kamera? Przebi cie na suwaczki proszę! A ten niech nimi coś poprawia, dostraja cały czas. Rozumie? Ruszać suwaczkami! RU-SZAC! A co to w ogóle jest na suwaczkach takie niewizualne? Dlaczego nie usu nięto zabawek, jak prosiłem?

Wyciągnął grube paluchy po krokodyla. Bogu ducha winnego, od niepamiętnych czasów przeklejonego do potencjometru w innych studiach tego świata zwanego „Aux 1 Sum”.

W innych.

Ale nie w Radiu Yokohama.

My mamy krokodyla.

Sen wkroczył w fazę, kiedy próbujemy się usilnie obudzić, wiedząc już, że to nie może być jawa. Szamotałem się wewnętrznie, wykonując serię bezruchych podskoków... Bez skutku.

Wybawił mnie ryk budzika.

- PRECZ Z NASZEGO STUDIA!!!

Wzdrygnięcie i... wewnętrzne otwarcie oczu. Chwila dezorientacji... gdzie ja jestem? Aha. W studiu. W MOIM studiu. W którym nikt nie zdiera mi zwierzaków ze stołu mikserskiego.

- No, synku - zwróciłem się do Andrzeja - pokaż panu, jak się u nas zachowuje realizator nagrań przy pracy.

- Mogę? — zapytał Andrzej retorycznie i zakasał rękawy.

Wspomogłem go, chwytając statyw z reflektorem i wciskając go grubemu w ramiona. Ten się zatoczył... Amanda usłużnie otworzyła drzwi. Rozległ się łomot i... oklaski.

W moich słuchawkach.

Zdarłem je jednym ruchem z głowy i już tylko patrzyłem przez szybę, jak zespół i dziewczyny wiwatują i biją brawo. Pokazałem im znak „V” i ruszyłem szukać Tarento w kolczudze.

Z dekoltem.

Nie było to konieczne. Tarento uciekała właśnie w panice przed Akemi. Nie wiem, co Akemi zrobiła czy powiedziała. Ale w umalowanych na srebrno oczach pani telewizyjnej zobaczyłem strach. Autentyczny lęk o własne życie.

Tarento wpadła na grubego, piszcząc przeraźliwie na widok zakrwawionego policzka. Zatrzymali się. Nie na długo, bo nasi muzycy chwycili kamerzystę za kark, rozdzierając mu koszulę w jakiś zwariowany wzór z neonowych kółek.

Zakołysali i posłali go jak kulę w kierunku dwóch kręgli idealnie wystawionych na środku korytarza. Jakimś cudem wyhamował, chwycił kamerę i już w trójkę pogalopowali do windy. Za nimi -

wściekły, czarny kłęb futra, zmierzający wyraźnie w stronę białych łydek.

- Popatrz - powiedziałem z dziwnym spokojem do Andrzeja.

- Akemi poszczuła ich Debiru. Nie wiedziałem, że to możliwe.

Myślisz, że się zgubią? Jak wleżą w ten korytarzyk po prawej, to wiesz, gdzie mogą trafić? Do Hayakawy...

Andrzej nie odpowiedział, tylko z triumfem wskazał palcem.

Naprzeciwno wind zmaterializował się pan Tabashi ze złośliwym uśmiechem, uzbrojony w postawiony na sztorc mop. Zagroził

drogę. Towarzystwo zahamowało i skręciło do windy. Pomógł, dopychając mopem.

- Andrzej? — zagailem towarzysko. - Właśnie wypędziliśmy nasze *chansu*, wiesz?

- Jeśli to ma być *CHANSU*... - Andrzej nie wypowiedział tego słowa, tylko je wypłuł.

- Bardzo dobrze, Andrzejku. Myślę, że właśnie awansowałeś na młodszego realizatora nagrań. A teraz idź do pana Ikedy po klej.

- Ale...

- Rozumiem, ale najpierw musimy przykleić zwierzaki.

W życiu trzeba mieć jakieś priorytety.

Rozdział Jedenasty

W którym Amanda oswaja Papugę, a Martin analizuje sztukę spadania ze schodów.

Wtorek, 3 sierpnia 1999

- Niau - powiedział Debiru po japońsku, prężąc się zalotnie i ocierając ogonem o moją łydkę.

Zatrzymałem się i kucnąłem, żeby mu przemówić do rozsądku.

- Przepraszasz za tę taśmę, co? I za podrapanie kolan Tarento?

- Koty nigdy za nic nie przepraszają — poinformowały mnie zmrużone z wyższością ślepie.

- Ale nie zrobisz tego więcej, prawda?

- A co ja z tego będę miał, jeśli nie zrobię?

- Bo ja wiem... Minuta drapania za uchem i pod brodą.

- Spadaj.

- Dwie minuty. I specjalne, firmowe drapanie grzbietu, u nasady ogona?

- Pięć za uchem, i to każdym. A grzbiet możesz sobie odpuścić, nie jestem samicą.

Westchnąłem, ale co miałem robić. Przystąpiłem do wdrażania propozycji korupcyjnej.

Byłem mu nawet wdzięczny, że opóźnia trochę to, co miałem zamiar zrobić.

Debiru na znak zwycięstwa włączył dobrze nasmarowane V6.

Warkot silnika zagłuszył kroki pana Tabashiego.

Woźni, jako rasa, nie lubią kotów. Ale nie ten Woźny i nie tego kota — mimo że w przeszłości różnili się poglądami na temat Do Czego Służy Mop.

Kiedy otrzepaliśmy się już z sierści, a Debiru pożegnał nas wzrokiem mówiącym: „No. I żeby mi to nie było ostatni raz.", Tabashi-san odchrząknął i powiedział:

- Martin-san dawno już nie odwiedzał mojego skromnego mieszkania...

Przyjrzałem się, usiłując odgadnąć jego dzisiejszą Rolę. Mop i kamizelka wędkarska z czterdziestoma kieszeniami wskazywała na to, że występował po prostu w Roli... Woźnego.

- Kozetka nie jest lekiem na wszystkie problemy w życiu — mruknąłem.

- W istocie, nie jest.

Zapadła cisza.

- Pan w lewo...?

- Do skrzydła południowego, via drugie piętro w zachodnim...

- To może razem...?

- Proponuję wokół podwórka i przez drugie i pół.

Poszliśmy.

Spacer skończył się przed drzwiami gabinetu pana Hayakawy.

Tabashi uścisnął mi przedramię.

- Dobrze pan zrobił, Martin-san — powiedział. — Zawsze po stępujemy dobrze, kiedy... postępujemy w zgodzie z sobą.

Patrzyłem w ciszy, jak znika za zakrętem.

Ostatni zniknął mop.

- Co tak siedzisz? Aż tak cię..? To nie koniec świata... Jeszcze zrobicie karierę, a stacje telewizyjne będą, wysyłać poważnych, kompetentnych ludzi, by nagrali waszą biografię. W coś trzeba wierzyć, stary. Nadchodzi

Nowy Wiek, pamiętasz? *Wind of chaaaange*... -.nucę, pieszczotliwie targając zwisającą smętnie papugę. Papuga wraz z przy-czepionym do niej Kimim siedzi w kucki na podłodze przed studiem A, ze wzrokiem wbitym w tatami.

— Eetoo. Nie o to chodzi. Wcale. W ogóle — mruczy spod

grzywy z resztkami zieloności.

Przysiadam obok. Zaglądam pod fryzurę, Ojć, to wygląda poważnie. Czekam.

— Nic z tego nie będzie. - To bardziej westchnienie, niż stwierdzenie.

Milczę. Nie rozumiem.

—Nikt nie rozumie - mówi Kimi, jakby w odpowiedzi na moje myśli. - Nawet ja. - Wyraźnie próbuje opanować drżenie głosu.

—Eetooo - mówię zupełnie serio.

Odnosi skutek, bo Kimi podnosi na mnie wzrok.

- Skrytykował nas wszystkich, wiesz? Każdego po kolei.

I powiedział, że do tej pory jeszcze miał nadzieję, że robi z nas ludzi. I że właśnie teraz ją porzucił. I wyszedł. Nawet nie trzasnął drzwiami. Po prostu wyszedł i tak mnie zostawił.

-Martin??!! -jakoś nie mieści mi się to w głowie.

-Nie, John. - A gdzie

Hayakawa-san? .

Wzruszenie ramion. Gęsta, lepka cisza. Podjęcie decyzji zajmuje mi cztery sekundy.

— Dobra, wstawaj.

Brak reakcji. Kładę mu rękę na ramieniu.

— No, przestań się mazać. Tak się nie zachowuje lider zespołu.

Chodź, mam pomysł.

—Jakiego tam zespołu...

Nie daję mu szansy dokończyć niepotrzebnych „marudów”, jak mawiała babcia Janaki. Chwytam go za mały palec i wcią-

gam do studia. Palcem wskazuję kartkę z „Za burakku endo”

czyli „The Black End”, wkładam mu na uszy słuchawki i zostawiam w studiu wstrząśniętego, ale niez mieszanego. Przypominam sobie o czymś, wracam, podnoszę mu jedną słuchawkę, każę poczekać dwie minuty i pędzę do studia B. Puste.

Chwila. W C nie ma kogo szukać, do rozgłośni za daleko. Mo-

że... Nawet nie ma kogo zapytać. Gdzie może być Martin?

Zbiegam piętro niżej.

Ostrożnie otwierają się drzwi od pokoju Akerni i wychodzi...

głowa Andrew. Hmm?

- Słuchaj, świetnie, że cię widzę! Bo strasznie potrzebuję po mocy, właściwie nie ja, tylko Kimi, no a tak praktycznie to ca ły zespół i...

Chłopak starannie zamyka drzwi za plecami i dopiero potem oblewa się rumieńcem i wbija oczy w czubki własnych kapci.

Dopiero teraz zauważam, że stoi w... yukacie. Oj.

- Poczekam, nie ma sprawy - mówię cicha - Możesz wpaść na chwilę do studia A?

- Tak.. jasne. Za, niech pomyślę, dziesięć minut? - Usłysza-

ło tatami

- Super. Dzięki. Jesteś wspaniały.

Nic nie komentuję. Ani ja, ani moje wyrozumia ę, mam nadzieję, oczy. W jakiś niezrozumia ły sposób czuję... ulgę.

Dopiero za zakrętem pozwalam sobie na szerokie otwarcie źrenic.

Andrew? I Akemi?! A,.. Yoshi???

Przychodzi po chwili.

Pokró ęce wyłuszczam problem, po czym siadam wraz z Andrew w reżyserce.

— No to dawaj — mówię do ma ęlutkiego sitka na gęsiej szyjce nad konsolę ę, wciskając jednocześnie pawiana, z takim po-

święceniem obronionego przed Szaloną Trójką z TV.

Kimi posłusznie kiwa papugą.

Po czym morduje głosem mikrofon. W

panice ściągam wiewiórę do zera.

- Czekaj... a zacząłbyś może... lżej? Bardziej funky? Masz dobre brzmienie, tylko zagłuszasz je decybelami...

Kiwnięcie. Zrozumiał?

- *Doaramachikkaaaaa!!!*

Podrywa mnie ze stołka. No dobra, teraz trochę rozumiem Johna. Ale tylko trochę. W ten sposób można wypłoszyć szczury z całej okolicy. Ale gdyby...

W nagłym przebłysku geniuszu chwytam Takamine i wpadam do studia. Dobrze, że mogę już grać. Dłoń zagoiła się prawie bez śladu.

- Kimi... a jakbyś spróbował tak? - Nucę mu kilka nut ze słowami, które udało mi się zrozumieć. Chyba. Kilka napręd ce dopasowanych akordów... Kimi łapie motyw.

Zaczynamy. Razem. To znaczy on głosem, ja — Takamine.

3..2..1.. *Gol* - Pokazuje nam przez szybę realizator. I o dziwo, z monitorów po drugiej stronie zaczynają płynąć jakieś dźwięki.

Unoszę pytająco kciuk w górę. OK! Oczy zza szyby uśmiechają się. Andrew kiwa głową z uznaniem: będą z niego ludzie. Będą!

Przybijamy bezgłośnie „piątkę”.

Drzwi były europejskie — otwierane, nie rozsuwane. Obite brązowym skajem z mosiężnymi ćwiekami. Zupełnie jak drzwi gabinetu dyrektora mojej szkoły średniej, zwanego Wackiem.

Drzwi do dywanika.

- Hayakawa-san...?

- Proszę usiąść — mruknął, marszcząc brwi i wczytując się w zapisany maczkiem, gruby dziennik w granatowo-zielonej obwolucie, z otwartą stroną przytrzaśniętą drewnianą linijką w charakterze zakładki. Po prawej kalkulator drukujący wyniki na papierowej taśmie, po lewej soroban - japońskie liczydło. Zawsze chciałem zapytać, po co mu jedno i drugie. Miałem niejasne podejrzenie, że sprawdza wyniki z kalkulatora na sorobanie - na wszelki wypadek.

Rozejrzałem się w poszukiwaniu krzesła.

Nie było.

Przypomniało mi się, że ostatnio widziałem na tym piętrze Ikedę cwałującego z rozwianym włosom i drewnianym krzesłem, właśnie jak z gabinetu Hayakawy - pewnie do walki z pluskwą milenijną.

Zamiast usiąść, zgarbiłem się trochę.

Szurnąłem nogami po wytartym do osnowy dywaniku.

Hayakawa podniósł głowę. Odchrząknął i zdjął okulary.

- Martin-san... mam dużo pracy. Ale praca chwilę poczeka, skoro Martin-san był tak uprzejmy mnie odwiedzić. To zresztą bardzo dobrze, bo ja sam chciałem pana Martina wezwać.

Zapadła cisza. Nie wiedziałem, co zrobić z rękami, więc wcisnąłem je w kieszenie spodni. - Ja... chciałem przeprosić. Hayakawa uniósł

brwi.

- Obawiam się, że zaprzepąściłem naszą *chansu*.

Cisza. Na ścianie tykał wielki zegar z wahadłem. Tykał trochę nierówno, chociaż z mechanicznego punktu widzenia to chyba niemożliwe. Ale przysięgłbym, że wybijał lekki akcent na dwa: Tyk-TYK. Tyk-TYK. Tyk, TYK...

Hayakawa podniósł drewnianą linijkę, leżącą między pośladkami dziennika, i ujął ją starannie w dłonie, jakby badając jej ciężar.

- Nie wspominajmy już o tym - powiedział. - Wszyscy się uczymy. Wszyscy pracujemy dla wspólnego dobra. Eetooo. Martin-san... Mam coś ważnego do zakomunikowania.

- Wiem, że to było nieodpowiedzialne — spróbowałem, studiując smętną linię odłazących płatków politory na brzegu biurka.

- Radio Yokohama przeżywa chwilowy kryzys. Podkreślam: chwilowy. Dwóch stałych klientów odwołało projekty nagrań, na które li-czyliśmy. Przeciągający się zastój na rynku... Martin-san rozumie.

- Rozumiem — mój duch opadł do poziomu wyświechtanego dywanika.

- Z braku projektów nie jesteśmy w stanie kontynuować naszej działalności na poprzednim

poziomie... Mówiąc językiem po-tocznym, nie sprzedaliśmy ani godziny czasu studyjnego. Firmy japońskie nagrywają teraz mniej reklam w oryginalnych wersjach językowych - zaczęły to zlecać filiom zagranicznym, gdzie studia są tańsze...

- Nikt mi nie powiedział, co to jest danitol - mruknąłem. -Skąd mogłem wiedzieć, że to pestycyd, a nie, bo ja wiem, soczek dla dzieci? Gdybym dostał szansę zrobić to jeszcze raz...

- No i nie sprzedaliśmy dość czasu studyjnego na okres wrze-sień-grudzień, żeby zapewnić wszystkim pracę. Dlatego jestem zmuszony podjąć środki nadzwyczajne. Ale, podkreślam, to jest stan przejściowy. Gdy tylko ekonomia się ożywi, co według naj-nowszych prognoz ma nastąpić już w pierwszym kwartale roku...

- Dwutysięcznego? - Podniosłem oczy na twarz starą, zmęczoną, zoraną zmarszczkami, jakby... stuletnią. - Hayakawa-san? Czy każdy koniec wieku jest taki... trudny?

- U nas nie kończy się żaden wiek, Martin-san. Mamy rok jedenasty ery Heisei. A cesarz jest w znakomitym zdrowiu. - Skłonił

głowę z szacunkiem.

Odwzajemniłem ukłon i skierowałem się do drzwi.

- Proszę zaczekać. - Hayakawa wstał zza biurka.

Z pewnym ociąganiem wróciłem na dywanik.

- Nie dokończyłem... A chciałem przekazać panu Martinowi zapewnienie, że lojalni i... Jak długo Martin-san już z nami jest?

- Dziesięć lat.

- Taaak... To już niezłe wprowadzenie w sprawę firmy. Za następne dziesięć będzie Martin-san już starszym pracownikiem Radia Yokohama - zażartował.

Wcisnąłem głębiej pięści w kieszenie i przeniosłem ciężar ciała z nogi lewej na prawą, bo zabolalo mnie kolano.

Hayakawa wyjął z szuflady jakiś papier i włożył okulary.

- Eetoo. Poczyłem więc pewne... rozeznanie. Wśród znajomych z... branży. Istnieje szansa, że zarekomendowany przeze mnie realizator dźwięku z wykształceniem i doświadczeniem pana Martina będzie potrzebny przy kilku sesjach tej jesieni... W studiu JVC w Yokohamie albo nawet w znakomitym Studiu Terra w Tokio...

- Gdzie?

- Oczywiście po powrocie Martin-san będzie mógł się podzielić z nami swoimi doświadczeniami. Być może zasugerować nowe rozwiązania technologiczne. Sama pani Orito będzie na pewno zainteresowana... - Odłożył papier i wyszedł zza biurka, zdejmując znowu okulary.

- Proszę mi wierzyć — spojrzał mi prosto w oczy, jakby proszą-

co - to sytuacja przejściowa. Dla pana Martina zawsze będzie miejsce...

- Na dywaniku?

Podniósł brwi i po chwili namysłu uśmiechnął się, kiwając głową.

- Ha, ha. Tak. Na dywaniku,

- Cześć, chłopaki! Dziś, jak słyszałem, Italia od kuchni?

Trochę się marszczę na to „chłopaki”, ale John starannie omija mnie wzrokiem. Cóż.

- No, prawie.. Tomo robi pizzę.. z *miso* i *ikanago* \ I z tymi zielonymi, no tymi...

Australijczyk wpycha rudą grzywę pomiędzy Rie i Tomo, prawie wkładając ją do piekarnika, gdzie ciasto na pizzę wyrosło nieco ponad normę. *Bo nie ma być taki naleśnik*, jak stwierdził dzisiejszy niewydarzony kucharz, gdy z braku książki ku-charskiej posługiwał się reklamą pizzerii Waru znalezioną w reżyserce.

- Paluchy precz! - Chichocze Rie, dając mu lekkiego klapsa.

A towarzystwo odpowiada zgodnym chórem „PRECZ!”, wznosząc rewolucyjnie w górę prawe pięści. Wybuchamy śmiechem, a Andrew kraśnieje z dumy. To ostatnio nasze ulubione hasło.

Chie z Akemi zabierają się za naczynia, Hirō wyciera i usta-wia je równo. Kimi, nie przerywając rozmowy z Tomo, sięga nieomal bezwiednie za siebie, gdzie stoi stary klasyk oparty o ścianę, i zaczyna go stroić, pochylając się nad pudłem.

- Amanda...

Odwracam się. Andrew ma oczy kota, który zjadł kanarka.

- No, co tam nowego?

Uważnie studiuj LDK-owe kapcie. Bardzo interesujące kapcie... - Chciałem ci podziękować.

- Nie ma sprawy. Właściwie to ja ci dziękuję, przyszedłeś natychmiast i Kimi...

Zdejmuje włoszek z czubka prawego kapcia. Lewy zaś wymaga starannego wygładzenia zmarszczki przy dużym palcu.

- Nie za to, tylko.. Że ty.,. Znaczy.. Że ja.. Że. .

- Yukata? — Pomagam miłosiernie. Palce w niezwykłych kapciach ruszają się do rytmu brzdąkanego cicho za naszymi plecami.

- No właśnie. Ja, widzisz, nie miałem zamiaru. . A właściwie miałem, tylko...

Kładę mu rękę na ramieniu i kręcę przecząco głową w ge-

ście „nie mów”. Po co słowa. Dorośli jesteśmy. Patrzą znaczą-

co na niego i na Akemi. Kiwam nieznacznie głową. Będę cicho, stary.

W drzwiach staje Yoshi i natychmiast dostaje ciepły uśmiech od Akemi, kapiącej talerzem na podłogę. Przytuła ją przelotnie.

Andrew posłusznie wraca do swoich kapci.

Wmrrruuu. I cisza.

- Oho, klima się skończyła. — Chie spogląda w górę na mil czący klimatyzator.

- To długo nie posiedzimy — wzdycha Rie, odstawiając ostrożnie asmat, na którym Hirō uczył ją grać. *

Trzask.

- Wyjść trzeba! Wszyscy! Robak! Pluskwa! - Ikeda wpada z takim impetem, że jego okulary, startując z czubka nosa, wykonują idealny balistycznie łuk i lądują na kolanach wśród fałd długiej, czarnej, powłóczystej sukni.

- Panie Ikeda! Pańskie...

- Milenijna!!!

Już go nie ma. Na korytarzu słysząc naraz podejrzany stu-kot. Po chwili wraca jak bumerang.

- Czy ktoś...? O, tu jest! — Chwyta lutownicę pozostawioną przy *kotatsu* i znów znika. Akemi z niewzruszeniem na bladej twarzy, nie zdejmując z oczu wyrazu bezdennej rozpacz, dwoma palcami ujmuje grube okulary i podąża w kierunku drzwi.

- To może... pograjmy gdzie indziej? - Kirni wyraźnie ma nastrój muzyczny.

- Na podwórku do wspinania? - Podnosi się Hirō. Rife ponownie sięga po asmat z pytającym wyrazem twarzy.

- Niece, na dworze leje, nie słyszysz?

- Mój pokój za mały. Wasz też. Kilka

par oczu kieruje się na Andrew.

- Studio A? Tylko nie mówcie Szefowi... Łeb mi ukręci.

- Szkoda by było! Ok, to dajemy!

Akemi wraca z bardzo intrygującym cieniem uśmiechu w samym narożniku kącika ust. Trochę wysiłku, kilka lat praktyki i do radości Momy Lisy...

— *There is a bouse in New Orleans..*

Ojej, nie wiedziałam, że on ma taki niski głos, kiedy nie usi-

łuje tłuc szkła, wzorem chłopca z „Błaszanego Bębenka”

Guntera Grassa.

— *Tbey coll the Basing Sun* — wchodzę i odtąd każde z nas śpiewa

po jednym wersie. Siedzimy na podłodze studia, pomiędzy resztą kami zielonego sprayu. Rie jedną ręką nieśmiało wystukuje „ko nika” na skórze pytona. Trzeba przyznać, że ma wycucie rytmu.

Zauważam z dołu, że z górnego toma zwisają jakieś kartki.

O, czyżbym nuty zostawiła? Chwytam róg, ale na kolana spa-dają mi obce notatki. Wiersze...?

— To moje...

Ciepłe, orzechowe oczy. Wyciągnięta dłoń. -Wybacz, Yoshi. Myślałam, że to moje nuty... Ku mojemu zdumieniu kładzie rękę na mojej, zamiast odebrać kartki. Mam wrażenie, że patrzy z samego dna źrenic.

— Czy mamy sobie coś do wybaczenia...? - pyta cichy, spokojny głos.

Me mogę spojrzeć mu w oczy. Cały czas widzę w nich tam-ten szok, niedowierzanie, a zaraz potem yukatę Andrew, wychodzącego z pokoju Akemi...

Pochyliła się i dwoma palcami, delikatnymi tak, jak delikatne potrafią być tylko palce perkusisty, podnosi mi podbródek.

—Rozmawiałem z Johnem... Wiem. Aha. A

ja nic nie wiem, mówią moje oczy.

—Amanda... przepraszam. Zachowałem się jak gówniarz.

Nie rozumiem...?

—Zacznijmy jeszcze raz... proszę.

Nabieram powietrza. Za dużo już zostało powiedziane. -

Akemi...

—Gdzie? - Odwraca się, jakby nie dosłyszał tego, co właśnie do niego mówiłam. Prawie parskam śmiechem, gdy patrzy na mnie, zdumiony, widząc ją po drugiej stronie studia.

—Pytam, co z Akemi.

—Nie mogę wiecznie być pod skrzydłami siostry... Jest star-sza, to prawda. Mądra, zrównoważona. Pomogła mi stanąć na nogi, kiedy... upadłem. Ale każde z nas... musi zacząć żyć własnym życiem. Decydować za siebie. Kiedyś...

Coś jeszcze mówi. Sens jego słów przestaje jednak docierać do mnie już po pierwszym zdaniu. Duszę się. O czymś zapomniałam... a, tak, wdech.

- Dobrze się czujesz? — przerywa nagle. I kładzie mi miękko dłoń na ramieniu.

- Siostry...? — Charczę nie swoim głosem.

- Hej tam, papużki! — Kimi wskakuje pomiędzy nas, wywo-

łując drżenie ride'a i echo w tomach. — Co teraz? „Children of the revolution”?

Środa, 4 sierpnia 1999

LDK było puste. I gorące. No tak - klimatyzator roz-grzebany. Z brzucha zwisały mu smętne, pozwijane rurki.

Podszedłem do lodówki sprawdzić, czy i ona popełniła harakiri.

Nie, działała. Wrzuciłem parę kostek do szklanki i już miałem iść nalać wody, kiedy zauważyłem coś nowego — okrągłą, zieloną nalepkę na drzwiach lodówki z napisem: „Certified — > Year 2000

Ready" biegnącym wzdłuż obrzeża. I z mangowym symbolem „Y2K" (każda literka miała rączki, nóżki i przerażoną buźkę) w środku, przybitym malutką, czerwoną pieczętą osobistą pana Ikedy.

Fajnie. Lodówka nie przestanie działać pierwszego stycznia.

Trzeba by powiedzieć panu Hayakawie, że Ikeda już zupełnie odjechał.

O, właśnie. Hayakawa. Usiłowałem sobie przypomnieć, co on mi właściwie powiedział. Coś o problemach finansowych? Zdaje się, że zamiotłem jego słowa pod dywan świadomości.

Wziąłem szklankę i ruszyłem korytarzem w stronę... Nie bardzo wiedziałem, dokąd idę i po co.

Jak zwykle w takich wypadkach dotarłem do studia A.

録音中

Dotarłem, ale nie wszedłem — nad drzwiami świecił się napis - nagranie w toku. Ki czort? John miał siedzieć cały wieczór w rozgłośni...

Wycofałem się i zapuściłem żurawia zza zakrętu korytarzyka.

Jakieś siedem metrów przede mną - uchylone drzwi do reżyserki. W

środku... No tak. Dzieciaki dobrały się do studia.

Stali do mnie tyłem - Andrzej przy stole miksterskim z palcem na krokodylu, jak kiedyś, pierwszy raz... I Amanda, nachylona do gęsiej szyjki mikrofonu, dająca instrukcje zespołowi. Odwróciła się do Andrzeja, roześmiała, pokazała coś palcem poza zasięgiem mojego wzroku. Kiwnął poważnie głową i zapisał w kajecie.

Potem znowu wcisnęła pawiana i powiedziała na tyle głośno, że nawet zza zakrętu korytarza usłyszałem:

- No, dalej, dalej, chłopaki! To było świetne, Tomo! Pojamuje-cie wokół tego motywu jeszcze, co? Zobaczymy, gdzie was za prowadzi... Gotowi?

Coś dziwnie znajomego w tym obrazku. Jakby była producen-tem, a Andrzej - realizatorem dźwięku.

Przyjrzałem mu się dokładniej, chociaż z tej pozycji widziałem tylko profil. Nie było w nim dzisiaj nic z trochę nieśmiałego, nie-pewnego siebie pomocnika, do którego zdążyłem tak szybko przywyknąć. Zapisał instrukcje od Amandy, sprawnie podciągnął

poziomy na wybranych kanałach i dziabnął palcem w żyrafę.

Amanda dała znak muzykom w studiu: jedziemy.

- Piękna kobieta - pomyślałem nagle, zupełnie od rzeczy.

Dziwnie zirytowany, potrząsnąłem głową i stanąłem na palcach, próbując dostrzec, kto jest za szybą. Z tej odległości widziałem tylko Hirō stojącego... przodem do widowni. Czyli do reżyserki.

Nigdy nie mogłem go do tego nakłonić.

Grał — raczej grali — coś nie z tej ziemi. A na pewno nie z tego zespołu. Jakiś numer bluesowo-funkowy... Żadnych metalowych wrzasków. Żadnego wywijania młynców. Solidny, elektryczny blues. Może bez mistrzostwa technicznego, ale z wyczuciem.

Po kilku minutach zwolnili tempo i się pogubili. Amanda prze-rwała. Nachylona do gęsiej szyjki powiedziała: - Świetnie było, tylko na końcu siadła energia... Czekajcie, a może po solo dać dłuższe przejście i wrócić do głównego motywu?

Yoshi, mogę sięść za perkusją? Pokażę, o co mi chodzi...

zaczekajcie!

Wybiegła z reżyserki. W ostatniej chwili wycofałem się za zakręt - chyba mnie nie zauważyła.

Zamknęła drzwi. Po chwili usłyszałem bardzo stłumione, ale wy-raźne dźwięki... Widać nie zamknęła drzwi do kabiny perkusyjnej.

Grała jak mężczyzna. Bardzo zdecydowanie.

A niech się dzieciaki bawią. Może nic nie zepsują. Na pewno nie więcej niż Ikeda-san.

Oddalałem się na palcach, licząc po ciemku kroki, żeby nie spaść z uskołu na początku korytarzyka do poczekalni, Potem znowu włóczyłem się po korytarzach jak na autopilo-cie.

Z braku pożyteczniejszego zajęcia liczyłem zielone nalepki „Year 2000 Ready”. Jedną znalazłem na maszynie ze środkami antykoncepcyjnymi w pralni na pierwszym. Pomyślałbym, że to dowcip, gdyby Ikeda-san był zdolny do dowcipów. Zdarłem ją, bo wydawało mi się to niesmaczne. Przykleiłem na lustrze nad umywalką. Kiedy odruchowo przejrzałem się, żeby policzyć siwe włosy, wyglądało, jakbym miał nalepkę na czole. Zdarłem ją znowu - zdecydowanie nie byłem Y2K Ready.

O, nalepka na gaśnicy.

Studio C wyglądało, jakby przeleciał przezeń wkurzony tajfun.

Stałem w ciemnej, opuszczonej poczekalni lektorów, wdychając resztki ostro-kwaśno-dymnych zapachów stepowej jurty; zapachów przegrywających powoli walkę ze środkami czyszczącymi pana Tabashiego.

Próbowałem ogarnąć rozmiar szkód. Od podwójnego okna z nachylonymi pod kątem szybami, wymontowanego i podpartego krzesłami pod ścianą, po stojący do góry nogami stół mikserski (na szczęście zwierzaki zostały starannie zabezpieczone starym *foto-nem*). Nie wiem, po co ten wariat wymontowywał okno. Może nie było kompatybilne z Nowym Milenium. A może tylko potrzebował

dobrać się do kabli przechodzących przez ścianę między studiem a reżyserką. Z Ikedami tego świata nigdy nic nie wiadomo.

Nalepek nie znalazłem. Dopóki nie opuściłem przeoranego cyklonem studia i nie dotarłem do maszyn z napojami. Tak -

wszystkie definitywnie były Y2K Ready. Powinienem się rzucić i zacząć całować klapki do wydawania puszek. Co byśmy zrobili pierwszego stycznia bez mrożonej kawy?

Pora przestać się dziwić. Właściwie pora ta minęła dziesięć lat temu, kiedy wkroczyłem tutaj o jedenastej w nocy, z tekturową walizką, młody, przerażony i zdeterminowany, żeby dostać tę pracę, żeby wreszcie być POTRZEBNYM.

Każdy chce się czuć potrzebny. Czy nie o to w końcu chodzi?

Krok, krok, krok, zakręt, stop.

Trzynasta zielona nalepka - na drzwiach mieszkania pana Ike-dy.

Tak, Ikeda-san definitywnie był *ready*. Na wszystko.

Szaleńcy zawsze są *ready*.

To my, ludzie względnie normalni, mamy czasem problemy z końcem starego. A jeszcze większe z początkiem nowego.

Krok, krok, krok...

Zjadłem *cappu nuduru* z maszyny na drugim (piętnasta nalepka -

czternastą zdybałem na dzwonku alarmowym od trzęsień ziemi) i ruszyłem dalej, po prostu żeby zabić czas. I poćwiczyć kolano.

Sam nie wiem, dlaczego w pewnym momencie znalazłem się przed drzwiami pana Tabashiego. Nie było na nich zielonej nalepki.

Ani nawet napisu „Wszystkie drogi prowadzą na kozetkę”.

Zapukałem.

Cisza. Ciemno. Przypomniało mi się, że pomagał Ikedzie w poszukiwaniu pluskwy milenijnej. Gdzie jeszcze nie było nalepek...?

Rozgłośnia.

Biedny John - pomyślałem. Radiostacja nie ma prawa przeżyć spotkania z panem Ikedą. Ruszyłem do windy. Może na górze na coś się przydam.

Zdyszana z wysiłku wstaję zza perkusji.

Otwieram ostrożnie drzwi - Martin już sobie poszedł. Na szczęście nie wściekł się, że się tu bawimy... Jak go znam (o ile go znam), będzie udawał, że nas tu nie widział.

Cały czas dysząc, odwracam się do zespołu. Stoją i patrzą.

O co chodzi?

- Amanda? Ty się znasz na pracy w studiu? - pyta Yoshi.

- Ani trochę. - To wszystko, co udaje mi się powiedzieć między jednym wdechem a drugim. A po chwili: - Firma taty współpracowała ze studiem nagrań, napatrzyłam się w dzieciństwie...

-I tam cię nauczyli grać na bębnach? W tym studiu? — Hirō

chce wiedzieć wszystko o mojej perkusyjnej przeszłości. Niesamowite, jak się ostatnio otworzył na ludzi. Czasem nawet mówi niepytany... Ciekawe, czy to przez babcię. Moją. I trochę jego.

- Nie, choć właściwie... tak.

- Nie chcesz, to nie mów. Wybacz, siostra, nie wiedziałem, że to prywatna sprawa.

Chyba zauważył, że oblewam się rumieńcem. Nie widać, mam nadzieję - jestem czerwona od kilku kolejnych rundek po tomach.

- Nie, w porządku...

Wzdycham. Duchy przeszłości.

- Wiesz, perkusja to był przypadek. Nauczyła mnie dziewczyna, przyjaciółka...

Nie wiem, jak zacząć. To było tak dawno, a wciąż takie świeże, jakby wczoraj.

— Kiedy przyjechaliśmy z rodziną do Osaki, byłam właściwie sama. Wiesz, jak to jest — dzieciaki niełatwo przyjmują „obcych”

do swojego grona. Tata w tym czasie pracował w Chuō-ku, tuż obok takiego małego studia muzycznego. Pozwolił mi się tam uczyć grać, jeżeli będę miała dobre wyniki w szkole. No to wkuwałam i grałam.. I coś tam w pamięci zostało. Niedużo, Fakt. Czasem jeszcze sobie.,, stukam.

Pan Ikeda spadał z drabiny w hałaśliwej, szalonej plątaninie rąk, nóg i okularów.

Przyszła mi do głowy absurdalna myśl, że gdyby Hayakawa-san spadał, robiłby to z godnością.

A John z komiczną niezgrabnością.

Rie i Chie z radością.

Akemi z tragiczną rezygnacją.

Andrzej ze wstydem.

Kimi buntowniczo.

Hirō nieśmiało.

Yoshi z gracją.

Tomo z głupawym chichotem.

Debiru na cztery łapy.

Tabashi miałby na sobie strój gimnastyka i zrobił na dole „Ta-DA!”.

A Amanda? Amanda w ogóle by nie spadła.

Porozbijany pan Ikeda jedną ręką trzymał się za głowę, a drugą macał u stóp drabiny, poszukując okularów.

- Nic się nie stało, Ikeda-san? Proszę, oto pańskie okulary, tu, tu i tu... To się da naprawić, prawda...?

Wysyczał coś z taką wściekłością, że niczego nie zrozumiałem, poza *baka* (idiota) i *Dzion* (John).

- John pana zrzucił z drabiny? Na pewno nie zrobił tego na-umyślnie...

- Naumyślnie? Naumyślnie. Naumyślnie!

Odkuśtykał w stronę windy, mamrocząc do siebie na tyle głośno, że usłyszałem jeszcze:

- Zwariowani cudzoziemcy! Szaleńcy! Niebezpieczni! Wariaci!

- Tak, w porównaniu z panem wszyscy jesteśmy nienormalni -

mruknąłem, wchodząc na pierwsze stopnie drabiny.

Piąte piętro tonęło w zielonkawym półmroku - świeciła tylko tabliczka wskazująca kierunek ucieczki w przypadku trzęsienia ziemi. Czyli drabinę.

Nad drzwiami rozgłosił nie paliło się ostrzeżenie, że John jest „on air”, więc zapukałem pro forma (przez ciężkie, wytłumione drzwi nic nie słysząc), po czym wszedłem.

- Ho, ho. Hi, hi. Ha, ha - powitał mnie DJ rezydent, rozparty w swoim fotelu. Ubrany w piżamę — spodnie wiśniowe w białą kratkę, góra bordowa, w małe, zielone krokodyle. Bawił się trąbką do roweru z zieloną gruszką. Na czole miał przyklejoną okrągłą nalepkę z napisem „Year 2000 Ready”.

- John, proszę, żebyś nie zrzucił Ikedy z drabiny. On może być szalony, ale zdrowie psychiczne w tym budynku zawsze było wartością deficytową, a nikt poza nim nie wie, co z czym jest po-

łączone i którym kablem. Niechby mu się coś stało, a potem coś naprawdę zepsuło... — Zrobiło mi się zimno na samą myśl.

- Chciał mi rozebrać radiostację - poskarżył się John.

- To mu daj. Poskłada i będzie jak nowa. Najwyżej zaczniesz potem nadawać same wiadomości zamiast muzyki. To nam podniesie obroty. Muzyki już dziś nikt nie słucha. Moglibyśmy je nazwać Yokohama Talk FM... - Rozpaliłem się.

- Słyszałem, że Hayakawa chce cię wyrzucić na kilka nagrań na zewnątrz! - ogłosił John radośnie, przykładając sobie trąbkę do oka.

- Zwariowałeś? Kto ci o tym powiedział?

- Ma się te swoje kanały - mruknął, wydymając wargi i patrząc znacząco w stronę czerwonych drzwi na strych, małych jak dla karła, za którymi mieściła się aparatura nadawcza.

Nic z tego nie rozumiałem, ale postanowiłem się bronić.

- John, to nie pierwszy raz, kiedy chwilowo brak projektów. A nawet gdybyśmy mieli dłuższy przestój, Hayakawa nie zacznie cię kadrowych od najstarszych pracowników.

- A od kogo? Zarabiasz dwa razy tyle co ja.

- No to mi obetnie pensję. I tak nie wiem, na co ją wydawać.

- W japońskiej firmie nie wolno obniżyć pensji starszemu sta-

żem pracownikowi — powiedział nagle głosem zupełnie racjonal-nym. - Hayakawy nie stać na płacenie ci za patrzeć w sufit re-

zyserki. Ale nie przejmuj się. Wyśle cię do jednego z nowoczesnych studiów w Tokio albo Yokohamie, zrobisz kilka nagrań i wrócisz. Albo nie. — Wyszczrzył zęby.

Wzdrygnąłem się.

Zapadła cisza.

- Ile masz minut? — zapytałem, żeby coś powiedzieć.

- Dwadzieścia trzy. Kupiliśmy za grosze retransmisję programu komediowego „Dr Demento Show”. Boki zrywać. Nie mówiłem ci?

Radio to przyszłość. HA! Internet nas nigdy nie zabije, póki kierowcy stoją w korkach i...

- Ze Stanów kupiliśmy?

- Eee... nie, od FEN - Far East Network. Tej amerykańskiej stacji wojskowej, co nadaje dla baz w Yokocie i Yokosuce. Chcesz posłuchać?

Podciągnął suwak na mikserze. Z głośników rozległ się głupawy głos, rapujący do jeszcze głupszej melodii: - *They're coming to take me away, ho-ho, hee-hee, ha-ha...*

Sięgnąłem i ściągnąłem ten sam suwak.

-John... ja mam dość na talerzu. Przynajmniej do końca września.

Przecież trzeba dokończyć nagranie Y2K. Zmiksować. Mastering zrobić. Kto się według ciebie tym zajmie? Hę?

- Aaa... Y2K. - Podrapał się z namysłem trąbką po głowie. -

Teoretycznie ty.

- Teoretycznie...?

- Muszę ci coś powiedzieć o Y2K... Ale nie dzisiaj. Do tego jest mi potrzebny ktoś... kogo tu w tej chwili nie ma. Nie ma!

-John...

- Mmm-mmm — powiedział, wsadzając sobie zieloną gruszkę w zęby i kołysząc trąbką z lewa w prawo.

Westchnąłem.

- A Amanda?

John wypluł trąbkę i znowu na chwilę spowaźniał.

- Wiesz, kto płacił za sesję Amandy?

- Jej produ... no tak. - Wbiłem wzrok w jego pizamę z motywem zielonych krokodyli.

- Właśnie. Zgaduj dalej.

- Ona sama? To się zdarzało, samodzielne produkcje, pamiętasz, w dziewięćdziesiątym siódmym...

- Hayakawa.

- Haya...

- ...kawa. Z własnych oszczędności. Nie jesteś jedynym, który nie wie, na co je wydawać.

- Ale...

- Ale nie wtedy, kiedy firma przestaje przynosić pieniądze, co?

Amandzie brak talentu, żeby ją kupiła jakaś wytwórnia płytowa.

- Brak czego...? Człowieku, w porównaniu ze wszystkimi *tarento*, jakie nagrywaliśmy w ostatniej dekadzie, Amanda to nowa Joan Baez... Aha, wiem, dała ci kosza i plujesz jadem.

Wzruszył ramionami. Wstał, wziął z drewnianego kołka na ścianie dwumetrowy kabel mikrofonowy, ujął go za grube, czarne wtyczki na końcach i zaczął skakać jak na skakance, przy akompaniamencie głuchych uderzeń kapciami w podłogę.

Odebrałem to jako sygnał końca odwiedzin w radiowym wa-riatkowie.

- Powinieneś... też... to... robić... — wysapał. — Pomoże... ci... na...

kolano...

- Ty się moim kolanem nie martw - odpowiedziałem z godnością. - Ani moją pracą. Ja wam jeszcze pokażę, że jest tu dla mnie miejsce. Mam pewne pomysły.

Wstałem i skierowałem się do drzwi.

- John? - zapytałem w progu. - Czy ty się boisz końca milenium? Albo... początku nowego?

Zatrzymał się i zabrał za odwijanie poskręcanego w supły kabla.

Nalepka „Y2K Ready” spadła mu ze spoconego czoła.

- Hej, tu jest Japonia. Mamy rok jedenasty... - zaczął.

- Tak, tak. Ale, wiesz. Coś się kończy, coś się zaczyna...

- Cały czas coś się kończy i coś zaczyna. O, właśnie... - Spojrzał na zegar, otrzeźwiał w ułamku sekundy i wcisnął parę guzików.

Z głośników zaśpiewał Roger Waters:

- *Craaazy... Over the rainbow I am crazy... Toys in the attic.*

Zamknąłem starannie drzwi i ostrożnie postawiłem stopę na pierwszym szczeblu drabiny, żeby na pewno z niej nie spaść.

Wiedziałem, jak ja bym spadał. Definitywnie.

Interludium

Niespokojny skrzyp podłogi.

Stuk okiennicy.

Stęknęcie dachu prostującego się w nocnym chłódzie.

Kroki.

Stary dom cierpi na bezsenność.

Cierpi też na reumatyzm fundamentów, gruźlicę rur i grzybicę ścian. A czasem na arytmie zegarów.

Nocami wierci się niespokojnie, próbując sobie znaleźć możliwie wygodną pozycję w

czasie i przestrzeni. Usiłuje pożalić się sąsiadom - domom po tej samej stronie ulicy, po lewej i po prawej.

- Czy ostatnie trzęsienie ziemi nie naruszyło panu belek sufi-towych? Mnie znów popękał tynk na elewacji wschodniej...

Ale tamte nie zwracają uwagi, zasłuchane we własną starość.

Wtedy dom wzdycha przeciągle i łączy się ze snami swoich mieszkańców, obecnych i przeszłych, stając się jednym wielkim organizmem, sumą westchnień, pojękiwań i drapania się w swę-

dzące dachówki.

W środku tego cyklonu dźwięków - zamknięte oko podwórka.

Ono nie śpi, czuwając nad pamięcią tych, którzy tu kiedyś spoczęli, których już nie ma, ale...

Nie można ekshumować wspomnień.

Rozdział Dwunasty

W którym pralka tańczy taniec brzucha, a wszyscy inni - bon odori.

Niedziela, 8 sierpnia 1999

Stara, pękata pralka jęknęła przeciągle i stuknęła z iry-tacją. Przeszedł ją dreszcz obrzydzenia, po czym zaczęła wylewać brudną wodę.

Na podłogę.

Rzuciłem się, by wepchnąć gumowy wąż do dziury w ścianie, skąd lubił czasem wypadać. Udało się za trzecim podejściem.

Pralce też się udało - wypluć większość wody z bębna na stare, spękane kafelki podłogi,

Wziąłem ścierkę i już miałem przystąpić do usuwania powodzi, kiedy zadzwonił telefon.

Znalezienie go zajęło mi dłuższą chwilę. Zapomniałem nawet, że mamy aparat w pralni. W sumie mieliśmy je wszędzie — żeby nie używać w studiu komórek i nie zakłócać delikatnych sygnałów mikrofonowych mknących kablami w tajnych kanałach, znanych tylko panu Ikedzie.

Był na półce, za stosem pudełek z proszkiem do prania. Się-

gnięcie po niego wymagało wejścia w sam środek kałuży. W której musiałem już zostać, bo przewód słuchawki był za krótki.

- *Moshi moshi?*

- Przepraszam, mówi Koji Tanaka...

- Koji! Żyjesz?

- Przepraszam...

- Nie przepraszaj, to nie grzech. Chyba, że się jest Ikedą. A w ogóle — kopę lat!

- Kopę lat... Przepraszam, Nauczyciel pewnie zajęty...?

- Nie, nie, bynajmniej. Nasz szalony techniczny — pamiętasz go? - rozebrał mi studio na czynniki pierwsze. Szuka pluskwy milenijnej. Jestem w pralni. Pamiętasz pralnię?

- No pewnie... Pralka ciągle wylewa?...

- Żebyś wiedział — mruknąłem, stając w kałuży na prawej nodze, bo lewa mi zmarzła.

- Jeszcze raz przepraszam.. Dzwonię właściwie powiedzieć Nauczycielowi „dzień dobry”.

- Znakomita motywacja. A poza tym? Tylko błagam, już nie przepraszaj. Myślałem, że ci przeszło.

- Przepraszam...

- A jednak nie. No, powiedz coś o sobie. Gdzie teraz pracujesz?

- W Hikawadai Records...

- I jak ci tam idzie?

- Przepraszam, świetnie...

- Lepiej niż w Radiu Yokohama?

- Tak. Nie! Przepraszam... Martin-san mnie dużo nauczył...

Dostałem właśnie promocję i własne studio... Dzwonię podziękować Nauczycielowi...

- Nie ma za co. Od ciebie też się kilku rzeczy nauczyłem, kiedy byłeś moim pomocnikiem. Na przykład, że *hai* nie znaczy „tak”.

Ani „rozumiem”. Ale powiedz, co u ciebie słychać? Wyjeżdżasz na Obon23? Ty jesteś z Wakanai, jeśli dobrze pamiętam? Kawał drogi, prawda?

- Tak... Przepraszam, że pytam, czy Nauczyciel też wyjeżdża na Obon?

23Trzydniowe święto buddyjskie.

-Ja? A wiesz, nie, w tym roku jakoś nie. Czekał... o coś chciałem zapytać, tylko mi ze łba wyszło... Aha. Pracujesz w Hikawadai Records, mówisz? Znasz tam może niejakiego Morie? Producenta?

Pralka odchrząknęła, wzięła się w garść i zaczęła zwiększać obroty. Zakołysała się, wzbudzając na podłodze fale, które łagodnie obmyły mi kostki. Wreszcie rzucając gniewnie włączyła najwyższy bieg i z przeraźliwym jazgotem rozpoczęła taniec brzucha.

- Że co? Mów głośniej, nic nie słyszę!

- Nie ma! Wyrzucili go! - wrzasnął Koji.

- Jak to wyrzucili? Z pracy? Co takiego zrobił?

Przez wycie pralki, która na starość próbowała zostać sokowi-rówką wydawało mi się, że słyszę przeproszający chichot mojego dawnego pomocnika.

- Koji, MNIE możesz powiedzieć! Jestem twoim starym prze-

łożonym, pamiętasz?

- Eeetooo... Bo... był nielojalny! Robił projekty na boku! Po godzinach! Szef się dowiedział i go wyrzucił! Tylko, proszę Na-uczyciela... proszę nikomu nie mówić, bo nasza firma straciłaby twarz!

- Kiedy?

- Przepraszam?!!!

- Pytam, KIEDY GO WYRZUCILI?!!!

Pralka nagle dała za wygraną i znieruchomiała, pozwalając zawartości swojego brzucha wirować jeszcze chwilę na coraz wolniejszych obrotach, przy akompaniamencie cichego

plaskania ubrań odrywających się od sufitu bębna.

W nagłej ciszy słuchawka wrzasnęła rozpaczliwie: - Pod koniec MAJA!

- Nie musisz już krzyczeć - mruknąłem. - W maju, he? Ale myśmy dostawali faksy...

- Przepraszam...?

- Nieważne. Koji, bardzo się cieszę, że zadzwoniłeś. Powiem ci coś. Byłeś moim najlepszym pomocnikiem. Słuchałeś, co się do ciebie mówi. To rzadka umiejętność. Życzę ci udanego Obon.

Jedziesz do Wakanai, tak? A może lecisz? -Jadę, samochodem...

- To chyba dobre piętnaście godzin za kierownicą?

- No... Potem dzień odsypiania u rodziców, a potem cały dzień z powrotem do Tokio... Jakbym miał kierowcę zmiennika...

- No to życzę ci wspaniałego wypoczynku. Zadzwoń kiedyś znowu, OK?

Wysłuchałem jeszcze kilku przeprosin i odłożyłem słuchawkę.

Dobrnąłem do brzegu kałuży i wyjąłem z wiadra flanelową ścierkę.

- Dlaczego zbierasz wodę moją koszulą? - zapytał John.

Podniosłem wzrok na ażurowe, plastikowe kapcie pralniowe, długie, chude łydki i całą resztę Johna, dzierżącego pod pachą kosz z bielizną.

- Przepraszam... Myślałem, że to ścierka. Chwytaj drugą i po-móż mi. Stara brzuchata wylała na podłogę.

- Co, znowu zjadła komuś skarpetkę i przytknęło filtr? - John znalazł coś niepokojąco przypominającego mój stary ręcznik i złożył się w harmonijkę, dołączając do mnie na drugim brzegu kałuży. - Ostatnio Ikeda wydłubał z tej pralki półokrągły drut, który totalnie unieruchomił pompę. Pytałem wszystkich dziewczyn, ale żadna się nie przyznaje...

- Wiesz co? Nie wiesz, ale zaraz się dowiesz. - Zmieniłem temat na bezpieczniejszy. - Zasięgałem właśnie języka przez... errr... moje kontakty w branży. I co odkryłem?

Po nieznacznym zwolnieniu Johnowej ścierki poznałem, że za-czął słuchać kogoś poza sobą.

- Otóż niejaki pan Morie, mistrz rozbrykanego przecinka, nie pracuje już w Hikawadai Records. Rozumiesz? Powiem więcej...

Nie pracuje tam od MAJA. I co ty na to?

John z namysłem wyjął ścierkę, która zdecydowanie była kiedyś ręcznikiem, i zrobił kolejny krok na kolanach w moją stronę.

Zbliżaliśmy się do siebie w miarę zmniejszania się kałuży.

- Czyli, słuchasz, Morie nie mógł wysłać tych faksów z pracy. Robił nas w trąbę. Albo...

Przerwałem, żeby wyjąć ścierkę.

John podsunął kubek o kolejne pół kroku w moim kierunku. Szerokim, półkolistym ruchem zebrał kolejną porcję wody i wysapał: - Albo to nie był Morie.

Byliśmy już o metr od siebie.

Zrobiłem ostatni zamach ścierką i wyprostowałem się na kolanach.

- A kto, jeśli nie Morie? Ktoś z wewnątrz, prawda? Hayakawa, żebyśmy myśleli, że Radio Yokohama jakoś jeszcze przędzie? Tabashi, z sympatii do całego świata? Amanda, żeby się pobawić w produkcję zespołu? Yoshi, bo się w niej zakochał? TY, żeby mnie wysiudzić ze studia A? No kto?

John dokończył zbierać swoją połowę kałuży i też się wyprostował. Klęczeliśmy naprzeciwko siebie, pośrodku mokrej posadzki, wyzymając ostatni raz ścierki. John wrzucił swoją do wiadra i odpowiedział: - A ty jak myślisz, kto?

- Czy mogę pomóc...? — Rozległ się głos Hirō — Coś się rozlało?

— Wy. . wyprowadzasz się. .?

Słowa rozbrzmiewają w półmroku bardziej jak jęk niż pytanie.

Na podłodze stoi walizka w szkocką kratę, a nad nią pochylony Yoshi starannie układa płyty przed włożeniem ich do środka.

Zerkam nieznacznie. Klasyka... Pink Floydzi i „Dark side of the moon”, U2, Def Leppard, X-Japan, a na wierzchu znajomy bobas polujący w wodzie na dolary. Jak wiele można się dowiedzieć o duchu człowieka, znając dźwięki, które tegoż ducha cieszą; — Nie, tylko na Obon. Ale pakuję wszystko, żeby się nie kurzyło.

Wejdz.

Rzeczywiście, jak na pokój w wydaniu męskim panuje tu więcej niż porządek. Nawet gościnne kapcie grzecznie stoją w kącie przy wejściu. Zauważam to, bo Yoshi odkłada płyty i klęka przede mną z kapciami w dłoniach.

-A ty?

—Ja zostaję. - Wzdycham. — Żeby odwiedzić przodków, musiałabym lecieć do Malezji.

Orzechowe oczy rozważają coś pod półprzymkniętymi w zamyśleniu powiekami. Wahanie.

— Zawsze można odwiedzić żyjących. . Może, gdybyś miała

ochotę. . - Ręką wykonuje gest zapraszający w swoim kierunku, z jednoczesnym niewypowiedzianym pytaniem w źrenicach.

Kręcę przecząco głową. Nie jestem gotowa na poznawanie rodziny Yoshiego. Źrenice gasną.

— Aha, zapomniałam, po co przyszłam. Masz może mały

śrubokręt?

Powieki unoszą się i widzę „?”.

—Bo. . czułeś w nocy? Ziemia drżała. Nie bardzo, ale framudze w moim pokoju wystarczyło i okno się nie domyka. Wpada tyle wilgotnego gorąca, że boję się o klimę - jak skapitułu-je, czeka mnie spanie w *ofuro*...

—Zaczekaj chwilę, bo już prawie skończyłem. Pójdziemy razem i ci pomogę.

Macham przecząco dłonią.

—Ja sama...

Odkłada podniesione przed chwilą pałki. Mocny, pewny uchwyt na moim ramionach i bardzo poważny ton.

—Już nie sama.

Cisza. Ale nie niezręczna, tylko naturalna cisza porozumie-nia. Odwraca się i obejmuje spojrzeniem pokój, po czym starannie zamyka walizkę, W szkocką kratę.

Nie muszę zamykać oczu, żeby to znów zobaczyć. Walizka w szkocką kratę, otwarta na podłodze kuchni w Desaru. Raju mojego dzieciństwa. Babcia układająca w niej zamknięty w drewnianej skrzynce Koran, Drzwi, kłódka i łzy mamy... Taką ją zapamiętałam.

- Nie wygląda to najlepiej, ale czekaj... Gdyby tu..

Rozmontowaliśmy moje małe okno na czynniki pierwsze.

Framuga jest bardziej chora, niż mi się wydawało. Pochylamy się nad nią oboje, jak chirurdzy nad stołem operacyjnym.

- Ale to się chyba nie uda. Zobacz.

Pokazuję zmurszałą dziurę po śrubie, którą dało się wyjąć palcami.

- Tą część można zastąpić kawałkiem świeżej deseczki, zro bimy podkładkę... Jeszcze to, bo inaczej znowu usiadzie.

Po raz pierwszy widzę ten fragment podwórka w całej okazałości, niezasłonięty przez karbowaną szybę.

Papierowym ręcznikiem z rolki ocieram krople potu, perlą-

ce się na czole mojego lekarza od okien. Nie patrząc w moim kierunku, wyciąga dłoń, do której wkładam duży, płaski śrubokręt. Podważa zapieczoną blaszkę, przytrzymuje; ponownie otwarta dłoń, śrubokręt krzyżakowy; delikatnie i w skupieniu odkręca ostatnią śrubę.

- Czoło.

Wycieram ręczniczkiem, W pokoju robi się niemiłosiernie gorąco, przez dziurę po oknie i wyłączony na czas operacji klimatyzator.

- Uważaj... - ostrzegam, ale jest za późno i blaszka pęka z trzaskiem. Na jasnej koszuli pojawiają się drzazgi. Na ramie okna - głębokie pęknięcie.

- No to mamy problem. Okno nie przeżyło.

- Trzeba zawiadomić Ikedę.

Nie chcę nawet myśleć o Szalonym Technicznym w moim pokoiku. Na pewno znajdzie jakieś kable do wymontowania...

- Wiesz, właściwie możesz przenieść się do mojego pokoju.

I tak będzie stał pusty od jutra. A klimatyzacja działa, o dziwo, bez zarzutu. Nawet nie rzeźi.
- Uśmiecha się ciepło, odkładając moje martwe okienko. - Pomogę ci przenieść rzeczy - dodaje szybko, widząc moje wahanie. Dalsza dyskusja wydaje się zbędna.

Szliśmy w milczeniu, gęsiego, przez wąski korytarzyk drugiego piętra. Pierwszy John, potem Hirō, z głową spuszczoną, jakbyśmy go prowadzili na rozprawę sądową. A chodziło przecież tylko o rozmowę z panem Hayakawą. Nie, żeby John wyjaśnił, po co mu do tego basista. Denerwowało mnie, kiedy rudy DJ robił się tajemniczy.

Australijczycy nie potrafią być tajemniczy. Dziwne, biorąc pod uwagę ich narodowe pochodzenie.

Dotarliśmy. Zupełnie nie miałem ochoty wchodzić do gabinetu Hayakawy. Jeden dywanik w miesiącu wystarczy. Wyręczył mnie jednak pan Tabashi - otwierając drzwi.

- Hayakawa-san wkrótce przybędzie - oznajmił. - Życzy sobie, żeby panowie na niego poczekali. W środku. - Zaprosił gestem.

Tym razem gabinet pana Hayakawy został wyposażony w krzesła dla gości, i to aż cztery. Niewątpliwie przyniesione z sali kon-ferencyjnej przy studiu C. Dziwnie ustawione - jedno pod prawą ścianą, drugie pod lewą, dwa pod tą odległą - naprzeciwko starego, mahoniowego biurka naszego przełożonego.

Chwyciłem za oparcie najbliższego, żeby je wszystkie zgroma-dzić przed biurkiem, ale Tabashi i Hirō usiedli już na dwóch naj-dalszych, a John pod lewą ścianą, więc porzuciłem pomysł i klap-nąłem na czwartym.

Było gorąco. Chyba coś nie tak z klimatyzacją. Pod sufitem wirował stary, drewniany wiatrak, uruchamiany w dniach wyjątkowych upałów. Chociaż dziś na dworze było znośnie - padał deszcz.

Czekaliśmy jakieś pięć minut.

W końcu Tabashi-san, wiedziony nieomylnym instynktem woźnego, wstał, stuknął mopem w podłogę i zaanonsował: - Szanowny Pan Hayakawa!

Powstaliśmy. Hayakawa wszedł, ubrany w czarną pelerynę przeciwdeszczową, długą jak toga. Mokrą. Musiał być na zewnątrz.

Rozejrzał się, szukając wieszaka, ale nie znalazłszy go (może wieszak nie dostał certyfikatu „Y2K Ready”), przeszedł za biurko i usiadł, nie rozbierając się nawet. Przełożył kilka

papierów i podniósł na nas wzrok. Odchrząknął.

- Zebraliśmy się tutaj, ponieważ, jak rozumiem, powstały pewne... errr... zastrzeżenia dotyczące obecnego tu pana Hirō Ishizu-ka.

Poproszę pana Johna o dalsze wyjaśnienia.

- Dziękuję. - John podniósł się z krzesła. - Sprawa jest prosta.

Jak wszyscy wiemy, Radio Yokohama od dwóch miesięcy prowadzi nagranie zespołu Y2K. Nagranie, które wbrew wszelkim prawidłom sztuki odbywa się bez producenta. Ów producent, niejaki Morie, reprezentujący wytwórnię płytową Hikawadai Records, wielokrotnie odkładał swoje przybycie na sesję za pomocą faksów, które chciałbym niniejszym przedstawić jako materiał

dowodowy. - Podeszedł do biurka i położył przed Hayakawą plik wymiętych kartek.

- Proszę zwrócić uwagę, że treść tych faksów jest identyczna.

Zmienia się tylko data.

- Protestuję! - Wstałem nagle. — A co to ma wspólnego z moim klientem, Hirō?

John uśmiechnął się wyrozumiale i zwrócił do Hayakawy: - Zaraz wszystko wyjaśnię. Czy mogę...?

Hayakawa-san zmarszczył się, ale kiwnął przyzwalająco głową.

- Historia ta pewnie ciągnęłaby się przez kolejny miesiąc -

kontynuował John — gdyby nie to, że pewnego dnia znalazłem w studiu ten oto tekst piosenki nagrywanej przez Y2K. Autor stwa obecnego tu Hirō. — Podeszedł do biurka z kolejną kartką. -

Proszę zwrócić szczególną uwagę na podobieństwo charakteru pisma... i specyficzne podejście do znaków przestankowych.

Popatrzał po wszystkich obecnych, czy doceniliśmy tę ważną poszlakę i ciągnął dalej:

- Zwróciłem się więc do Ikeda-san o sprawdzenie, skąd przy chodzą faksy od domniemanego pana Morie. Oczywiście nie ma my sprzętu, by śledzić linie telefoniczne wychodzące na miasto, ale te wewnętrzne są obsługiwane przez naszą własną centralkę, którą Techniczny zna jak własną lutownicę... Jak się panowie do myślają, wszystkie faksy zostały wysłane

stąd. A konkretnie -

z parteru, z dawnej recepcji skrzydła południowego. Od trzech lat zamkniętej na klucz...

Zrobiło mi się zimno. Chciałem wstać i znowu zaprotestować, ale nie miałem pomysłu, przeciw czemu i dlaczego.

- Dzisiaj ostatni element łamigłówki został dopełniony przez mojego szanownego starszego kolegę, Martina. Otóż pan Morie nie mógł wysłać tych faksów chociażby dlatego, że od ponad dwóch miesięcy nie pracuje dla Hikawadai Records!

Hayakawa uniósł brwi. Odniosłem wrażenie, że po raz pierwszy w czasie tej rozprawy dowiedział się czegoś nowego. John wycelował

oskarżycielski palec w Hirō:

- Chciałbym więc skierować pytanie do obecnego tu młodego człowieka: dlaczego to robiłeś?

- Protestuję! - zawołałem, zrywając się z krzesła. -Jeszcze nie ustaliliśmy, że Hirō w ogóle cokolwiek zrobił. Pytanie „dlaczego”

jest więc co najmniej nie na miejscu!

Hayakawa skinął głową, znużony, więc usiadłem w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku. Hirō był w końcu moim klientem.

Jeśli ja nie będę go bronił, to kto?

- No dobrze - John rzucił mi niechętnie spojrzenie - sparafra zuję więc pytanie. Hirō, czy wysyłałeś przez dwa miesiące faksy, podszywając się pod niejakiego Morie?

Otworzyłem usta, żeby zaprotestować, ale klient mnie ubiegł.

Powiedział:

- Tak, panie John.

Oklapłem. Powinienem był zakazać mu się odzywać.

- Dlaczego? — Głos Johna ciął jak katana. — I czy możesz nam wyjawić, kto w takim razie zapłacił za nagranie twojego zespołu?

Bo przecież nie pan Morie?

- Protestuję! A co ma do tego źródło finansowania sesji? -

Wymierzyłem palec w Johna. - Studio zostało opłacone, tak?

Więc co nam do tego? Lepiej byś zajął się swoją rozgłośnią, za miast się bawić w prokuratora! Hirō nie zrobił nic złego!

Usiadłem z impetem, aż mnie zabolą kość ogonowa.

- Wcale nie mówię, że Hirō zrobił coś złego. - John z irytującą cym spokojem zwrócił się do Hayakawy. — Chcę tylko dotrzeć do prawdy. Czy nie tego wszyscy chcemy...?

Zapadła cisza, mącona tylko szumem podsufitowego wiatraka niestrudzenie mielącego gęste, gorące powietrze.

- A więc powiem wam, co według mnie zaszło - oznajmił w końcu John. - Kiedy Morie odszedł z Hikawadai Records i szansa na płytę Y2K znikła, Hirō postanowił ratować zespół i zapłacił za sesję z własnych oszczędności...

- Protest! A CO W TYM ZŁEGO? He?

- Nie mówię, że to coś złego. - Uśmiechnął się John pobłażliwie.

- Pytanie tylko, ile tych oszczędności jeszcze zostało...? Czy wystarczy na miks, mastering i produkcję płyty? He?

- Dość - powiedział Hayakawa, waląc w stół drewnianym liczydłem.

Zamarliśmy.

- Siadaj, John. I ty, Martin. A teraz wszyscy mnie posłuchajcie.

Hirō-san jest naszym klientem. Chyba obaj o tym zapomnieliście.

Jest więcej niż klientem...

Zapadła cisza. Miałem wrażenie, że Hayakawa powiedział o jedno zdanie za dużo i sam teraz tego żałuje. Odwróciłem się i spojrzałem na Hirō. Siedział bardzo spokojnie. Ścisnął tylko pana Tabashiego za nadgarstek.

- Dlaczego więcej niż klientem? — zapytał beztrąsko John.

Hayakawa wstał. Dawno nie widziałem go tak zmarszczonego.

Nie wiem, czy kiedykolwiek.

- Pan John chyba trochę... przesadził. Myślę, że pora zakończyć to spotkanie.

- Nie - powiedział Hirō, również wstając. Tabashi-san podniósł

się razem z nim.

- Przepraszam, Nauczycielu. - Hirō zwrócił się do pana Hayakawy, używając słowa *sensei*, jak Koji do mnie godzinę temu, przez telefon... Mistrzu albo nauczycielu. Otworzyłem usta, żeby go ostrzec, że nie musi, ale Hayakawa mnie wyręczył: - Hirō, to nie jest konieczne. Chyba że... - Patrzyli na siebie długo. W końcu Hayakawa usiadł powoli i mruknął: — No, dobrze.

Powiedz, co masz do powiedzenia.

-Ja... - Hirō przybrał kolor cegły i zakrztusił się. Tabashi przy-sunął się o milimetr, omal go nie dotykając. Dodając mu odwagi samą swoją obecnością. I uwagę.

-Ja... znalazłem pana Morie. Wysłałem mu demo, nie pytając innych w zespole... I on nas wziął. Ale jak już byliśmy w studiu, odszedł z pracy. Zadzwoił do mnie... Nie chciałem dopuścić, żeby się wszystko znowu rozpadło. To była nasza jedyna... *chan-su*. Tak, zapłaciłem za sesję. I wysłałem faksy...

Zamilkł.

- A jak się dostałeś do zamkniętego biura? - zapytał zdradliwie słodkim głosem John. — I skąd znałeś numer naszego konta, żeby zrobić przelew za sesję?

Poczułem, że pora znowu protestować.

Hayakawa mnie ubiegł, stukając trzykrotnie liczydłem w biurko.

- Powiedziałem „dość”. I nie będę tego powtarzał po raz trzeci.

Hirō jest członkiem naszej rodziny. Wychował się tu. To jest jego dom. Rozumieją panowie?!

- Sierociniec... - szepnął John. I głośniejszym głosem: — To dlatego Hirō nigdy się nie gubi na piętrach. Umiał wejść do zamkniętego biura, do którego nawet ja nigdy się nie dostałem!

Hayakawa westchnął i zaczął tłumaczyć.

- Jak pan John widocznie wie, a pan Martin nie miał chyba okazji jeszcze się dowiedzieć, od roku trzynastego ery Taishō, to będzie...

- tysiąc dziewięćset dwudziestego czwartego - odpowiedziałem.

- ...a więc od roku tysiąc dziewięćset dwudziestego czwartego w tych budynkach mieściła się szkoła z internatem dla dzieci osieroconych w czasie wielkiego trzęsienia ziemi z pierwszego września tysiąc dziewięćset dwudziestego trzeciego roku, naj-większej katastrofy naturalnej w historii naszego regionu. Szkoła kontynuowała swoją działalność w czasie wojny i po niej, wychowując wiele dzieci... ofiar tych czasów. Została w końcu zamknięta pod koniec lat osiemdziesiątych, zanim panowie John i Martin dołączyli do firmy. Tak. Eetoo. Właściwie nie mam panom nic więcej do powiedzenia. Zakończmy to spotkanie.

- A co będzie z nagraniem Y2K? - zapytał John, podnosząc się ze swojego krzesła.

- Oczywiście nie będzie mogło być kontynuowane zgodnie z początkowymi założeniami - odparł Hayakawa, dodając szybko: -

Przepraszam, Hirō. Nie winię cię za to, co zrobiłeś. Szkoda tylko, że nie przyszedłeś do swojego starego opiekuna, kiedy pojawiły się problemy. Ale, pamiętaj... zawsze będziesz członkiem rodziny. To jest twój dom. Powiedziałem ci to, kiedy dorosłeś, tak jak mówiłem wszystkim... Niektórzy zostali. Ty poszedłeś w świat. Ale mówię ci to ponownie dzisiaj.

A teraz proszę wszystkich panów o wyjście i zostawienie mnie samego. Mieliśmy zupełnie dość bałaganu jak na jeden dzień.

Muszę przygotować spotkanie załogi zaplanowane na wtorek.

Niektórzy z nas wyjadą zapewne na święto Obon. Jest więc sporo spraw, które będziemy musieli przedyskutować.

Liczę na obecność wszystkich. Podkreślam: wszystkich.

- Martin? Widziałeś Hirō?

Patrzy na mnie jakoś dziwnie. Znow zrobiłam coś nie tak? -

Widziałem. Ale lepiej mu teraz nie przeszkadzać.

— Coś się stało? Minęłam go rano w drodze do pralni i wy

dawał mi się w porządku...

Martin wyraźnie nie jest w nastroju. Może powinnam zostawić go w spokoju. A może nie...

— Właściwie chciałam tylko zapytać, czy pójdzie dziś do biblioteki, jak planowaliś... Jak planował. Bo mam od niego książkę stamtąd.

Na znak mojej niewinności pokazuję trzymaną w rękach książkę: „Kehidupan Jalan” Roszamana bin Ismaila. Patrzy na mnie lekko zdziwiony.

— To po... twojemu, prawda? Od kiedy Hirō umie czytać po malajsku?

- Tylko trochę, chciał sobie przypomnieć. Bahasa to nie taki trudny język zresztą. Ty też możesz się łatwo nauczyć. Jest nawet prostszy niż angielski - próbuję ominąć temat. Nie wiem, czy Hirō chciałby, żeby mówić o jego przeszłości.

- Nowa moda, tak? - Wzdycha Martin. - Od dziś całe Radio Yokohama będzie mówić po malajsku?

Patrzę na niego uważnie.

Sprawia wrażenie, jakby się... postarzał w ciągu ostatniego miesiąca.

Jakoś odruchowo kładę mu rękę na ramieniu. Przymyka oczy i lekko, od niechcenia potakuje, gdy mówię cicho: — Nie, Martin, nie całe. Tylko ci, którzy chcą. Moda nie po

lega na kopiowaniu innych, lecz na znajdowaniu w niej swojej własnej drogi.

Otwiera oczy, gdy zdejmuję mu dłoń z ramienia.

- Do tego trzeba dojrzeć, wiesz - mówi z odcieniem melan cholii.

Kiwam głową.

- Czasem już jesteśmy do czegoś dojrzali, tylko jeszcze o tym nie wiemy, bo nie spróbowaliśmy. Czasem wystarczy po prostu to zrobić.

Wygląda, jakby podejmował jakąś ważną decyzję.

— Amanda, ja... Bo gdybyś miała czas i... Ja nie chcę przy wszystkich. Chciałbym tylko spróbować. I jeśli ta twoja lina jest wystarczająco mocna, by utrzymać mój ciężar, to ja...

- Chcesz się wspinać? jasne. Pojutrze wieczorem możesz?

Włóż jakieś sportowe buty, najlepiej lekko przyciasne. Będzie. .
wygodniej.

Poniedziałek, 9 sierpnia 1999

- Cześć szefie. -

Jaki tam szefie.

- Dla mnie zawsze...

- Dobra, dobra. Teraz, jak rozumiem, szefuje ci Amanda. Ale herbaty umiesz jeszcze zrobić?

Andrzej wyszczerzył się i pobiegł do ekspresu nalać gorącej wody.

Usiadłem na moim starym fotelu i odruchowo podjechałem do stołu mikserskiego. Kółka wpadły w swoje stare wgłębienia w podłodze - efekt setek godzin w jednej pozycji... Chociaż przysięgłbym, że dawniej brzeg stołu nie wpijał mi się w brzuch. Albo Ikeda przesunął cały sprzęt, albo...

- Proszę. — Andrzej wręczył mi parujący kubek. Nie mój, ale cóż, mój był już w niebie, na wielkim cmentarzysku potłuczonych naczyń.

Niczego mi, prosta pana, tak nie żal jak porcelany — pomyślałem.

Podmuchałem i upiłem łyk.

-Jak ci się pracuje z Amandą? I nad czym?

- No... nagrywamy Y2K...

- Przecież oni już nie robią płyty, po tym, jak wybuchła afera z Hirō. Nie udawaj, że nie wiesz. Tutaj wszyscy o wszystkim wiedzą.

Radio Yokohama to mały świat. Tylko zagmatwany zupełnie jak ten duży.

- Wiem... Nie, tej pierwszej płyty już nie będziemy robić...

Ale oni grają teraz coś zupełnie innego i panu Hayakawie się spodobało demo, które zrobiliśmy z Amandą, i pozwolił nam pracować nad płytą, taką niskobudżetową, wydamy ją

własnym nakładem pod etykietą Radia Yokohama, zespół się dołoży i Hayakawa-san też...

-Aha.

Dłuższa cisza. Starłem kciukiem z brzegu stołu mikerskiego czteropalczasty ślad, pochodzenia niewątpliwie Debirowego.

- Czyli zadomowiłeś się u nas, tak, Andrzej?

- A czy to jest dom?

Wyjąłem nos z kubka. Coś wyraźnie drażyło młodego — zapomniał nawet, że jest nieśmiały.

- Andrzej? Czyżby ci u nas było źle?

- Nie źle, szefie... Ale czasem dziwnie. Dlaczego stąd nikt nigdy nie wychodzi? Dlaczego kiedy pytam o ducha, to wszyscy się ze mnie śmieją albo nabierają wody w uszy...?

- W usta - poprawiłem.

- W usta? Dlaczego ja sam boję się stąd wyjść? Dlaczego nikt nie chce od czasu do czasu iść do pubu? Albo do dyskoteki? Do kina? Na plażę? W góry? Dlaczego nikt nie ma przyjaciół, znajomych, nie chce kogoś w życiu poznać... Dlaczego?! Czy to jest...

hikikomori?

- A - powiedziałem. - Ciekawe zjawisko. Oglądałem o tym program w telewizji. Młodzi ludzie, którzy zamykają się w swoim pokoju i budują tam sobie własny mikroświat? Nie wychodzą la-tami, nie licząc wizyt w łazience? Komunikują się ze światem tylko przez internet? Otóż trzeba ci wiedzieć, młody przyjacielu, że hikikomori to przypadłość trapiąca osobniki nieprzystosowane społecznie. Ludzi trochę... innych. Nieumiejących dać sobie rady ze swoją innością. Albo zbyt cierpiących w społeczeństwie, które nie umie sobie dać rady z ICH innością. Rozumiesz? Podczas gdy tutaj, w Radiu Yokohama, masz normalną, zdrową załogę, gdzie nikt nie jest nieprzystosowany społecznie!

Przerwałem na chwilę, bo z korytarza dobiegł nagle narastający ciężki galop, świst kapci hamujących na wirażu, głuche pacnięcie, zażenowany chichot i znowu galop, tym razem cichnący w oddali, - Rozumiem, Andrzej, że jesteś po prostu zmęczony wielo-miesięczną sesją, a to prowadzi do szukania dziury w całym. Naprawdę, w Radiu Yokohama nie ma nic nadzwyczajnego i gdybyś...

- A dlaczego babcia z naprzeciwka wystawia przed dom te butelki z wodą i NIKT mi nie chce powiedzieć, po co??? - Wściekł się Andrzej.

Policzyłem do dziesięciu.

- Uspokoileś się już, synku? To weź sobie teraz ołówek, kaje-cik i pisz. Lekcja Dziewiąta. Nie, zaraz, Dziewiąta była o niewkła-daniu głowy do bębna wielkiego, szczególnie, jeśli siedzi za nim perkusista. A więc Dziesiąta. Uważaj: Kto pyta, nie błądzi. Zasada nieznana na tych wyspach, gdzie zadawanie pytań jest... nie-uprzejme. Agresywne i prowokujące. Ale my nie jesteśmy wyspia-rzami. Choć byśmy się nie wiem jak starali.

- To wszystko? — Andrzej spuścił nos na kwintę. - Ale ja sto razy pytałem o te butelki...

- A starego Bosa pytałeś?

- Tak, ale stary Bos nie odpowiedział.

- Ja ci dam „starego”. OK, to może nie usłyszał. Ale teraz słyszy.

Więc pisz dalej: wypełnione wodą plastikowe butelki po napojach odstraszaają w nocy koty. Szczególnie takie, co się nazywają Debiru, nie bez kozery zresztą. I boją się odbłasków światła z latarni ulicznych, odbijających się w tych butelkach. Zapisałeś?

- Wężykiem...?

- Nie, mówię zupełnie poważnie. Siusiające Debire niszczą ro-

śliny na tym półmetrowym pasku ziemi, który służy babci za ogródek. Wiele gospodyń w Japonii wystawia w tym celu na noc przed dom butelki z wodą.

- Widzisz? - Wstałem i wręczyłem mu pusty kubek. — Nie trzeba się bać pytać. Wszystko ma swoje wyjaśnienie. Zwykle prostsze, niż myślimy.

- Andrew, proponuję dorzucić tu mały pogłos przy końcu, byłoby prawie jak Jethro Tuli... Szkoda, że żadne z nas nie gra na flecie, swoją drogą.

— Akemi gra. To znaczy, kiedyś grała, teraz musiałbym zapy

tać — mówi ze wzrokiem wbitym w przestrzeń pomiędzy szybą reżyserki a framugą drzwi.

Patrzę zdumiona. Jakoś Czarna Dama nie mieści mi się w wyobraźni w roli delikatnej flecistki. Wzrok wędruje w okolice mojej szyi. Ciekawe, że od pewnego czasu on w ogóle nie patrzy mi w oczy.

— OK, spróbujemy z tym pogłosem. I co, damy ich jeszcze

raz?

Rozmyślałam przez chwilę.

— Nie, może teraz dla odmiany to, co grali wczoraj na koniec.

Nagrałeś tamtą improwizację, prawda? To ja bym im to teraz najpierw puściła w słuchawki, sam początek, a później niech to pociągną. Nieźle się zapowiadało. A, tylko tam chciałabym usłyszeć więcej basu, bo Hirō robił świetny wstęp... Może w ogóle najpierw nagrać samą ścieżkę basu? Bo perkusja już właściwie do tego kawałka skończona wczoraj.

Andrew posłusznie notuje w swoim reżyserskim notatniku i mruczy coś, czego nie rozumiem.

— Powtórz..?

Powtarza, ale brzmi to jak veushikyem. Cokolwiek to znaczy.

To pewnie w tym dziwnym języku, w którym czasem mówi do Martina; języku, co brzmi jak szelest ze zgrzytaniem. Przekazu-jemy zespołowi instrukcje i po chwili wciśniętej żyrafie rozjeżdżają się nóżki. Andrew poprawia je troskliwie.

Patrzymy w skupieniu, jak Hirō pochyla się nad basem.

Przejeżdżam wzrokiem po reżyserce. Dobrze tutaj, tak... do-mowo. Czuję się na swoim miejscu, mimo że wiem, że to tylko na próbę, że raczej nie zagrzeję tu stołka, że... Ale stojąc z Takamine po drugiej stronie szyby, nie miałam pojęcia, że po TEJ

stronie też odbywa się ekscytująca, twórcza praca.

Coś przychodzi mi do głowy.

— Masz może jeszcze ten swój kamerton, Andrew? Tak so

bie myślę, że gdyby tak wrzucić w tło takie... no, taki klang...

i ściszyć do poziomu trochę niższego niż perkusja, mogłoby być interesująco.

Rozważa moje słowa, mrużąc powieki, jakby usiłował wyobrazić sobie ten dźwięk w tle.

- Mam, w moim dawnym... W moim pokoju. Podskoczę po sesji. A może podskoczymy razem, to coś ci pokażę i powiesz mi, czy może być, OK?

Gorąco i duszno. Powietrze zastygłe, zupełnie jakby dawno nikogo nie było w tym pokoju. I jakby od kilku dni nikt nie włączał klimatyzacji.

Andrew odczytuje moje myśli, bo sięga za *futon* po pilota i ruchem zza ramienia włącza klimę, która zanosi się kaszlem, prycha dwukrotnie jak zmoczony kot i w końcu zaczyna spokojnie rzeźić.

—Jest Spróbuj.

Uderzam kamertonem o brzeg szafki. Słuchamy przez chwilę, ale oboje kręcimy głową przecząco.

- Nie, to nie może mieć pełnego dźwięku. Sam klang.

- Może jakby stłumić..? Bo ja wiem, taśmą izolacyjną?

Andrew rozgląda się po pokoju. Ja też. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że... nikt tu nie mieszka.

—Ja nie mam, a już na pewno nie tutaj - mówi w końcu. -

Może Ikeda-san?

社長.

— Zapytasz go? — rzucam szybko, w obawie, że poprosi mnie za raz o to samo. Zdążyłam, bo właśnie nabrał powietrza w płuca.

— Aaa.. tak, oczywiście. Czekać, coś ci chcę pokazać.

Otwiera stojące na podłodze pudło.

— Spójrz na to. Chciałem cię zapytać, zanim zrobimy mu nie spodziankę... Może coś dodasz od siebie?

Podaje mi wyjęty z pudła owinięty w ściereczkę kubek. Zwykły, czarny kubek z wielkim uchem. Przysięgłabym, że widzia-

łam go przedwczoraj w sklepiku na dole. Na nim białym ko-rektorem wymalowane angielskie słowo „BOSS”. A po przekątnej po japońsku -

Niżej jakieś inne słowo -

„SZEŃ”. Ciekawe, co to... Aha, pewno to samo.

—To dla Martina? Bo Bos?

—Bo mu rozbili... Wydawało mi się, że to dla niego ważne.

Dopiszesz coś?

—Jasne. Tylko czym?

Podaje mi małą buteleczkę. Chichoczę, bo *to* biały lakier.

— Nie wiedziałam, że malujesz paznokcie...

Andrew rumieni się lekko i też chichocze, z zakłopotaniem.

Jak Japończyk.

— A propos Martina... Dlaczego on nazywa cię NJ?

Przecież

to nie twoje inicjały.

-NJ? Andrzej...To Andrew po polsku. Obaj mówimy w tym języku, On jest Polakiem, a ja... mieszkalem w Polsce. Długo.

Jeśli dopiszesz teraz, to wieczorem zrobię mu w nim herbaty i będzie miał niespodziankę.

— Ale nie patrz mi na ręce, bo zepsuję.

Posłusznie robi trzy kroki w stronę okna. Pochylam się i uważnie wypisuję „KETUA”, dmucham, żeby szybciej wyschło. Coś przychodzi mi do głowy. Kilkoma mąźnięciami domalowuję na dnie kubka.,, kozę.

Wstaję i podchodzę do okna. Andrew wyraźnie nie zauwa-

żył, że skończyłam *i* że stoję za nim, bo pochyla się nad czymś w tej samej pozycji, zatopiony w myślach.

Ramka ze zdjęciem. Ale to nie jest Akemi.

— Andrew...

Podnosi oczy. Wyciągam palec w kierunku zdjęcia.

— Piękna,

— Jak to Polka.

Siadamy na podłodze, staram się nie dotknąć kubkiem niczego, bo koza na dnie wciąż mokra.

- Była ważna, prawda?

— Najważniejsza. W pewnym sensie nadal jest.

- Słucham?

Pan Hayakawa zmierzył mnie spojrzeniem mówiącym, że właśnie NIE słuchałem.

Przebiegłem w myślach rejestr uchwyconych połową ucha tematów, ale wydawało mi się, że żadnego nie opuściłem.

Pensje — opóźnione, bo w sklepiku zabrakło białych kopert.

Cóż. Trudno wręczać ludziom pliki gołych banknotów. John zrobił

głupią propozycję, żeby je przelewać bezpośrednio na nasze konta bankowe. Hayakawa spojrzał na niego znad okularów i John zrobił

się malutki. I bardzo dobrze. Nie przyjechał do Japonii wczoraj.

Trzeba mieć jakieś poszanowanie dla miejscowych zwyczajów i tradycji.

Obon — otwarte pytanie, kto wyjeżdża na długi weekend obo-nowy. Ktoś podniósł rękę, ale niestety nie Ikeda.

Onsen — gorące źródła. To pamiętam, bo zastrzygłem uchem.

Czasy grupowych wycieczek firmowych do gorących źródeł na półwyspie Izu minęły jeszcze przed moim przybyciem do Radia Yokohama. Może koncepcja siedzenia w basenie z dwoma szalo-nymi gajdzinami zniechęciła szefostwo do takich form socjalizacji.

Jak się jednak okazało, *onsen* miał zostać zorganizowany na modłę radioyokohamową, czyli w... *ofuro*. Razem z przekąskami i sake serwowaną „w rozsądnych ilościach” dla kąpielowiczów.

Y2K - tu Hayakawa powiedział coś, czego niestety nie mogłem sobie przypomnieć. Wizja

moczenia się w wannie, nawet naszej -

ogromnej, w towarzystwie czterech nagich niewiast, zbyt mnie zdeprymowała.

- Dziękuję państwu za uwagę - zaczął pan Hayakawa, zdejmując okulary.

Podniosłem rękę.

- Zapomniał pan zapytać, czy są jakieś pytania - powiedziałem beczelnie.

Hayakawę zatkało, więc kontynuowałem:

- Mam propozycję. Autentyczną propozycję biznesową, która może podnieść słuchalność naszej rozgłośni, pozyskać nowych reklamodawców i...

- Nie w tej części spotkania - wycodził Hayakawa.

Teraz mnie z kolei zatkało. Fakt, pośpieszyłem się... Czekałem, skruszony, aż Tabashi rozstawi miseczki z orzeszkami i przearan-

kuje krzesła, a goście, czyli Amanda i Y2K (zwane ostatnio Shin Mirenium Blues Band), zostaną wyproszeni.

Kiedy zrobiło się już odpowiednio nieoficjalnie, Hayakawa po-łuźnił o milimetr krawat, uśmiechnął się i powiedział: - Proszę. Jestem zadowolony... I jaki by ten pomysł nie był, dziękuję panu Martinowi za to, że miał na uwadze dobro firmy.

Rzuciłem triumfalne spojrzenie Johnowi, który zupełnie nie-potrzebnie chichotał, kiedy szef nie pozwolił mi dokończyć w czasie Części Oficjalnej. Nabrałem tchu:

- Tak... pomysł jest prosty. Radio Yokohama ma albo powin no mieć status zabytku. To budynek z początku wieku, prawda?

Przynajmniej skrzydło północne. Wiem, że zostało po części zburzone w czasie wielkiego trzęsienia ziemi w dwudziestym trzecim. Cała Yokohama została wtedy zrównana z ziemią, zalała na tsunami albo spalona w pożarach, prawda? Ale u nas coś tam ocalało, więc możemy mówić o autentycznym zabytku. No i ta nasza kolorowa historia! Nie, John, nie przerywaj mi, bo i tak wiem, co chcesz powiedzieć. Otóż NIE proponuję oprowadzania po naszych korytarzach turystów. Aż tak źle ze mną nie jest. Nie, mój pomysł jest właśnie czymś, co ciebie najbardziej ucieszy: cykl audycji radiowych o historii Radia Yokohama.

Zapadła cisza. Cisza pełna myślenia i oczekiwania. Myślącym był Hayakawa, a my - czekającymi.

- To nietypowy pomysł — powiedział w końcu. — Wiele dokumentów spłonęło w czasie wojny...

- Znakomicie! — podjąłem. — Pozwoliłem sobie przygotować rys historyczny, na pewno niedokładny i pełen błędów, ale... Proszę, przygotowałem kopię dla każdego.

John pochylił rudego mopa nad swoją kartką i zaczął chichotać.

Ikeda wytrzeszczał oczy i ruszał ustami jak ryba, co pewnie pomagało mu zrozumieć tekst.

Tabashi się uśmiechnął.

Hayakawa uniósł brwi.

Andrzej, zapraszany już na wszystkie Części Nieoficjalne, nie czytał, tylko CHŁONAŁ.

Pierwszy odezwał się John:

- A gdzie jest dom publiczny?

-John, Radio Yokohama nigdy nie było...

- Właściwie - wtrącił się pan Tabashi - John-san nie jest tak daleki od prawdy. Jak panowie wiedzą, no, może z wyjątkiem pa na Andrew, który dołączył do nas tak niedawno, Radio Yokoha ma nie jest jednym budynkiem, tylko czterema. Z różnych okresów. Najstarszy został zbudowany w roku tysiąc dziewięćset dwunastym - skrzydło północne. Mieściła się w nim tawerna portowa, służąca później jako teatr i scena kabaretowa. Na miejscu skrzydła zachodniego znajdowały się wtedy magazyny portowe, wykorzystywane niestety przez przemysłowców. Głównie nie legalnych Rosjan. A na miejscu wschodniego — hotel. Errr.

Znaczy coś w rodzaju hotelu.

Po wielkim trzęsieniu ziemi w tysiąc dziewięćset dwudziestym trzecim — kontynuował — zachowała się tylko część skrzydła pół-

nocnego. Odbudowano ją, wtedy powstały też skrzydło zachodnie i wschodnie, mniej więcej takie, jakimi je dzisiaj znamy, chociaż nadal niepołączone w jeden budynek i bez wielu późniejszych dobudówek. Mieściły się tam... — Przyjrzał się mojej kartce. - Tak, pan Martin zidentyfikował prawidłowo okres... czerwonych latarni, jak również okres zakładu fryzjersko-kosmetycznego, pracowni naprawy sieci rybackich i biura lokalnej... mafii. Natomiast dobudowa czwartego piętra w zachodnim i *love hotel* w południowym to już było dobre kilka lat później, po wojnie. *Love hotel* zresztą został zamknięty decyzją sądu, po protestach ówczesnego dyrektora internatu... Tak. Szereg faktów mógłbym tu skorygować...

Czy mogę zatrzymać tę kartkę?

- Oczywiście, Tabashi-san. Pozostaje kwestia, czy widzi pan możliwość zrobienia z tego materiału na cykl audycji radiowych.

- To już pytanie do... - Tabashi z uśmiechem uklonił się w stronę pana Hayakawy.

- Na pewno zwołamy kiedyś w tym celu osobne spotkanie -

oznajmił Hayakawa sucho. — Myślę, że to kończy część nieoficjalną. W każdym razie dziękuję panu Martinowi za tę interesującą...

inicjatywę.

Wyszli. Czuję się jak przekłuty balonik. Zająłem się badaniem ściany. Badałem ją przez dłuższy czas, aż w polu widzenia pojawiło się coś rudego. Zmusiłem się do wyostrenia wzroku.

- Dziękuję, stary - powiedział John.

- Za co, na wszystkich bogów Azji?

- Za ten pomysł. Chciałeś mi poprawić słuchalność. A ja my-

ślałem, że mnie ostatnio przestałeś lubić.

- Tak... tak, oczywiście, nie ma sprawy... Jak myślisz, dlaczego Hayakawa tego nie kupił?

- Właśnie, dlaczego? - Rozległo się za mną. W pierwszej chwili nie poznałem głosu, tak się przyzwyczailem do Andrzeja mó-

wiącego do mnie po polsku.

- W japońskiej firmie nie liczy się kreatywność — odpowiedział

John. — Tylko...

- ...lojalność — dokończyłem.

- Tak, lojalność. Co kraj to obyczaj. - Wzruszył ramionami John. - Lepiej siedzieć cicho i nie machać ludziom przed nosem faktem, że mieliśmy tutaj dom publiczny, mafijną, spelunę, kryjówkę przemytników, hotel wynajmowany zakochanym parom na godziny...

- Ale przecież był i teatr! - zaproponowałem. - W latach trzydziestych śpiewały tu tokijskie gwiazdy operetki! Hayakawa ma całą kolekcję starych płyt winylowych...

- A co było pod deskami teatru...?

- No tak - zwiesiłem głowę - nielegalna gorzelnia sake.

- Właśnie. Tam w końcu wpadł do beczki z zacierem Jurij Sie-mecki. I tak już został. Właśnie — a co było kiedyś na podwórku...?

- Cmentarz - mruknąłem.

- Tak jest. Cmentarz.

Ostatnia przedobonowa kolacja w znajomym gronie. Wkrótce będzie tu pusto - przychodzi mi na myśl, gdy przestępuję z nogi na nogę, mieszając w woku kawałki kurczaka, jak przykazał

Martin.

Wchodzą dziewczyny, Cbie i Rie parszają śmiechem, kończąc jakiś żart, za nimi wsuwa się Akemi. Ze spuchniętymi powiekami.

-

Pomóc ci? - Rie sięga po drewnianą łyżkę z szuflady.

Układam tempurę na ryżu i nagle decyduję się podejść z mi seczką do Akemi.

— Nie, dziękuję.

Patrzę jej prosto w oczy. Taka idiotyczna sytuacja nie może przecież trwać wiecznie. Jesteśmy dorośli i pora znaleźć przynajmniej dorosłe wyjaśnienie. Jeśli porozumienie jest już wy-kluczone. Daj spokój, Akemi To tylko kolacja.

Odwraca wzrok. Jakby z obrzydzeniem. Stawiam miseczkę na *kotatsu*. W LDK narasta gwar i w nagłym przypływie odwagi postanawiam to wykorzystać.

— Co ja ci zrobiłam...? — szepczę. — Dlaczego tak mnie nie nawidzisz?

Podnosi zaskoczone oczy.

—Ja? - odszeptuje.

—Przestań, nie jestem ani ślepa, ani głupia. To przez Yoshiego czy Andrew?

Marszczy się.

—Powiedział ci o...?

—Nic nie powiedział, nie musiał. Domyśliłam się.

Myśli intensywnie. Z wyrazem twarzy kota, który obawia się zeskoczyć z drzewa. I nagle... łagodnieje. Patrzy zupełnie normalnie, nie przyjaźnie, ale bez tej chmury wrogości nad oczami.

Niesamowite, to było takie proste.

Biorę to spojrzenie za dobrą monetę i, chcąc zakończyć szeptane dyskusje, ponownie podaję jej miseczkę. Kręci przecząco głową.

— No, jak się domyśliłaś, to wiesz, że... w tym stanie nie mo gę jeść nic smażonego.

Piątek, 13 sierpnia 1999, pierwszy dzień Obon Przyszła koza do woza. Puk, puk.

Cisza. Puk, puk, PUK.

Nie cisza chwilowa, wyczekująca, obiecująca zachwilowe szur-nięcie kapci i znajome, przyjazne *irasshaimase!*, ale cisza absolutna, martwa w swoim bezruchu, przywołująca na myśl meble przykryte pokrowcami i drzewko szczęścia wyniesione do sąsiadów. Była też kartka. Po japońsku i angielsku.

Uprzejmie informuję szanownych odwiedzających, że wyjechałem na urlop w dniach 13—16 sierpnia. Gości przepraszam i serdecznie zachęcam do odwiedzin zraz po moim powrocie. Pozdrawiam i życzę. udanego święta Obon.

Yaruhiro Tabashi

PS. W czasie mojej nieobecności rośliny doniczkowe będzie podlewał pan Hirō.

Stałem długo przed drzwiami pana Tabashi, usiłując sobie przypomnieć, gdzie miałem iść, gdybym go nie zastał. Nie mogłem się skupić.

Kozetka na urlopie.

Jak tak dalej pójdzie, Hayakawa weźmie urlop — i co będzie?

Czy świat naprawdę stanął na głowie?

W pewne rzeczy wierzymy instynktownie. W nieruchomość ziemi. Przejrzystość powietrza. Nieuchronność pór roku. Zbawcze działanie herbaty.

Kozetkę.

Ale w Japonii nawet ziemia nie zawsze jest nieruchoma.

W zamyśleniu poszedłem gdzieś, nie bardzo wiedząc gdzie.

Przypomniały mi się bezsenne noce sprzed dziesięciu lat. Włó-

czyłem się wtedy bezmyślnie po korytarzach i korytarzykach Radia Yokohama, usiłując zrozumieć to miejsce, usiłując je ROZCHODZIĆ, tak jak musimy rozchodzić nowe buty, zanim staną się wygodne. Więcej niż wygodne - znajome, swojskie, bezpieczne...

Zanim staną się częścią nas.

Na pierwszym piętrze zatrzymałem się, słysząc jakiś hałas. Ktoś walił w bęben. Raczej bębenek - pewnie te indonezyjskie instrumenty etniczne Amandy. I ta muzyka...

Ondo - charakterystyczny, swingujący rytm na dwa, ta-TAM, taTAM, ta-TAM, rytm tańca *bon-odori*, rytm święta Obon. Japoński blues.

Dźwięk narastał.

Weisnąłem się między dwie maszyny - tę z napojami i tę ze wszystkim, od pasty do zębów po struny do gitar - i próbowałem nie być, zapuszczając tylko ostrożnego żurawia ponad zakurzoną dachem maszyny ze wszystkim.

Muzyka stawała się coraz głośniejsza.

Korytarzem sunęła taneczna procesja. Pierwszy Hayakawa, w pięknym, czarno-szarym męskim kimonie, z pięcioma *kamon* — herbami klanowymi. Za nim siostry w tradycyjnym japońskim makijażu i kolorowych kimonach zaimprovizowanych z yukat przewiązanych *furoshiki* w charakterze pasów.

I John w yukacie XXXXL, ruda burza schowana pod białą chustą z czerwonym kręgiem. Zerkał ukradkiem na otaczających go tancerzy i z nieporadnością wielkoluda próbował odtwarzać ich ruchy. Ale nawet on wkładał w to serce, tańczył z powagą, bez cienia swoich codziennych wygłupów.

Ikeda w krótkiej, granatowo-białej, wieśniaczej yukacie, ze zwiniętym ręcznikiem na czole. W skupieniu malował dłońmi w powietrzu: dwa kółka w lewo, dwa w prawo, podwójne kłaśnięcie, dwa w lewo...

Za Ikedą - Tomo i Hirō, w podobnych yukatach i ręcznikach na głowach.

Wszyscy wykonywali te same taneczne ruchy, stopy zadzierane w rytm *ondo*: dwa kroki do przodu, jeden wstecz, dwa do przodu...

Ale *bon odori* to przede wszystkim taniec dłoni i oczu.

Oczu promieniejących radością, wypełnionych szacunkiem dla tego dnia, dnia oddawania czci... duchom.

Mijali mnie właśnie Andrzej i Akemi. A potem Amanda, w purpurowej yukacie, nie tyle poruszająca się, co wprost płynąca przez powietrze z niewypowiedzianą gracją. W każdej dłoni trzymała japoński wachlarz. Ciało w półobrocie...

Zauważyła mnie.

- Martin-san! Dołącz do nas!

Ogon procesji zachwiał się i zafalował, Kimi z radiomagneto-fonem na ramieniu zboczył do mojej kryjówki i zaczął mnie cią-

gnąć za rękę. Tylko Yoshi, walący drewnianą łyżką w indonezyjski bębenek, stanął z boku, zasłuchany w rytm, zatopiony w swoim świecie i swojej roli. Ta-TAM, ta-TAM, ta-TAM...

Podstawówka. Potańcówki. Wyciągali mnie, zachęcali. . Tak im zazdrościłem. Zazdrościłem i zbyt się wstydziłem, żeby tańczyć.

Roześmiane dziewczyny, ciągnące mnie za rękę: *Marcin! No chodź*

dołącz do nas!. Ja. . CHCIAŁEM się dołączyć. I zmykałem w kąt, mamrocząc, że nie tańczę. . Wszystko bym wtedy dał, żeby umieć się bawić. Żeby być taki, jak wszyscy.

Amanda stała przede mną - młoda, piękna i radosna, żyjąca w czasie teraźniejszym, podczas kiedy ja chyba zawsze żyłem w przeszłym.

Wyczytała coś w mojej twarzy, bo zrobiła krok w tył, uśmiechnęła się jakby przepraszająco, pomachała mi i pobiegła gonić or-szak tancerzy, który zniknął już za zakrętem.

Wyciągnąłem do niej rękę, ale za późno.

-Jestem już za stary na... te rzeczy - szepnąłem do siebie, kiedy byli już w bezpiecznej odległości.

Wyszedłem spomiędzy maszyn i ustawiłem się na środku korytarza.

Lewa stopa, prawa stopa, dłonie wysoko, dwa kręgi w lewo, płynne przejście do kręgów w prawo.

Ta-TAM, ta-TAM, ta-TAM...

Leżę na brzuchu (albo raczej na *futonie*), z niejasnym poczuciem, że o czymś zapomniałam. Najgorsze w tym poczuciu jest to, że wiadomo, ŻE się zapomniało, a zupełnie nie wiadomo, O

CZYM. To jakby swędzenie zębów - nawet nie ma jak się podrapać A przecież drażni. Rozpracowywałam przez ostatnie dwadzieścia minut z siedemnaście teorii na ten temat Skutek znikomy.

Jak to mówi Martin? Że gdy nic wiadomo, co zrobić, trzeba zrobić herbatę. Nastawiam czajnik. AHA!

Pacnęłabym się z rozkoszą dłonią w czoło, gdybym nie trzymała w niej parującej herbaty. Zielonej z jaśminem. No trudno, herbata poczeka. Przecież obiecałam Martinowi lekcję wspinu!

O wpół do piątej, a już jest pięć po. Jeszcze się rozmyśli.

Zbiegam schodami na drugie, dwa schodki w dół, ślizgam się kapciami na zakręcie i winda. Naciskam przycisk, ale nie słyszę znajomych jęków. Zamiast tego znajoma cisza. Czyli winda znów wzięła urlop.

Na pierwszym otwieram okienko, prześlizguję się przez nie, po drugiej stronie przyfnykam je z powrotem i zeskakuję na sam dół.

Pod nogi Martina.

Nawet nie zadrżał, ja nie byłabym aż taka spokojna, gdyby coś wielkiego nieomal spadło mi na głowę, w dodatku z pierwszego piętra.

—Spóźniłam się! — Dyszę.

—Spóźniłaś.

—Przepraszam.

Odwraca się i wskazuje palcem na mur.

— To był początek lekcji? Mam nadzieję, że ja tak nie muszę?

Uśmiecham się. Dobrze, że się nie obraził za to spóźnienie.

—Nie, to lekcja dla zaawansowanych. My zaczniemy od podstaw, dobrze? Buty masz? Pokaż. Świetne!

—No nie wiem...

— Ale ja wiem. Sama zaczynałam w tenisówkach, lata temu.

Krzywi się, ale sięga po lewy but. Powstrzymuję go ruchem dłoni.

— Nie, buty wkładamy już na sam wspin. Bo długo w nich

nie postoisz, jeśli są odpowiednio przyciasne. Mają być wygodne w pionie, a nie w poziomie.

Patrzy na mnie, jakbym zaproponowała mu zjedzenie kaktusa. Nie mogę się nie roześmiać.

Pomagam mu włożyć uprząż, bo mimo pewnej siebie miny uporczywie usiłuje wcisnąć się w jedną nogawkę, a pas biodrowy podciąga aż pod pachy. Biorę do ręki linę i wiążę na niej pierwszą ósemkę.

- Popatrz, ten węzeł to ósemka, najlepszy przyjaciel wspinacza. Wszystkie inne możesz chwilowo zapomnieć, ale tego ci nie podaruję.

Wzdycha ciężko. Rozwiązuję i wiążę teraz bardzo powoli, pokazując po kolei tworzące się litery D, S i a.

- I na koniec kabel do brzucha. Od góry.

-Do CZEGO??

- Do brzucha ósemki... Twoja kolej!

- Jak zaczęłaś się wspinać? - pyta pomiędzy jednym a drugim jękiem, próbując zawiązać najprostszy węzeł świata.

- Myślisz, że jak zmienisz temat, to nie zauważę, że zrobiłeś precelek? - Chichoczę i pokazuję raz jeszcze.

- A tak serio, w Malezji wszystkie dzieciaki się wspinają. Na palmy. Gdy bawisz się w takim upale, to czasem wygodniej jest wspiąć się po młodego, zielonego kokosa i napić na miejscu, niż wracać do domu. A później, w Japonii... ale to już inna historia. Ok, wyszło ci! To jeszcze raz! Żebyś był pewny.

Posyła mi spojrzenie królewicza zamienionego w żabę.

- Wiem, już mnie nie lubisz! A to dopiero początek!

Dwa jęknięcia, szesnaście westchnień i ósemka jako tako gotowa. Już nie będę go dręczyć, że ma być 3D, a nie taka płaska, poprawiam sama i po chwili Szanowny Realizator Dźwięku Radia Yokohama przymierza się do swojego pierwszego w życiu wspinu.

- Czy ja będę w stanie używać po tym rąk? Suwaki są małe i wymagają precyzji...

- Jak zostaniesz dłużej w tej pozycji, to bez szans na podnie-sienie kubka z herbatą!

- Nie mam kubka - mruczy. Uśmiecham się pod wąsem. Ale się zdziwi. Andrew miał rację.

- Wyprostuj ręce w łokciach. Zawieśnij na nich po prostu!

- Co zrób?!

- Opuść w dół, no... ciało. Środek ciężkości...?

Nie bardzo umiem wskazać uprzejmie miejsce, gdzie plecy tracą swoją szlachetną nazwę.

- Aha, zapomniałeś, że masz nogi... Jakbyś nimi *trochę* pod szedł do góry, byłbyś wyżej, wiesz?

Mruczy, jęczy, wzdycha, ale rusza się dość ładnie. I słucha wskazówek, a to się rzadko zdarza początkującym.

Oczekiwałam, że odpadnie po dwóch metrach, a tu proszę -

już jest pod balkonikiem.

- Wystarczy? - krzyczy, bojąc się odwrócić i spojrzeć w dół. -

Coś ty!

- ???'" -

Dajesz!!!

- To gdzie teraz..?

- Do góry, Martin! Zawsze do góry!

Trzeba iść z duchem czasów.

Z najwyższym wysiłkiem wcisnąłem stopę w starą tenisówkę Andrzeja, za małą tylko o dwa numery.

Amanda twierdziła, że tak właśnie ma być. I że pojęcie wygody butów zmieni mi się z czasem. To miało sens, bo pojęcie wygody umie się zmienić z czasem w Radiu Yokohama.

Jeżeli jednak kroczenie z duchem czasów ma się odbywać z palcami zwiniętymi w precelki, to nic dziwnego, że ja żyję w przeszłości.

Westchnąłem i przystąpiłem do zakładania uprząży.

- Nie tak - powiedziała.

Cofnąłem się, Amanda zrobiła krok bliżej, cofnąłem się znowu, a potem była już tylko ściana za plecami i musiałem poczuć jej bliskość. Zamknąłem oczy. Zapach. Jakiś taki korzenno-kwiatowy.

Trudno powiedzieć - całe życie kształciłem słuch, a nie węch.

Zabrała się za majstrowanie przy paskach wokół moich ud i bioder. Wzdrygnąłem się, zacisnąłem powieki i próbowałem so-



bie wyobrazić, że siedzę w reżyserce studia A, zatopiony w odsłuchiowaniu ostatecznej wersji miksu mojego życia. To zwykle pomaga.

Ale nie w wiązaniu ósemki, skomplikowanego węzła w okolicach, z przeproszeniem, krocza.

Gdzieś w drugiej połowie dwudziestego wieku próbowałem zdać egzamin na patent żeglarski. Oblałem właśnie na węzłach. Węzły mają to do siebie, że oglądane z każdej strony wyglądają inaczej, złośliwe bestie.

- Jeszcze raz - powiedziała Amanda. - Mnie zajęło dwa tygodnie, zanim nauczyłam się wiązać ósemkę. No, nie uciekaj... nie ugryzę cię.

Ósemka wyglądała tak:

Ja wyglądałem trochę gorzej. Amandy to nie zraziło. -

No, dajesz! Do góry. Cegła, cegła, szczelina, gzys...

Dziwne, znaleźć na poziomie pierwszego piętra, nie używając schodów. Ani windy.

Ręce mnie bolały i czułem, że za chwilę spadnę.

- Wyprostuj ręce! Tak! Zegnij nogi! Pozycja żaby! Pupa w dół!

Na rękach daleko nie zajdziesz! Nóg używaj! No, stań mocno na tej stopie!

- Dobra, dobra, mądralo - wysapałem, usiłując zrobić pistolet, czyli powstać na jednej nodze - coś, co ostatni raz wyszło mi chyba gdzieś między studniówką a maturą.

Drugie piętro. Wlazłem na balkonik. Spojrzałem prosto w dół -

na szczęście nigdy nie miałem lęku wysokości.

- Mam dość! - zawołałem między dysznięciami.

- Nie masz! - odkrzyknęła wesoło.

- Nawet nie wiesz, od jak dawna mam! - odkrzyknąłem.

- To odpocznij chwilę.

Odpoczywałem z wysiłkiem.

Amanda? - zawołałem. — Dlaczego Hirō nazywa cię siostrą?

Zadarła głowę, aż ozdobna chusta, którą zawsze przewiązywała włosy, spadła jej z ramienia na plecy.

- Bo został wychowany przez moją babcię!

- W Malezji?

- Nie, tu... W Radiu Yokohama. W sierocińcu - odpowiedziała już ciszej, więc wychyliłem się nad balustradą żeby lepiej słyszeć. -

Tata przeprowadził się do Japonii jak miałam sześć lat. Do Osaki.

Wiedziałam, że babcia Janaki pracowała wtedy gdzieś w Yokohamie, ale nie wiedziałam, że tu. Dopiero Hirō mi powiedział.

No jak? Włazisz?

Nie oczekiwałem, że w ogóle odpowie.

Widać trzymanie czyjegoś życia na linie jak na włosku zbliża.

Zabrałem się za drogę numer dwa, czyli z balkonu na drugim na daszek przybudówki trzeciego.

Oczywiście spadłem.

Myślałem, że będzie inaczej. Dramatyczniej i z nagłym, ostrym szarpnięciem za biodra.

Zamiast tego lina miękko zamortyzowała mój upadek. Oparłem się nogami o ścianę - w górnej części drugiego, naprzeciwko okienka.

I twarzy pana Hayakawy.

- Dzień dobry, Martin-san — powiedział.

- Aaa, dzień dobry, Hayakawa-san.

- Ładną pogodę mamy dzisiaj.

- W istocie, wieczór nie za gorący. I nie pada.

- Rozumiem, że pan Martin wisi za oknem?

- Tak jest, panie Hayakawa. Tabashi-san przepisał mi ćwiczenia na kolano.

- I pomagają panu Martinowi?

- Taką mam nadzieję, Hayakawa-san. Nie stajemy się młodszy.

- Tak, Martin-san ma rację. Nie stajemy. Cieszy mnie, że Martin-san znalazł sobie pożyteczne i zdrowe zajęcie na świeżym po-wietrzu.

Uklonił się i zamknął okno.

Dałem Amandzie znak wyprostowanym kciukiem i zostałem łagodnie opuszczony na ziemię.

Nie było tak strasznie, jak myślałem. Jeśli młodzi mogą, to czemu nie ja.

Widać czasy tego wymagają.

„Druga młodość: jak zachować zdrowie i sylwetkę po czter-dziesiątce” — przeczytałem na grzbiecie książki. Wyciągnąłem ją ostrożnie z regału.

Za książką było oko.

Niebieskie.

Oko zamrugało.

- Dzień dobry, szefie.

- Dzień dobry, Andrzej. Jeżeli szukasz czegoś specjalnego, służę pomocą. To jest sekcja podręczników i poradników. Na na-stępnym regale znajdziesz kilka książek po polsku, gdybyś chciał

podszlifować język, nie, żeby w twoim wypadku było to konieczne, ale...

- Bo ja chciałem coś łatwego do nauki japońskiego.

- Aaa, to jesteś przy właściwym regale i nawet z jego właściwej strony. Nie - „Cyberiada” Lema w wersji japońskiej może być dla ciebie ciut za trudna. Ja jej nie zmogłem. Za dużo neologizmów.

Ale polecam „New Dictionary of Kanji Usage” - zielony grzbiet, gdzieś tam jest, pomóc ci?

- Nie, dziękuję... Już znalazłem.

Kiwnąłem głową i otworzyłem moją książkę na pierwszej stronie. John zawsze zaczynał od ostatniej, co niewymownie mnie irytowało. Gdyby autor chciał zaczynać od końca, toby odwrócił

kolejność stron. Swoją drogą na tych wyspach sto trzydzieści milionów ludzi czyta książki od końca. Może dlatego tak tu czasem dziwnie.

Książka średnio mnie zainteresowała, ale kątem oka dojrzałem na półce coś nowego. Przekręciłem głowę, żeby przeczytać na grzbiecie: „Tókyó de no fuminshó”. Pewnie jakieś romansidło. I to tłumaczone, bo nazwisko autora gajdzińskie...

- Ekhem — powiedział Andrzej.

- Pewnie szukasz jednak czegoś po polsku? Trzeci regał po prawej, druga półka od dołu. Winnetou. Znakomita lektura. Kul-towa pozycja. To po prostu trzeba znać, jeśli chcesz być prawdziwym Polakiem...

- Howgh - dokończył Andrzej. — Ale ja miałem zapytać... czy jest tu coś o zwyczajach japońskich, świętach... Obon...?

- Jest. Stoi z drugiej strony półki i rozmawia z tobą przez szczelinę powstałą w wyniku wyciągnięcia jednej z książek. Niestety to najlepsze, czym chwilowo dysponujemy, bo prawdziwa encyklopedia kultury japońskiej wyjechała właśnie na Obon. Chyba pierwszy raz za mojej pamięci. Na czym ten świa...

- Bo ja chciałem się dowiedzieć o tej wspólnej kąpieli. Czy to naprawdę tradycja...

Poszerzyłem dziurę między książkami, wyciągając gruby tom „Zdrowe uprawy - pestycydy w praktyce rolnej”. Postawiłem go szybko na niższej półce, grzbietem do środka.

Spojrzałem na Andrzeja, który zyskał teraz nos i połowę drugiego oka. Oka przejętego i zaniepokojonego.

- Posłuchaj, kolego. Tak naprawdę na Obon jedzie się, żeby odwiedzić groby przodków. Ale to też tutejszy długi weekend, więc okazja do paru dni zabawy, odpoczynku i wypadów do gorących źródeł. Nie rozumiem, dlaczego cię *to* tak przejmuje.

- Bo ja nie wiem, czy chcemy z Akemi...

- Pewnie, że chcecie. Będzie miło, rodzinnie i tradycyjnie.

Będzie plusk wody, rozmowy o pogodzie i sake w małych czar-kach. Party, rozumiesz? Śpiew. Radość. Jumpa-jumpa-jumpa-pa.

-A...

- *I modesuchi taoru*, czyli ręczniczki dla wstydliwych. A dla szczególnie wstydliwych kostiumy kąpielowe, które, jak zauważyłem, są do kupienia w sklepiku. Już od dwóch tygodni.

- Ale...

- Andrzej, Japonia jest kulturą czystości. Przynajmniej ciał, bo wszystko inne może się lepić od brudu. Onsen to miejsce totalnie aseksualne. Raczej rodzinne i towarzyskie. Kiedyś wszystkie onseny były koedukacyjne. O, mam! Tego szukałem - podręcznik, z którego sam się uczyłem języka. Czeka, wyjmę kilka książek, bo się nie zmieści... Proszę. Pamiętaj, żeby wypisać.

Andrzej wydostał się z wąskiej przestrzeni między regałami i starannie wpisał numery katalogowe pożyczanych książek do grubego zeszytu przy drzwiach.

Znieruchomiał jeszcze na chwilę, pochylony nad stolikiem, ty-

łem do mnie, i powiedział:

- Bo ja nie wiem, czy to zdrowe dla Akemi.

Wybiegł, zanim zdążyłem odpowiedzieć:

- Pewnie, że zdrowe. Cóż może być niezdrowego w *ofuro*?

Strategię onsenową przygotowałem już dawno. Polegała ona na zrobieniu wielkich i od dawna potrzebnych, generalnych po-rządków w szafie z mikrofonami. A że szafa była właściwie małym pokojem o rozmiarze trzech mat, mogłem się tam zamknąć i nie słyszeć, jak wszyscy biegają i wołają:

- Martin-san! Kąpiel gotowa! Chodź do nas!

Żeby nie słyszeć jeszcze bardziej, włożyłem słuchawki izola-cyjne, wtykając niepotrzebny kabel do kieszeni jeansów.

Dokonałem paru interesujących odkryć. Po pierwsze, że brakuje dwóch Shure SM-81. Po drugie, że w przestrzeni za półkami ktoś zostawił złożony *futon* i całą stertę filizanek do herbaty. Amanda coś wspominała o lektorze, który z braku miejsc w części hotelowej

zamieszkał w szafie z mikrofonami, ale wziąłem to za dowcip.

Sądząc z pozostałych tu artefaktów, facet musiał się żywić herbatą.

Niezły pomysł zresztą. Przydałaby mi się mała dieta.

Krzyki na korytarzach ucichły, więc zebrałem czajniczek, fili-

zanki, spodeczki, obrożę (wolałem nawet nie spekulować) oraz kilka zagubionych mikrofonów, które wisiały na sznurku do su-szenia bielizny w głębi szafy. Poszedłem do studia A.

Usiadłem w kiedyś moim fotelu realizatora.

Czułem się obco.

Czułem się niepotrzebny.

Czułem brak dźwięku. Odsunąłem żaluzję metalowej półki z nagraniami i przeleciałem wzrokiem rząd płyt kompaktowych. Na części z nich figurowało moje nazwisko gdzieś na liście współtwórców.

Jakoś nie miałem ochoty ich słuchać.

Odepchnąłem się nogami od ściany i podjechałem do stołu mikserskiego.

Wyobraziłem sobie za szybą Amandę. Taką, jaką ją widziałem pierwszego dnia, w półmroku, zagubioną, nieśmiałą, bardzo się starającą i przejętą... A jednocześnie dumną i niezależną. Odważną.

Niektórzy to chyba mają wrodzone.

Inni nie.

Przypomniałem sobie jej głos. Brzmienie jej głosu.

Palce same ułożyły mi się w odpowiedni schemat. Słoń, wiewióra, trochę kałamarnicy.

Na kanale 24 mrugała zielona dioda. Jest sygnał. Aha, to nasza naturalna kamera pogłosowa. *Ofuro*. Nic dziwnego, że w szafie brakowało dwóch mikrofonów - John musiał znowu robić eks-perymenty z nagrywaniem pogłosu łazienki.

Oczywiście podciągnąłem suwak. Człowiek to istota słaba.

Plusk.

Bul, bul.

Plusk.

- *Czy ktoś ma zapasowy modesuchi taoru? Podłożyłbym sobie pod głowę..*

Plusk, plusk, plusk.

- *Kto chciał ręcznik?*

- *Dzięki, Tomo. Jesteśmy w komplecie? To ja bym się napił.*

- *John, dlaczego nic nie mówisz? Nigdy go nie widziałam takiego spo-kojnego... Kąpiel bardzo relaksuje, prawda?*

- *Szkoda, że Martina nie ma. — To chyba powiedział Kimi.*

- *No coś ty, we wspólnym onsenie?*

- *Co z tego, że wspólnym? Każdy onsen jest przecież wspólny. Chyba że ty masz własny?*

Śmiech.

- *Wiesz jak on reaguje na bliskość dziewczyn — dostaje dreszczy i cofa się o krok... —*
Znowu śmiech. Brzmiał jak Chie, a po chwili dołączyła do niej Rie. Albo na odwrót.

- *Oj, dajcie mu spokój. — Stanowczy ton Amandy. — Może jest z in—*

nej kultury. Albo ma jakiś swój powód. Ale to dobry człowiek. I chyba mu ostatnio
niełatwo. Czyj to ręcznik, twój, Tomo?

- *Nooo...*

- *Taka jesteś modesuchi, że ci potrzebny kostium kąpielowy i dwa taoru?- Śmiech.*

- *Czy ktoś może podać tackę z sake? O, dzięki. Nalać ci też? Potrzymaj czarkę...*

- *Panie Ikeda, czy woda nie robi się trochę za gorąca?*

- *Gorąca? Gorąca. Gorąca!*

Plusk.

- *Miło tu, prawda? Tak... rodzinnie.*

- *Nie chlap!*

Śmiech.

- *A wiecie, rok temu pojechałem z rodzicami na Hokkaido, zimą, i sie dzieliśmy na zewnątrz w onsenie, sypał taki gęsty śnieg... Świetna sprawa, mróz którego nie czujesz tylko widzisz nie uważacie? Tam też był taki śmieszny gajdzin, zupełnie jak...*

Powolutku ściągnąłem suwaki.

Zwykle lepiej nie słuchać. Jeszcze się można dowiedzieć czegoś...

niebezpiecznego. Na przykład o sobie. *Fadeout.*

Interludium

Obrazy uśpionego świata są jak fotografie ze świata umarłych.

Dlatego sny przerażają.

Każda noc coś zmienia. Budzące się cienie wiedzą to dobrze.

Dlatego każda noc kończy się inaczej.

Rozdział Trzynasty

w którym trzęsie się ziemia.

Poniedziałek, 16 sierpnia 1999

- Proszę pana! Proszę zaczekać! Czy pan jest lektorem?

Pewnie panu zapomniano powiedzieć, ale lektorzy opu...

W oddali ciemna sylwetka w kapeluszu i staroświeckim płaszczu skręciła do pochyłego korytarza nadbudówki łączącej skrzydło zachodnie z południowym. Pobieglem, a raczej pokuśtykałem, bo kolano akurat złośliwie odmówiło współpracy.

Pokonałem zakręt i... ciemno. Jedyne okienko na tym korytarzu zostało co prawda parę tygodni temu umyte z okazji odwiedzin Szefowej, ale noc była dzisiaj bezksiężycowa.

- Halo! Jest pan tam...? - zawołałem. Nie za głośno.

Dźwięk do mnie nie wrócił. Anomalia tego akurat korytarzyka -

brak echa. Jakbym wołał z twarzą w poduszce.

Zrobiło mi się nieprzyjemnie.

Iść dalej po omacku bałem się - nigdy nie wiadomo, gdzie Ike-da wykopał kolejny rów w poszukiwaniu pluskwy milenijnej.

Westchnąłem i wycofałem się do głównego korytarza, oświe-
tlonego pojedynczą żarówką o żalosnej mocy. Oszczędności. Bo prąd drogi. Bo recesja...

Wróciłem na schody.

Właściwie chciałem iść na czwarte piętro, by odszukać resztki starej siłowni. To znaczy maszyn.

Coś trzeba w życiu robić. Inaczej się rdzewieje. A sprzęt zardzewiały idzie na złom.

Były. Nie na czwartym, jak myślałem, tylko na strychu. Chociaż w przypadku skrzydła wschodniego to na jedno wychodzi. Jak Tabashi je tutaj przepchnął?

Stały rzędem pod plastikowymi pokrowcami - fantastyczne kształty, jak śpiące, przedpotopowe jaszczury.

Zidentyfikowałem maszynę do ćwiczenia mięśnia czworogłowego uda, tak jak przykazał pan Tabashi. Ściągnąłem pokrowiec i wskoczyłem na krzeselko. Pięć odważników.

Nie, cztery.

No, OK, trzy.

Przysięgłbym, że kiedy siłownia była jeszcze na swoim miejscu, w skrzydle północnym, ćwiczyłem z pięcioma.

Kolano o dziwo nie bolało pod obciążeniem. Tylko przy chodzeniu. To znaczy chodzeniu w poziomie, bo na ścianie też było grzeczne. Po siłowni warto by zejść na parter i powtórzyć te ćwiczenia, które mi zadała Amanda.

Przyjemna myśl, nie wiadomo dlaczego, bo ćwiczeń nigdy nie lubiłem, w żadnej formie i postaci.

Zrobiłem pierwszą serię i zeskoczyłem, żeby nabrać tchu. Trochę mi się kręciło w głowie.

Trzeba się za siebie wziąć i wkroczyć w tę drugą młodość. Teraz jest czas młodych.

Wytarłem czoło, wziąłem butelkę z wodą i podszedłem do czerwonych drzwi prowadzących nie wiadomo gdzie.

Otwarte. Nawet światło działało.

Proszę - kolejny skład rekwizytów teatralnych. Chyba gdzieś nad szybem windy towarowej, bo słyszałem i czułem wibracje silnika.

Ciekawe, kto się pałęta po budynku o pierwszej w nocy...

Gorąco.

Dysząc lekko i czekając, aż mi tętno zwolni do jakiej takiej nor-malności, zacząłem oglądać stare rekwizyty.

Ewidentnie magazynowano je tematycznie. W tej części strychu - wyraźny motyw więzienia. Łańcuchy, kajdany, kraty, kilka prycz, cały wieszak więziennych pasiaków i jakieś stosy cegieł... Bardzo realistycznych, ale zrobionych z tektury.

Warkot silnika windy narastał, aż stał się wibrującym hukiem.

Chyba się potknąłem i zachwiałem, a potem coś rzuciło mnie na ziemię i uderzyłem głową o zwinięty w stożek łańcuch.

Cisza.

Gdzieś kapie.

Kap, kap, kap...

Ciemno.

Sięgnąłem ręką za głowę. Palce zrobiły się mokre i śliskie.

Poruszyłem się nie dlatego, że ból głowy się nasilił, ale ze względu na dźwięki. Brzęk łańcuchów, skrzypienie, stukanie...

Wstrząsy wtórne.

Właściwie ich nie czułem, tylko słyszałem - łańcuchy i kajdany rozkołysane na hakach, uderzające o siebie z potwornym brzękiem.

Skrzypienie ścian i podłogi. Stukanie dachówek.

Słyszałem, ale nie widziałem. Próbowałem sobie wyobrazić, co jest nade mną. Czy przed pierwszymi wstrząsami spojrzałem do góry, czy było tam coś, co może za chwilę spaść mi na głowę...?

Kołysanie powoli się uspokoiło.

Stare łańcuchy sceniczne brzęczały jeszcze dłuższą chwilę, jakby raz powołane do życia nie umiały już przestać.

Wymacałem na podłodze butelkę i polałem sobie tył głowy wodą w nikłej nadziei jakiejś wstępnej dezynfekcji - łańcuch niestety nie był z tektury i pewnie zardzewiały jak stary drut.

Zabolało tak, że aż mnie zemdliło.

Ale też otrzeźwiło.

Kiedy ból zmalął do pulsującego, czerwonego światełka gdzieś w tyle czaszki, wstałem i z rękami wyciągniętymi przed siebie zacząłem powolutku, stopa za stopą iść w stronę ściany. Nie wiedziałem której, ale pomieszczenie nie było duże - prędzej czy później powinienem trafić na drzwi.

Otwieranie oczu najszerszej, jak się da, niespecjalnie pomaga w totalnej ciemności.

Trafiłem rękami w coś miękkiego i pachnącego kulkami na mole.

Więzienne pasiaki.

Zacząłem się orientować, gdzie jestem. Trzy kroki w bok, ostrożnie do przodu, gdzieś tu...

Były.

Zatrzaśnięte.

Powiodłem dłońmi po framudze. Niestety stalowej. I wyraźnie skrzywionej. Palce trafiły na coś miękkiego. Fúj... pajęczyna?

Szybko otarłem rękę o spodnie.

Królestwo za aspirynę...

Dalej. Coś grubego i szorstkiego zaraz nad framugą — jakby oberwana belka sufitowa?

Cofnąłem się o krok i uderzyłem w drzwi biodrem.

Czerwone światło w głowie rozbłysło jak supernowa.

Trudno.

Krok wstecz... bum.

Nic z tego. Drzwi były zaklinowane na amen.

Jakieś narzędzia?

Miałam już dość ciemności. Otaczała, obejmowała mnie od dobrych dwudziestu minut, a może godziny, jak czarna, gęsta zupa, aż nagle... stała się nie do zniesienia. Może żarówka się tylko poluzowała i wystarczy ją odkręcić? Z drugiej strony, jeśli jest zbi-ta, a ja dotknę po ciemku drucików... Nie. Trzeba znaleźć coś ciężkiego i podważyć tę framugę.

Przy próbie kolejnego przejścia do ściany potknąłem się o jakiś kawał drewna. Pewnie spadł z sufitu. Dobrze, że nie na mnie. Dalej już szedłem, a raczej posuwałem się na czworaka.

Nie był to dobry pomysł, bo na czworaka pierwsza idzie głowa. I o wiszących na ścianie łańcuchach dowiadujemy się, kiedy w nie trafimy.

Głową.

- Kurrr... - jęknąłem.

Łańcuchy, zupełnie niezrażone, zabrzęczały melodyjnie w odpowiedzi. Brzęczały jakoś za długo. Kolejny wstrząs...?

- Martin, dlaczego? Gdzie? - zapytał głos.

Po rosyjsku.

Nabrałem gwałtownie powietrza w płuca...

Głowa. Boli. Otworzyłem

oczy. Co niczego nie

zmieniło. Cisza.

Kiedy znowu się odezwał, byłem tak roztrzęsiony, że nawet nie miałem już siły się bać. Przez fale bólu i mdłości dotarło do mnie, że duch nie mówi po rosyjsku, tylko po japońsku.

Z akcentem kanadyjskim.

- Andrzej?!...

- Martin!!!

- Gdzie jesteś...? Nie mogę otworzyć drzwi... -Ja też!

- Gdzie jesteś?!

- W windzie... towarowej, tej z drugiego na czwarte!

- Nie krzycz... słyszę cię, jakbyś stał obok. -Jesteś obok?!

- Niezupełnie. Na strychu. Wschodnie skrzydło.

- To dlaczego cię słyszę?

- Tu tak jest. Anomalia akustyczna... Szyb windy połączony jest szybem wentylacyjnym ze starym kominkiem na strychu.

Hirō mi to wyjaśniał. - Podciągnąłem się i usiadłem, oparty plecami o ścianę. Ciemność przestała zawijać mnie w duszny koc.

Andrzej był spanikowany — mówił głosem wysokim, prawie pi-skliwym. Ja z kolei poczułem wreszcie, że zaczynam panować nad sobą.

-Andrzej... Wszystko będzie dobrze. Zaraz ktoś po nas przyjdzie.

To nie pierwsze trzęsienie ziemi w Radiu Yokohama. Widziałeś spękane ściany na podwórku? Normalka. Nie bój się. Próbowaleś robić hałas w windzie? Nie, lepiej nie próbuj. Jeszcze się coś...

errr... zepsuje. Słuchaj, zaraz przyjdzie Tabashi...

- Nie ma go.... Wyjechał na Obon...

- No to Ikeda.

- Też go nie ma.

- Co???

- Znaczy jest, ale mieliśmy party obonowe i trochę popiliśmy...

Ja najmniej, bo Akemi nie może teraz pić i kiepsko się czuła, mdliło ją i wcześniej poszliśmy... Ale Ikedę trzeba było wynieść i położyć spać... Reszta towarzystwa pewnie też śpi... i chrapie...

- Aha. Nieważne. Ktoś tu zaraz przyjdzie. Kogoś musiało to obudzić, do jasnej cholery. Czekać... Nic ci nie jest? Masz światło?

- Nie. Znaczy nic mi nie jest, ale światło w windzie zgasło...

- Witaj w klubie. No, to musimy poczekać.

- Martin?

- Tak? — Otworzyłem natychmiast oczy. Coś, jakby jaśniejsza plama pod sufitem... Światło sączące się przez dachówki? Nie.

Kiedy spojrzałem w dół, światło wiernie podążyło za ruchem gałek ocznych. Niestety. Któryś raz z rzędu się na to nabrałem.

- Martin... Porozmawiajmy, proszę... -Jasne.

O czym chcesz porozmawiać?

- Opowiedz mi, skąd się tu wzięłeś.

- Wjechałem windą na drugie, potem schodami...

Zachichotał.

- Ale tak naprawdę... Wiesz.

- No, dobrze. Dziwna sytuacja, ale może właśnie... No nic. słuchaj. Umiesz słuchać, prawda?

- Nie zawsze.

-Ja też nie zawsze. To słuchaj, albo nie, a ja ci opowiem bajkę o śmiesznym Marcinie Bosie.

-O kim?

- Miałeś słuchać, a nie przerywać. Nazywam się Marcin Boś.

Marcin, a nie Martin. I nie Bos, tylko Boś, przez „ś”. Przykro mi, ale nic na to nie poradzę. A przynajmniej nie mogłem poradzić przez pierwsze dwadzieścia dziewięć lat swojego życia... Urodziłem się w Warszawie. Na Mokotowie. Wcale nie miałem pod górę do szkoły, a rodzice mnie kochali. Dokładnie do dnia moich czternastych urodzin, bo wtedy mieliśmy iść na koncert. Czekali na mnie przed domem, a ja się jakoś ociągałem, chciałem zdjąć płytę z gramofonu i go wyłączyć... Zawsze lubiłem posłuchać najpierw tych nagrań, które miały być na koncercie. W końcu podszedłem do okna, żeby zamachać, że zaraz wyjdę.

Przerwałem na chwilę. Ale co się zaczęło, trzeba skończyć: - Nie wyszedłem. Na chodnik wpadła ciężarówka. Przygniotła ich do muru. Zginęli na miejscu.

- Martin...

- Nie, nie, odpuść sobie. To było bardzo dawno temu. Już sto razy przeszedłem nad tym do porządku dziennego. Wypadki się zdarzają. Szczególnie na zewnątrz.

Więc zostałem w domu, u dziadka. I znowu nastawiłem tę płytę.

Kawałek, który grałem kilka lat później na egzaminie wstępnym na Okólnik. A potem były studia. Fajny okres. Na czwartym roku poznałem dziewczynę z Japonii... Pianistkę. Zaczęliśmy się spotykać, chociaż to było takie... przyjacielskie, bardziej niż... rozumiesz. Im bardziej ją lubiłem, tym bardziej ona mnie lubiła, ale...

właśnie chyba tylko lubiła. A może widzę *to* tak z perspektywy, bo wtedy... Nie wiem. Była taka ciepła, radosna, beztroska... Ale może była taka dla każdego. Albo ja jej nie rozumiałem. W każdym razie dużo czasu spędzaliśmy razem. Mówiła dobrze po polsku, wiesz, po czterech latach na Okólniku... Teraz myślę, że często jej nie rozumiałem. Jakby mówiła innym językiem, używając polskich słów. Kiedyś powiedziała: *Jasne, że możesz do mnie przyjść!*

Zrobię ci nabemono.

Więc przyszedłem. Z małą paczuszką. Pierścioneł. Nie było łatwo się dowiedzieć, jaki ma rozmiar palca... Musiałem przekupić kwiatami jej koleżankę z klasy fortepianu. Nieważne. Przyszedłem pewnie za późno i powinienem był zadzwonić. Zapukałem i ona coś zawołała, myślałem, że „proszę”...

Przełknąłem, nie wiem co, bo gardło miałem suche. Kontynuowałem: - Była... No... Była. W łóżku. Nie sama.

Napiłem się łyka z butelki.

- Potem chciałem skoczyć z dachu akademika, ale mnie paru go ści złapało i zawiozło do lekarza. Co ja mówiłem? Aha. Żebyś nie przerywał. I że skończyłem studia, i zacząłem pracę, w telewizji, na ulicy Jasnej, robiłem dźwięk do wiadomości... Kiedy nadawaliśmy dziennik wieczorny, to NIKT nie był tam trzeźwy. Rozcieńczało się 99—procentowy spirytus do czyszczenia głowic magnetowidów wodą z czajnika. Żeby zabić nudę. Trzy lata kariery przy dzienniku i alkoholizm murowany. Co mnie nawet jakoś nie martwiło.

Ale wtedy przyjechali ci Japończycy z NHK... Ich dźwiękowiec nie docenił mocy naszego cocktailu do czyszczenia głowic i musiałem go kryć przed szefostwem na zapleczu. Z wdzięczności zaprosił mnie do teściów. Pojechałem, sam nie wiem dlaczego...

Zrobiłem krótką przerwę. Andrzej zaczął coś mówić, więc szybko podjąłem:

- Mieszkalem w Machida. Nie tak daleko stąd. Miła rodzina, mama, tata, dwoje dzieci w podstawówce. Miałem ich uczyć angielskiego w zamian za wikt i opierunek. Było trochę dziwnie...

Wieczne chichoty. Dzieci się śmiały z polskiej wymowy mojego imienia. Wiesz, co to znaczy po japońsku, prawda? No. Tylko spróbuj mi zachichotać. W sumie byłem traktowany jak członek rodziny, zabierali mnie wszędzie, uczyli Japonii... Ale potem...

Przerwałem i sięgnąłem po butelkę z wodą. Wymacanie jej zajęło mi dłuższą chwilę. Głowa znowu zaczęła pulsować.

-Już... — zaczął Andrzej.

- Nie, nie już, tylko napić się muszę. Zaczekaj... OK, mogę kontynuować. Słuchaj. Po pół roku coś się popsuło. Do dzisiaj nie wiem, co i dlaczego. COŚ musiałem zrobić albo powiedzieć...

Ale nikt mi nie raczył poinformować CO. Latami nad tym się zastanawiałem, a teraz już nie chcę. Więc po prostu uwierz, że pewnego letniego wieczoru była kłótnia. Nie wiem o co... Pokerowe twarze. Jak z kamienia. Zero uczuć. Nie miałem wyboru. Musiałem spakować walizkę, tę jedną, z którą tu przyjechałem, i wyjść w noc.

Włóczyłem się po ulicach, na hotel nie miałem pieniędzy, w końcu poszedłem na stację, bo tam śpią bezdomni... Siedziałem na walizce i słuchałem muzyka, który grał na flecie - kawałki klasyczne na przemian z Jethro Tuli. O północy wziął mnie do Yoshinoya i postawił *gyudon*²⁴. Chwalił się, że będzie nagrywał

płytę w jakimś Radiu Yokohama... I zachęcał, żebym tam spróbował zaaplikować o pracę, bo właśnie był wypadek, ich główny realizator nagrań zmarł na atak serca w kąpieli...

Andrzej coś powiedział. Nie zrozumiałem.

- Powtórz...?

- Tutaj? W naszym *ofuro*...?

- Andrzej, to było lata temu... Ludzie umierają. A dzieci się ro-dzą, jak wiesz. Głupi wypadek. Mój poprzednik leżał w gorącej wodzie, a poprzednik Johna, też Australijczyk, wrzucił mu do wanny nadmuchiwanego krokodyla. Był taki kiedyś na piątym piętrze, wisiał pod sufitem. Symbol rozgłośni, rozumiesz.

- Nie rozumiem...

- Krokodyl. Wielka paszcza, malutkie uszka. O ile w ogóle krokodyl ma uszy, osobiście nie widziałem.

24Micha ryżu z mięsem. Tanie i syci. Zob. też słownik, str. 365.

- Nadal nie...

- Krokodyl. Nadajemy głośno w eter, a nikogo nie słuchamy. Jak to radiowcy. Chociaż właściwie nie wiem, czy tak powinno być.

Może właśnie *to* niesłuchanie, to izolowanie się od słuchaczy, od reszty świata, powoli zabija Radio Yokohama? Może John powinien zachęcać publiczność do dzwonienia, wypowiadania się, czego chcą dzisiaj słuchać, zamiast nadawać w kółko te swoje starocia? Zamknąć czasem paszczę i nastawić uszka? Nie wiem.

Ale krokodyl zawsze był symbolem naszej rozgłośni. Nie o tym chciałem mówić. Już kończę.

Więc ten mój poprzednik nie przeżył kąpieli z nadmuchiwanym krokodylem, widać miał słabe serce. A ja przekimałem w Yoshinoi, następnego dnia poszedłem na stację i zamówiłem w pobliskim sklepiku wizytówki. Już nie „Marcin Boś” tylko „Martin Bos”.

Zresztą inaczej się nie dało - polskich czcionek nie mieli.

Wieczorem wizytówki były gotowe. Gdzieś o dziesiątej w nocy znalazłem wreszcie tę uliczkę i ten budynek i zapukałem do drzwi z walizką w lewej ręce, a wizytówką w prawej... Otworzył mi pan Hayakawa. Koniec.

Środa, 19 sierpnia 1999

Za dnia leżałem, udając chorego. Przygoda na strychu i rozcięta głowa jak najbardziej mnie do tego uprawniały.

Raz przyszła Amanda z gitarą i zaśpiewała mi coś po malajsku.

Od początku twierdziłem, że ta dziewczyna jest przyszłością Radia Yokohama. Jest tym dźwiękiem, na który czekałem. Niech no mi tylko Hayakawa pozwoli ją porządnie nagrać... Czułem, że ona i ja osiągnęliśmy jakieś... porozumienie. Że w studiu zdarzy się coś wielkiego.

W nocy trenowałem i zajmowałem się moim tajnym projektem.

Nigdy nie jest za późno zrozumieć pewne rzeczy. Czegoś się nauczyć. Tym *tuzem* postawię ich przed faktem dokonanym. A nawet jeśli sam niczego nie osiągnę - pomogę Johnowi zrealizować jego życiową misję. Znajdę mu brzmienie doskonałe.

Ludzi, którzy coś takiego osiągną, nie wyrzuca się do robienia projektów na zewnątrz. Są potrzebni. Tu i teraz.

Włączyłem lampę w reżyserce studia A i wyciągnąłem z kieszeni johnową trąbkę, znalezioną... przypadkiem. Ale w zbożnym celu.

Od dawna się domyślałem, że nad tym pracował. Mikrofon ci-

śnieniowo-gradientowy wysokiej czułości. Dźwięki zbierane przez trąbkę, to samo zjawisko, co w głośnikach tubowych, tylko w drugą stronę... Przełom w historii nagrań. Może o mnie kiedyś napiszą.

Przyjdą z paru czasopism branżowych: - Co pana zainspirowało do wykorzystania zwykłej trąbki rowerowej do zbudowania prototypu...?

Miałem już kapsułę zainstalowaną w zielonej gruszce i prze-wody wyprowadzone przez dziurkę, którą zrobiłem szpikulcem do lodu w LDK. Jutro ukoronowanie moich wysiłków: test w na-turalnych i nigdy jeszcze przez nikogo niewykorzystanych kame-rach pogłosowych Radia Yokohama - przewodach kominowych.

Trzeba tam będzie się wspiąć, ale w tym stawałem się coraz lepszy.

Szykował się powrót Bosa.

Czwartek, 20 sierpnia 1999

Zeskoczyłem z niskiego gzymsu na balkon pierwszego piętra.

Przedramiona spuchły mi jak u Popeye po podwójnej porcji szpinaku.

Ciągle za dużo używam rąk, a za mało nóg - pomyślałem. -Ale i tak Amanda byłaby ze mnie dumna. I będzie, kiedy zobaczy... Już niedługo.

Uśmiechnąłem się do siebie. Chyba pierwszy raz od... Od dawna.

Siadłem oparty o balustradę i z ulgą zdjąłem o dwa numery za małe tenisówki Andrzeja. Pojęcie wygody butów jeszcze mi się nie zmieniło. Ale na pewno się zmieni.

Nadchodziło wiele zmian.

Przyzwyczailem się do Radia Yokohama śpiącego o trzeciej nad ranem. Przeszedłem obok wind i odruchowo postawiłem drzewko bonsai na stołeczku z *ofuro*. Amanda by to zrobiła. Zawsze jej było żal wszystkiego, co żywe i sponiewierane.

Opowiedziałem jej w LDK historię Jurija Siemieckiego, rosyjskiego marynarza, zakochanego w jednej z wczesnych gwiazdek japońskiej estrady, niestety bez wzajemności... Jurija, który topił

niechcianą miłość w sake, aż pewnego dnia utopił ją ostatecznie... I którego ciało przez blisko już sto lat wacha od spodu kwiatki na naszym podwórku, a duch nadal straszy na czwartym piętrze. Wy-tłumaczyłem, jak po nocach przewraca drzewka bonsai, bo, zgodnie z miejscowym przesądem, stojące pod oknami uniemożliwiają mu ucieczkę z Radia Yokohama i uzyskanie wiecznego spokoju.

John złośliwie skonkludował:

- Eee, straszysz młodą duchami, a wszyscy wiedzą, że to pry watna wojna Debiru ze wszystkim, na czym powinno się dać na ostrzyć pazury, ale się nie daje, bo się wywraca, hi, hi...

Amanda powiedziała:

- Wersja Martina jest dużo piękniejsza.

Tak powiedziała.

Skręciłem za pralnię w stronę części hotelowej. Drzwi Amandy były ciemne, oczywiście. Czwarta rano... Uśmiechnąłem się, wyobrażając ją sobie śpiącą. Ciekawe, czy zdejmowała wtedy tę swoją chustę z włosów.

Dalej - śpiące siostry, śpiący bohaterowie gitary i mikrofonu, śpiący Andrzej i Akemi (pytanie, gdzie urządzimy żłobek), potem pokój Yoshiego i...

Światło.

Dwie sylwetki jak w teatrze cieni, na tle napiętego, mlecznego papieru wypełniającego prostokąty starych, rozsuwanych drzwi.

Mężczyzna i kobieta.

Pochylona nad nim z nieskończoną gracją i czułością, starą jak ludzkość.

Sylwetka nieruchoma, jakby wycięta z czarnego papieru.

A jednak żywa.

W przeciwieństwie do mnie.

Krok, krok, krok.

Zakręt.

Krok.

Sklepik.

W nocy można sobie wziąć, co człowiekowi akurat do życia potrzebne, wrzucając pieniądze do bambusowego pudełka. Co mi było w życiu potrzebne?

Nic.

O, kubki.

Wczoraj ich nie było w sklepiku. A może były. Kiedyś i ja miałem kubek. Nawet podobny, tylko było na nim napisane — *shachō*.

Boss.

Wziąłem jeden. Czarny. Monety zabrzęczały jak potępieńcze łańcuchy.

社長.

Uciekłem na palcach na swoje trzecie piętro.

Do reżyserki.

Ostatnio chyba spędzałem tu dużo czasu. W nocy. Nie bardzo wiem, co robiłem za dnia.

Siadłem na stołku pomocnika. Coś mnie uwierało - gruby, biały mazak do pisania na każdej powierzchni. Andrzej zaznaczał nim pudełka z taśmami.

Namalowałem coś bezmyślnie na otwartej, pustej stronie studyjnego moleskine'a. Nic nie było widać - białe na białym.

Wziąłem kubek.

Napisałem starannie:

Zostawiłem na stole miksterskim.

Może się komuś przyda.

Co się zaczęło, trzeba skończyć.

Praca pomaga. Nie myśleć.

Trąbka gotowa, kable mikrofonowe i szara taśma monterska też.

Tenisówki wciśnięte i zasznurowane. Chyba można iść.

Startowałem z balkonu na trzecim piętrze.

Wspinaczka była tu łatwa jak po schodach. Gzymsy, parapety, dziury w murze, kawałek starego tarasu usuniętego w latach pięć-

dziesiątych, żeby dobudować piętro w skrzydle zachodnim. Wszystko doskonale widoczne w słabym, ale ostrym świetle księżyca.

Dobrze.

Teraz krótki odpoczynek na balustradzie francuskiego okna, które kiedyś zamurowano, nie wiem dlaczego. Nieważne. Została sama balustrada. Zardzewiała. Trochę mi się zakręciło w głowie od wysiłku. Ale nie ma pośpiechu. Kilka wolnych, głębokich wdechów i wydechów...

Dalej.

Jeszcze tylko ostatnie podciągnięcie, gzyms, rynna...

Dach.

Myślałem, że będę pierwszą istotą, która stanęła na dachu Radia Yokohama.

Debiru tak nie myślał, bo spojrzał na mnie z ironią.

- Niau - powiedział.

Odwrócił się i potruchtał w mrok deską łączącą centralny komin skrzydła zachodniego z dziwną nadbudówką w skrzydle pół-

nocnym. Może mieścił się tam mechanizm windy.

- Debiru-san *sayōnara* — powiedziałem i zaraz wzdrygnąłem się, słysząc obcość własnego głosu. Słowa uleciały w ciemność i już nie wróciły. W domu dźwięk zawsze wracał, pozwalał czuć swojską obecność budynku. Nawet na podwórku było dobrze znajome echo.

Wyciągnąłem z kieszeni plan czwartego piętra, pożyczony skądś, chyba od pana Tabashiego, w czasie jego urlopu.

Windy, korytarz... Są. Przewody kominowe. W świecie księżyca ledwie je widziałem, ale kiedyś wkulem rozmieszczenie kominów na pamięć. Środkowy był nieużywany - zatkał się z dziesięć lat *te-mu*, może dawniej. Idealne miejsce na mikrofon - nic go tam nie przegrzeje ani nie zadymi.

Końcowe kilka metrów okazało się najtrudniejsze. Dach nie był

bardzo pochyły, ale stare dachówki spękane i obluzowane.

Wydawały niepokojące odgłosy przy każdym kroku.

Szczyt. Czarna sylwetka komina. Wylotu nie widziałem - trzeba się będzie wdrapać.

Spod nogi przysła ułamana dachówka. Straciłem równowagę i chwyciłem komin jedną ręką. Obróciło mnie i zobaczyłem...

Yokohamę. Setki, tysiące dachów; niskich, wysokich, płaskich, spadzistych; nachylonych w moją stronę pod groźnymi kątami, jak wyszczerzony, nierówny garnitur zębów gada.

Przeszedł mnie dreszcz i nagle zakręciło mi się w głowie.

Przysiadłem raptownie, właściwie klęknąłem, obejmując z obu stron komin, opierając czoło o jego ciepłą, swojską, chropowatą powierzchnię.

Jeszcze ostatni wysiłek... Podciągnąłem się i przewiesiłem brzuchem przez krawędź. Teraz jedno kolano. I drugie. Ostrożnie...

Trąbka wyslizgnęła mi się z kieszeni. Odbiła się gumową gruszką od dachu i płynnym łukiem przeleciała nad krawędzią, znikając w mrocznej studni podwórka.

Nieważne.

Przewód kominowy ział głodną paszczą. Rzeczywiście zatkany.

Sięgnąłem ręką... Coś, jakby gruba, plastikowa torba... Głębiej.

Zacisnąłem palce i zacząłem ciągnąć.

Stałem na najwyższym kominie Radia Yokohama, trzymając oburącz zakurzonego, sflaczałego, plastikowego krokodyla.

Do czego służy krokodyl?

Zachwiałem się, ale jakoś odzyskałem równowagę.

Od strony portu powiała stęchła bryza, cuchnąc nieznanym.

Stojąc niepewnie na kominie, wyprostowałem się powoli i objąłem ramionami czworobok mojego świata.

Roześmiałem się. Odchyliłem do tyłu głowę, śmiejąc się coraz głośniej. Śmiałem się tak, jak jeszcze nigdy, jak powinienem śmiać się przez wszystkie te lata.

Wziąłem zamach.

Krokodyl spadał powoli, zakosami, klatka po klatce.

Błysnął zębami w świetle księżyca i pożeglował w stronę cienia, aż przyjął go w swoje objęcia czarny kwadrat Radia Yokohama.

Warszawa, lipiec 2008

Singapur, lipiec 2008

(アリス)

Słownik Terminów Radiyokohamowych

Autorzy uprzedzają, że wartość merytoryczna tego słownika jest nikła, bo nie są japonistami ani nawet radiowcami. Ale tradycja każe, żeby słownik był. Więc jest. Przy okazji przypominamy, że w wyrazach japońskich *c* *h* czyta się jak nasze „ci”, *sh* jak nasze „si”, *w* jak nasze „ł”, *ay* jak nasze „dzi”. A przynajmniej tak nam się wydaje.

Autorstwo niektórych haseł należy do Marcina, a niektórych do Moniki. Pozostawiamy Czytelnikowi rozszyfrowanie, które są które :-)

ADAT

Urządzenie do wielokanałowego zapisu dźwięku (na kasecie S-VHS, jak do magnetowidu), jeden z pierwszych formatów cyfrowych w studiach. Dziś już rzadkość — wyparły je nagrywarki twarodyskowe.

apato

Tradycyjne mieszkanie w drewnianym budynku. Zwykle ma na podłogach —> tatami.

arinamin

Japoński red buli. Obrzydliwy, ale można przywyknąć (jeśli się nie ma czasu spać).

Asmat Plemię z indonezyjskiej części Nowej Gwinei, znane z pięknych, rzeźbionych wyrobów z drzewa, w tym bębnów (Asmat drum).

(はかい)

(弁当)

(盆踊り)

(カップ ノート ヲル)

(チャンス)

(ちよつと)

(大根)

(大根おろし)

bahasa Melayu

Język malajski. Sami Malaje czasem mówią na swój język po prostu *bahasa*, chociaż *doyou speak bahasa* tak naprawdę znaczy: „czy mówisz w języku?" :-) baka

Głupi, głupota, głupek, idiota, wariat, dureń, zachowujesz się jak ostatni kre-tyn, opamiętaj się, nie bądź taki gajdzin.

bentō

Lunch w pudełku z przegródkami na

różne różności.

boleh? Po malajsku: Da radę?

Można? Się da?

bon odori

Taniec ku czci duchów zmarłych, kluczowy punkt celebracji święta —> *obon*.

Kroki i ruchy są różne w różnych prefekturach, ale jest element wspólny: gajdzini, którzy podchodzą do tego tańca z należyтым szacunkiem, zawsze są zapraszani. Jeśli więc ktoś znajdzie się na Wyspach w sierpniu - zachęcam.

cappu nuduru

Od angielskiego „cup noodle” -

gorący kubek, i to od razu w kubku.

chansu

Szansa. Pamiętajcie, że *eh* wymawia się jak „ci”.

chotto

Trochę. Jedno z najbardziej uniwersalnych słów japońskich. Jeśli nie wiemy, co powiedzieć, ale coś nas niepokoi, należy powiedzieć *chotto*. Bardzo przydatna odpowiedź na wszystkie ambarasujące pytania.

daikon

Biała rzodkiew japońska. Starta nazywa się daikon oroshi

i towarzyszy wielu potrawom - np. macza się w niej —> tempurę.

danitol Środek owadobójczy, czyli

pestycyd.

D-box (symettryzator) Mądrzenie się, co to robi i po co, zostawiam fachowcom :-). Ważne, żeby wiedzieć, że takie coś jest w studiu.

(ドラえもん)

(不眠症)

(ふりかけ)

(風呂敷)

(布団)

(外人)

(牛丼)

Doraemon

Kultowe anime (czyli kreskówka japońska) o przygodach kota-cyborga.

Doraemon to symbol Japonii i na studiach japonistycznych, zamiast zmuszać biednych delikwentów do wkuwania znaków, gramatyki i innych okropieństw, powinno im się puszczać wszystkie odcinki Doraemona.

Eetoo...

Więc... Eeee... Weil... itd.

EQ

Skrót od angielskiego equalizer - korekta barwy brzmienia (albo karabin ma-szynowy).

fadeout

Wyciszenie utworu na jego końcu. Kiedyś wymagało bardzo umiejętnego, stopniowego ściągnięcia suwaków na mikserze wyćwiczoną dłonią realizatora dźwięku. Teraz robi to komputer. Cóż, takie czasy.

fuminsho

Bezsenność. W każdym
znaczeniu tego słowa.

furikake

Posypka do ryżu. Pycha.

furoshiki

Chusta do zawijania różnych różności, np. prezentów i —> bento. Oryginalnie służyła do zawinięcia w tobołek swojego ubrania w łaźni.

futon

Cienki materac, na którym się śpi. Chyba że się nie może spać - wtedy pisze się książki.

gajdzin Od jap. gaijin

- obcy, cudzoziemiec, nie-Japończyk, ale prawie człowiek, E.T., Marcin Bruczkowski itd.

groupies Młode damy podążające za zespołem muzycznym z koncertu na koncert (ewentualnie z łóżka do łóżka).

gyudon

Micha ryżu z płatkami wołowiny i cebulą. Specjalność zakładu kultowej sieci restauracji Yoshinoya.

(平安)

(平成)

(引き篋り)

(放送中)

(イナコ)

(いらっしゃいませ)

(戴きます)

(自動販売機)

(神武)

Heian

Okres w historii Japonii (794-1185). Przeniesiono wtedy stolicę do Kyoto; zdarzyło się też kilka innych ciekawych rzeczy opisanych w Genji Monogatari (polecam).

Heisei

Obecny okres w historii Japonii, za panowania cesarza Akihito (01.08.1989-). Np.

ta książka ujrzy światło księgarń w roku Heisei 20 (czyli po naszymu: 2008) — lata w Japonii liczy się od początku okresu panowania danego cesarza.

hidżab

Chusta zakrywająca włosy, uszy, szyję i biust, noszona przez ortodoksyjne muzułmanki.

hikikomori

Zjawisko społeczne, bynajmniej nie ograniczone do Japonii, polegające na tym, że młodzi ludzie (najczęściej chłopcy) zamykają się w pokoju i odmawiają wychodzenia z niego.

hōsōchu

Transmisja w toku, czyli napis nad studiem radiowym obiecujący oberwanie uszu każdemu, kto wejdzie i nahałasuje.

ikanago

Małe rybki z rodziny dobijakowatych (bo dobijają gajdzinów w przeróżnych daniach japońskich).

irasshaimase!

Zapraszamy! Proszę! Wejdz, nawet jeśli jesteś gajdzinem! Słowo wyrzaskiwa-ne przez sklepikarzy i restauratorów, których rozsadza zawodowy entuzjazm. Czasem dostają od tego czkawki i wtedy pieją: „irasshai!”

itadakimasu

Smacznego.

jidouhambaiki

Maszyna sprzedająca napoje w puszkach, słodycze, papierosy, piwo, -> cappu nudum albo inne rzeczy niezbędne do życia.

Jinmu

Pierwszy cesarz Japonii, postać bardziej legendarna niż historyczna. Żył 126 lat, w co akurat wierzę, bo na Wyspach Japońskich długowieczność jest tradycją - niewątpliwie rezultat picia dużej ilości znakomitego piwa.

(カチンコ)

(家紋)

(可愛い)

(こたつ)

kachinko

Klaps. Taki na planie filmowym, a nie do dawania gajdzinom, którzy są -> *baka*.

kamon

Japoński herb rodowy. Na męskim kimonie może być trzy albo pięć kamon -pięć na okazje formalne i uroczystości.

kawaii

Śliczny, uroczy, słodki, wzruszający i/lub zaopatrzony w różową kokardkę.

klama Coś, co można wygodnie chwycić ręką w czasie wspinaczki. W skale technicznie trudnej klamą może być niewiarygodnie głęboka (2 cm) i oszałamiająco szeroka (półtora palca) dziuropółeczka, na której można odpocząć nawet do sześciu długich sekund, zwisając rzecz jasna na jednej ręce; w skale o trudności schodów na strych — uchwyt wielkości i wygody klamki u drzwi.

kompresja, kompresor Coś, co stosują inżynierowie dźwięku, żeby nagranie było głośniejsze. Kiedy w środku filmu jest reklama i musimy ściszyć TV, to właśnie dlatego, że została brutalnie skompresowana. Stacje radiowe też okropnie kompresują swoje programy, żeby się wydawały głośniejsze niż stacje konkurencyjne. W rezultacie muzyka jest płaska, bez wyrazu i tylko... głośna.

kotatsu

Niski stolik, zwykle z grzejącą lampą pod spodem. Trudno to opisać, ale w „Bezsenności w Tokio” są zdjęcia na str. 50.

LDK

Od ang. *Living-Dining-Kitchen*, czyli po naszymu salonojadalniokuchnia.

love hotel Hotel wynajmowany na godziny parom, które chcą porozmawiać w spokoju o pogodzie. Miałem w Japonii sąsiadów, rodzinę, której mama i tata co miesiąc spędzali noc w love hotelu, żeby odpocząć od dzieci.

makan Po malajsku: jeść, jedzenie, posiłek, śniadanie, obiad, kolacja. W

wersji pytaj-nej: może byśmy wrzucili coś na ząbek?

(明治)

(名刺)

(味噌)

(味噌汁)

mastering Proces ostatecznego dopieszczania — > miksu, tak, żeby brzmiał

JESZCZE fantastyczniej.

Meiji

Okres w historii Japonii (1868-1912). Wtedy w Yokohamie zamieszkali gajdzini, w dzielnicy Kannai, otoczonej fosą, żeby się nie porozpełzali po mieście. Niestety i tak się porozpełzali, bo fosa była za płytka.

meishi

Wizytówka. Jak wiemy, człowiek w Japonii składa się z ciała, duszy i wizytówki.

Pamiętam mój szok, kiedy w r. 1986 zaczynałem uczyć angielskiego dzieci w wieku podstawówkowym i jedno wręczyło mi z ukłonem wizytówkę.

miks W studio nagrywa się wiele ścieżek (na każdej inny instrument), po czym się je miksuje

(miesza w odpowiednich proporcjach) aż powstaje właśnie miks, który na koniec poddaje się jeszcze procesowi —> masteringu.

Milli Vanilli Zespół muzyczny lat 80., wślawniony skandalem, kiedy odebrano im nagrodę Grammy za to, że wokaliści nie śpiewali na nagraniach (robili to inni wokaliści, którzy z kolei nie byli dość wizualni, żeby ich pokazywać na koncertach).

miso

Gęsta pasta z soi, o kolorze od jasnobieżowego po ciemnobrązowy. Znana jako podstawa —> miso shiru, ale można ją używać do wielu dań - jest arcy-zdrowa, pyszna i coraz częściej dostępna w Polsce.

miso shiru

Zupa z misia (czyli z — > miso). Jeżeli jest danie narodowe Japonii (a każdy region ma swoją kuchnię), to jest nim miso shiru. A nie sushi!

moleskine

Kultowy notatnik artystów i innych ludzi... innych. Ponoć używał go Hemingway, Picasso i paru innych... innych.

moshi moshi

Halo? Kuba...?

(鍋物)

(納豆)

(海苔)

(お盆)

(お茶漬け)

(お風呂)

(お早う)

(お邪魔します)

nabemono

Danie z gatunku zupopodobnych, gotowane w kociołku, do którego wszyscy sięgają, pałeczkami, wyławiając makaron, warzywa i wszystko, co akurat było w lodówce.

nattō

Sfermentowane ziarenka soi. Substancja spożywcza o wysokiej zawartości nie-ziemskiego smrodu - jedna z dwóch potraw, wobec których nie udało mi się przemóc i spróbować (drugą był azjatycki owoc - durian).

nori

Jadalne wodorosty. Pyszne. Wszystko smakuje lepiej, jeśli jest zawinięte w wodorost.

Obon

Święto buddyjskie, odpowiednik naszych Zaduszek, tylko w wersji głośniejszej i weselszej. Odbywają się wtedy festyny uliczne, tańce —» bon odori i puszczanie lampionów na rzekach. Obon to również długi, letni weekend, kiedy rzesze Japończyków miejskich jadą odwiedzić rodziny na wsi, tworząc wielki, czterodniowy korek na autostradach.

ochazuke

Japońska zupa z gwoźdźcia, przygotowywana, kiedy zostało nam trochę ryżu i coś z tym trzeba zrobić, a nie ma czasu (albo składników) na bardziej wyszukane potrawy.

ofuro

Łazienka, również wanna. Typowe ofuro ma jedno pomieszczenie, gdzie się myjemy, siedząc na małych stołeczkach, i drugie, z wanną, w której się relak-sujemy we wrzątku. Sami albo w miłym towarzystwie.

ohayō

Dzieńdoberek o poranku. Ślicznie wyglądasz, taka !

zaspana. Zrobić ci jajecznicę?

ojamashimasu!

Przepraszam, że przeszkadzam (zwrot używany min. wtedy, kiedy wchodzimy do czyjegoś domu).

(お好み焼き)

(音頭)

(温泉)

(ラーメン)

(録音中)

(さ)

(刺身)

(左様なら)

okonomiyaki

Potrawa omletopodobna. W „Bezsenności w Tokio” jest przepis. Da się zrobić, używając dostępnych w kraju składników i zazwyczaj wychodzi znakomicie (sądząc z mailowych relacji czytelników).

ondo

Rodzaj muzyki, a właściwie rytmu typowego dla tańca — > bon odori. Swingujący rytm na 2/2, z akcentem na dwa.

onsen

Narodowa pasja japońska - gorące źródła do moczenia ciała i ducha. Onseny były koedukacyjne, dopóki w Japonii nie pojawił się dziewiętnastowieczny gajdzin, ucząc, że czystości i piękna ludzkiego ciała należy się wstydić. No i się niestety nauczyli.

ramen

Danie japońskie (tyle, że chińskie), składające się z michej kluchów pływających w rosoli, z różnymi dodatkami. Pycha.

ride

Talerz. Perkusyjny, a nie do jedzenia z.

rokuonchu

Nagranie w toku - napis nad drzwiami studia, ostrzegający, że wejście może się skończyć zrujnowaniem —> tejku.

roti Rodzaj malajskiego chlebotlaka, jedzonego zwykle z curry. Podstawa odżywiania się Współautorki.

sa

Nic nie znaczące słowo przecinkowe, typowe dla dialektu Kansai (np. Kioto, Osaka). „Ano, sa, osaka ni ittara, sa...”

sashimi

Danie z surowych ryb. Musi być ŚWIEŻE, więc nie należy go jeść w odległości > 100 km od najbliższego morza. Przepraszam, Warszawo.

sayōnara

Żegnaj. Trochę formalne i finalne, bo na *co* dzień używa się starojapońskiego zwrotu *bai bai*:-) (戦国)

(先生)

(社長)

(四)

(死)

(七並べ)

(新)

(新幹線)

(昭和)

(算盤)

Sengoku

Bardzo zagmatwany okres w historii Japonii (okolice naszego XVI w.), o którym niestety nic nie wiem.

sensei

Nauczyciel, mistrz. Tytuł osób stojących wyżej od nas w łańcuchu pokarmowym.

shachō

Szef,

manager, dyrektor.

shi

Cztery, shi

Śmierć.

Podobieństwo do wymowy wyrazu „cztery” przypadkowe, ale stanowiące źródło silnego przesądu antyczwórkowego w Japonii i krajach chińskojęzycznych (bo po chińsku „cztery” i „śmierć” też brzmi tak samo). Czyli np. w hotelach często nie ma pokoju nr 4.

shichinarabe

Japońska gra karciana, pasjansopodobna, pokrewna sevens albo chińskiej fan tan.

shin

Nowy. Przedrostek automatycznie uatrakcyjniający to, co po nim następuje, bo według Japończyków jak nowe, to dobre. Vide —> Shinkansen i „Shin Harumagedon” („Nowy Armagedon” - popisowy numer zespołu Y2K).

Shinkansen

Dosłownie: „nowa linia”. Szybkie pociągi japońskie, chociaż nie rozwijają w praktyce takich prędkości, jak niektóre linie w Europie - głównie ze względu na hałas, jaki musieliby znosić mieszkańcy okolicznych domów (a w Japonii zwykle w pobliżu stoi czyjś dom).

Shōwa

Okres w historii Japonii (1926—1989), kiedy panował cesarz Shōwa (za życia zwany Hirohito). Np. moja data urodzin to rok 40 ery Shōwa (czyli po naszymu 1965).

soroban

Japońskie liczydło. Dzieci uczą się go w szkole, bo podnosi IQ, ułatwia wizualizację systemu dziesiętnego i liczenie w pamięci (IM ułatwia, bo MNIE nic nie ułatwia poza Excelem).

(済みません)

(大正)

(タレント)

(畳)

(天ぷら)

(豆腐)

sumimasen

Przepraszam (od polskiego „sumitować się”)

(a przynajmniej tak mi się wydaje).

Taishō

Okres historyczny (1912-1926), kiedy panował cesarz Taishō (za życia nazywał się Yoshihito), znany ze słabego zdrowia (nie tylko fizycznego). W tym okresie było Wielkie Trzęsienie Ziemi (1923, czyli Taishō 12).

tarento

Od angielskiego „talent” - młoda gwiazda piosenki, tańca, narracji i wdzięcznego chichotania przed kamerą (panie) albo robienia z siebie przed nią idioty (panowie).

tatami

Mata podłogowa z plecionej, sprasowanej słomy, na krawędziach obciągnięta materiałem. Rozmiaru zwykle 88 x 176 cm i grubości 5 cm. Większość pokoi w Japonii ma wymiar będący wielokrotnością powierzchni maty: 4,5 maty, 6 mat, 8

mat itd. W nowoczesnych mieszkaniach —> LDK i inne pokoje są często pokryte klepką, a tylko sypialnia ma tatami.

teh ahliya Teh, mai. herbata, ahliya (czasem haliya) - imbir; czyli herbata imbirowa. Podawana zwykle z absurdalnie słodkim mlekiem skondensowanym.

Pyszna, bez jej spróbowania nie wolno wyjechać z Malezji!

tejk Od angielskiego „take” - kolejna próba nagrania danego utworu.

tempura

Potrawa japońska (no, prawie). Kiedyś popełniłem opowiadanie o tempurze -jeśli ktoś do mnie napisze, to powiem, gdzie je znaleźć :-) tōfu

Tofu, czyli rodzaj twarożku z soi. Najpyszniejsza rzecz, jaką wymyślili Japończycy (przepraszam, Chińczycy).

tolong tamba susu Wpisuję to od 3 lat w autografach „Singapur, czwarta rano”, zachęcając czytelników, żeby sami się pomęczyli i rozszyfrowali... :-) (Y2K問題)

(分かった)

(浴衣)

tom Rodzaj bębna w zestawie perkusyjnym. Polecam obrazek z objaśnieniami na str. 28 „Singapur, czwarta rano”.

trawers Sposób poruszania się na ścianie skalnej, mniej lub bardziej poziomo w stosunku do gruntu (czyli idziemy w bok, a nie do góry, przy zachowaniu jednak pionowej pozycji ciała).

waitsukei mondai

Dosłownie: kłopot (albo

zmartwienie) z powodu Y2K, czyli feralnej daty 01.01.2000. U nas zwane pluskwą milenijną-chodziło o zagrożenie, że niektóre programy komputerowe nie dadzą sobie rady ze zmianą daty z 1999 na 2000 i nastąpi koniec świata albo inne kłopoty.

wakatta?

Zrozumiałeś?

X-Japan Kultowy zespół rockowy lat 1982-1997. Ostatnio reaktywowany. Wyróżniał się dzikimi fryzurami (papuga wysiada).

yukata

Szlafroko-pizamo-kimono. Bawełniana, oryginalnie pokąpielowa, często noszona w lecie, szczególnie przy okazji różnych festiwali. Uwaga, gajdzini: lewa połowa yukaty ma zachodzić na prawą, nigdy na odwrót!!!

Jeżeli, szanowny Czytelniku, znalazłeś w tekście jeszcze jakieś niezrozumiałe słowa, przy

których nawet Google się poddaje, pisz śmiało na:

marcin@bruckowski.com

monika.borek@radioyokohama.net



Marcin dziękuje

Gabrieli Rzepeckiej — Współautorce Honoris Causa Za konsultacje, humor, optymizm i bezcenną pomoc dla Marcina na polu Res Japonka (i nie tylko).

Kit

Alexander

For being exactly who you are.

Mojej mamie

Za pierwsze buty do wspinaczki. Jej zresztą.

Restauracji Pink Flamingo, szczególnie Malinie, Uli, Jurkowi i Robertowi Za dom poza domem, bez którego ta książka by nie powstała (albo byłaby bez-jajeczna).

Dorocie Koman, Kasi Pomorskiej, Iwonie Wodzińskiej, Andrzejowi Rosnerowi i Sławkowi Zychowi

Za szacunek, kreatywność i przede wszystkim cierpliwość wobec trudno okiełznywalnych dusz artystycznych.

Radkowi Szewczukowi, Kubie Woźniakowi i ich rodzinom Za „Szóstkę z Sawanny”, zespół, który gra zdecydowanie lepiej od Y2K :-)
Ilonie Jankiewicz, Gabrieli Matusiak, Kasi Piotrowskiej i Dorocie Wilczek Za ważną i cenną pomoc w roli Oficjalnych Recenzentek i Konsultantek.

Ani Powalowskiej

Za sesję, zaufanie i niesłuchanie.

Paweł Ambroziak, Ela Komorowska, Paweł Lisowski, Marek Łada, Barbara Neale, Lance

Redford, Barb Schmidt countless others @Honeywell

For your friendship and support and trying not to schedule teleconferences for 11:00PM:-)

www.eis.com.pl i www.studiotrax.net

For keeping me up to date with the studio world.

Gosi i Kubie Puchałom

Za konsultacje ortopedyczno-rzepakowe.

Monika dziękuje

Mojej Mamie Marii

Za podsycanie miłości do literatury odkąd się urodziłam i za to, że jest Moją Mamą.

Piotrowi „Słupkowi” Słupińskiemu i Piotrowi „Pafnucemu” Panufnikowi Za Podlesice i Tatry w pionie i niezłomną cierpliwość.

Robertowi Pełce

On już będzie wiedział, za co :-)

Markowi Chrzęszczowi

Za pomoc przy zawiłościach prawa i łopatę do noclegu w śniegu, wiszenie na wspólnej linie i za jaskinie.

David Mc Guire

For encouragement and patience, for teaching me drums, days and nights...

Dr Chandroo i Bob Durgude For Singapore, persistent support and understanding.

Nooraisah binte Tuan Anuar 'Sasha' vel Anuradha binte Mohamed Idros 'Amanda'

Untuk kesabaran, kesefahaman, tolong-menolong, untuk mukamu yang ayu dan perwatakan yang hebat sekali - terima kasih! Poksiążkowie

Marcina

Poniedziałek, 15 lipca 2008

Pewien dziennikarz zapytał mnie ostatnio, o czym piszą Czytelnicy w mailach do Autora.

Nietypowo jak na mnie, zastanowiłem się chwilę.

No bo jak tu streścić w kilku zdaniach ponad osiem tysięcy maili od blisko dwóch tysięcy osób, otrzymane na przestrzeni trzech lat?

Każdy Czytelnik jest inny, każdy ma inne upodobania i inne wrażenia po lekturze. Łączy ich wszystkich nieprzeciętna inteli-gencja i wyrafinowany gust (sięgają przecież po moje książki) (wężykiem!), a jednak są... inni. I wyciąganie wspólnych mianow-ników byłoby po prostu nie fair. Niemniej pewne pytania się po-wtarzają. Po namyśle i konsultacji kilku folderów oudooka opra-cowałem więc listę dziesięciopunktową.

A teraz, skoro Szanowny Wydawca pozwolił mi polać trochę wody na końcu (zakładając, że Poksiążkowiów nikt nie czyta), spróbuję odpowiedzieć na kilka z tych pytań, tym samym zachę-

cając Czytelników do wymyślania nowych :-) Przy okazji: nie na-leży się wahać przed pisanem do mnie. Gdybym nie lubił odpisywać, tobym nie zamieszczał w książkach swojego adresu mailowego. Dzięki temu poznałem fantastycznych ludzi.

No, to do boju:

/. *Dlaczego wyjechał pan do Japonii?*

Jako student anglistyki i dziecko Ery Wodnika postanowiłem polecieć do USA i zapytać Timothy Leary'ego o Sens Życia. Niestety, samolot linii Areoflot wylądował na lotnisku Narita i wcale nie miał zamiaru lecieć dalej — jak podejrzewam, brakło mu paliwa na kontynuowanie podróży przez Wielką Kałużę. Wysiadłem więc i stwierdziłem, że jestem w... Chibie. Falujące łany ryżu na polach Chiby tak mnie urzekły, że zostałem. Sensu życia co prawda nie znalazłem, ale jestem coraz bliżej.

Notabene Leary'ego spotkałem kilka lat później w pewnym to-kijskim dyskotekopubie na jego siedemdziesiątych urodzinach; niestety, było głośno i chociaż zapytałem o Sens Życia z dziesięć razy, jedyne, co zrozumiałem, to *beer*. Wziąłem to sobie do serca.

PS To jest wersja Nr 8. Kiedy wymyślę jakąś nową, nie omiesz-kam się z sz. Czytelnikami

podzielić. Prawda jest taka (ale proszę nikomu nie mówić), że NIE PAMIĘTAM. Młody byłem.

PPS Ale ze św. p. Learym i jego urodzinami to prawda. Bardzo sympatyczny, starszy gentleman. Zapytałem go:

- W ilu piosenkach pana wymieniono?

- W zbyt wielu - odpowiedział. - To dlatego, że moje nazwisko rymuje się z *deary*.

Był tam ze swoją dziewczyną, modelką wyższą od niego o dwadzieścia centymetrów i młodszą o czterdzieści lat. Zrobiła nam zdjęcie i obiecała wysłać, ale do dzisiaj tego nie zrobiła, pa-skuda.

2. Czy hotele kapsułkowe naprawdę nie istnieją?

To pytanie zadawane jest często na spotkaniach autorskich przez oburzonych uczestników, którzy albo widzieli taki hotel w telewizji, albo mieli okazję zobaczyć jeden z nich w naturze.

Cóż, pytania te oburzają również mnie, więc jesteśmy kwita :-) Oburzają, bo NIGDZIE w moich książkach nie jest napisane, że hotele kapsułkowe NIE ISTNIEJĄ! W „Bezsensowności w Tokio”

zademonstrowałem tylko, że nie są tak typowym elementem to-kijskiego krajobrazu, jak np. love hotele (jap. *rabu hoteru*) albo ma-szyny z napojami (jap. *jidouhambaiki*). Chodziło mi o pokazanie kontrastu między tym, co dziwaczne i inne (a więc interesujące ekipy telewizyjne), a tym, co REPREZENTATYWNE dla dane-go kraju. Czyli interesujące mnie. Zwykła, codzienna rzeczywi-stość ludzka jest zupełnie wystarczająco fascynująca. Trzeba tylko na nią uważnie popatrzeć, a nie gonić za dziwolągami.

Ustalmy więc raz a porządnie: oczywiście hotele kapsułkowe istnieją i przy odrobinie dobrej woli można taki znaleźć (choć nigdy wtedy, kiedy akurat zabalowaliśmy i przegapiliśmy ostatni pociąg do domu. Nazwijmy to Złośliwością Losu). Podobnie w Polsce istnieją bractwa rycerskie, radośnie okładające się mieczami w czasie corocznych zlotów pod Grunwaldem. Niemniej, gdyby Japończyk pisał książkę o Polsce i umieścił na okładce zakutego w zbroję rycerza, mogłoby to odrobinę wypaczyć pojęcie narodu japońskiego o naszej ojczyźnie. I gwarantuję, że japońskie ekipy telewizyjne po przyjeździe do Polski natychmiast kierowałyby swoje kroki pod Grunwald albo do Oleśnicy. Po czym każdy wracający do swojej ojczyzny Japończyk byłby pytany, czy widział

w Warszawie na ulicach średniowiecznych rycerzy. Tak, jak ja jestem ciągle wypytywany o

samurajów, gejsze i... hotele kapsułkowe.

3. Skąd wziął się pomysł na *X* (tu wpisz tytuł)?

Dla każdej książki pomysł wziął się z innej wanny - opowiem więc tutaj o powstaniu tej, którą, Szanowny Czytelniku, trzymasz właśnie, w, Szanownej dłoni - jakby powiedział pan Morie ©.

Historia o tyle ciekawa, że złożyły się na nią dwa zupełnie przypadkowe zbiegi okoliczności.

Pierwszy w roku 1989, kiedy do Ambasady Polskiej w Tokio zadzwonił przedstawiciel japońskiego studia nagrań, szukając ko-goś, kto mógłby nagrać głos do filmu reklamowego w języku pol-skim. Pani na recepcji dziabnęła długim paznokciem w krótką (wówczas) listę polonii tokijskiej, a że byłem na „B”, czyli na samej górze, to znalazłem się następnego poranka w studiu nagrań w Yokohamie. W bardzo dziwnym budynku.

W kolejnych miesiącach nagrałem cztery reklamy (moje liryczne zachwyty nad pestycydem Danitol są godne co najmniej Oskara), powoli wdrażając się w świat radiowo-studyjny, tak zwariowa-ny, że aż godzien książki. Wreszcie pewnego dnia zostałem przez japońskiego członka załogi pomyłony z Australijczykiem - reali-zatorem nagrań. I tak usiadłem po raz pierwszy za stołem mik-serskim, przerażony liczbą pokręteł i zafascynowany malutkim, pluszowym krokodylem przyklejonym do jednego z suwaków... A dalej — przeczytaj książkę, szanowny Czytelniku, zamiast zaczynać od Poksiążkowie :-)

Drugi zbieg okoliczności miał miejsce dwadzieścia lat później w Phoenix, Arizona. Jechałem tam sobie spokojnie długim jak TIR

samochodem po małej, sześciopasmowej drodze lokalnej, kiedy dostałem SMS-a od mojej Czytelniczki z Singapuru: *Może byś się wreszcie zaczął wspinać?*

Do dziś sądzę, że ten SMS nie był skierowany do mnie, ale wówczas, nie mając nic lepszego do roboty, dałem po hamulcach, zaparkowałem, odpaliłem laptopa, po czym znalazłem oddalony o zaledwie milę Phoenix Rock Gym. Czyli ściankę wspinaczkową.

Pojechałem.

Wlaziłem.

Następnie zakupiłem buty, uprząż i dziwne urządzenie o nazwie *reverso*, po czym umówiłem się na następny dzień...

Tak się zaczęło. Monika Borek, sprawczyni tego zamieszania, do dziś pewnie nie może

uwierzyć, że zacząłem łączyć po skałach. Ja, człowiek leniwy do szpiku kości i uprawiający wyłącznie sporty, w których siła motoryczna jest zapewniona przez czynniki ze-wnętrzne: narty (grawitacja), żagle (wiatr) i konie (koń)?!

Oczywiście zaczęliśmy korespondować. Przy okazji okazało się, że Monika ma znakomite pióro (no, OK - klawiaturę). A że akurat głowiłem się od pół roku, jak napisać powieść z mocnym charakterem żeńskim, zaproponowałem jej współpracę autorską.

Czego efektem jest ta książka.

Pracę komplikowały różnice czasowe na linii W-wa - Singapur.

Niemniej przy użyciu maila i GaduGadu szliśmy rażno do przodu.

A Paskudny Blok Twórczy, który dopadł mnie latem 2007, pękł z hukiem i spadł do szczeliny skalnej.

Monika miała nie tylko znakomite pomysły, ale wniosła coś, do czego brak mi warsztatu pisarskiego i wiedzy psychologicznej: re-alizm postaci kobiecej. Nie wiem, jak jej to się udało :-). Przy tym pomogła mi uporać się z czymś, co jest największym wyzwaniem przy pisaniu, czyli z samotnością autora - całkowitym zdaniem się na siebie przy wszystkich decyzjach. Dzięki jej kre-atywności, inteligencji, trzeźwemu oku i wspaniałemu poczuciu humoru pisanie tej książki było fantastyczną radością (mimo paru sporów koncepcyjnych). Pozostaje mi tylko mieć nadzieję, że odrobina tej radości odcisnęła się na poprzednich 362 stronach.

4. Dlaczego w ostatniej książce nie ma zdjęć?

Bo nie umiem ich robić. Staram się od trzydziestu lat (wtedy dostałem od Zbyszka Warakomskiego aparat smiena), ale bez-skutecznie. Nad moimi nieumiejętnościami pracowała nawet zna-komita pani fotograf Ania Powałowska. Niestety rezultaty są nadal o... niczym. Ktoś tam stoi i coś robi (najczęściej głupią minę do mojego obiektywu), z tyłu uliczka i domy - ale po co właściwie fotograf nacisnął spust migawki pozostaje tajemnicą.

Większy sukces osiągam w portretach, nie licząc drobnego problemu, że z fenomenalnym wyczuciem wyzwałam zawsze migawkę, kiedy podmiot zdjęcia mruga. Mam całą kolekcję zdjęć Ludzi z Zamkniętymi Oczami. Będę się kiedyś musiał nauczyć domalowywać je w Photoshopie.

I tak na przestrzeni lat inwestowałem w coraz lepszy sprzęt, w nadziei, że skoro ja nie umiem robić zdjęć, to może aparat będzie umiał. Niestety, ostatnia lustrzanka cyfrowa i obiektyw 24-105 f/4L

IS USM udowodniły ponad wszelką wątpliwość, że albo sprzęt, mimo swoich niebagatelnych gabarytów i wagi (o cenie nie wspominając - proszę polecać moje książki znajomym, bo muszę się odkuć)* jest ciągle nie dość mądry, albo... ja.

5. Dlaczego piszę pan książki w pubach?

Nie wiem. Bo lubię...? W pubie jest gwar, ale... neutralny. Bez-osobowy. Daleko mniej przeszkadza, niż radosne okrzyki dziecięce u sąsiadów - wtedy podświadomie się zastanawiam, czy to ba-łanga urodzinowa i dlaczego mój syn nie został zaproszony. Nie wspominam już o wesołych hałasach mojego syna we własnej osobie, bo wtedy mam po prostu ochotę wstać i zacząć z nim harcować, zamiast szlifować dialogi rozdziału piątego.

Każda z moich książek powstała w innym pubie albo restauracji.

Ta — w Pink Flamingo, prawdziwym, amerykańskim *diner* w Parku Szczęśliwickim na warszawskiej Ochocie. Miejsce tak sympatyczne, że mógłbym tam mieszkać. Jeśli ktoś znajdzie się przypadkiem w okolicy - zapraszam (www.pinkflamingo.pl). Pewnie mnie znajdzie pochylonego nad laptopem (tak, będzie następna książka, chociaż, jak zawsze, na Zupełnie Inny Temat).

No i skończyło mi się miejsce. Gdybym zajął jeszcze kilka stron, wymagałoby to kolejnego arkusza, podnosząc cenę książki, a przecież nie wszyscy Czytelnicy opływają w gotówkę. Ja sam, jakieś sto lat temu, byłem Biednym Studentem, więc rozumiem.

Pytania, na które nie starczyło mi miejsca, to:

6. Co się stało z Jamesem z „Zagubionych w Tokio”?

7. Na ile historie opisywane w pana książkach są prawdziwe?

8. Czy na maile odpowiada pan osobiście, czy robi to inteligentny automat?

9. Co to są Przedłużacze (po spotkaniach autorskich) i czy ja też mogę przyjść?

10. Czy Paweł z „Singapur, czwarta rano” i Michał z „Zagubieni

w Tokio” to pana alter-ego?

Po odpowiedzi na te i inne pytania kieruję więc na moją stronę internetową (www.marcin.bruckowski.com), zakładka „FAQ”.

Można też (a nawet trzeba) pisać z pytaniami do: marcin@bruckowski.com

lub

monika.borek@radioyokohama.net.

Aha, ważna uwaga: jeżeli nie odpisuję na maila, to przyczyna może być tylko jedna - nie dostałem go. W takim wypadku prosba o ponowną wysyłkę, ze starannym sprawdzeniem, czy: 1. mój adres jest taki, jak powyżej, a nie np. do mojej firmy (pracę czasem zmieniam, a imię i nazwisko rzadziej :-).

2. Jeśli maile nadal nie dochodzą, piszcie z mojej strony inter-netowej (zakładka „Kontakt”), wtedy na pewno dojdzie.

3. Adres zwrotny musi być prawidłowo wpisany. Nic bardziej frustrującego niż odpisywać przez 20 minut na maila, po czym dostać automatyczną odpowiedź, że dany adresat nie istnieje...

Pozdrawiam serdecznie!

Marcin Bruckowski

PS Moje książki są dokumentacją zainteresowań, na które od czasu do czasu choruję. W „Bezsenności w Tokio” mamy wątki motoryzacyjne i radioamatorskie. Później było audiofilstwo w „Singapur, czwarta rano”, wreszcie astronomia w „Zagubieni w Tokio”. Teraz - wspinaczka. Do której zachęcam wszystkich, panie i panów, młodych ciałem i duchem, ruchawych i ruchawych mniej, szczupłych i szczupłych inaczej. To wspaniały, zdrowy i bezpieczny sport (jeśli się do niego podchodzi z szacunkiem do siebie, skały oraz sprzętu).

Dostaję czasem maile od Czytelników, którzy w wyniku lektury moich książek pojechali do Japonii (mam kilka relacji fotogra-ficznych z podróży szlakami Gajdzina, włącznie z identyfikacją mojego domu w Higashi Nagasaki!), podjęli studia japonistyczne, albo... grę na perkusji. Te listy są największą nagrodą za pisanie.

Może więc w wyniku tej lektury ktoś zacznie się wspinać? Jeśli tak - proszę o maila, będzie mi bardzo miło!

Poksiążkowie

Moniki

Wtorek, 15 lipca 2008

- Ciekawym, jak ty łączysz bębny ze skałami? Ja bym się bał

o ręce... - napisał do mnie kiedyś pewien polski perkusista, a za razem autor książki „Singapur, czwarta rano”, którą potraktowałam jako osobistą „Lonely Planet” przed Wielką Wyprawą w Nieznane.

Wyjaśniłam, jak.

A że od wczesnego dzieciństwa mam tendencje do wodolejstwa, zamiast w dwóch zdaniach, ujęłam to pokrótce w szesnastu. Co oczywiście tylko zagmatwało sprawę i wymagało dalszego wyjaśnienia... Po jakimś czasie Marcin Bruczkowski stwierdził, że z naszych maili:

- Niezła książka by powstała... A właściwie, czemu by nie na pisać czegoś RAZEM?

I tak oto spełniła się przepowiednia mojego profesora, pana Juliana Dybca, który rzekł kiedyś na seminarium: - Pani winna książki pisać... ale praca magisterska nie może mieć więcej niż 180 stron! A 212 tym bardziej! Skrócić proszę!

RAZEM? Ja? Pisać? Książkę ze znanym polskim Pisarzem?

W wyniku rozmyślenia, rozważania, wzajemnego dyskutowania („Wiesz Marcin, na GaduGadu byłoby wygodniej...” „Aaa, oczywiście. A co to takiego?” ©) i spowodowanego tym stresem; przez ponad miesiąc ręce drżały mi tak, że podniesienie do ust plastikowego woreczka z kawą (wygodniejsze niż kubek, proszę mi wierzyć) graniczyło z akrobacją godną drogi wspinaczkowej o skali trudności 7c. Kiedy w końcu Marcin zrozumiał, że nie jestem pisarzem, tylko tak sobie dla zabawy mogę mu poprzeszka-dzać, zaczęliśmy Wielkie Pisanie. No dobrze, będę szczerą, w końcu to Poksiążkowie, którego, jak twierdzi Szanowny Wydawca, i tak nikt nie czyta. Zatem Autor zabrał się do Wielkiego Pisania, a ja w nielicznych

przerwach

między

dręceniem

moich

wszelkonarodowych

studentów,

skałowspinaniem,

płetwo—

nurkowaniem, gubieniem się w malezyjskich dżunglach i singa-purskich hawker food centrach, wtrącałam czasem kilka zdań, zaskakiwałam biednego, poukładanego Autora zwrotami grote-skowych wydarzeń i po zrobieniu wystarczającego bałaganu wra-całam do swoich „zwyczajnych” zajęć.

I tak powstało to, co zajmuje poprzednie 362 strony.

Nie wiem, o co pytają Czytelnicy. Czytelniczki tym bardziej.

Kilka pytań jednak umiem sobie wyobrazić. Czytając książkę czy oglądając film, zastanawiamy się zwykle, ile z tego wydarzyło się NAPRAWDĘ... A zatem.

- Tak, Amanda czyli Anuradha binte Mohamed Idros istnieje naprawdę. Przynajmniej w mojej głowie. I wszystkie jej fotografie w książce to fotografie autentycznej Amandy. Która w świecie poza stronami tej książki nosi, rzecz jasna, inne imię i nazwisko, a raczej imię i imiona, jako że w społeczności malajskiej po imieniu dziecka dodaje się imiona ojca wraz z łącznikiem *bin* czyli syn, lub *binte* czyli córka. Zatem Amanda w normalnym świecie tłumaczyłaby się jako Anuradha córka Mohameda Idrosa. A co się stanie, jeśli dwóch Mohamedów Idrosów nazwie swoje córki Anuradha? Czy im się nie myli? Odpowiem pytaniem - a ilu mamy w Polsce Janów Nowaków?

Jeżeli ktoś miałby jakieś pytania bezpośrednio do samej Amandy, można się z nią kontaktować pod adresem amanda@radioyokohama.net

Można do niej pisać po polsku, angielsku, japońsku i w baha-sa melayu ©.

- Tak, naprawdę pisaliśmy tę książkę z dwóch różnych kontynentów. A właściwie z kontynentów i wysp (jako że niesforni Współautorzy mają nieokrzesane tendencje do nagłego prze-mieszczania się). I tak, ja naprawdę istnieję, nie jestem żeńskim alter-ego Marcina Bruckowskiego ©

- Nie, nie wiem, czy powstanie kolejna Wielka Kolaboracja z wyżej wymienionym Pisarzem. To zależy od trzech P - Przyszłości, Przypadku i Przeogromnej Cierpliwości tegoż (kto mnie zna, ten wie...) A jeśli ktoś chciałby wiedzieć więcej - zapraszam: monika.borek@radioyokohama.net

lub

marcin@bruckowski.com

Do zobaczenia gdzieś w świecie!

Monika Borek